

Smith Kyle

Pies na miłość

Tom Farrell jest typowym 32-letnim nowojorczykiem, dziennikarzem popularnego brukowca. Niczym się nie wyróżnia. Pracuje w redakcji, słucha muzyki, myśli za pomocą tekstów piosenek (zwłaszcza Boba Dylana, Coldplay i Rolling Stonesów), ciągle kojarzy sytuacje z życia z sytuacjami z filmów, ogląda telewizję i szuka dziewczyny. Myśli o seksie, randkach odwiedza niezliczoną liczbę nowojorskich knajp, flirtuje. Tom robiłby to wszystko bez specjalnego przekonania, ale jest przecież Julia koleżanka z pracy. To z nią kojarzą mu się wszystkie piosenki świata. To dla niej ma ochotę być lepszy. Niestety, zaręczona z pewnym głupolem Julia sama nie wie czego chce. Romansuje z Tomem, który zastanawia się oczywiście jak odciągnąć ją od narzeczonego. Okazuje się jednak, że Julia, to dość samolubna i neurotyczna dziewczucha. Tom leczy systematycznie łamane serce randkami z innymi singielkami pruderyjną, nudną Niemką i głupiutką studentką prawa Katie. Nawiązuje także kumpelską relację z dziennikarką Bran. Przyjaciele Toma w podobny sposób zgrywają nieromantycznych twardzieli. W końcu Tom porzuca nadzieję na odwzajemnienie miłości przez Julię i, choć ból serca pozostaje, zamierza spróbować czegoś poważniejszego z jedną z pozostałych dziewczyn.



Sobota, 7 lipca

Oto mój dzień.

8.00 Pobudka.

8.00-8.15 Lekkie rozciąganie. Uwaga na ścięgna pod kolanami
Kilka pompek na rozgrzanie krwi.

8.20 Na dwór, jeziorko w Central Parku. Sześć okrążeń. Tempo: pięć minut na kilometr. To piętnaście kilometrów w siedemdziesiąt pięć minut.

9.45 Z powrotem do domu Pysznic, ponowna lektura *Braci Karamazcw* (tylko fragment „Wielki Inkwizytor”).

11.45 Telefon do mamy.

1230 Lunch. Przepiórki z grilla, dziki ryż, sałatka ze szpinaku, świeżo wyciskany sok pomarańczowy.

13.00 Do Metropolitan Museum na wystawę Vermeccra. Pogawędka z fajniutką dwudziestopięcioletnią doktorantką z Holandii, którą spotykam przed obrazem *Kobiela z koronkowym kołnierzykiem*. Zdobywam jej namiary, umawiamy się na drinka w klubie Carlyle „jakoś na początku tygodnia”,

16.00 Znow do domu. Do kolacji praca nad powieścią. Z jedną przerwą - telefon od superagentki.

20.30 Spokojna kolacja z paroma przyjaciółmi w Le Bernadin. „Ale naprawdę, spoko, ja płacę”. Wszyscy wiedza o ogromnej zaliczce, jaką dostałem. Śmiejemy się z tego.

25.45 Trochę jazzu w Village Vanguard. Opowiadamy sobie z kumplami świńskie dowcipy, drocę się łobuzersko z roznoszacą drinki kelnerką, która dyskretnie podaje mi karteczkę ze swoja kombinacją cyferek, zanim opuszczam lokal.

2.00 Taksówka do domu, pół godziny gry na pianinie i do łóżka. Gdyby było trudno zasnąć, lektura biografii Johna Adamsa, którą tak się teraz wszyscy ekscytują. (Czy on naprawdę był bardziej zajebisty od Thomasa Jeffersona?).

Tak w każdym razie wygląda mój terminarz zajęć na dzisiaj w serwisie Yahoo! Jednak tutaj, w reału, na planecie Manhattan, wypęlam z łóżka, gdy słońce świta gdzieś pewnie w Honolulu, i znikam pod prysznicem na czterdzieści pięć minut. (Wiem, że było to akurat czterdzieści pięć minut, ponieważ wrzuciłem w wodoodporny odtwarzacz CD „The Wall” Pink Floydów i zdążyłem wysłuchać całej pierwszej płyty). Potem podnoszę z podłogi jakieś zwiędłe płatki kwiatów pozostałe po Cudownej Kolacji i zatapiam się w kanapie, na której po ostatnim wieczorze wciąż odciśnięty jest kształt mojej dupy. Otaczają mnie wynalazki zapewniające ludziom XXI wieku zapas rozrywki oraz sody: cztery piekielnie pokręcone w obsłudze, dziewczynoodporne piloty i dwie niemal już puste pomięte torebki solonych chrupek. Na kanapie leży jakiś biały okruszek. Jestem zbyt dobrze wychowany, żeby tak go tam zostawić, więc go podnoszę. I wkładam sobie do ust. Fúj. Chyba łupież. Jeśli nie coś gorszego.

Parę słów o mnie.

Jeśli chodzi o imię i nazwisko - Tom Farrell. Należę do „tej generacji”. Wiesz, o której mówię. Tej co przyszła po tej, która odkryła Beatlesów i seks bez zobowiązań, ale przed tą, której siedemnastoletnie przedstawicielki wprowadziły zwyczaj zwalniania się z wufu celem wprowadzania na rynek swojej oferty publicznej. Tak, to właśnie my: Generacja Kompletnych Kalek. Antropologowie kultury będą nas kojarzyć przede wszystkim ze smokingami w dziwnych kolorach, Valerie Bertinelli* i zespołem Men at Work**. Nasi

*Valerie Bwtinelli - popularna w latach osiemdziesiątych amerykańska gwiazda seriali telewizyjnych.

**Men at Work - popularny w latach osiemdziesiątych australijski zespół muzyczny

dziadkowie wygrali drugą wojnę światową. My nie potrafimy nawet zawiązać muszki.

Nic jestem w najlepszej formie. Zdarza mi się od czasu do czasu, ledwie zipiąc, wykonać jedno okrążenie naszego jeziora. Nie jest to żadna rewelacja, nieco przyspieszona zwykła codzienność. Moje mięśnie brzucha bardziej przypominają piec niż kaloryfer. Moje ręce przypominają ciągnącą się lukrecję. Moje zęby wyglądają jak z wosku. Bywałem już nazywany ryżem Kubusiem Puchatkiem albo czekoladowym ludkiem, któremu skończył się samoopalacz. W piątej klasie, w czasie, który tak wiele znaczy dla kształtującej się dopiero osobowości, znano mnie wyłącznie jako „chłopca z piernika”. Kiedy po raz pierwszy jakiś mądrała z podwórka nacisnął palcem na mój brzuch, oczekując, że wydobędzie się wówczas ze mnie dziewczęcy chichot, to było jeszcze śmieszne. Przy setnym razie było mi już mniej do śmiechu. Przy pięćsetnym zaczął się u mnie rozwijać kompleks na tym tle, a przy 603 razie (liczyłem je, oj, liczyłem bardzo dokładnie) udałem się na terapię. Przy 607 razie mój nieżyjący już ojciec otworzył oficjalną kopertę, rozpoczął pięciosekundową sprzeczkę z matką („Co to do cholery za jakieś gówno?”) i terapia została przerwana.

Na tle innych samotnych mężczyzn prezentuję się niczym ubrania marki Gap - wyzywająco przeciętne, starannie luzackie. Wiesz, tak jak kiedy wchodzisz do drogerii i obok markowych produktów budzących dalekosiężne skojarzenia z zabawnymi i edukacyjnymi reklamami w telewizji widzisz ich „zwyczajne” odpowiedniki. IBUPROFEN. PŁYN DO PŁUKANIA UST. ANTYHISTAMINA. To właśnie ja: człowiek bez marki. Ten, którego nikt by nie kupił po wygraniu losu na loterii. Mam dokładnie te same składniki i jestem niezłą okazją. Ale nie wpadam w oko, nie wyciąga się po mnie ręki. Większość ludzi spaliłaby się ze wstydu, gdyby mnie ktoś zobaczył w ich apteczce.

Mam trzydzieści dwa lata, mój stan zdrowia nic różni się specjalnie od innych wychowanych na konserwach amerykańskich samców. Wyglądam dość młodo. Stopniowo zanikają mi włosy na głowie, ale na szczęście nie opuszczają mnie one na dobre - przenoszą się tylko do moich uszu i nozdrzy. Twarz - patriotyczną kombinację czerwonych włosów, białej skóry i niebieskich oczu - mam całkiem w porządku. Nie porobiły mi się zmarszczki od śmiechu (z czego tu się śmiać?). Nie jestem niski, to znaczy nic tak bardzo. Nie znajduję się poniżej Minimalnej Wysokości do Zaakceptowania u Dorosłego Mężczyzny. (Niektórzy sławni aktorzy są niżsi ode mnie; Robert Redford, Sylvester Stallone, Brad Pitt). Ale żeby zasłużyć na miano wysokiego, musiałbym chyba startować w kategorii kieliszków, a nie ludzi. Nic uprawiam już zbyt często sportu, ale za to oglądam go więcej w telewizji. Czy ktoś tu się interesuje australijskim golfem? Albo może opowiedzieć komuś o faworytach tegorocznego Tour de Luxembourg?

Posiadam dwupokojowe mieszkanie, łódówkę, w której nie ma nic oprócz napojów i sosów, typowo manhattańską mi ni mikrofalówkę, którą wykorzystuję jedynie do produkcji popcornu, zapas chrupek serowych, które przechowuję pod poduszkami na kanapie, góry pokrytego kurzem czarnego sprzętu stereo oraz w każdej chwili grożący zawaleniem stos płyt CD. (Samotne kobiety w okolicach trzydziestki zwykle otaczają się kotami; ja za to zbieram coraz więcej domowego sprzętu grającego). Mam pełen wachlarz niezbędnych koszul Banana Republic w różnych kolorach (granatowe, błękitne, jasnoniebieskie). Posiadam 43 T-shirty. Oglądam Simpsonów średnio 3,7 razy w tygodniu i średnio 3,7 razy do roku używam nitek do zębów. Kiedy gasną światła przed koncertem rockowym, nieraz jako pierwszy krzyczę, żeby zagrali *Freebird**

**Freebird* - kultowy przebój rockowy amerykańskiej grupy Lynyrd Skynyrd.

Pośród moich hobby najwięcej czasu zajmuje mi kolekcjonowanie byłych narzeczonych. Kiedy ogarnia mnie nostalgia, zadaję sobie tortury, przerzucając w pamięci kolejne *numery* z mojej osobistej szafy grającej. R-6: Tess. Dziewczyna, którą zostawiłem za oceanem po zakończeniu kilkumiesięcznego okresu pracy w nudnej londyńskiej gazecie. Nienawidziła Ameryki, mimo że jej stopa nic stała nigdy na tym kontynencie. O ile mi wiadomo, sytuacja ta jak dotąd nie uległa zmianie. C-II: .ludy. Pierwsza dziewczyna, z którą się przespałem, niezbyt udany był to zresztą popis. Wyszła za jakiegoś Japończyka, przeprowadziła się do Kioto i urodziła bliźniaki. Myślicie, że *mam* może jeszcze u niej jakieś szanse? No i wreszcie jest jeszcze przecież A-2: ta, z którą prawie mi już wyszło, Betsy, moja Betsy. Chodziłem z nią przez całe dwa lata, które podobno są zwykle okresem decydującym dla związku, a nawet nieco dłużej (choć niewiele). Poznała mnie lepiej, niż się to udało komukolwiek innemu. Było to uczucie zarazem cudowne i przerażające. Koniec końców nie mogłem znieść wizji, że lista moich seksualnych zdobyczy już do końca życia miałyby wynosić tylko cztery. Miałem wtedy dwadzieścia cztery lata. Ona teraz mieszka z jakimś facetem. Jakimś takim wesołym, pocziwym luzakiem, którego chętnie bym udusił przez sen.

Myślałem trochę ostatnio o tym koleśku, co napisał taką jedną książkę. Rzec o zwyczajnym, ciepłym, niedoskonałym gościu i jego dziewczynie. Mowa jest o jego tęsknotach i pragnieniach, i lękach, i jak to wciąż coś knoci, choć nie można mu tego mieć za złe. Cała historia opowiedziana jest listami przebojów. Wszystkie dziewczyny, jakie znam, czytały tę książkę i wszystkie chcą (albo myślą, że chcą) spotkać takiego faceta jak ten facel w książce. A konkretnie, to faceta, który ją napisał. Facel musi się nieźle bawić. Wraca pewnie do domu z pubu, opróżnia kieszenie i się zastanawia: a czyj to numer telefonu? I dlaczego jest zapisany na

parze damskich majtek? Facet napisał najdłuższe na świecie ogłoszenie towarzyskie i jeszcze dostał za to kasę. Zrobili nawet z tego film; składał się on z pięknych twarzy różnych ludzi, którzy odczytywali na głos listy przebojów z tej jego książki.

Zastanawiam się więc przez chwilę, jak by tu podreperować swoje relacje z kobietami. Rozmyślam o skrywanych męskich żalach i jasno określonych kobiecych potrzebach. O tęsknocie i przebaczeniu, i o tym, jak to mądrzy ludzie uczą się kochać drobne niedoskonałości innych osób.

I dochodzę do wniosku: powinienem zacząć tworzyć listy przebojów.

Nie mam obecnie dziewczyny; działałem na wielu frontach, ale zawsze wypadałem z gry. Jestem w związku z tym jakiś podejrzany. Co jest ze mną nic tak? Może jestem gejem? (Chciałoby się: otwarte pole do działania, zero poczucia winy, a do tego jeszcze wygląda się fantastycznie i ma się doskonały gust, jedyne na co trzeba uważać, to żeby nosić kondom, co zresztą i tak zwykle przypada mi w udziale. Znaczna część nowojorskich dziewczyn o niejasno feministycznych poglądach zdaje się uważać, że pigułka to jakiś męski spisek, który ma na celu przyprawić je o raka albo coś w tym rodzaju, jakaś konspiracja, o której uwielbiają dyskutować w oparach dymu z papierosów). Może nie jestem w stanie dzielić się swoimi najgłębszymi uczuciami? A może w ogóle nie mam żadnych głębokich uczuć? Albo jestem po prostu bardzo wybredny? Możliwe. Ale kiedy ma się trzydzieści dwa lata, to nagle świta w głowie myśl, że granica między wybrednością a nieudacznictwem może być bardzo cieniutka.

Pomimo moich wad miałem jak do tej pory dość standardową liczbę narzeczonych. Umawiałem się z trzema różnymi Jennifer, co stawia mnie nieco powyżej średniej pośród kolesi w moim wieku, a także z dwiema Azjatkami - zdecydowanie poniżej średniej. Chodziłem z dziewczynami, które cytowały Ioni Mitchell, i takimi, które cytowały Madonnę.

Dziewczynkami, które ni stąd, ni zowąd zaczynają płakać, i takimi, które wyjeżdżają z teoriami na temat pozycji kobiety w kulturze, jeśli tylko użyjesz przy nich słowa „dziewczynka”. Takimi, które lubią być zabierane na wystrzałowe imprezy, i takimi, które wolą siedzieć w domu i oglądać stare musicale. Wszystkie miały dwie wspólne cechy. Każda z nich wyglądała lepiej (jak na dziewczynę) niż ja (jak na faceta). I każda z nich w jakiś sposób mnie ulepszyła. (Kilka cech mojego stylu życia i osobowości, które im zawdzięczam: przestałem nosić białe skarpetki do spodni khaki, zacząłem na co dzień nosić pasek, przestałem wycierać *nos* rękawem, kiedy ktoś patrzy, nauczyłem się podstawowych dziewczęcych zwrotów, takich jak: czółenka, skośne cięcie, podwyższona talia, haftki itp., bez których nie sposób się połączyć w większości dziewczęcych konwersacji).

Stan nieposiadania narzeczonej ma swoje zalety: nikt nie pilnuje ilości spożytego alkoholu. Płatki śniadaniowe - wcale nie tylko na śniadanie! Mogę sobie oglądać zawody bokserskie karłów, kiedy tylko mi się spodoba. Bardzo mało czasu się marnuje na roztrząsanie problemów emocjonalnych i rozdrapywanie zadr spowodowanych sytuacją rodzinną. Jeśli chcę mieć przed snem jakieś przeżycia seksualne, to nic muszę w tym celu najpierw być miły dla swojej ręki. W ich trakcie zaś nie muszę wykrzykiwać swojego imienia, a potem nic jestem zobowiązany do przytulania się do siebie jeszcze przez jedną do dwóch godzin.

No tak. Ale boks jest nudny. Moja ręka nigdy się ładnie nie ubiera, żeby mi się przypodobać. W czasie oglądania telewizji nie mam do kogo kierować sarkastycznych komentarzy. No i w Krainie Singli rzadko kiedy ma się okazję zapytać: a cóż to - czyżby ci się pierdnęło?

Jeśli chodzi o te emocjonalne bzdury, nie mam nic przeciwko mówieniu o sobie. (Niby czemu miałbym mieć? Skoro z pewnością nie mam nic przeciwko mówieniu do

siebie). I to nie jest tak, że nie nurtują mnie żadne problemy. Są tylko upchnięte gdzieś na dnie. To takie denne problemy. Czy rzeczywiście byłbym bardziej pełnym okazem człowieka, gdybym od czasu do czasu je odkurzał? Jeden z tych poetów, którego nam kazali czytać na uniwersytecie, pisał, że poznać samego siebie jest najwyższym osiągnięciem. A co, jeśli tak naprawdę to twoje prawdziwe ja jest małym obślizgłym gadem? Czy to naprawdę takie wielkie osiągnięcie pozwolić mu wypełznąć na powierzchnię i zatruwać miłą atmosferę?

Z pewnością istnieje przynajmniej jeden sposób, żeby uporać się z problemami, z którymi się zmagam - telewizja.

Przerzucam kanały. Wiadomości na temat ostatniej okolicznej masakry, ten przerażający serial o dzieciakach z liceum, jakiś talk-show (czy ten gość jest bez przerwy na ekranie?), Telewizja Awantura, reklama podpasek Always, Telewizja Hitler, Doniesienia o Katastrofach Żywiolowych, Telewizja Nuda (żółwie wodne i rala koralowa), Telewizja Śniadaniowa, reklama lampaksów (zawsze mi przypomina ten stary dowcip: Ojciec pyta się dziesięcioletniego syna: „Co byś chciał dostać na urodziny?”. A dzieciak odpowiada: „tam-paksy”. Ojciec na to: „A to czemu?”. A dzieciak: „Bo jak je będę miał, fo będę mógł robić, co tylko zechcę - pływać, tańczyć, grać w tenisa...”), Telewizja Wędkarz (wciąż produkują ten sprzęt?), Telewizja Naćpane Gwiazdy Rocka Obiecujące Poprawę, coś, co wygląda na kolejny program wiosenny MTV (ale czy wiosna przypadkiem się już jakiś czas temu nie skończyła?), Telewizja Poważni Ludzie Mówiący z Brytyjskim Akcentem, i wreszcie - no! Cóż tu takiego mamy, drodzy państwo? Cartoon Network!

Retrospektywa filmów z Królikiem Bugsem. Bugs stoi na głowie myśliwego Elmera, swoimi wielkimi króliczymi stopami jak z gumy porządnie wcierając mu w głowę płyn na porost włosów. Włosy zaczynają rosnać. Elmer, który obser-

wuje rozwój sytuacji w lusterku, jest przepelniony dumą. Pojawiają się pączki kwiatów. O nie! To nie był płyn na porost włosów, to był użyźniacz! Taki, który powoduje, że na głowie wyrastają kwiaty! Teraz Elmer jest naprawdę bardzo, bardzo zły i sięga po muszkiet, który cały czas trzymał schowany na plecach pod koszulą. Bardzo przewidująco z jego strony, uzbroić się na wizytę u fryzjera. Ale i tak wiem, co nastąpi dalej. W ciągu następnych trzydziestu sekund Bugsowi uda się kompletnie go zaskoczyć, nagle znikając ze sceny, po czym wracając w dziewczęcym przebraniu (to znaczy jako króliczyca) i wręczając Elmerowi kwiaty i cukierki. W ten sposób skłoni go do zadeklarowania mu miłości i zaprezentowania obrączki, wskutek czego Bugs przywdzieje zaraz ślubne szaty. Bugs i Elmer znajdą pastora i złożą śluby, ale zaraz polem Bugs poniesie Elmera w górę po schodach do apartamentu młodożeńców, który oczywiście okaże się nie żadnym apartamentem, tylko drzwiami otwierającymi się na urwisko. Bugs, przenosząc Elmera przez próg, puści go potem w ramiona strasznej i gwałtownej śmierci, co tak naprawdę nie jest zbyt w porządku wobec koleśka, który właśnie zawarł z tobą poważny związek pomimo oczywistych trudności, jakie musi nieść ze sobą międzygatunkowe małżeństwo zawarte przez homoseksualnego maniaka broni i antropomorficznego

gryzonia-transwestytcę, którzy ledwo co się znają, przynajmniej w kontekście tej akurat kreskówki. Oto, moi drodzy, jak to jest z zawieraniem małżeństw. Na co to komu?

Pięć godzin później Sam wytacza armatę przeciw Bugsowi i nagle dzwoni telefon. Trochę mnie to irytuje, bo chciałbym zobaczyć, co się stanie, choć muszę przyznać, że należałoby postawić na to, że Bugs znajdzie jeszcze większą armatę, złapie kulę w swoją armatę i wystrzeli ją z powrotem w kierunku Sama, pozostawiając go z opalonymi wąsami i twarzą pokrytą sadzą. Trochę mi z tego powodu przykro, ale

postanawiam zaraz się po cichu ucieszyć, kiedy Sam w ciągu sekundy odzyska siły.

Telefon. To może być ważny zestaw świeżych informacji od kogoś znajomego. Mogłaby to też być któraś z kilku fajniutkich dziewczyn, jakie znam, choć ta hipoteza jest już dość poważną gimnastyką wyobraźni. Może to być dawno zapomniany kumpel ze szkoły. Może to być któryś z wielu znanych mi błyskotliwych i bardzo aktywnych facetów, z jakąś szaloną propozycją dobrej zabawy.

Ale po co ryzykować?

A kiedy dźwięk telefonu odzywa się po raz czwarty (włącza się sekretarka, a dzwoniący odkłada słuchawkę), nagle mnie to uderza - dwadzieścia lat temu w sobotnie przedpołudnie robiłbym dokładnie to samo, z dwiema tylko różnicami: 1) Nie było wtedy Cartoon Network, można więc było oglądać Bugsa tylko od dziesiątej trzydzieści do dwunastej, kiedy to moja dzierzżąca odkurzacz w dłoni matka siłą wyrzucała mnie z salonu i wyganiała do ogrodu, gdzie już czekali na mnie moi porąbani bracia, planujący w myślach wyszukane tortury; oraz 2) Jadłem wtedy czekoladowe płatki zbożowe z plastikowej miski z napisem „Imperium Kontratakuję”, a nie z tej szklanej, którą w tej chwili trzymam na kolanach. (Co wcale nie znaczy, że mi tamtej nie brakuje).

Mam trzydzieści dwa lata, ale wcale tyle nie mam. Jestem trzynastolatkiem z kartą kredytową. Nie jestem mężczyzną. Jestem chłopaczkiem. Kobiety mawiają, że mężczyźni są jak dzieci. Niestety często się też przekonują, że pozostają oni nimi do końca życia.

Nie jestem jedyny. Chłopaczkiem można być niezależnie od wieku, rasy czy narodowości. Adam Sandler, Tom Hanks, Paul McCartney, Michael J. Fox, Bill Gates, Matt Damon, Robin Williams, Jackie Chan, Mickey Rooney, Chris Rock, John Cusack, Hugh Grant, Matthew Broderick, Jerry Scinfeld, Bill Clinton i George W. Bush - no proszę,

dwóch prezydentów z rządu, to pierwsi tacy od czasu Teddy'ego Roosevelta (o którym jeden z sekretarzy jego gabinetu powiedział, jak to gdzieś czytałem; „Muszą Państwo pamiętać, że prezydent ma około dwunastu lat”).

A zatem: chłopaczki rządzą w kinie, w Białym Domu, na giełdzie. Czym więc ja się martwię? Zwycięstwo będzie nasze. A moje życie należy do mnie. Jestem swoim własnym panem. Nikt mi nie będzie mówił, co mam robić. Jestem niezależnym duchem, wędrowcem, poszukiwaczem. Ale teraz, proszę mi wybaczyć, muszę zadzwonić do mamy.

- Cześć - mówię. - To ja. - Zawsze jakoś wydaje mi się konieczne dodać: - Tom.

Moja mama ma pięćdziesiąt osiem lat. Lubi sztuczną biżuterię, przydrożne sklepy z włóczką, kawy smakowe i przystojnych baseballistów. Pomimo że od lat siedzę w biznesie wydawniczym, ona ze słowa drukowanego kupuje jedynie niedzielną gazetę, a i to tylko po to, żeby wyciąć z niej kupony, które potem starannie układa w małym szarym plastikowym pudełeczku. Marzy o tym, żeby szybko przejść na emeryturę, żeby mogła już pełną parą oddać się swojemu hobby, którym jest czyszczenie fug w łazience. Łazienka mojej matki wygląda, jakby nigdy nic stała w niej ludzka stopa. To raczej sala pokazowa Krainy Przyszłości, bez śladów mydła i osadu. Można by w niej produkować mikrozipy.

Z ręką na sercu można powiedzieć, że mama lubi, jeśli wszystko dzieje się tak, jak było zaplanowane.

- Cześć, skarbie - mówi teraz. - Czy nie miałeś przypadkiem zadzwonić dziś rano?

Tak. To prawda. Wczoraj obiecałem jej, że zadzwonię dziś rano. PrzyszpUila mnie za pomocą e-maila, którego używa jako globalnego narzędzia śledczego. Po raz pierwszy od czasów, gdy byłem jeszcze nastolatkiem, mama wie dokładnie, gdzie jestem każdego dnia. Zmusza mnie nawet do wysyłania jej codziennych e-maili, gdy jestem na wakacjach, podczas

tych rzadkich, pełnych przygód tygodni, kiedy decyduję się wyruszyć do Europy i przemierzać Włochy, Anglię czy Francję.

- Mhm - mówię. - Dzwoniłaś przed chwilą?

- Tak.

- Czemu nie zostawiłaś wiadomości?

- Najpierw mi odpowiedz, dlaczego do mnie wcześniej nie zadzwoniłaś.

- Szczerze mówiąc, mam, to dlatego że niespecjalnie cię lubię.

W rzeczywistości jednak wcale tego nie mówię.

- Przepraszam.

- Ja tego po prostu nie rozumiem - mówi mama.

- Naprawdę przepraszam - mówię.

- Tomeczku, mówiłaś, że zadzwonisz przed południem!

Z mamą jest trochę jak ze zbrodniarzem dopadniętym wreszcie na koniec jakiegoś horroru, tyle że zamiast ją trzy razy zabić, musisz wszystkiego trzy razy wysłuchać.

- Mam, zapomniałem. Po prostu mam ostatnio dużo pracy - pozwalam, aby mój głos żałośnie opadł.

„Mam ostatnio dużo pracy” (albo lekcji) to moja kuloodporna wymówka, od 562 tygodni nieustająco numer jeden na mojej liście przebojów Uniwersalnych Wymówek Wobec Kobiet Usiłujących Wzbudzić We Mnie Poczucie Winy. Mama jest higienistką w zakładzie dentystycznym w Rockville, w stanie Maryland, i w związku z tym nie prowadzi ogromnie stresującego trybu życia. Ogólnie rzecz biorąc, wraca do domu o przyzwoitej godzinie, a jej praca jest całkowicie przewidywalna. Nikt nigdy nie mówi takiej higienistce: „Cholera, wszystko dzisiaj zawałałaś. Zostaniesz do północy. Wszyscy nasi pacjenci wracają, jeden za drugim, możesz więc się od nowa zabrać za pakowanie im wszystkim w usta tych rurek do odsysania śliny, tylko tym razem zrób to dobrze!”. Na polu higieny jamy ustnej rzadko

zdarzają się sytuacje awaryjne. (Uwaga, uwaga! Skończyła się nam ta miętowa maź do smarowania lego obrotowego instrumenciku!).

Może to trochę nie fair tak wciąż się wywyższać wobec własnej matki, wciąż z pogardą patrzeć na jej pracę, przypominać jej, że w wieku trzydziestu dwóch lat osiągnąłem więcej, niż jej się kiedykolwiek uda?

Tak. To nie fair. Ale z drugiej strony, czy to nie jest trochę nie fair z jej strony oczekiwać, że będę do niej dzwonił! co miesiąc tylko dlatego, że wydała mnie na świat? Mam lepszy pomysł: czemu nie raz w roku? Albo jeszcze lepiej: raz na narzeczoną. Wtedy mielibyśmy chociaż o czym porozmawiać.

Mama nie ma mi nic do powiedzenia. Ja nie mam nic do powiedzenia mamie. Kiedy jeszcze żył tata, zawsze miała dużo do opowiadania - o tym, jaki on był okropny. W końcu jednak znudził ją ten temat, i to już w pięć lat po jego śmierci. Nie dzwonię do mojej matki, ponieważ nasze osobowości zupełnie do siebie nie przystają. Nie czytaliśmy tych samych książek o gniewnych młodzieńcach wywracających Londyn lub Nowy Jork do góry nogami; nie oglądaliśmy tych samych filmów o wyjątkowo elokwentnych gangsterach, którzy obsługując broń palną niemożliwie wielkiego kalibru, rzucają jednocześnie uwagi na temat komiksów.

Ona myśli, że jestem Dobrym Chłopcem. To jest moja rola. I zdaje się nawet, że udaje mi się ją przed nią odgrywać. Kiedy miałem trzynaście lat, nie przeklinałem w jej obecności. Teraz bym nie potrafił. Jest już za późno. Miałem swoją szansę: pierwsze święta, kiedy przyjechałem do domu z uniwersytetu. Wtedy mogłem ustanowić jakąś zmianę swojego statusu życiowego, przededefiniować warunki mojego synostwa. Ale nic wykorzystałem tego i furтка otwierająca mi drogę do przekleństw się zamknęła. Teraz ona szczerze wierzy, że nic używam plugawego języka.

- No to co nowego? - pyta mama.

Nie znoszę, kiedy mi ludzie zadają to pytanie. Bo przecież nic nigdy nie jest nowe. Moje życie trzyma się ustalonego schematu. A właściwie to ja trzymam się stanu nieposiadania niczego. Nie mam samochodu. Nigdy nie miałem. Nie posiadam nieruchomości. Nigdy nie posiadałem. Najdroższą rzeczą, jaką posiadam, jest ten skórzany fotel: 1099 dolarów plus koszty transportu. Tak więc wygląda na to, że najbardziej doniosłym zakupem, jakiego w życiu dokonałem, było miękkie miejsce parkingowe pod moją dupę.

- Niewiele - mówię, ustawiając sobie jednocześnie głos na program Wesolutki nr 3. - A co u ciebie?

To kolejny niebezpieczny moment konwersacji, ponieważ słuch mojej mamy nic jest już tak dobry jak kiedyś, w związku z czym za każdym razem, kiedy zadaję to pytanie, zdaje jej się, że mówię: „Proszę, dostarcz mi szczegółową listę wszystkich chorób dotyczących obecnie członków naszej rodziny, wspólnych znajomych oraz ludzi z twojego miejsca pracy”.

- No cóż, pamiętasz Henriette?

- Nie.

- To jedna z dziewczyn od nas z pracy. - To zabawne, że kiedy moja mama mówi „dziewczyna”, to chodzi jej o jakąś pięćdziesięciodziewięcioletnią kobietę z osteoporozą. Kiedy ktoś na Manhattanie mówi „kobieta”, to ma na myśli dwudziestoczeroletnią panienkę z plecaczkiem Hello Kitty.

- Mhm - mówię wymijająco.

- No więc - szepcze mama - ona ma białaczkę.

I tu zaczyna swoją opowieść, prowadząc mnie za rękę przez jasno oświetloną cudowną krainę nagłych niespodziewanych nudności, przeszczepów szpiku, gwałtownych wymiotów, łzawego czuwania przy łóżku. Kogoś, kogo ja nic znam.

- Aha, rozmawiałam również z babcią i dziadkiem. Dziadek się przewrócił i złamał biodro. A babcia właśnie wychodzi z przeziębienia.

Moi dziadkowie są małżeństwem, odkąd ona skończyła siedemnaście, a on dziewiętnaście lat. Tak to się załatwiało sprawy w tamtych czasach. Nie było akcji typu „sześćdziesiąt randek w sześćdziesiąt minut”, ani serwisu love@aol.com. Nie było wieczorków dla samotnych Żydów. Nie było pytań typu „czym się zajmujesz?”, przy okazji stawianego przed kobietą heinekena. Dla nich obojga domem była jakaś farma w stanie Missouri, gdzie jeśli się było mężczyzną, to się spędzało cały tydzień w kopalni i wychodziło z niej zaczerpnąć tchu w piątek wieczorem, zakładało się swoją drugą i ostatnią koszulę i szło się na tańce w stodole flirtować z lokalnymi ślicznotkami, jak gdyby jutro nie istniało. Ponieważ jakkolwiek można było przypuszczać, że jakieś jutro nastąpi, to byto też prawie pewne, że szybko będzie miało się go dość. „No to jazda do kopalni” - mówimy na Manhattanie, kiedy ruszamy do naszych klimatyzowanych biur pełnych miękkich dywanów, pojemników z cukierkami i żartobliwych karteczek na biurkach. Mój dziadek pracował w kopalni soli. (Albo srebra, nie pamiętam dokładnie. Przypominam sobie niejasno różne budzące przerażenie wzmianki o jakimś podziemnym drażeniu). Są z babcią małżeństwem od sześćdziesięciu jeden lat i nie tylko się kochają, ale też spędzają ze sobą dosłownie każdą godzinę. Po prostu nigdy nie mają siebie dość.

To trochę tak jak ja i Julia. Tyle że zamiast sześćdziesięciojednoletniego stażu małżeństwa, mamy za sobą pięć miesięcy niesprecyzowanego kręcenia się wokół siebie. Aha, a zamiast spędzania ze sobą każdej godziny? W ogóle się nie widujemy. Jeśli nie liczyć przypadkowych spotkań w pracy.

Ale ona i tak tu jest. Nigdy mnie nic opuszcza. Jest tutaj właśnie teraz, siedzi koło mnie i czyta „New Yorkera”. W myślach cały czas z nią rozmawiam.

- Co czytasz?

- Coś o Stevie Martinie. - Ona też uwielbia Steve'a Marlina. Z tą różnicą, że ja chętnie chodzę do kina na filmy.

w których on gra, ona zaś chętnie nie tylko chodziłaby do kina, ale też zabierała go potem do domu i szła z nim do łóżka. Poszliśmy raz na „rozmowę” pomiędzy Steve'em Martinem a jakimś nudziarzem z „New Yorkera”. Staliśmy sobie z tyłu, podczas gdy Steve sypał jak z rękawa, a to przezabawnymi uwagami, a to ciętymi komentarzami, a to błyskotliwymi ripostami. Stojąca obok mnie Julia po prostu się rozpląwała z zachwytu. Miała na sobie taką przedszkolną sukieneczkę w kwiatuszki (potem mi wyznała, że specjalnie ubrała się tak słodko, w nadziei że może przyciągnie tym wzrok Steve'a, choć była oczywiście zbyt nieśmiała, żeby do niego podejść i porozmawiać) i wciąż wysuwała lewą stopę ze swojego sandałka w kolorze khaki i pocierała nią zmysłowo o podbicie swojej prawej stopy. I jak ja mam konkurować z takim Steve'em Martinem? Chociaż z drugiej strony, ona sobie najprawdopodobniej zdaje sprawę, że jej szanse u Steve'a nie są wielkie. I może zadowolili się mną. Mógłbym być taką bezkofeinową, bezjajeczną, dopasowaną do jej czasu i potrzeb wersją Steve'a. Taki łagodny i milutki facecik.

- I co, zabawne? - pytam Julię w myślach.

- No - mówi. - Ale jeszcze bardziej słodkie.

„To ja jestem słodki to ja jestem słodki to ja jestem słodki” - chcę jej powiedzieć. Ale tego się nigdy nie da powiedzieć, no nie? Trzeba to pokazać działaniem. A kiedy już im pokażesz, powiedzmy przygotowując wyrefinowaną kolację z podkładkami pod talerze i całym tym badziewiem, to one wtedy zaczynają sobie myśleć: „Coś ten koleś za bardzo się stara”. Wiem, ponieważ sam tam byłem, sam te steki smażyłem. Zostały mi na pamiątkę podkładki pod talerze.

- Jesteś tam? - to mama.

- A, tak, mamó. Przepraszam. Trochę się zamyśliłem. To co jej będą dalej robić po tym przeszczepie szpiku?

- Nic, nie, skarbie, właśnie ci mówiłam, że odesłali ją ze szpitala do domu. Ona teraz, już lada tydzień może odejść!

Wygląda na to, że nie będzie mi już dane spotkać tej Henrietty.

- Naprawdę bardzo mi przykro. Pewnie bardzo byłyście ze sobą zżyte?

Naciskam na przełącznik: Kennedy i inni ludzie w czerni i bieli. Przemówienie - zaciśnięta szczęka i ten zabawny jankeski akcent: „Zniesiemy każdy ciężar. Zapłacimy każdą cenę”. Co oznacza: zrobimy wszystko, aby powstrzymać komunizm. Co doprowadziło bezpośrednio do wojny wietnamskiej. Czyli to albo dokument, albo jakieś „największe wpadki w historii”.

- No wiesz - mówi moja matka przeciągle, tym swoim środkowozachodnim akcentem, którego wciąż nie zdołała się pozbyć po czterdziestu latach spędzonych na wschodnim wybrzeżu. - Szczerze mówiąc, zawsze miałam wrażenie, że lubiła ludziom obrabiać dupę. Opowiadała kiedyś niestworzone historie o jednym z gości, co tu przychodzi, a tak się składa, że ja akurat wiedziałam, że nie było w tym za grosz prawdy.

Więc teraz rozumiem. Rozmawiamy sobie o nadciągającej śmierci kobiety, której jedno z nas nie zna, a drugie nie lubi.

- No cóż, na pewno miała dobre intencje. - To ja w wersji Dobrego Chłopca. Zawsze przypisującego ludziom stosowanie podstawowych zasad przyzwoitości i człowieczeństwa, nawet jeśli nie ma co do tego absolutnie żadnych podstaw.

- Spotykasz się z kimś? - dodaje matka.

No wiesz. Tego tekstu się akurat nie spodziewałem. Zazwyczaj trzymamy się z mamą cichej umowy, że nie rozmawiamy o niczym poważnym, chyba że to dotyczy naszych krewnych. Wskakuje na mnie z tym pytaniem zwykle tylko raz do roku, najczęściej w okolicach Święta Dziękczynienia. Wtedy oczywiście najbardziej brakuje mi dziewczyny. Ponieważ trzeba mieć kogo się trzymać, gdy w zaciszu domowego ogniska rodzina wznosi wspólne toasty. Lub,

w moim przypadku, raczej mieć kogoś, czyja obecność będzie miała kojący wpływ na nadgorliwość mojej matki. Daje mi spokój, kiedy mogę ją zapchać widokiem jakiejś narzeczonej. Od razu widać, jaka jest szczęśliwa, kiedy tylko się z kimś zwiąże. Na jej twarzy widnieje wówczas: „mój syn jest normalny”.

- Właściwie to akurat się z kimś rozstałem - mówię, choć nic jest to dokładnie zgodne z prawdą.

- Tak mi przykro, skarbie.

Jak ma jej być przykro? Nigdy nie widziała Julii. Nigdy nawet nie wspomniałem, że jesteśmy razem. (Poprawka: Nigdy nie byliśmy razem. Tylko się trochę kręciliśmy wokół siebie).

- Jest okej - kłamię.

- Jestem pewna, że kogoś jeszcze znajdziesz - kłamię ona.

- Wiem - kłamię ja.

- Jesteś takim wspaniałym chłopakiem - kłamię ona.

- To prawda - kłamię ja.

- Ani się obejrzysz - kłamię ona.

- Pewnie tak - kłamię ja.

Kiedy kończą się wreszcie te wyrazy czułości, zaczynam odczuwać głód. Udaje mi się skombinować jakąś strawę: błyskawiczna zupka z kluskami z serii „Dumny wojownik” i dwa kawałki czerstwego chleba posmarowanego niewyszukanym pasztetem dla ubogich. Wiem, wiem. Człowiek o mojej pozycji nie powinien jeść zupki „Dumny wojownik”, ale niestety w sklepie nie mieli niczego o nazwie „Żałosny partacz”.

Dlaczego jadam posiłki w cenie trzydziestu trzech i jednej trzeciej centa? Zarabiam przecież całkiem sporo pieniędzy. Mówię sobie, że oszczędzam. Na rodzinę, którą może kiedyś będę miał. Moi synowie będą wysocy, a nie malutcy. Będą jadali pasztet z gęsich wątróbek, a nie rozmrażane hamburgery. Będą uprawiali ekskluzywne sporty, a nie jakieś gry podwórkowe. Już wiem: polo. Ale nic jakiś wariant dla mas, tylko prawdziwe polo, w pełnym rynsztunku. No a oprócz

tego przyjemność posiadania dzieci wiąże się nierozdzielnie z płaceniem niewiarygodnie wysokich sum, żeby się ich pozbyć z pola widzenia: nianie, prywatne szkoły, letnie obozy w górach. Wszystko, czego ja nic miałem. I czego nie potrzebowałem, jako że dorastałem poza miastem. W mieście się wszystko komplikuje. Czy moi rodzice musieli sobie tym wszystkim zawracać głowę? Nie, oni po prostu mieli mnie i tyle.

W pewnym sensie zdaję sobie sprawę, że jestem w swoim wiecznym kawalerstwie trochę jak Ricky Ray Rector - więzień, którego skazano na karę śmierci, mimo że już zdążył sobie odstrzelić jedną trzecią mózgu przy próbie samobójstwa. Ale i tak dokonano na nim egzekucji, w roku 1992. Jako ostatni posiłek podano mu pieczonego kurczaka, smażony stek, fasolkę, napój wiśniowy i ciasto orzechowe. Ciasto odstawił na bok, a kiedy go zapytano dlaczego, odpowiedział, że zostawia je sobie na później.

Przepłukuję te wszystkie troski szklanką kakao, oglądam po raz piąty *Matíxa* i wypijam szklankę szkockiej, którą popijam czterema szklankami szkockiej. A potem tracę przytomność na własnej kanapie. Dobranocka.

Niedziela, 8 lipca

Mam słuchawki na uszach i przewodem podłączony jestem do wieży. Która odtwarza muzykę tak głośno, jak się da. Jak już mówiłem, mam trzynaście lat.

To trzcina cukrowa, co to był za smak! A to cynamon - i to jeszcze jak!

Podryguję w krześle, rzucając głową do taktu, myśląc sobie - tak jak zwykle, gdy słucham słów Michaela Stipe'a z R.E.M. - jednocześnie „To genialne!” i „Nie mam pojęcia, o czym on nadaje”. Co tym razem? „Cukierki?”. Dobrze że chociaż daje się wyłowić jakieś słowa. Przynajmniej w refrenie.

Nie przerywając słuchania, przeglądam zawartość chwiejnego stosu płyt CD leżących na wieży. A to co? Najwidoczniej musiałem mieć ostatniej nocy jakąś fazę na Simona and Garfunkela - niewielka koleina na drodze tramwaju zwanego desperacją. Zapotrzebowanie na usługi Paula Simona odczuwam tylko w momentach bezgranicznego, upojnego rozżalania się nad sobą. Jestem skałą. Jestem wyspą. Ale jaką wyspą? To proste: Anglią. Zimną, mokrą i ledwo pamiętającą czasy swojej świetności.

Niektórych płyt w ogóle już nie mogę słuchać.

• **„Murmur” R.E.M.** Puściłem to w tamto niedzielne popołudnie, kiedy mnie odwiedziła.

- **„Automatic for the People” R.E.M.** Puściłem to tamtego wieczoru, wieczoru Cudownej Kolacji, tej z podkładkami pod talerze i tak dalej.

- **„Up” R.E.M.** Tego samego wieczoru. To był diugi wieczór, właściwie to zaczął się, kiedy jeszcze świeciło słońce oraz majaczyła przede mną jakaś nadzieja. Zmierzch długiego dnia... i ostateczna katastrofa.

- **„Wish” The Cure.** Ponieważ ona uwielbia *Front the Edge of the Deep Green Sea*, a oboje uwielbiamy *A Letter to Elise* i zdaje mi się, że puściłem tę płytę jeden raz - sukces! -jako tło do wywołania nastroju przytulanego w moim mieszkaniu. Zresztą cała płyta i tak jest raczej dołująca.

- **„Parachutes” Coldplay.** Ponieważ piosenka *Yellow* leciała akurat w knajpie tego wieczoru, kiedy się dowiedziałem, że Julia mnie nie chce.

Później budzę się z przyjemnej nieprzewidzianej drzemki na podłodze. Tu na dole, z policzkiem przyciśniętym do dywanu, mam niezły widok na to, co znajduje się pod kanapą. Spędzam zatem parę leniwych chwil, wpatrując się w złowrogie kosmate dziady, przesuwające się wydmy kurzu. Ktoś naprawdę powinien to posprzątać. Jestem jednak prawdziwym optymistą i ufnie wierzę, że istnieje szansa, że to jakoś samo zniknie. A to czarne, to co? No, no, no. Dziewięćdziesiąt dwa procent bawełny, osiem procent spandeksu, w siedemdziesięciu pięciu procentach obtoczone kurzem. Mało powabu. 75B. Mógłby należeć do dowolnej z dziesięciu dziewczyn, jakie w tych okolicach zostały wyswobodzone ze staników w ciągu ostatnich paru lat. Całkiem jakbym znalazł pantofelek Kopciuszka. Może powinienem teraz zacząć wędrować po Manhattanie i pytać się dziewczyn, czy mogłyby go przymierzyć, żeby sprawdzić, czy pasuje? Mogłyby to trochę potrwać. Wszystkie teraz noszą 75B. Pamiętam, raz się umówiłem z taką, co nosiła 75C. Przechwalałem się tym potem całymi miesiącami. (A jak

ona miała na imię?). Potem miałem ten straszny wypadek z 34A - panna używała wyrafinowanych sposobów wywoływania iluzji, dzięki którym przed zdjęciem sweterka wyglądała na 75B. Rzecz jasna, już więcej do niej nic zadzwoniłem. Fałszywa reklama,

Która to godzina? O cholera, wpół do szóstej. Gdzie mi się podział cały dzień? To znaczy te sześć godzin, od kiedy obudziłem się po raz pierwszy? Czy już jadłem? A, tak: o wpół do pierwszej zmierzyłem się z pomysłem zjedzenia śniadania. Zdecydowałem się na posiłek złożony z proszku od bólu głowy i trzech litrów wody.

Dość tego przesiadywania w mieszkaniu i nierobienia nic oprócz uzalania się nad sobą. Zakładam buty, łapię klucze i przechodzę za róg ulicy do parku Riverside. W którym siedzę na ławce i uzalam się nad sobą.

Muszę na coś popatrzeć. W parku są oczywiście place zabaw dla dzieci, ale choć obserwowanie dziecięcych igraszek może człowieka podnieść na duchu, to zważywszy na mój obecny wygląd, pewnie bym został aresztowany, gdybym przypadkiem w ich pobliżu podrapał się po jajach albo co.

Nie, znajduję sobie ławkę przy wybiegu dla psów. Tak naprawdę to jest to psi odpowiednik knajpy dla singli. Psy poprawiają mi humor. Psy nie mają problemów typu spotkać się, zagadać, łączyć w pary. Psy się nie pytają, czym się zajmują inne psy. „Od strony zawodowej, to jestem psem”. Czy ich rytuały nie są mniej absurdalne od naszych? Czy mogę ci postawić drinka? Czy mogę powąchać twój tyłek? Jaka to różnica?

Postanawiam kupić „New York Timesa” - nie, żebym miał szczególną ochotę brudzić sobie palce przerzucaniem jego czterdziestu siedmiu działów, ale ponieważ potrzebny mi będzie program telewizyjny. Co niedziela zakreślam sobie najlepsze filmy, jakie będą puszczać w kablówce. To jeden z najmielszych momentów tygodnia.

Dołączam więc do roju ludzi paradyjących po Broadwayu, na Yupper West Side*, gdzie zamożna młodzież mówi hiphopowym slangiem, wychowywanie dzieci przypomina szkołę przetrwania, a Miłość to nazwa drogerii. Wchodzę, żeby kupić gumę do żucia i gazetę.

- Trzy siedemdziesiąt pięć - mówi kobieta za ladą.

- A to co? - pytam, podnosząc małą szklaną buteleczkę wypełnioną mętnym płynem.

- Ugryź mnie - mówi ona.

- Słucham?

- Nazywa się „Ugryź mnie”. Smaruje się tym paznokcie, żeby ich nie obgryzać.

Patrzy na moje paznokcie. Ślady krwi i ogólne spustoszenie wokół skórek, ale tak jest jedynie od dwudziestu pięciu lat. W trakcie swojego życia pewnie poobgryzałem z siebie tyle, że starczyłoby na nowego Toma, choć musiałby się on w nieco nieharmonijny sposób składać wyłącznie ze skórek i paznokci (może to by była jakaś poprawa w stosunku do mojego obecnego stanu).

- Świetnie - mówię. - Biorę. O co chodzi z tymi napisami? Wszędzie naokoło porozwieszane są jakieś tekturowe plansze.

- To nasz ostatni miesiąc - mówi ona. Świetnie. Zamykają Miłość. Miłość plajtuje.

Dzierżąc gazetę w dłoni, wracam do mieszkania. Kulturalni i porządnie wykształceni mieszkańcy mojej okolicy wyśmiewają się z nizin społecznych mieszkających w przyczepach, ponieważ tu u nas średni dochód roczny wynosi około 86 tysięcy dolarów na gospodarstwo domowe, ale 90 procent z nas mogłoby pomieścić całe wyposażenie naszych mieszkań na tyle pierwszej lepszej furgonetki. Nasze

*Yupper West Side - żart językowy: Uppet West Side to modna dzielnica Manhattanu, zaludniona w dużej mierze przez ludzi sukcesu (*yuppies*).

przyczepy są po prostu ustawione pionowo i już. Na osiedlach przyczep na południu Stanów smaży się na kolację jakiegoś przyjemnego kotka. W naszych przyczepo-wieżowcach zamawiamy sobie zamiast tego chińskie gotowe dania.

Idąc ulicą, rozwijam swój zmysł obserwacji. Czy kiedykolwiek w historii zdarzyły się dogodniejsze warunki do obserwowania dziewczyn? Nareszcie udało się uzyskać społeczne porozumienie w kwestii włosów: mają być proste, czyste, zadbane, lśniące, długość gdzieś między brodą a ramionami. Włosy. Można się w nich przejrzeć, a dzięki tym wszystkim chemikaliom wyglądają tak naturalnie. Ale jeśli są krótsze, to skracają się leż bluzeczki. Z dziewczynskiej krainy wypędzono już byle jakie T-shirty i luźne podkoszulki bez rękawów. Teraz wszystkie bluzeczki są w tym samym rozmiarze

- zawsze odrobinę za małe. Jeśli się do tego dołoży spodnie z obniżoną talią, to za każdym razem, jak się taka panna schyli, można liczyć na niezły pokaz. Tego lata w modzie jest pokazywać rowek między pośladkami, a jeśli jakaś dziewczyna decyduje się na pełne zakrycie ciała, to zaraz zaczyna się zastanawiać, czy nie wygląda jak jakaś pierwsza dama.

No a potem jeszcze góra. Tyle na wystawie, a tak mało w ofercie. Spójrz tylko na górne piętro tej tutaj, jakie fajne pęczki: spętane, wypchnięte w górę, ściśnięte razem, ciasno opięte ubraniem - ona ma tam wręcz półeczkę, ukrytą w owalnym dekolcie obcisłego T-shirtu. Julia nie ma takich rozmiarów. No tak. Co komu po niej?

Czas się zebrać do kupy. Mam dzisiaj randkę, z Liesl Lang, tą szczupłą blondynką, którą spotkałem na imprezie na Park Slope. Dziewczyna jest atrakcyjna, ale przy tych paru okazjach, kiedy ją zabrałem na lunch, nie dawała specjalnych sygnałów zachęty. Musiałem z nią walczyć o to, kto zapłaci rachunek, przy czym wcale nie sięgała po portfel superpowolnym ruchem, jak to robi większość dziewczyn

- naprawdę chciała zapłacić za lo, co zamówiła. Całkiem

możliwe, że ma po prostu przesadną potrzebę bycia w porządku. Ta dziewczyna jest tak uczciwa, że nigdy by nie wykorzystała zdjęć, opisów ani komentarzy z boiska bez pisemnego zezwolenia Głównej Ligi Baseballowej. Postanowiłem na rozgrzewkę zabrać ją na przyjemną, średnio drogą kolację. Chodzi oczywiście o to, żeby napełnić ją alkoholem. Skorzysta na tym ona sama, ale też i ja. Bo ja też potrzebuję rozgrzewki - bez alkoholu nie mam bowiem osobowości.

Liesl i ja prowadzimy specyficzne rozmowy. Ja próbuję ją rozśmieszyć, a ona się nie śmieje. Tylko czeka. Więc próbuję znowu. I ona znowu się nie śmieje. To poważna osoba z poważną pracą. Pracuje jako starsza praktykantka w kancelarii adwokackiej, u jednego z tych wielkomięskich, wiecznie rozczochranych obrońców z urzędu, którzy z miejsca łapią każdą sprawę pod warunkiem, że będzie ona przegrana. Bronią gości, którzy próbują wysadzać budynki, gości, którzy stwierdzają, że Bóg pragnie, aby wyczyścili jeden z wagonów porannego pociągu do Garden City wraz z pasażerami, gości, którzy puszczają z dymem całe kluby nocne, bo jakoś wydaje im się to prostsze niż szwendanie się dookoła, żeby w końcu zabić byłą dziewczynę, która się bawi w środku. Jedna rzecz mi odrobinę przeszkadza u obrońców *i* urzędu - dlaczego oni wszyscy uważają się za tak szlachetnych? Tego wieczoru, kiedy się poznaliśmy, zapytałem ją: „Ee... czy przypadkiem większość ludzi, których bronicie, nie jest winna?”. A ona na to „Každy z nich jest winny”. Po czym puściła standardowy tekścik o tym, jak to każdy-mu-si-mieć-prawo-do-obrony. No pewnie. Rozumiem. Ale podrzędne rzezimieszki powinny mieć prawo do podrzędnej obrony. Co powoduje, że porządni ludzie mówią: „A, mają państwo paru morderców o mętym spojrzeniu, którym trzeba pomóc jakoś się wymigać od wyroku? Świetnie, biorę lo!”. Ku-Klux-Klan też ma prawo do tego, żeby urządzać swoje doroczne wiosenne bale, ale jakoś nie widać, żeby

młode, zapalone absolwentki prestiżowych uczelni starały się o pracę przy ich przygotowaniu. A zresztą, i tak gdzie jej do Julii.

- To czemu przy niej tkwisz? - Julia siedzi przy oknie i pali papierosa. Nawet tego jej palenia mi brakuje. Jak może mi brakować jej palenia? Zasmradza tylko powietrze dymem, od którego łzawią mi oczy. Czy gdyby Julia pierdnęła, to potem wędrując po Górach Skalistych, nuciłbym sobie: „Ach, jak przyjemnie wiatr po górach szumi, lecz najcudowniejsze jest pierdnięcie Julii”? Gdyby mnie co noc dziabala nożem rzeźnickim, gdy śpię, to wielbiłbym swoje blizny?

Owszem - tak i jeszcze raz tak.

- Jesteś przecież niegłupi - mówi ona - i masz dobrą pracę.

- Tak - mówię - ale kto miałby ochotę się umawiać z takim pokurczem o szarej cerze i sylwetce kręgla?

- Myślę, że jesteś dość przystojny - mówi ona.

- No widzisz, właśnie dlatego nie mogę o tobie zapomnieć. Kto tak mówi? „Dość przystojny”. Wszystko, co mówisz, brzmi tak niewinnie i rozczulająco.

- Oj, daj spokój. Chodziłeś przecież z wieloma dziewczynami. Umawiałeś się nawet z dziewczynami w tym okresie, kiedy ty i ja, hm... kręciliśmy się wokół siebie.

Tego ostatniego nigdy jej nie mówiłem, ale Julia Wyobrażona wie o mnie wszystko. W ten sposób może jeszcze bardziej mnie ranić.

- To prawda - przyznaję. Czemu nie zdobyć się na szczerłość, jeśli się rozmawia z samym sobą? - Ale to tylko dlatego, że musiałem mieć w zanadrzu jakąś poduszkę powietrzną, gdybym nagle miał z tobą jakiś tragiczny wypadek.

No i widzisz, znowu ją przestraszyłem i znikła. Teraz patrzę na okno i widzę jedynie szybę. Plus brud na szybie.

Wykręcam numer mojego przyjaciela, Mike'a. Mike Vega cztery lata temu wstąpił na Nową Drogę Życia. Jesteśmy

przyjaciółmi, ponieważ kiedyś mieliśmy ze sobą dużo wspólnego. W szkole średniej codziennie jadaliśmy razem obiady, razem graliśmy w piłkę, pisaliśmy nieporadne opowiadania do szkolnej gazetki (ja pisałem o wampirach, on o europejskich agentach uwodzących piękne kobiety). W okresie, jaki nastąpił potem, on stopniowo wyzbywał się zażenowania, o jakie początkowo przyprawiało go posiadanie pieniędzy. Zbyt późno się zorientowałem, że ludzie bogaci w zdecydowany sposób różnią się od ludzi takich jak ty czy ja - mają o wiele bogatsze życie seksualne. Nowy Chevrolet camaro, jaki nagle pojawił się na jego podjeździe pod koniec szkoły, odnotował więcej rozdziewiczzeń niż apartament dla nowożeńców w pięknym pobliskim hotelu. On mówi, że w tamtych czasach nie uważał się za bogatego - bo to jego rodzice mieli pieniądze, a on jedynie posiadał prawo ich wydawania - ale zmysł posiadania pieniędzy ma się w genach, w związku z czym, zanim skończył dwadzieścia sześć lat, miał już dyplom prawa i posadę w najlepszej firmie menedżerskiej. A teraz, kiedy już się cieplutko urządził z żoną u boku, jego mała domowa korporacja codziennie może się pochwalić nowym nabytkiem - a to tekowy stół do jadalni, a to cyfrowy telewizor, a to jakiś szwajcarski zegarek, fortepian Stein-way, luksusowy samochód. Tylko czekam, kiedy mi powie, że nic pasuję do jego stylu życia, i każe mi pójść na studia MBA, Albo chociaż zacząć uprawiać golfa.

Nie ma go. Jego głos na sekretarce mówi: „Cześć. Jesteśmy w szpitalu i rodzimy dziecko, oddzwonimy później”.

Nie, żebym odczuwał jakąś palącą potrzebę posiadania pierwotnego czy coś, ale jakoś mam wrażenie, że Mike dzisiaj osiąga więcej niż ja. Z r ó b c o ś!

Więc włączam telewizor. Królik Bugs mocuje się z ogromniastym łotrem zwanym Miażdżycielem. Miażdżyciel próbuje różnych sposobów, żeby obezwładnić Bugsa (na przykład wystrzeliwując się z armaty - w kreskówkach bardzo

łatwo o armaty, zawsze ma się jedną w tylnej kieszeni - albo budując sobie wokół dłoni kostkę z cegieł i zaprawy, żeby nią przywalić Bugsowi), po czym decyduje się przejechać go pociągiem. Tak więc Miażdżyciel przywiązuje Bugsa do jakichś torów kolejowych, które nagle pojawiły się na ringu, po czym oddala się, żeby wsiąść do pociągu, który najwyraźniej trzyma zaparkowany gdzieś w górnej części areny. Zaczyna się dźwiękowe ciuch-ciuch. Królik się boi. Miażdżyciel uśmiecha się złowieszczo. Pociąg jedzie z coraz większą parą. Bugs już. teraz naprawdę poci się jak mysz. Na twarzy Miażdżyciela ledwo już się mieści jego wielki sadystyczny uśmiech... po czym nagle obraz zaczyna się trząść i wreszcie znika, jak gdyby taśma spadła z projektora. Na ekranie, który teraz jest już tylko białym tłem, pojawia się Bugs. Grzecznie przeprosza i mówi, że film się urwał. Mówi, że nie ma pojęcia, jak to się stało. Po czym, uśmiechając się zawadiacko, wyciąga zza pleców nożyczki. Ciach-ciach.

Bugs zawsze robi takie postmodernistyczne numery. Nic tylko ma nieograniczony dostęp do wszelakich rekwizytów, charakteryzacji i kostiumów, ale ma też tę surrealistyczną, boską zdolność wychodzenia ponad sytuację i sprawowania odgórnego nad wszystkim, co się dzieje. Ja też jestem trochę tak jak Bugs. Wciąż mi się przytrafiają jakieś złe rzeczy, o które zwykle sam się proszę, ale nie pozostawiają one na mnie żadnych blizn. Codziennie przychodzę do pracy i niemal co wieczór chodzę na jakieś imprezy i gadam z ludźmi, i wymieniam się z nimi uwagami na temat postaci ze świata popkultury. Oraz, tak samo jak Bugs, pozostaję wiecznym mieszkańcem Krainy Kawalerów.

Przepraszam, czy mógłbym teraz przeciąć ten film i zacząć od nowa? To nie jest moje życie. To tylko taki szkic, na brudno. Następnym razem już to zrobię porządnie.

Telefon. To Liesl. Na pewno chce odwołać spotkanie. Dziewczyny potrafią wyczuć czyjaś porażkę, nawet przez telefon.

- Jadę do centrum zobaczyć Teatr Tańca z Harlemu -mówi takim tonem, jakby odwoływała spotkanie.

- Aha - mówię.

- To o której myślisz, żeby się spotkać, czy...? - mówi niepewnie.

Nie zdradzaj żadnej słabości. Przysyp czymś świeżo odkrytą ranę. Użyj dezodorantu, żeby zabić smród porażki.

- To może po prostu wpadniesz po spektaklu? Sprytnie. Sprowadzić ją do mieszkania.

Wstrzymuję oddech, podczas gdy ze słuchawki dochodzą dźwięki jej niezdecydowania.

- Hm - mówi. - No dobra.

No to teraz czas się odprężyć. Trochę gram na moim starym keyboardzie Yamaha za 99 dolarów (już nawet Schroeder z „Fistaszków” miał lepszą klawiaturę) - kiepsko mi to idzie. Potem trochę czytam, z nikłym zainteresowaniem. Biorę do ręki „The New York Observer”. Odrzucam na bok artykuły. To tylko bułka w kanapce desperacji. Mięsko jest na ostatnich stronach. Ogłoszenia drobne.

„Samotna biała kobieta o zdeformowanej twarzy szuka mężczyzny lat 29-40, wzrost powyżej 1,80, dobra kondycja fizyczna”.

Ta kobieta ma zdeformowaną twarz, a ja nie spełniam nawet jej wymogów wzrostu. I to my boimy się zaangażowania? Kobieta nie zaangażuje się w wypicie drinka z najfantastyczniejszym facetem na ziemi, jeśli jest od niej choć o cal niższy. Gdzieś czytałem, że Manhattan wcale nie ma najwyższego w Ameryce wskaźnika ilości samotnych osób. Przed nami jest jeszcze jakieś hrabstwo na Hawajach. Niby że Stany Zjednoczone to jedna wielka impreza? Miejsce, gdzie świętują świeżo upieczeni absolwenci wyższych uczelni świętować kipiącą życiem młodość? Nie - raczej była kolonia trędowatych. Czy ta kobieta o zdeformowanej twarzy umieszcza ogłoszenie w jakimś powiedzmy „Ilustrowanym

Magazynie Chorób Skóry"? Nie. Wybiera na swoje ogłoszenie najbardziej ekskluzywną gazetę w kraju i teraz pewnie rozpięta się w fotelu, myśląc: „Lada chwila zadzwoni George Clooney”.

Liesl naciska na guzik domofonu około ósmej. Nie rzucam się na nią, chociaż wygląda bardzo seksownie. Ma na sobie beżową koszulkę bez rękawów, spod której wystają dopasowane kolorystycznie ramiączka od stanika. I delikatny makijaż. To ważne: jest niedziela, a ona jest feministką. I to nie taką byle jaką, co mówi: „No cóż, jestem kobietą, no to chyba nie mam wyboru, co nie?”, ale taką prawdziwą, która pisze wzburzone listy do „New York Timesa”, żeby zaprotestować przeciw ich podstępnie seksistowskiemu językowi. Przypominam, że mówimy o gazecie, dzięki której określenie „biały mężczyzna” stało się zadziwiająco skuteczną obelgą.

Wygląda zachwycająco - niebieskie oczy, jasna skóra, włosy średni blond. Wygląda jak mokry sen Fihrera, no i czemu nie? Jest przecież Niemką. To znaczy pół-Niemką. Urodziła się tutaj, jej matka uciekła z Berlina Wschodniego w latach pięćdziesiątych. Wyobrażam sobie moich przyjaciół - tych wszystkich Cohenów, Rabinowiczów, Meyerów, Sha-pirów, Fleischmanów, Goodmanów i Kuntzmanów - jak dostają gęsiej skórki na jej widok.

- Ładnie tu u ciebie - mówi Liesl, rozglądając się dookoła, jak gdyby rozważała, czy by tego nie wynająć. - O matko. Te kwiaty - mówi. - Chyba czas je zmienić.

Patrzę na parapet - a, tak. Kwiaty. Pozostałość po Cudownej Kolacji. Wyglądają tak, jak ja się czuję.

Właśnie oglądałem w telewizji program o Brianie Wilsonie. Zaczynam jej o tym opowiadać. Może jest jego fanką.

- A kto to jest Brian Wilson? - pyta ona.

„Kto to jest Brian Wilson?”. No tak, koleś napisał jedynie *Good Vibrations, Wouldn't it be nice!* i *Don't Worry, Baby!* Rozu-

miałbym, że ktoś nie wie, kto to jest Brian Wilson, gdyby nie wiedział też, kim był Mozart. Ale ta dziewczyna z całą pewnością wie, kim był Mozart. A do tego dorastała w czasie Briana, a nie w osiemnastowiecznej Austrii.

Robi się jeszcze lepiej - ona nic słyszała nawet o *Caroline, No*.

- *Caroline Knows?* - mówi. - Myślałam, że to było *God Only Knows**

W takich momentach zwracam się do sił wyższych o duchowe wsparcie. Na szczęście mam na ścianie podobiznę mojego idola: Humphreya Bogarta. Na plakacie siedzi przy maszynie do pisania. Obok niego stoi dwóch facetów, którzy mierzą do niego z rewolwerów. On ich jednak ignoruje i nie przerywa pisania. Ten obraz wszystko mówi. Film się nazywał *Pustka*. Bogart grał tam zblazowanego pisarza, na tyle cynicznego, żeby robić żartobliwe komentarze w momencie, gdy się dowiaduje, że dziewczyna, którą trochę znał, została zamordowana. Mój ulubiony cytat z tego filmu, to kiedy jego kumpel detektyw mówi mu, że się niedawno ożenił. A Bogart na to odpowiada tylko: „Po co?”.

Oprócz tego, że rola Bogarta jest tam świetna, to na dodatek dziewczynę, z której powodu on po raz pierwszy się zakochuje i musi skonfrontować z własnymi uczuciami, gra ta niesamowita blondynka, Gloria Grahame. Inteligentna i twarda, dziewczyna, której jedno uniesienie brwi albo ruch nozdrzy mówiły więcej niż jakiegokolwiek słowa. Ingrid Bergman w *Casablance*? Dajcie spokój. Nieporadna nudziara nadskakująca temu chodzącemu na paluszkach szlachetnemu obrońcy ludzkości, László. Gdzie niby jest w niej jakaś tajemniczość? Głorę za to mógłbym oglądać codziennie. W każdym filmie ma się wrażenie, że ona może zdobyć się dosłownie na wszystko. No i w rzeczywistości też tak było:

**God Only Knows* i wcześniej wymienione tytuły piosenek napisanych przez Briana Wilsona dla zespołu Beach Boys

poślubiła reżysera *Pustki*, tego dziwaka Nicholasa Raya. Po czym go rzuciła. A potem wyszła za jego syna z poprzedniego małżeństwa. Oto kobieta, która wie, jak naprawdę zranić faceta. I spowodować, żeby nigdy nic miał jej dość. I który teraz już do końca życia będzie próbował ją rozgryźć. Bo przecież nikt nie zajmuje się dalej krzyżówką, która już została rozwiązana.

Co by Bogart zrobił z Liesl? Zabrałby ją do jakiejś fajnej knajpki. Lekko pretensjonalnej francuskiej kawiarni, takiej, w której dziewczyny zaraz mają ochotę się napić, bo to im się wydaje takie europejskie. Na szczęście znam taką jedną w pobliżu. Jest ona nawet jednym z powodów, dla którego zdecydowałem się właśnie tutaj zamieszkać - wiele już układów udało mi się zawrzeć w Café Żabka.

Zajmujemy stolik w promieniach słońca. Posyłam w jej stronę stary tekst: „Może zamówimy butelkę wina?”.

- Nie - mówi ona.

Więc zamawiam dla siebie pół butelki. Ona zamawia jedno piwo i polem już nie chce nic pić. Co na dobre krzyżuje mi wszystkie plany. Nigdy nie rób podchodów w stronę kobiety, którą puściliby wolno po dmuchnięciu w alkomat.

Ale w mieszkaniu mam przecież jeszcze whisky. Mmm...

Zgadza się wrócić jeszcze ze mną do mieszkania. Mam tam przygotowany peten arsenał.

Broń numer jeden: moje zdjęcia z dzieciństwa, dzięki którym a) można dostrzec we mnie człowieka, b) wyglądam na istotę wrażliwą, c) ona może sobie pomyśleć, że mielibyśmy śliczne dzieci (w końcu ja sam taki byłem), oraz d) ukazuje mnie u szczytu atrakcyjności, ponieważ szczerze mówiąc, to w wieku pięciu lat wyglądałem cudownie, ale od tamtej pory już jakoś nie bardzo. Kto nie wygląda dobrze na zdjęciach z dzieciństwa? Czysta skóra, ładnie dobrane ubranka, bezpretensjonalna wesołość. A do tego serce jeszcze ani razu nie złamane, co zdecydowanie poprawia kondycję emocjo-

nalną. Nie zaczęta się jeszcze pojawiać łysina, a brzuch jeszcze się nie zaznajomi! z produktami znamienitych browarów. Zdjęcia z dzieciństwa są dla miłosnych podbojów jak bomba atomowa - wystarczy nacisnąć guzik i wszystko załatwione.

Są tu zdjęcia moich rodziców na tle wodospadu Niagara podczas ich podróży poślubnej. Jestem też ja, w zawsze za ciasnych strojach do baseballu (czemu one zawsze, rok po roku, musiały być za małe? Nie mogli mi od razu dać stroju na rok następny?), albo przebrany za Króhka Bugsa, albo stojący obok mojego najlepszego przyjaciela, Buck/ego - obaj w białych koszulkach sportowych i granatowych krótkich spodenkach. Na tych zdjęciach zawsze jest lato, albo jakieś wyjazdy. Zauważam pewien podział. Mamy tu lata „O Mój Boże Jaki On Uroczy” (0-6), potem lala „Naprawdę Dość Ładne z Tego Chłopaka Dziecko” (6-11). Po czym następują „Cudowne Lata” (11-32), których cudowność sprowadza się do zagadki, jak dwoje dość atrakcyjnych ludzi, jakimi byli moi rodzice, mogło się dochować takiego szym-pansa?

Gdy tak podaję Liesl zdjęcia, które ma podziwiać, zauważam, że ona skrupulatnie je układa w kolejności chronologicznej. Nic wydobywa z siebie nawet przepisowego „Oooo, jakie to słodkie...”. No wiecie co - kogo by nie wzruszył widok mnie w wieku lal sześciu, w czapce Kaczora Donalda?

- Czekaaj, czekaaj - mówi ona, gdy podaję jej zdjęcie mnie i taty w Disney World około roku 1979. Mam na sobie ogromne plastikowe okulary i koszulkę z napisem „Electric Light Orchestra”.

Liesl patrzy na zdjęcie, odwraca je, zerka na datę, znajduje dla niego właściwe miejsce w kupce. Kusi mnie, żeby jej pomieszać te wszystkie zdjęcia, żeby zobaczyć, czy się wtedy rozplacze.

Wyjmuję z wieży płytę „Najlepsze Przeboje” Beach Boysów (puściłem ją z wyrachowanym sarkazmem chłopaczka

- jest na niej bowiem zarówno *Caroline, No*, jak i *God Only Knows*, ale Liesl chyba nie zwróciła na to uwagi) i dobywam broni numer dwa: Cowboy Junkies, „The Trinity Session”. W takich momentach zawsze wybieram tę płytę. Efekt murowany. Przez ostatnie lata zawsze przy tym dochodziło co najmniej do obmacywanki. Nie myślicie chyba, że nie prowadzę w takich sprawach statystyk?

- Co to? - pyta Liesl.
- Cowboy Junkies - mówię.
- To jakiś żart? - pyta.
- Nie - mówię. - Tak właśnie się nazywają*.
- Może jest coś w telewizji? - pyta.

Po obejrzeniu serialu o napalonych (tak, tak, to dobry trop) dziewczynach z Nowego Jorku („Nie wydało mi się to zbyt śmieszne” - mówi Liesl), przynoszę jej szklankę wody (czy to nic powinno następować już po pójściu do łóżka?).

Ale my sobie rozmawiamy i gawędzimy, a potem gawędzimy i rozmawiamy i rozważamy różne rzeczy i mówimy poważnie o przyszłości, mimo że ja przez cały czas myślę o tym, jak smakuje jej usta od środka. Ale nie mogę się o tym przekonać, ponieważ ona wciąż trzyma tę szklankę wody. Pociąga łyżeczek, a potem trzyma ją w dłoniach. Kto to słyszał, żeby tak się zachowywać? Przecież zaraz obok jest stolik! Znow pociąga łyżeczek, wciąż nie wypuszcza szklanki z uścisku. I tak to trwa, dopóki nie opróżni całej szklanki. Wówczas to, w końcu, bardzo niepewnie (te pół butelki wina dawno przestało działać, jestem więc teraz znowu cały spięty), pochylam się z zamiarem pocałowania jej, co jednak nie bardzo mi wychodzi, ponieważ w ostatniej chwili jednak się wycofuję, w efekcie czego muskam ją tylko przelotnie ustami. Taki macierzyński pocałunek. Króciutki i niezbyt słodki.

- Hmm... - mówi ona.

*Cowboy Junkies - w dosłownym tłumaczeniu „pijani kowboje”.

Już to czuję. Nadciąga gadka „pozostańmy przyjaciółmi”. Albo jeszcze gorzej - gadka „ja nie patrzę na ciebie w ten sposób”.

- Tak? - mówię, próbując za wszelką cenę wcisnąć guzik milczenia w mojej rozdzwonionej desperacji. Boże, muszę przecież na kimś sobie udowodnić, że potrafię dać sobie radę.

- Nic - mówi ona. Dziewczyny zawsze mówią „nic”, mimo że zawsze jest „coś”.

- No powiedz - zachęcam. Dlaczego one zawsze chcą, żeby je błagać o złe wiadomości?

- Chodzi o to, że...

- Tak?

- Czy mógłbyś...

Pomasować ci plecy? Pocałować cię w ucho? Zdjąć ci stanik?

- Tak?

- Czy mógłbyś odprowadzić mnie do metra? Jest dziesiąta. Dziesiąta, kurwa, godzina.

Idziemy do metra. Jeszcze parę muśnieć ustami, po czym nagle ona mnie obejmuje - mocno, ciepło, milutko - i pozostaje tak przez jakąś chwilę. Co to znaczy? Może chciała czymś się zająć. Może chce, żebym był dla niej bratem.

Pięć minut później znów oglądam Bugsa, ale po chwili stwierdzam, że jak na jeden weekend starczy mi już bezproduktywnego działania. Wyprostowuję się. Wyłączam światła i programuję wieżę tak, żeby grała płyty „Murmur” i „Up”, a potem jeszcze piosenki *From the Edge of the Deep Green Sea*, *A Letter to Elise* i *YeUow*. Siadam z powrotem na kanapie. Przez ten czas, kiedy to wszystko leci, zdążam wypić pięć szklanek szkockiej, po czym chwiejnym krokiem kieruję się do kuchni i wypijam pięć szklanek wody, żeby oszukać kacowych bożków, a potem moja kanapa zdaje mi się taka cieplutka i miła, i chętna, i...

Poniedziałek, 9 lipca

I kogo to ja widzę, kiedy tylko wchodzę rano do pracy? Czyja twarz wyrosła przede inną na sam początek dnia? Oczywiście Julii. Nic tej z moich marzeń, ale tej prawdziwej. W końcu przecież wciąż pracujemy razem. Czyżbym nic o tym nie wspominał? Rzadko jednak zdarza mi się na nią wpadać, jako że jej biurko znajduje się w odległym skrzydle budynku.

To jej pierwszy dzień w nowej pracy. Została awansowana ze służalczej funkcji pod-asystentki-na-stażu-próbnym do jakby już Oficjalnie Usankcjonowanej przez Czołowe Media funkcji przynieś-wynieś-pozamiataj.

Trochę do niej zagaduję. Kiepsko mi to idzie.

- No i jak? - mówię nerwowo. - Denerwujesz się?

- Niespecjalnie - odpowiada.

No bo i czym tu się denerwować. Przed nią długi dzień odbierania faksów. Jest **9.37**, a ja już robię z siebie kompletnego palanta.

- Jak weekend? - mówię ochoczo, podczas gdy wsiadamy do windy mającej nas zabrać na długą przejażdżkę na czterdzieste drugie piętro.

- W porządku - mówi ostrożnie, choć można w tych jej słowach odczytać „przez czterdzieści osiem gorących godzin uprawiałam ostry, niepohamowany, zwierzęcy seks z kimś, kto nie jest tobą”. - A jak tobie minął weekend?

No ładnie. Szach i mat. Jak mi minął weekend? Jak mi minęło trzęsienie ziemi? Krew odpływa mi z twarzy. Jestem rudy. Rudzi nie nadają się na szpiegów.

Odpowiedziałem jakimś dźwiękiem, ale jestem dość mocno przekonany, że nie było to żadne konkretne słowo. Nad naszymi głowami unoszą się dymki z komiksów:

JA: *Tak bym chciał żebyś zawsze ze mną była.* **ONA:** *Tak bym chciała, żeby cię tu nie było.* **JA:** *Tak bym chciał, żeby ta winda zabrała nas na Saturna.* **ONA:** *Tak bym chciała wymyślić jakąś sensowną wymówkę, żeby wysiąść trzydzieści pięć pięter wcześniej i poczekać na następną windę.*

Jedziemy w milczeniu.

Patrząc na to jednak z drugiej strony, przynajmniej przecież jesteśmy razem!

Pracujemy w brukowcu. Takim naprawdę brukowym brukowcu. W przeciwieństwie do „Daily News”, które rozczuła się nad sytuacją imigrantów i drukuje historyjki o tym, jak to niemiło, że jacyś ludzie utrzymują się przy życiu dzięki temu, co zeszkrobią z ulic w dzielnicach, których ludzie zamożni jakoś nic lubią nazywać gettem, my się nad nikiem nie roztkliwiamy. Nie wysyłamy poważnych dziennikarzy do gett, żeby zebrali materiał. Sami jesteśmy gettem dla poważnych dziennikarzy.

Nasza gazeta została oparta na przekonaniu, że skoro człowiekowi zajęło dziesięć miliardów lat, żeby wypełznąć z błota, to z pewnością już dawno nadszedł czas, żeby go w nim z powrotem unurzać. Wskaźnik dystrybucji wzrósł nam raz o dwadzieścia procent, kiedy uknuliśmy plan podwójnej promocji, dzięki któremu mogliśmy trafić ludziom na wycieraczki ukryci w wydaniu „Timesa”. Inne gazety nas nie szanują, być może z powodu tytułu naszej gazety: nazywa się ona „Brukowiec”. (Motto: „Najgłośniejsza gazeta Ameryki”). Starsi ludzie rozumieją, co dostają, a młodzi wyjadacze uwielbiają nasz beczelny autotematyzm. Między sobą nazywamy naszą pracę komedią: pracujemy tu, żeby

się pośmiać ze świata. Każdy musi w coś wierzyć, my zatem postanowiliśmy wierzyć w sceptycyzm. Nie my pierwsi odkryliśmy, że świat to jeden wielki szalec. Ale skoro i tak wszyscy już w nim siedzą, to niech mają chociaż coś do poczytania.

Trzy lata temu byłem najmłodszym pismakiem od przepisywania tekstów. Była nas czwórka, każdy z nas w swojej kabinie, wszyscy w jednym rzędzie, cały szwadron zapóźnionych mądrali wrzuconych razem do oślej ławki na wprost Wielkiego Biurka, w odległości rzutu drożdżówką od Maksa, rozkrzyczanego i niepoczytalnego redaktora działu miejskiego. Czasem jakiś starszy pismak mówił coś o „jamie przepisy-waczy”, i choć byliśmy na tej samej wysokości nad poziomem morza co wszyscy dookoła, to chętnie myśleliśmy o sobie jako o siejącym przerażenie czterogłowym potworze, wymachującym mackami w stronę tych niby mądrzejszych od nas.

Wedle niepisanej zasady, kiedy przepisywacz przychodzi do pracy, to już do końca dnia nie opuszcza redakcji. Przepisywacze nie chadzają na lunch ani na siłownię, nie spotykają się też ze „źródłami” na drinka. Przepisywacz nigdy nie wie, jak długo zostanie w pracy - prawdziwi bojownicy farby drukarskiej nigdy nie pragną opuścić pola boju. Każdego dnia nadużywa się trzech narkotyków: kofeiny, glutaminianu sodu oraz informacji. Przepisywacz wie o wszystkim, co się dzieje, zanim jeszcze skończy się to dzieć. Nie ma innej możliwości - w każdej chwili może przecież zadzwonić z terenu jakiś zdyszany reporter, donosząc o najnowszym wyboju w którejkolwiek z historii, jakie się pojawiały w gazetach w ciągu ostatniego miesiąca - ludobójstwo na Bałkanach, konkurs jedzenia hot dogów na Coney Island - a ty musisz być w stanie zadać mu od razu właściwe pytania, żeby na czas pouzupełnić wszelkie luki, żeby tekst mógł iść zaraz do druku. Przepisywacze pilnie śledzą serwisy informacyjne, wchłaniają wszystkie telewizyjne wiadomości (co nie jest

trudne - wszystkie ich historyjki i tak są nam podprowadzane), pozerają każdą gazetę.

Lejąc w siebie kawę, wypluwając z siebie złośliwe komentarze, w każdej makabrycznej chwili gotowi zareagować niewzruszoną nonszalancją, my, czterej poeci pracujący pod stałą presją terminów, produkowaliśmy właściwie całą sekcję wiadomości. Naszą zasadą numer jeden było mieć z pracy ubaw, a opinia świata zewnętrznego obchodziła nas tyle, co zeszłoroczny Święty Mikołaj. Maks był od naciskania odpowiednich przycisków. „Podbijcie ludziom trochę emocje” - żądał na przykład, zamiast trzasnąć z bicia unosił tylko brew, i już produkowaliśmy krzyżące nagłówki, za którymi stały jak zwykle jedynie wątpliwe wypowiedzi różnych podejrzanych osób, zawsze gotowych na zawołanie wybuchać wściekłością. Nie jest trudno znaleźć kogoś, kto jest sławny, albo ma jakichś zwolenników, albo piastuje jakiś urząd, albo przynajmniej używa papieru firmowego ze słowem „stowarzyszenie” w nagłówku, a oprócz tego jest członkiem przynajmniej paru z nich, a kto chętnie się pobawi w kreowanie kontrowersji. Nasze firmowe notatniki przepełnione były ich nazwiskami. Mieliśmy ich numery domowe. Potrafiliśmy do nich dotrzeć w każdy weekend i w każdy wieczór. Ich numery telefonów były śrutem, który zabieraliśmy do lasu, żeby postrzelać sobie do prawdy. Czasem udało się trafić, przeważnie pudłowaliśmy, ale przynajmniej kiedy wieczorem przynosiliśmy swojemu plemieniu zwierzynę na kolację, to nikt nie pytał, ile kul musieliśmy zużyć na polowaniu.

Kiedy udawało nam się wpaść na właściwy trop, wówczas Maks - ta anonimowa postać, którego twarz nigdy nie pojawiała się na wizji, ani w prasie, którego nazwisko nie pojawiała się w gazetach (nawet naszej), którego nie rozpoznaje się na imprezach, podczas gdy wszyscy tłoczą się wokół różnych szyc z „Forbes” i „Vanity Fair” (zresztą

on i tak nie chadza na te dwugodzinne wieczorki, zawsze siedzi w pracy do dziesiątej) - to on właśnie był najpotężniejszym dziennikarzem Ameryki. A kiedy ryknął, cały kraj zasłaniał ręką twarz, bezskutecznie próbując odpędzić od siebie wstrętny, śmiercionośny zapach dolatujący z jego ust. Na jego rozkaz sądziliśmy sędziów, stawialiśmy weto politykom i dyskredytowaliśmy trenerów baseballu, którzy nam się nie podobali. Byliśmy dla serca miasta jak podwójne espresso, a nasze przycinki dodawały koloru wiadomościom telewizyjnym. Nawet szanujące się gazety, zbyt bojaźliwe lub też zbyt ospałe, aby przeprowadzać własne ataki, za to zawsze starające się jak najbardziej skomplikować proste fakty, zdawały smętne raporty z naszych krucjat. Dla nas były one jedynie pustym wózkiem, który błaga o to, aby wypełnić go krzykiem. Ameryka należała teraz do nas. Kiedy ostatnio pokazywano okładkę „New York Review of Books” w wieczornym wydaniu wiadomości?

W zawodzie przepisywacza istnieje jedna jedyna możliwość niewybaczalnej wpadki. To o tej możliwości szepcze się ukradkiem w sennyh redakcjach o drugiej nad ranem, kiedy każdy już ucieka myślami do pobliskiej speluny, to przed nią przepisywacze-seniorzy przestrzegają swoje startujące w zawodzie pociechy: „nigdy nie daj się złapać na Chaimogród”. Chaimogród to słowo, którego w latach osiemdziesiątych pewien kandydat na prezydenta raz użył na określenie naszego miasta. Kandydat ów, niewiele myśląc, użył tego przezwiska w swoim wywiadzie dla „Washington Post”, a piszący go reporter, stojąc wobec sensacji roku, która mogła zawrócić tory kampanii prezydenckiej i zniweczyć szanse osoby, która była już niemal na szczycie, niezwłocznie zagrzebał ją w trzydziestym siódmym akapicie wywiadu. Jako że nikt spoza branży dziennikarskiej nigdy

jeszcze nie doczytał żadnego artykułu w gazecie do trzydziestego siódmego akapitu (nasze artykuły i tak nie miewają nawet jednej czwartej tego), uwaga ta nie pożyłaby dłużej niż banan na ladzie, gdyby jakiś niezmordowany przepisywacz z „Brukowca”, zakradając się po nocy na cmentarze słów w poszukiwaniu jakiegoś łupu, o pierwszej w nocy nie przeczesał dokładnie każdego zdania z „Washington Post” i nie wyciągnął z artykułu na dwa tysiące słów tego jednego rzeczownika, którym warto się byto zająć. Jak gdyby znalazł rannego ptaszka w stratowanym gnieździe, zapewnił mu należytą troskę i opiekę, umieszczając go w gorącym świetle inkubatora, jakim była pierwsza strona naszej gazety. I w ten właśnie sposób szanse owego kandydata na wygranie prawyborów w stanie Nowy Jork legły w gruzach. Po dziś dzień szkoły dziennikarskie tłumaczą studentom, że „Washington Post” zapoczątkowało aferę Chaimogrodu. Owszem, oni ją zapoczątkowali. Ale to myśmy ją sfinalizowali.

Kiedy świat zewnętrzny sprawował się zbyt dobrze, zaczynaliśmy się nudzić i poddawać zabiegom przepisywania wszystko, co się działo w naszej własnej komedynie. Całą oddzielną gazetę można by wypełnić opisami naszych redakcyjnych porachunków i drobnych przestępstw, wewnętrznych reportaży, które produkowaliśmy, doszukując się słów w poruszających się za dźwiękoszczelną szybą ustach redaktorów lub wyławiając z koszy poufne notatki. Jako że całe nasze szkolenie skupiało się na coraz to większym skracaniu odstępów czasowych pomiędzy odkryciem czegoś a tego upublicznieniem, nikt z nas nigdy nie próbował dochować tajemnicy - nie ma przecież czegoś takiego jak złe wiadomości. Poświęciliśmy mnóstwo uwagi wszystkim palącym pytaniom. Kogo zwolniono? Kto się rozwiódł? Kto zaszedł w ciążę? Przepisywacz wszystko wic, przepisywacz wszystko powie. Dostarczanie ludziom ich codziennej porcji plotek

jest dodatkowo punktowane, jeśli poda im się potrawę ze złotego półmiska. Dlatego podziwialiśmy tych z naszych kolegów, którzy wiedli barwne życie. Życie redakcyjne nigdy nie rozczarowywało. To istny Luwr, pełen ekscentryzmu i niegodziwości. Zachowanie, które w innych międzynarodowych korporacjach mogłoby się spotkać z nieprzychylnością (tak przynajmniej słyszałem, sam nigdy nie pracowałem nigdzie indziej), w naszym dziale było gorąco oklaskiwane. Jeśli komuś zdarzyło się schlać na umór, zostać aresztowanym albo przyłapanym na kompromitującym skoku w bok - a najlepiej wszystko naraz - zostawał bohaterem na całe miesiące i zbliżał się choć na krok do ostatecznej chwały, jaką się zdobywało, zyskując status legendy. Temu zaś, kto go raz uzyskał, towarzyszył on już niezmiennie przy każdej okazji, kiedy inni członkowie plemienia, czyli koledzy z pracy, na przykład go przedstawiali komuś w barze.

Była to ostra walka. Już same nasze nazwiska mogłyby nas zakwalifikować jako mięso armatnie z filmu o drugiej wojnie światowej: Rosen, Burkę, Feldman i Farrell. Kobiety, Rita Rosen i Liz Burkę, pracują tam do dziś, codziennie wracają do pracy, tak jak Nicole wciąż wracała do OJ. Simpsona*. Odpowiedzią Feldmana na dwanaście lat tyranii Maksa było wyrzucenie przez okno komputera. Po tym incydencie jedynym pismem, które było jeszcze skłonne go zatrudnić, był tygodnik śledzący najnowsze stroje i romanse popularnych gwiazd. Z trudem udawało mi się tak manewrować, żeby nie zginąć pod stosem piętrzących się codziennie przede mną stosów tekstów do zrobienia na zaraz, kiedy utworzono wydanie niedzielne. Ktoś musiał zostać redaktorem dodatków specjalnych. Nawet się nie zastanawiałem.

*Nicole Brown Simpson - żona OJ. Simpsona, która rozwiodła się z nim po wielu latach stosowanej przez niego przemocy. W słynnym, nagłośnionym przez media procesie, oskarżony o zamordowanie byłej żony O.J. Simpson został uniewinniony, drugi proces skazał go na karę grzywny

Nic podnieśli mi pensji, ale z radością przyjąłem dziesięcioprocentowe obniżenie pulsu. Teraz redaguję piątkowe recenzje filmowe, sobotnie wywiady ze wschodzącymi gwiazdkami i notki rekomendujące modne knajpki, oraz niedzielne rekomendacje najciekawszych wydarzeń w mieście. Na początku myślałem, że osiągnąłem sukces. Zależało mi na sukcesie - i chyba nie jestem wyjątkiem - ponieważ w głębi ducha marzyłem, że pozwoli mi to górować nad kolegami z klasy na jakimś wyobrażonym szkolnym zlocie. Ale minęło już parę lat, odkąd ostatni raz nazwano mnie „dobrze zapowiadającym się dziennikarzem”, a w którymś momencie nawet cudowni chłopcy przecierają oczy i stwierdzają, że niepostrzeżenie zamienili się w „szczebel kierowniczy niższego stopnia”.

Nadałem mojej sekcji taką lekkość, że tusz drukarski zdaje się spływać z papieru gazetowego. Zawartość moich stron nikim nie wstrząsa, nie szokuje, nie wyciekają z nich brudne informacje ani oskarżenia. Innymi słowy, jest to taki materiał, który możemy zamknąć na cztery dni przed terminem i spokojnie wpisać się z nim w cykl produkcji. Jeśli wpadnę na coś zbyt gorącego, zaraz mi to zabierają i umieszczają w codziennych wydaniach gazety. Robi się wtedy dziura w wydaniu niedzielnym, a ja muszę zrobić wszystko, żeby ją czymś naprędce zapełnić. Myślą przewodnią mojej pracy jest zatem: nie staraj się za bardzo, a moje przybrane imię to przeciętność. Dziesięć najlepszych w mieście salonów manicure? To było w ostatnim miesiącu. Jak również w listopadzie, styczniu oraz kwietniu.

Główne drzwi „Brukowca” są z matowego szkła a la agencja detektywistyczna z lat czterdziestych (nawet wejście sugeruje, jacy z nas twardziele) i prowadzą do działu miejskiego. Pod palącym światłem jarzeniówek, które całymi nocami uśmierca lecące ku niemu owady, ściśnięci przed ekranami telewizorów faceci-twardziele oraz kobiety, którym nie przeszkadzają ich świńskie dowcipy, obrzucają się

wyzwiskami. Przepelnione kosze na śmieci, unoszący się w powietrzu zapach smażonego jedzenia, dzwonki telefonów, chylące się ku upadkowi wieżowce z pudełek po pizzy. Gdyby jeszcze stało tu po kątach parę fajek wodnych, można by pomyśleć, że to jakiś dom studencki przy dużym uniwersytecie.

Przy stojącym pod oknem rzędzie telewizorów koleś ubrany od stóp do głów w byle jakie ubrania zamawiane pocztą z katalogu ogląda nowojorski kanał wiadomości. To mój rzadko widywany arcywrog, Eli Knecht. Kiedyś był to mój arcyprzyjaciel, towarzysz do ostrego picia, którego błada cera, niewyprasowane koszule z domieszką poliestru oraz wałek tłuszczu w pasie, jak sądziłem, stale przypominały kobiecej podświadomości o tym, że mogłyby skończyć z kolesiem jeszcze mniej atrakcyjnym niż ja. Eli dorastał w małym miasteczku na północy stanu Nowy Jork, zgłodniały pismaczej kariery w wielkim mieście, w jego oczach błyszczały wieżowce, a szerokie czoło tylko czekało na to, żeby swym uderzeniem otwierać kolejne drzwi. Granicą jego marzeń był zaszczyt noszenia taniego garnituru. Nie tylko nie mógł się doczekać, kiedy dorośnie, ale też kiedy się zestarzeje, żeby posiadać już na własność taką ilość wymęczonych informacji, którą mógłby każdemu dowalić. Koleś jest w moim wieku, ale jego wypowiedzi pełne są niedbale rzucanych wzmianek o nieżyjących już burmistrzach, pradawnych strajkach, zapomnianych skandalach. W redakcji od dawna się szepcze, że jego świecąca łysina jest częścią kreowanego przez niego wizerunku człowieka, który ma już tyle lat, że jeszcze pamięta wyścig o stanowisko burmistrza w roku 1965. Obecnie Eli jest naszym trzeeciogowym reporterem w Radzie Miasta, który natychmiast pożera każdą decyzję dzielącą miasto na strefy i każde dofinansowanie jakiegoś Komitetu Działań Politycznych, żeby móc udowodnić bezspornie, że ludzie bogaci mają większe wpływy polityczne.

Kiedy zaczynałem, wyprowadzi! mnie na ulice. W przeciwieństwie do większości reporterów, chętnie dzieli! się swoją wiedzą i nauczył mnie paru rzeczy, kiedy, ładnych parę lat temu, stawiałem pierwsze drżące kroki na długich dywanach potłuczonego szkła, jakimi niezmiennie usłane były dzielnice słynące ze świetnie prosperującej działalności przestępczej. Eli zna więcej sztuczek niż tania prostytutka: zawsze noś ze sobą ołówek, bo długopisy zbyt często wybuchają, zamarzają albo kończy się w nich tusz; nie zwracaj sobie głowy dyktafonem, bo potem będziesz musiał spędzić pół dnia na przepisywaniu (tę sugestię poparli rzeczowo nasi prawnicy - kto ci udowodni, że coś przekreśliłeś, jeśli nie ma nagrania?) i trzymaj przepustkę dziennikarską w kieszeni, a nie dyndającą na szyi - chyba że chcesz spędzić popołudnie uziemiony gdzieś na tyłach, w „strefie przeznaczonej dla mediów”, razem z udającymi reporterów gośćmi z dyplomem dziennikarstwa wymalowanym na twarzy, dwieście metrów od miejsca, gdzie stygnące zwłoki przykrywane są właśnie prześcieradłem, a bardziej podstępni dziennikarze udający zwykłych ludzi, którzy akurat mieszkają w okolicy, zakradają się tam niepostrzeżenie i zgarniają historię.

Przez całe lata jeździliśmy razem na Południe złapać piwo i chrupać fistaszki - on i ja, i jeszcze Hillary z redakcji, dziewczyna, której atrakcyjność stawiała ją tak dalece ponad wszelkimi klasyfikacjami, że flirtować z nią miałoby mniej więcej lyle sensu, co pojawić się na stadionie New York Yankees z rękawicą i butami do baseballu i powiedzieć: „Cześć, nie mielibyście nic przeciwko, gdybym spróbował wystartować do pierwszej bazy?”. Raz widziałem, jak przechodziła obok placu budowy na Broadwayu. Robotnicy nie gwizdali. Nie rzucali sprośnych tekstów. Tylko, jak jeden mąż, wstali i spuścili głowy z szacunkiem. No a poza tym była jeszcze kwestia ciężkiego uzbrojenia, jakie nosiła na palcu serdecznym lewej ręki. Przyzwyczailem się więc myśleć o niej jak

o jednym z kumpli, z tą różnicą, że pozostałych nie zdarzało mi się wyobrażać sobie ubranych jedynie w warstewkę bitej śmietany. Tak więc często po pracy oddalaliśmy się wspólnie pograć w bilard, próbując wydobyć z siebie tony *Hotel California* Eaglesów (raz udało jej się dotrzeć aż do drugiej linijki). W gazecie żartowano sobie z naszego małego „trójkąta małżeńskiego”, ale nagle została z nas tylko jedna osoba, i nikt jakoś już nie mówił o mojej małżeńskiej „jedynce”. Kiedy już nawet twoja własna gazeta ogłasza zawieszenie broni, wtedy wiesz, że naprawdę jesteś żaloszny.

Obecnie Eli jest z Hillary w strefie zero. Któregoś wieczoru zapytałem go o to wprost. Wcześniej, kiedy napychałem swój plecak ukradzionymi z redakcji materiałami piśmienniczymi, oni posyłali sobie przez całą długość sali milutkie geściki w stylu „to zadzwoń do mnie później”, a kiedy wychodziłem, to on, ze swoim uśmieszkiem mówiącym „dziś w nocy coś mi się trafi”, poszedł za mną w stronę windy.

- Jesteście w strefie zero? - zapytałem.

- Możliwe. Całkiem możliwe, że tak.

- Od kiedy? - spytałem.

- Może rok, a może więcej.

- I skąd to wiesz?

- Ona daje różne sygnały. Powiedzmy, że zaczęliśmy chodzić na wycieczki do sklepów z gospodarstwem domowym.

A to kutas.

- To miło - mówię.

On nigdy w życiu nie zaprosi mnie na ślub, co jest o tyle wkurzające, że chętnie bym się na nim ostentacyjnie nie pojawił.

- No pewnie - mówi on.

- A tamten koleś? - pytam.

- A, ten - mówi on. - Nigdy go nie było. Musiała nosić pierścionek zaręczynowy, żeby się za nią nie uganiali różni nieudacznicy. On był ze szkła, Tom, nie zauważyłeś?

Kurwa mać. Obezwładniony przez własną nieznajomość biżuterii.

Nie potrafiłem go już potem znieść. Tak jakby on ukończył szkołę i poszedł na Harvard, zostawiając mnie w przedszkolu, zmagającego się z talerzem papki dla dzieci. Dziś tylko skinąłem mu głową.

- Cześć, Ignac - mówię. Z jakiegoś powodu, którego żaden z nas nie pamięta, zawsze nazywam go Ignac,

- Cześć, Tatulku - mówi Eli, a jego nonszalancko rozwiązany krawat wisi luźno na szyi, niczym apaszka lotnika. Z jakiegoś powodu, którego żaden z nas nie pamięta, on zawsze nazywa mnie Tatulkim.

Przemykam się między boksami, mijając dwie szare, dźwięk oszczelne ścianki działowe i wewnętrzne akwarium gabinetów zarezerwowanych dla jakichś zasranych szych. Moja kwatery jest tam, gdzie ją zostawiłem, na rogu ulic Wyczerpanej i Rozdrażnionej.

Kolejny dzień w mojej pieczarze, w moim boksie - dziesięć lat w tym biznesie i nie dorobiłem się jeszcze własnego gabinetu. Na moim krześle - czyli tam, gdzie zawsze proszę, żeby mi ich nie kłaść (czarne ślady odcisnięte na moim siedzeniu są mało estetyczne) - zalega standardowa sarta dzisiejszych gazet.

Naciskam guzik i rozlega się szum komputera. Tak właśnie spędzam większość czasu - obsługując trzy różne klawiatury. Jedną z nich mam już nieźle obcykaną. Siedzę przed nią i się garbię, popijając coś bez przerwy, a słowa same ze mnie wychodzą, często zanim jeszcze zdążę je pomyśleć.

Obsługi kolejnej wciąż się uczę. Jest na niej około osiemdziesięciu ośmiu różnych przycisków. Trzeba się nauczyć, jak przyciskać jedne i przytrzymywać drugie, wykonywać skomplikowane zadania jedną ręką, podczas gdy druga robi coś kompletnie innego na całkowicie innym obszarze. A do tego protez cały czas musisz jeszcze starać się nie wypaść z rytmu i czekać na moment kulminacyjny.

Trzecia klawiatura to moje pianino.

Zaczynam pisać. Stuk, stuk. Dziś robię nagłówki. Krzyżące tytuły, które mają cię nastraszyć, ale też jednocześnie bawić. Coś jak ten bokser, Mike Tyson. Podobnie jak on, też raz lubimy się mierzyć na pięści z największymi, a raz zwyczajnie wbić się komuś zębami w kostkę.

Mamy historię o epatowaniu seksem przez Tommy'ego Lee i jego byłych kolegów z zespołu Molley Crüe - wystukuję więc: „CRÜE-KU-RY-KU”.

Następny jest o przyszłości barów topless: „NAGIE PAKTY”. Samo się pisze.

Kolejny kawałek jest o tym przereklamowanym przedstawieniu *Producenci*. To teraz największy hit na Broadwayu. Oczywiście naziści w sukienkach gwarantują murowany sukces, inaczej być nie może. Mieliśmy już na ten temat sześć dużych artykułów. Tym razem rzecz jest o projektancie kostiumów. Piszę więc: „ÜBERMENSCH W SUKIENCIE”.

Nowy odłam judaizmu, który przyciąga młodych wykształconych Żydów z powrotem do świątyni. To oczywiście „SEKTY W WIELKIM MIEŚCIE”.

I jeszcze raport od naszego agenta w Hollywood, który z przyjemnością sobie obejrzał wersję roboczą *Parku Jurajskiego III*. Choć ta przyjemność była raczej wątpliwa. Powiedział mi przez telefon: „Nie jest aż tak do bani, jak można by się spodziewać, zważywszy, że nie reżyserował tego już Spielberg”. Przepisuję artykuł tak, żeby brzmiał nieco bardziej entuzjastycznie, z jednego tylko powodu: od dawna czekałem na moment, kiedy będę mógł gdzieś wcisnąć nagłówek: „CZĘŚĆ TRZECIA? ZAJURASSIBIŚCIE!”.

Jestem dobry w te klocki. Tak, to właśnie ja zaimportowałem z brytyjskiej prasy określenie „Wacko Jacko”. I to ja

byłem pierwszym autorem nagłówków, który określił sławę Hugh Granta jako „rozdmuchaną”. Wciąż z dumą wspominam chwilę, w której zobaczyłem na Osiemdziesiątej Drugiej Ulicy jakąś ładniutką panienkę z tą właśnie stroną gazety w ręku. Używała jej do podawania wielkich kawałków czekoladowego ciasta. Nie można więc chyba mi zarzucić, że moim słowom brak siły. Albo że nic są użyteczne.

O wpół do szóstej jakiś dżentelmen kieruje swój chwiejny krok w stronę mojego biurka. Wygląda jak najlepiej na świecie ubrany włóczęga, senne widziadło, które nie rozpadło się jeszcze na kawałki tylko dzięki dużej ilości lakieru do włosów oraz dzinu. Jego dwurzędowa marynarka w białe prążki to krzyk mody sprzed stu lat i wisi na nim jak prześcieradło na wieszaku. Skórę ma jak z pergaminu. Jego kośćmi policzkowymi można by otwierać koperty, podobnie jak srebrnym grzebieniem dumnie zaczesanych włosów. Gdyby się taki pojawił na stypie, kazano by mu wracać do trumny. Istnieją tylko dwa zawody, jakie taki facet może uprawiać - może być wampirem albo dziennikarzem.

- Jak się masz, stary? Jestem Rollo - mówi, wyciągając ku mnie różowe ulałkowane szpony.

- Tom - mówię. - Znamy się od trzech lat - dodaję ze względu na stare czasy.

Opiera obie dłonie o brzeg mojej kabiny i tak zostaje, jakby bezwiednie zaciskał i rozluźniał mięśnie kolan, trawiając tę informację, próbując jakoś złapać równowagę, którą ona zachwiała. Jego rozmyty wzrok w końcu przytomnieje. Obrączka lata po jego kościstym palcu jak hula-hoop.

- Dobra, chłopie, a jakie masz tu stanowisko?

- Jestem twoim redaktorem - informuję go. Dorastający w Londynie, wychowany w Sydney, Rollo

Thrash jest mistrzem dla reszty pismaków, głównym źródłem dochodu znanych nowojorskich knajp, czołowym obrońcą przesądnej brukowej wiary w czasach, kiedy dziennikarstwo

zaczęło się zachowywać jak dziecko urodzone w burdelu, które dorastając zaczyna wygłaszać kazania o cnocie i wstrzeźliwości. Próby dorównywania mu w picciu nieuchronnie zwalają jego towarzyszy pod stół i dalej przez podłogę aż do piwnicy, dokąd dobiega ich już tylko jego głos, nawołujący, żeby przestali robić z siebie ofiary i przynieśli mu lepiej jeszcze jedną skrzynkę. Nikt nigdy nic widział, żeby cokolwiek jadł.

Najlepsza historia, jaką kiedykolwiek dostarczy! nam Rollo -choć najlepsze i lak nigdy nie pochodzą od niego bezpośrednio, najpierw bowiem muszą trochę podejrzewać w jakiejś knajpie, gdzie stopniowo przyprawia je smakiem całkowicie nieprawdopodobnych detali - to jak pojechał do Hongkongu, wysłany przez jakiś szmatławiec z Sydney, żeby zrobić materiał o pewnym chińsko-australijskim dysydencie, który został aresztowany na podstawie niedorzecznych zarzutów, co spowodowało wielki skandal dyplomatyczny, tak że w końcu został wypuszczony. To było w czasach, kiedy niemożliwością było dostać wizę do Chin. Wypuszczają więc więźnia na granicy Chin z Hongkongiem. Przechodzi przez granicę. Podjeżdża czarna limuzyna, zaciemnione szyby, za kierownicą umundurowany kierowca, uzbrojeni ochroniarze, australijskie flagi zatknięte za lśniące zderzaki, no po prostu wszystko cacy. Dysydent macha na pożegnanie odprowadzającym go żandarmom, to na razie, skurczybyki, i wsiada do samochodu. Samochód odjeżdża. Dziesięć minut później, w podniszczonym mercedesie prowadzonym przez zagubionego kierowcę z mapą w ręku, pojawia się prawdziwy australijski ambasador i pyta Ludową Armię Wyzwolenia, gdzie się podział dysydent. Żandarmi wzruszają ramionami. To już nie nasz problem. W międzyczasie w czarnej limuzynie, którą specjalnie wypożyczy! i odpicował na tę okazję, Rollo nie tylko przeprowadza nietypowy wywiad, ale jeszcze udaje mu się zabrać kołesia do luksusowego hotelu Kowloon, gdzie ten melduje się pod

falszywym nazwiskiem, żeby inne dziennikarskie sępy go nie dorwały, przynajmniej dopóki nie ukaże się ten wywiad.

- Tom - mówi teraz - niezbyt to twoje imię działa na wyobraźnię. Gdzie tu ukłucie poezji, łuna ognia? Jakie słowo wyczaruje przede mną człowieka, określi położenie jego twarzy i kryjących się za nią aspiracji? Stajemy przed imperatywem kategoriowym - nieodzownością jakiegoś przezwiska.

W jego głosie wyczuwa się więcej żalu niż złości.

Kiedy jest pod wpływem, zaczyna rozkosznie deklamować. Obdarował mnie już niejednym przezwiskiem: Tomcio Paluch, Szelma, Ciulek, Szczurek, Złom (bo rymuje się z Tom), oraz coraz to powracającym Żabkojebkiem, co jest z jego strony kurtuazyjnym nawiązaniem do moich przygód z pewną znakomicie obutą paryżanką, za którą się niegdyś nieprzytomnie uganiałem, dzierżąc w dłoni ser brie i wino beaujolais, Nie tylko jednak się z nią nie przespałem, nawet nie udało mi się jej pocałować w sposób, z jakiego słynie jej naród.

- Może Książę? - mówię.

- Nie ma szans - odpowiada, stukając obrączką o metalowe obramowanie mojej kabiny.

- Monstrum? - proponuję. - Zmora?

- Jak było temu chłopcu, co to nigdy nic dorósł? - pyta. Mówi głośno, być może po to, żeby zagłuszyć swój krzykliwy krawat.

- Michael Jackson? - sugeruję.

Opuszcza czoło i w niewiarygodny sposób udaje mu się wytworzyć nowe bruzdy na twarzy, która ma ich już tyle, ile jest knajp między Nowym Jorkiem a Sydney. Mógłbym przysiąc, że usłyszałem lekki chrzęst, lak jakby ktoś gdzieś w korytarzu otworzył paczkę czipsów. Jego mózg zaczyna pracować.

- Piotruś Pan. Grała go Cathy Kigby. *Ekanor Rigby* Beatlesów. Paul McCartney. To jest to - mówi. - Od tej chwili jesteś Ringo.

- Ringo? - powlarzam.
- To dla ciebie w sam raz.

- Napisałeś dla mnie tę recenzję? - pytam, myśląc przy tym: „Mógłbym przecież sam pisać recenzje”. Kiedy się mnie ktoś pyta, co chcę robić, gdy dorosnę (a ciągle jeszcze zadają mi to pytanie, widzą przecież, że jestem wciąż jeszcze chłopaczkiem), zawsze odpowiadam: „To znaczy, oprócz pisania recenzji filmowych?”. No bo naprawdę, czy może być coś lepszego? Krytyk filmowy to absolutna gwiazda, ma zapewnione gigantyczne zdjęcie obok swojego nazwiska i pełen zwrot kosztów za wyjazdy do Sundance, Cannes i Telluride. Widzi swoje nazwisko wypisane wielkimi literami w reklamach. Nie musi w ogóle przychodzić do redakcji, choć jeśli już przyjdzie, to nie musi tu siedzieć, bo ma własny gabinet, dźwiękoszczelne schronienie przed ludzkim jazgotem panującym na czterdziestym drugim piętrze. Rollo od czterdziestu lat pracuje dla różnych gazet związanych z naszą firmą. Jego jedynym wyposażeniem jest garnitur, ale i tak zawsze mu się udaje spacerowym krokiem dotrzeć na miejsca zabójstw, zbrojnych najazdów i innych potworności na czterech różnych kontynentach. Zawsze podchodzi do samej krawędzi przepaści, po czym zamawia sobie szklaneczkę wódki i kufel piwa i opowiada jakąś sprośną historyjkę, dopóki przepaść nie zacznie puszczać bąbelków nosem. W niezliczonych przypadkach pisał już pierwszą, zwykle zresztą nieprawdziwą, wersję historii. Dla mnie jest prawdziwym bohaterem. Niczym agent 007 potrafi przepłynąć żabką rzekę stojącą w ogniu, zrzucić z siebie mokry garnitur i zaraz się pojawić pod krawatem, w pełnej gotowości, żeby wydać kelnerowi dyspozycje, albo zająć się rozpinaniem jakiejś czarnej sukienki wieczorowej. Obecnie jednak, w swoim dzieciństwie, postanowił odłożyć do przechowalni swój wizerunek agenta i przyozdabiać nasze strony jako starszy krytyk filmowy.

Jego recenzje. Złowieszcze komunikaty o upadku moralności i obyczajów w Ameryce, które ogłasza przez telefon, siedząc gdzieś w barze obok jakiegoś zdegenerowanego australijskiego dziennikarzyni. Przepuszczam jego nasączone dżinem słowa przez wyżymaczkę i z pomocą dzbanka kawy usiłuję zaprowadzić w jego zamroczonych zdaniach jaki taki porządek. Później zaś wykorzystuję to, co mi z tego wychodzi, jako bazę do stworzenia kompletnie nowego tekstu. Wedle pijackiej elokwencji Rolla każdy polityk to „mystyfikator”, każde kłamstewko to „fanfaronada”, a każdy oszust to „defraudant”. Czasem zostawiam jakiś „rejwach” czy „pryncypialny”, ale kiedy indziej muszę usuwać z tekstu słowa, które nie występują w słownikach moich czytelników, jak również w słowniku Webstera. Jako redaktor nie trzymam się zbyt wielu sztywnych norm - co nieco ułatwia mi życie - staram się jednak unikać puszczania do druku stów, które nic istnieją w języku angielskim. Raz zdarzyło mi się przegrać zakład, bo dane słowo faktycznie istniało, ale tylko w tej wersji angielskiego, jaką posługują się miłośnicy wątróbki zamieszkujący wyspę po drugiej stronie bajora.

Jego talent do wypowiadania prawdziwych i fałszywych stwierdzeń z równie buńczuczną pewnością siebie okazał się przydatną cechą u krytyka filmowego, w związku z czym jest on dzisiaj znów stawną figurą. Umieszczane przy jego nazwisku zdjęcie sprzed piętnastu lat nieco go odmładza, a jego twarz, zamiast się coraz bardziej starzeć, zdaje się z wiekiem coraz bardziej upodabniać do tej na zdjęciu. W końcu przecież rzeczywistość zawsze stara się nadażyć za tym, co głoszą brukowce. Sam stał się teraz wschodzącą gwiazdą, ja natomiast jestem głupim cepem, który przytrzymuje mu płaszcz, kiedy on macha w stronę fotografów. Czasem dostrzegam jego nazwisko na jakimś plakacie filmowym wiszącym na przystanku autobusu-sowyjn albo wypożyczalni wideo i aż mnie ciarki przechodzą, kiedy widzę, że jego nazwisko firmuje moje własne słowa.

- Recenzja? Zrobiona, Rimbo.

- Ale pamiętasz, że prosiłem cię, żebyś trochę ją przepisał? Bo przedtem oddałeś mi jedynie siedemset pięćdziesiąt słów opisu ust Reese Witherspoon.

- No tak, Limbo, rzeczywiście - mówi. - Zapomniałem o jej cyckach.

I odchodzi, starannie stawiając kroki, jak pudelek na tafli lodu. Nie kieruje się wcale w stronę swojego gabinetu, którego przeszklona ściana jest cała poza klej a na pełnych błędów listami napisanymi przez jakichś zięjących nienawiścią szaleńców (wystawa ta jest ewidentnie obliczona na obudzenie w nas zazdrości, choć przy tym ułatwia w razie potrzeby ucięcie sobie drzemki z dala od ludzkich spojrzeń). Kieruje się prosto do wyjścia, tą samą drogą, którą przed chwilą wszedł.

- Można cię znaleźć tam gdzie zwykle? - pytam.

W pożegnalnym geście unosi tylko w górę swoją kościstą dłoń.

Kiedy kończę pracę i zamykam komputer, ponad ścianką głównego boksu, za którym kryje się Wielkie Biurko, ukazuje się jak zawsze rozczochrana, siwa einsteinowska czupryna Ropucha. Ogromne złote oprawki jego okularów (nie mówcie mi, że one kiedykolwiek były w modzie - nawet w Europie, nawet dla żartu) są wielkości talerzy i dodają jego błękitnym, skrzącym się sarkazmem oczom szczypty szaleństwa. Jego krawat przypomina próbkę wszystkich ośmiu półmisków w specjalnej ofercie obiadowej restauracji Fu Ying. Z powodu spartaczonej kiedyś dawno operacji, przez którą musi teraz nosić niebywale obciachowc ortopedyczne tenisówki, kołysze się na nogach niczym zawodnik na ringu albo pirat o drewnianej nodze. Kładzie gdzieś swoją studencką nylonową torbę na książki i człapie w moją stronę. Ja to mam szczęście -jego promieniująca radosnym cynizmem twarz zawsze się kolo mnie zatrzymuje po drodze do ubikacji.

- Cześć, Tom - mówi. Człap, człap. - Beznadziejnie wyglądasz.

Jego głos brzmi jak klakson taksówki w centrum miasta. Jego oddech przypomina zaś strumień gazu łzawiącego.

- Tak? - mówię. - A ty co? Najseksowniczy Facet na Kuli Ziemskiej?

- Ale poważnie - on na to. - Spędziłeś weekend w areszcie, czy co?

Przychodzi mi na myśl moje stałe poczucie zagrożenia, odosobnienie, paskudne żarcie, brak ruchu i świeżego powietrza. Brakuje jeszcze tylko kogoś, kto by mnie czasem posunął, no i jeszcze paru kazań o rasizmie, i już miałbym swoją własną, prywatną symulację więzienia.

- Coś w tym rodzaju - mówię.

[Irving T. Fox, zastępca redaktora działu miejskiego, to sześćdziesięcioletni Żyd, który posiada trzy koty i dwie byłe żony, za to nie posiada telewizora. Jest moim najlepszym kumplem w tej gazecie. Zaczęliśmy nazywać go Ropuchom z powodu jego szybkiego języka. Taki przynajmniej powód serwujemy jemu. Bo tak naprawdę to dlatego, że jego nawiedzone oczka umieszczone są po przeciwległych stronach jego szerokiej, pełnej brodawek gęby.

- To nad czym teraz pracujesz?

- Potrzebny mi nagłówek do tego tekstu o prześladowcach gwiazd. Myślę sobie, że dlaczego mielibyśmy to przedstawiać z punktu widzenia tych całych gwiazd?

- No to zrób to z punktu widzenia dżdżownicy - mówi Ropuch. - Świetnie. Nasi czytelnicy będą się mogli zidentyfikować.

Nie musi mi przypominać starego dowcipu o tym, dlaczego nowojorski dom towarowy Macy's nie chce się u nas reklamować - jego prezes miał powiedzieć naszemu wydawcy: „Wasi czytelnicy u nas tylko kradną”.

- No to co byś powiedział na „Jak ich podejść”?

- Nigdy się na to nie zgodzą - odpowiada.

Chociaż mamy zaszczyt być najczęściej podawaną do sądu gazetą w USA, jednak zatrudniamy cały sztab prawników specjalizujących się w procesach o zniesławienie, którzy czytają wszystko, co chcemy posiać do druku. W przeciwnym razie naprawdę mielibyśmy niezłą zabawę. Nagłówek, który mógłby być postrzegany jako zachęta do przestępstw wobec gwiazd, prawdopodobnie by zaowocował natychmiastowym telefonikiem z działu prawnego którejs z agencji aktorskich.

- Najlepsze nagłówki nigdy nie trafiają do druku - wzdycha Ropuch z rozmarzonym wzrokiem, jak gdyby wspominał właśnie swoje małżeństwo z Marilyn Monroe czy co. - Raz mieliśmy historię o kolesiu, którego aresztowano za mordowanie dzikich kotów. Zagazowywał je na śmierć w swoim piekarniku - współczucie, jakim Irving darzy swoich futrzastych przyjaciół, jest jego znaną słabością, w związku z czym koledzy z redakcji wciąż go atakują dowcipami o uśmierconych kotach. - Straszny człowiek - mówi dalej. - No więc wymyśliłem nagłówek: „Miauschwitz”. Nie chcieli go puścić.

Wciąż lubi się wymądrzać.

- Już mi to opowiadałeś - mówię. - Czy ta historia nie ma już tak z piętnastu lat?

- Albo kiedy zginęła ta skrzypaczka z Filharmonii Nowojorskiej, bo ją jakiś psychol zabrał na dach opery i stamtąd zepchnął?

- Tak, wiem - mówię. - „Skrzypaczka na dachu”.

- Hej, a może chcesz się dołączyć do naszej gry w najkrótsze dowcipy świata? Zaczął ją dział redakcyjny, ale na razie ja wygrywam.

- A co wymyśliłeś?

- „Włoska armia”. Jedenaście liter.

Dobre - mówię. - Hmm. „Nazi Disco”. Dziewięć. Podchodzi Hillary, przekazuje Ropuchowi jakieś faksy. Nawet startując w kategorii strzelistych Szwedek czy Ho-

lenderek o nieziemskich ciałach i tak miaiaby pierwsze miejsce.

- Hej, Hillary, chcesz pograć w najkrótsze dowcipy świata?-mówi Ropuch. - Mam tu jeden. „Britney”. Siedem liter.

- „Osram” - mówię. - Pięć.

- „Idol” - mówi Ropuch. - Cztery.

- „Bar” - mówię. - Trzy.

Hillary patrzy na nas, jakbyśmy byli kompletnymi debilami, i zaraz dyskredytuje nas obu.

- L.A. - mówi, i jesteśmy zmuszeni oddać jej laur zwycięstwa.

Znad Wielkiego Biurka dochodzą odgłosy chaosu, który zawsze powstaje przed zamknięciem numeru. Maks, redaktor działu miejskiego, oraz Cronin, redaktor mu szefujący, na którego Maks działa jak sok pomarańczowy na jamę ustną zaraz po umyciu zębów, zachęcają się nawzajem do wyczynów, do których ewidentnie nie mają predyspozycji fizycznych. Cronin jest redaktorem naczelnym. Czyli ma posadę, o której marzy Maks. W redakcji nazywają go Koleżka, bo jest w dobrych stosunkach z Tyronem Rutledge-Swope, naszym bezlitosnym, najeżonym australijskim właścicielem, z którym na początku pracowali razem w tej samej gazecie. Pod oknem kuli się, pochlipując żałośnie, jedna z naszych stażystek, dwudziestojednoletnia panienka z college'u dla dziewcząt, której matka mieszkająca w bogatej podmiejskiej dzielnicy zabroniła, o czym się właśnie dowiedział Maks, uprawiać jakąkolwiek formę dziennikarstwa, która by wymagała jej obecności w naszej siostrzanej północnej dzielnicy, czyli na Bronksie. Ale w redakcji się mówi, że ta matka jest jedną z kochanek (ronina, i to dlatego musimy się z nią męczyć. Ktoś się uchyla przed rzuconym przez salę telefonem, który z trzaskiem wskazującym na połamanie ląduje na kaloryferze.

- Pracujesz w tej gazecie od dwudziestu pięciu lat - mówię do Ropucha. - Jak ty to robisz?

- Czytałeś może kiedyś książkę *Ja, Klaudiusz?* - pyta Ropuch.

- Nic - odpowiadam. Raz myślałem, żeby to sobie wypożyczyć na wideo, ale w końcu się zdecydowałem na film z Billem Murrayem.

- Komu przypada w udziale władza nad cywilizowanym światem po tym, jak wszyscy rzymscy cesarze spiskują przeciw sobie i wykańczają się nawzajem sztyletami lub trucizną? - pyta.

- No komu? - pytam.

- Śliniacemu się idiocie - odpowiada on.

I odchodzi chwiejnym krokiem w stronę łazienki jak kowboj w rakietach śnieżnych, a z wranglerów wyłazi mu poła koszuli.

Wtorek, 10 lipca

Wsiadam z metra na rogu Broadwayu i Pięćdziesiątej Ulicy. Zaraz przed wyjściem, przy jednym z najruchliwszych skrzyżowań w mieście, usadowił się żebrzący nazista. Przypomina zbrojny transporter piechoty - jego prawy bok osłaniają szczepione ze sobą brzydkie metalowe pudła po gazetach. Ma na sobie brudne spodnie w panterkę, które zdają się krzyczeć „oto weteran wojny w Wietnamie”, choć zważywszy na to, że od tej wojny minęło już dwadzieścia sześć lat, a on nie wygląda na więcej niż czterdzieści, to bardziej prawdopodobnym okrzykiem byłoby „oto klient sklepów z odzieżą wojskową”. Jak każdy porządny nazista, ma nawet owczarka niemieckiego (z karteczką, na której nabazgrane jest „MOI WŁAŚCICIELE SIĘ NADE MNA ZNEĆCALI”). Zajmuje to wszystko ponad pół chodnika, więc praktycznie niemożliwe jest ominąć go z daleka. Trzeba więc się wpakować prosto w paszczę jego zautomatyzowanego żebractwa i niemal otrzeć się o przeciętą na pół i wypełniającą się monetami plastikową butelkę, którą on potrząsa niczym brudną grzechotką. W ciągu pięćdziesięciu sekund, kiedy czekam na zielone światło, widzę, jak ludzie dają mu coś koło siedemdziesięciu pięciu centów. To wychodzi dziewięćdziesiąt centów na minutę. Razy osiem godzin. Ten koleś zarabia czterysta dolarów dziennie i to na czysto, bez podatku. Czasem rusza na drugą stronę ulicy do Dunkin' Donuts na kawę. Żeby zminimalizować tę stratę czasu, nie zawraca już sobie wtedy głowy udawaniem, że ma coś nie tak z nogami,

tylko śmiga na tym swoim wózku tak, jakby biegi na siedząco - odpycha się nogami od ziemi, a obiema rękami trzyma smycz. Normalnie psi zaprzęg. Pies leci przez tłum drepczących truchtem biurowych pracusiów. Muszę odskoczyć w bok, żeby uniknąć mało subtelnego śladu opon na plecach. Ale nic puszcza mu tego płazem. Rzucam mu naprawdę wściekłe spojrzenie, kiedy mnie mijają. Ludzie przede mną rozbiegają się, słysząc za plecami łoskot jazdy tego skarłowaciałego Ben Hura. Odwracają się ze złością i co widzą? Kolesia na wózku. Wówczas łak się zawstydzają, że złość im całkiem mija, i robią sobie dobre postanowienie, że przy najbliższym głosowaniu opowiedzą się za podniesieniem podatków.

Wchodzę do pracy z poczuciem, że jestem draniem. Większym niż Saddam, większym niż Stalin, gorszym niż francuscy kelnerzy. Wsiadam do windy. Oprócz mnie jedzie nią tylko jakaś znajoma mi z gęby baba z zaczątkiem łysiny, w oparach jakiejś wstrętnej wody toaletowej. Korektorka? Bibliotekarka? Jakaś moja była narzeczona?

- Hej - mówi.

- Jak leci? - mamrocze pod nosem.

- Świetnie! - odpowiada.

I już czuję, że to nieuchronne. Rozmowa o pogodzie.

- Ale mieliśmy piękny weekend, prawda? - pyta.

Podtrzymywanie konwersacji to nic lada wysiłek, którego

celem jest odkrycie takiego tematu, który by interesował oboje rozmówców. Pogoda to prawdopodobnie najbardziej uniwersalny wspólny temat, bo dotyczy równo wszystkich. Gdyby go jeszcze trochę rozszerzyć, to doszlibyśmy do: „Zdaje mi się, że oboje żyjemy na planecie Ziemia. Czyż to nie cudowna planeta?”. Jeśli chodzi o zachwywanie się weekendami - są aktualne tylko w poniedziałek do południa, później tracą na aktualności.

- Rzeczywiście - mówię, przetrząsając swój plecak celem odnalezienia czasopisma, którym mógłbym się zająć przez te czterdzieści sekund, jakie mi jeszcze zostało.

- Było ciepło - kontynuuje swoją analizę - ale wcale nie parno, o czym rozmawiają w windach ludzie w Los Angeles? „Ciekawe, czy dziś będzie ciepło i słonecznie?”. Chociaż, jeśli sądzić po ich programach telewizyjnych, to taki tekst zostałby tam pewnie uznany za ciętą uwagę.

- No właśnie! - mówię, udając, że z wielką powagą rozkładam ulotkę z dodatku edukacyjnego, który mi ktoś (no dobra, dziewczyna z iskierkami w oczach i w białej koszulce, przy której tylko trzy z siedmiu guzików pełniły swoją służbę) wcisnął do otumanionej ręki na skrzyżowaniu Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy i Broadwayu, Staram się wyglądać na całkowicie pochłoniętego lekturą i udaję, że czytam o męskiej odmianie raka piersi.

W końcu winda wtrąca swoje „ding!” i jestem wolny.

Kolejny promienny poranek w naszej komedii. Zadanie na dzisiaj: napisać recenzję książki, Tej nowej książki Davida McCullougha o Johnie Adamsie. Jako krytyk muszę pozostać bezwzględnie neutralny, sprawiedliwy, bezstronny. Żeby nie nabrać żadnych uprzedzeń, na wszelki wypadek nie przeczytałem ani słowa. Zamiast tego czytam wszystkie inne recenzje, jakie znajduję w bazie danych. Tak więc moja recenzja będzie swego rodzaju metarecenzją. Recenzją recenzji. Jak to się często mówi w naszej komedii: „Przecież to tylko brukowiec!”. Otwieram książkę w przypadkowym miejscu.

„Na sali zapadła cisza, którą przerwało dopiero wystąpienie Olivera Ellswortha, uznanego autorytetu w kwestiach konstytucji, który wstał i rzekł: «Szanowny panie, uważam, że to jasne i niepodważalne, iż jeśli gdziekolwiek ma się zebrać senat, to pan, szanowny panie, powinien stać na jego czele. Więcej jednak rzec się nie ośmielę»”.

Tak, szanowny panie, to rzeczywiście wciągające. Ale napisze pochlebną recenzję, bo wszyscy inni takie napisali. No a poza tym nikt cię nigdy nie oskarży, że nie przeczytałeś

książki, jeśli twoja recenzja przypominać będzie kartkę walentynkową. Tego rodzaju książki mają tylko jedno zastosowanie: można je dać tacie w prezencie na Dzień Ojca. On się uśmiechnie („Moje dziecko ma mnie za osobę inteligentną”), ty się uśmiechniesz („Ile we mnie wycucia i patriotyzmu”), mama się uśmiechnie („Dobra z niej będzie podstawka”), a wydawnictwo Simon & Schuster zarobi kolejne 35 dolarów.

Dzwoni telefon. To mój osobisty doradca. Koneser. Nie bawimy się w powitania - zostaję natychmiast wciągnięty w już rozpoczętą tyradę.

- Problem z kobietami - zaczyna - to że one same nie wiedzą, czego chcą. Pamiętasz tego mormona?

- Aha - mówię. W rozmowach z Koneserem zwykle nie potrzeba więcej słów.

- Wsadzili go do paki za bigamię. Do paki! Za to, że miał dziesięć żon. Nie jest zabronione mieć dziesięć panienek. Nie jest zabronione ożenić się z jedną panią i pieprzyć się z dziesięcioma innymi. Nie jest zabronione pieprzyć dziesięć panienek w jedną noc. Ale jeśli chcesz nie tylko się z nimi pieprzyć, ale jeszcze coś im w zamian za to dać? Złożyć na przykład poważną przysięgę wobec społeczeństwa, że będziesz się nimi opiekował, karmił je, wysłuchiwał ich problemów, zapewniał im dach nad głową? T o jest zabronione. A kobiety wciąż nawijają o tym, że my się nie potrafimy zaangażować, nawet względem jednej panny! No to przecież ten facet to jakiś totalny heros zaangażowania! To oni go pakują do pierdła. W jakim my, kurwa, popapranym społeczeństwie żyjemy!

- Aha - mówię.

Pamiętam, jak jednej nocy byłem w knajpie z Koneserem i innym moim znajomym, Nickiem DePuy. Nick ma gładziuteńką klatkę piersiową. Kiedy z tobą rozmawia, to się uśmiecha. Prenumeruje „Detale”. Chyba już wiadomo. Następnego dnia Koneser się mnie pyta, którą stronę ulicy jeź-

dzi Nick. No to mu mówię otwarcie, że Nick to koleś, który nawet nie umie podkręcać piłki. Nick lubi filmy o gladiatorach. Trudno już być bardziej ewidentnym homo - trzeba by się chyba jeszcze ożenić z Lizą Minelli. „No tak, tak właśnie mi się wydawało - powiedział wtedy Koneser - ale wiesz co? To mi się naprawdę podoba. Bo ja, kurwa, nie cierpię kobiet". I tu zacząłem się zastanawiać, czy sukces u kobiet nie jest bezpośrednio związany z nielubieniem ich? Bo Koneser zmienia dziewczyny jak Richard Gere myszokoczki*. A jeśli naprawdę lubisz jakąś dziewczynę, to co się dzieje? Denerwujesz się w jej obecności. Ponieważ martwisz się, że ona nie polubi cię tak bardzo, jak ty lubisz ją. A kiedy ona widzi twoje zdenerwowanie, to jakoś nie myśli: „Ojej, jaki on słodki, chyba mnie lubi". Myśli sobie: „Ten koleś nie ma za grosz pewności siebie". A jak tu być pewnym siebie wobec absolutnie nieziemskiej dziewczyny? Ja sam z pewnością nie jestem nieziemski. Dziewczyny lecą na napalonych prostaków, koleś, którzy głośno mówią i mają duże kutasy, a pół roku później zaczyna się: „Dlaczego on jest taki samolubny? Czy moje potrzeby nic go nie obchodzą?". Innymi słowy, dziewczyny lecą na takich koleś jak Koneser, który właśnie dlatego jest moim zaufanym osobistym doradcą.

- Nasze społeczeństwo chyli się ku upadkowi, już ci mówię dlaczego - mówi Koneser. - Dzisiejszy Manhattan to pierwszy w historii przykład cywilizacji całkowicie kontrolowanej przez kobiety. Co masz teraz na sobie?

- Co? Czarne spodnie, szarą koszulę, czarne buty.

- Dlaczego?

- Nic wiem. No, żeby wyglądać jakoś w miarę w porządku.

- No właśnie - mówi Koneser. Na dworze upat, a ty nadał myślisz, że czerń jest w porządku. A dlaczego czerń

*Nawiązanie do popularnego mitu, wedle którego Richard Gere miał trafić do szpitala z myszokoczkiem w odbycie. Historia ta jest jedną z wielu współczesnych legend o rzekomych praktykach seksualnych, mających polegać na umieszczaniu w ludzkim odbycie żywych gryzoni.

jest w porządku? Bo kobiety sądzą, że je wyszczupła. Ujmuje im trochę wagi. Tak więc czarny staje się w porządku wśród kobiet. A ponieważ w porządku jest to, co kobiety mówią, że jest w porządku, więc i ty musisz ubierać się na czarno

- czyli jak kobieta! - żeby wyglądać w miarę w porządku. To już kawat czasu, od kiedy czarny stal się modny. Pamiętacie może, kiedy taki nie był? Ja sobie nie przypominam. Co sezon ogłaszają, że czerń „właśnie wraca do łask”.

- Ale czy one nie ubierają się lak, żeby nam się podobać?

- W (alach osiemdziesiątych kobiety nosiły poduchy na ramionach - mówi Koneser. - Ogromne. Mówiłeś im wtedy może, że tajnie wyglądają? Ja nic. Żaden facet im nigdy tego nie powiedział. One się na nas w ogóle nie oglądają. Wmówiły sobie nawzajem, że to im optycznie wyszczupła talię. Choć w rzeczywistości, to ich talie wyglądały tak jak zawsze, za to w ramionach przypominały baseballistów w pełnym rynsztunku.

- Ale przynajmniej to my mamy kasę - mówię.

- No właśnie! I o to dokładnie chodzi! - krzyczy Koneser.

- A dlaczego mamy kasę? Po co całymi dniami pracujemy?

- No powiedz.

- Żeby móc ją na nie wydawać! Przejdź się w środek dnia po sklepach przy Piątej Alei i co zobaczysz?

- Kobiety. Które kupują sobie torebeczki po tysiąc pięćset dolarów.

- No a czyje to są pieniądze? Przecież nie ich - żeby cię było stać na wydanie takiego szmalu na włoską torebkę, musisz całymi dniami ciężko harować. Nie, nie - kobiety wydają nasze pieniądze. I dobrze się bawią. Podczas kiedy one chodzą sobie po sklepach i do restauracji i na jakieś przedstawienia, nas nikt nie widzi. Siedzimy zamknięci w biurach. Sprzedajemy akcje. Piszemy książki. Projektujemy budynki. Zapracowujemy się na śmierć, dosłownie. Zabijamy się. Wiesz o tym, że kobiety żyją o dziesięć lat dłużej

niż mężczyźni? A i tak co tylko otworzysz jakąś gazetę czy czasopismo, to tam zawsze jakiś artykuł o tym, jak to mato wagi przywiązuje się do właściwej ochrony zdrowia kobiet. Mają nad nami przewagę dziesięciu lat i chcą jeszcze więcej! Podczas gdy my dusimy się w codziennym stresie na naszych nadzwyczaj odpowiedzialnych stanowiskach. A nasza praca ma tylko jeden cel: żeby móc je zaciągnąć do łóżka. Żebyśmy mogli usidlać piękne kobiety. Żebyśmy mogli im powiedzieć: Spójrz tylko, mogę cię zabrać do każdej restauracji, o jakiej tylko zamarzysz! Spójrz, sprzedałem na Wall Street swoją młodość, żeby zarobić tę fortunę! Spójrz, dla ciebie zbudowałem ten budynek! Dla ciebie poszedłem na wojnę! Piękne kobiety nie potrzebują wysokich stanowisk. W ogóle nic nie muszą robić, żeby kogoś zaciągnąć do łóżka. Jedyne co muszą, to gdzieś się pojawić i ładnie wyglądać. No dobra, muszą często chodzić do fryzjera. No i co z tego? Co byś wolał - pogawędzić sobie z François w salonie piękności, czy w imię ludzkości dawać z siebie wszystko w jakiejś korporacji? One nie potrzebują własnych pieniędzy. Jeśli już pracują, to w branży wy-daw-ni-czej. Albo uczą w przed-szko-lu. A jak zobaczysz jakąś kobietę, która rzeczywiście ciężko pracuje, jako prawnik w dużej firmie albo coś takiego, to zawsze się okazuje, że to albo kompletna brzydula, które nigdy sobie nie znajdzie faceta, albo lesba, albo po prostu czeka na to, kiedy wreszcie poślubi prezesa zarządu,

- A kiedy ty ostatnio byłeś w pracy? - pytam, choć znam odpowiedź: w 1991. Biografię Konesera można by streścić słowami „od milionera do milionera”. Jego ojciec jest właścicielem ogromnej firmy. Więc wszystko, co mówi Koneser, należy traktować z mocnym przymrużeniem obu oczu.

Koneser nie odpowiada. Koneser ma jazdę.

- Tak więc każda książka, którą ktoś napisze, każdy film, jaki ktoś nakręci, każdy zespół rockowy, który coś fajnego nagra, to wszystko jest zawsze dla jakiejś kobiety.

- A co z żeńskimi zespołami?

- A ile ich jest? Może z pięć. Wszystkie pozostałe dziewczyny na scenie muzycznej to wyłącznie wokalistki. A dlaczego? Bo na tego, kto śpiewa, wszyscy się patrzą. Dziewczyny chcą ładnie wyglądać. A nie wyciskać z siebie pot za perkusją. Tam z tyłu zawsze jest jakiś koleś. Który próbuje zrobić wrażenie na panience z mikrofonem. Wszystko, co robimy, robimy dla kobiet, a one i tak twierdzą, że się za mało staramy.

- Aha - mówię.

- Nawet morderstwa! - mówi on,

- No?

- Kiedy facet zabija, to zwykle kobietę, która go zostawiła. Albo właściciela sklepu monopolowego, żeby zdobyć trochę kasy na dziewczyny. No a potem taki dostaje karę śmierci. Kiedy kobiety zabijają, to zwykle własne dzieci. I dostają trzy do pięciu lat plus pomoc psychiatry.

- Chyba nic w Teksasie.

- Nie no, ja nie mówię, że morderstwo to jest w ogóle w porządku. A je co jest gorsze: zabić jakąś głupią sukę, która się przespała z twoim najlepszym kumplem, czy jakieś bezbronne małe dziecko, które się zesrało w majtki?

- Skoro mówimy o posranych sprawach - mówię - to ja mam tu parę artykułów do redakcji.

- Aha, no dobra. Która jest godzina?

- Koło jedenastej.

- O rany - mówi Koneser. - Nieźle zaimprezowałem.

Wracam jeszcze na trochę do recenzji. Dochodzę do momentu, w którym trzeba by zacytować coś, czego jeszcze nikt nic cytował, żeby pokazać, że przeczytałem książkę, której nie przeczytałem. Przerzucam więc strony i odkrywam następujący kątek: kiedy John Adams w Filadelfii ogłaszał rewolucję i takie tam, jego żona, Abigail, pisała do niego z Bostonu: „W nowym prawie, jakie prawdopodobnie będziesz musiał

ustanowić, chciałabym, abyś nie zapominał o kobietach i spojrzał na nie życzliwszym okiem, niż to czynili twoi przodkowie. Nie powierzaj ich mężom tak nieograniczonej władzy".

Adams zaś odpisał jej tak: „Ale z ciebie zawiadziaka". Naprawdę tak napisał. I dalej:

„Uwierz mi, nie w głowie nam uchylanie naszego męskiego systemu władzy. Choć istotnie jest on dominujący, wiesz przecież, że to tylko teoria... bo tak naprawdę wiesz przecież, że to my jesteśmy waszymi sługami. *Nazywamy* się tylko panami i sądzę, że generał Washington oraz wszyscy nasi dzielni bohaterowie chętniej rzucą się w wir walki, niż oddadzą wam ten ostatni pozór władzy, który ostatecznie oddałby nas we władanie despotycznym spódniczkom."

Tak więc, już 150 lat przed tym jak kobiety uzyskały w ogóle prawo głosu, i tak całym biznesem trzęsła banda mamus. Despotyczne spódniczki? Tak się chyba w roku 1776 określało praktyki sado-maso. I to słowa samego prezydenta. Ojca założyciela. To jakie ja mam szanse?

Telefon.

- Tom?

- No - mówię.

- W ostatnią sobotę właśnie urodziło nam się dziecko - mówi Mike Vega, mój płodny przyjaciel. Dumny tatuś. Jak to się dzieje, że żonaci faceci są dumni, podczas gdy samotni tylko zarozumiali?

- O kurczę! - mówię. Oczywiście to dla mnie żadna nowina, w końcu powiedziała mi już o tym ich automatyczna sekretarka. Ale trzeba wyrazić entuzjazm. Całkiem możliwe, że jest na mnie zły, że wcześniej nie zadzwoniłem z gratulacjami. - To świetnie! Super! No, ekstra!

Staram się wymyślić jeszcze jakieś okrzyki entuzjazmu, ale ciężko mi to idzie. „MAŻ I ŻONA 20STAJĄ RODZICAMI" - niezbyt chwytliwy nagłówek, co?

- Jakiej jest, no, płci?

- Dziewczynka. Dajemy jej na imię Aleksandra. Dziewczynka, dziewczynka, dziewczynka. I w dodatku

Aleksandra - to już trzecie dziecko, o jakim wiem, któremu dano na imię Aleksander albo Aleksandra. Próbuję wbić sobie te dane do głowy. Zauważyłem, że ludzie oczekują, że będzie się pamiętało, jakiej płci jest ich potomek, co już niejednokrotnie zmuszało mnie do rozpaczliwych chwytów, kiedy to musiałem rozmarzonym rodzicom zadawać pytania w stylu: „To jak się ma... ee... wasze małeństwo?”.

- Ile waży? - pytam.

On odpowiada. No i to by było na tyle. Nie mam na podorędziu więcej pytań, które byłyby stosowne do tej sytuacji. Dowiaduję się jednak więcej. Różnych szczegółów, o których wolałbym nie wiedzieć. Istny horror, rozdierane ciała, tryskające płyny, prawie dziewięć godzin męczarni wypełnionej krzykiem. Opis porodu przypomina sceny z *Obcego*. Zostaję zaproszony na spotkanie z dzieciakiem dziś w porze lunchu, choć Mike będzie w pracy.

Fakt, że moim kumplom rodzą się dzieci, powoduje, że tym bardziej czuję się jak dziecko. Gdyby zebrać do kupy cały ten życiodajny klej, jaki pod prysznicem posłałem w rury kanalizacyjne, mógłbym założyć własny bank spermy. Krainę spermą płynącą. Czy to nie jest z mojej strony nieco dziecinne? Czy nie powinienem jakoś wykorzystać tych plemników? Czy w tym wieku nie powinienem martwić się już o kogoś innego niż tylko o siebie?

Nie, żebym tutaj obwiniał kogokolwiek poza sobą samym. Dlaczego rozpadło się pięć moich ostatnich związków?

1. Zachowałem się jak dupek.
2. Zachowałem się jak dupek.
3. Skończyła mi się wiza brytyjska i musiałem wrócić do Nowego Jorku.
4. Zachowałem się jak dupek.

5. Ona zachowała się jak dupek, ale dopiero po sześciu miesiącach znoszenia ze mną katuszy.

Każdej z nich mi brakuje. Na przykład ja z ubiegłego lata, Maggie Kelly. Spotkałem ją u kogoś na imprezie urodzinowej. Była zachwycająca. Inteligentna, wesoła, pewna siebie. Uwielbiała się śmiać, jeść, pić, chodzić do łóżka. W długi weekend z okazji Dnia Pamięci pojechaliśmy do domu jej matki. Ojca nie było, bo się kilka miesięcy wcześniej wyprowadził do miasta do swojej kochanki. Wyglądało na to, że matka będzie musiała sprzedać dom. A był piękny. Znakomicie utrzymany, podwójne kotary w oknach, wspaniały ogród, no i w ogóle. Dzieci już dorosły, a ona ani nie miała pracy, ani żadnych kwalifikacji. Starzała się, a życie okazało się wielkim oszustwem. Dała nam zupy i trochę sobie gawędziliśmy. Starłem się, najlepiej jak umiem, wypaść na pogodnego chłopaka. Dużo potakiwałem. Chwaliłem jej kuchnię. Chwaliłem jej córkę. Pytałem o jej ogród. Nie wspominałem o kochance ojca. Krótko mówiąc, zaliczyłem maksimum punktów. Byłem ideałem.

Parę tygodni później Maggie zdaje mi relację z kłopotów, z jakimi boryka się jej rodzina.

- Moja siostra nie dostała tego zastępstwa w teatrze - mówi. Jej starsza siostra, Stephanie. Aktorka. Jej chwila sławy:

raz była na przesłuchaniu do telewizyjnego talk-show. Ale nie przeszła. Podobno zależało im na przedstawicielach „mniejszości etnicznych”. Stephanie jest urocza, ale nie na tyle, żeby być wziętą aktorką, no i ma trzydzieści pięć lat. Byłoby nieładnie z mojej strony wskazywać na fakt, że kobiety raczej w tym wieku nie zaczynają nagle pięknieć.

- Straszna szkoda - mówię. - To co ona teraz robi?

- Szuka pracy jako kelnerka. Mają dać jej odpowiedź z jednej restauracji sushi.

- A jak mama? - pytam.

- Ojciec się zachowuje jak kompletny palant. Mama będzie musiała wynająć prawnika.

Czekam na odpowiednią chwilę, żeby przejść do rzeczy.

- Mówiła coś o mnie?

- Mówiła, że wydałeś jej się smutny.

Smutny. Mówi kobieta, której życie właśnie legło w gruzach. Te sześć literek całymi tygodniami jeszcze obijało się po mojej głowie. Jeśli ktoś „ma depresję”, to się zakłada, że to nie jego wina - to wszystko te nieznośne zaburzenia produkowanych przez organizm substancji chemicznych. Jeśli ktoś „jest smutny”, to tak jakby powiedzieć: „Ty się, koleś, po prostu w ogóle nie starasz”. No więc po jakimś czasie doprowadziłem do tego, że Maggie też zrobiła się smutna.

Przed Maggie była moja Betsy. Betsy, która kochała koty, Betsy, dzięki której zacząłem się interesować filmami z Audrey Hepburn. Betsy, która była tak lotna, tak żywa, tak śliczna i tak pogodna, że aż musiałem z nią zerwać.

Kiedy leżeliśmy zmęczeni seksem na tanim stelażu z materacem, który przez trzy lata służył mi za łóżko, wymyślaliśmy sobie bajki.

- Opowiedz mi bajkę...

- Była raz sobie piękna księżniczka o imieniu Betsy - zaczynam.

- Po prostu piękna i tyle?

- Była raz sobie księżniczka o imieniu Betsy, której uroda wychodziła nieco ponad przeciętną - mówię. - Aha, no i jeszcze słyęła na całe królestwo z tego, że potrafiła powalać złe bestie jednym dźgnięciem we wrażliwą część ich brzusków.

- Czy miała chłopaka?

- Jedyńm chłopakiem, jakiego miała, był gekon o imieniu Tom - mówię. - Poznali się w barze dla samotnych gadów.

- Ponieważ przywykła już do tego, że wszyscy faceci, z jakimi się spotyka, to zwykłe gady?

- Tak jest. No więc gekon Tom mówi do Betsy tak: „Jeśli wychylish razem ze mną kilka kieliszków tequili i mnie pocałujesz, ujrzysz, jak doznam magicznej przemiany, oraz otrzymasz pamiątkową koszulkę z José Cuervo”.

- i co, zrobiła to?

- Na początek strzeliła sobie parę kieliszków, żeby zebrać siły do tego trudnego zadania.

- I pocałowała go?

- Spojrzała na niego. I zobaczyła, że to mile, dziwaczne, przyjazne i nieszkodliwe stworzenie, tak więc podjęła decyzję. Zamknęła oczy. Nachyliła się. I poprosiła barmana o kolejną tequilę.

- A potem go pocałowała?

- Kiedy już wlała w siebie taką ilość alkoholu, która zwałiłaby z nóg nawet samego Roberta Downeya, w końcu zacisnęła usta i to zrobiła.

- T on zmienił się w przystojnego księcia?

- Nic, zmienił się w jadowitą helodermę arizońską. Ale Betsy dostała za to obiecaną koszulkę.

Przysunęła się jeszcze bliżej. Spletliśmy nogi i ramiona.

- Wiesz co? - mówi ona.

- Co?

- A, nic,

- Aha.

Mija peina wyczekiwania minuta.

- Wiesz co? - mówi ona.

- Co?

- Nic.

O, nie. Nocne duchy, zabierzcie mnie stąd.

- Wiesz co? - mówi ona.

- No?

Chwila przerwy.

- Kocham cię - mówi ona,

Coś gdzieś głęboko we mnie brzdęknęło i dopiero po paru sekundach przypomniałem sobie, że należy oddychać. Bardzo starannie przeanalizowałem całą sytuację, przebiegiem myślami wszystkie możliwości, rozważyłem kilka możliwych reakcji, po czym zrobiłem to, co zawsze robię, kiedy mam przed sobą jakiś trudny wybór. Czyli nie. Całe szczęście, że nie byłem Zofią w *Wyborze Zofii*. Które dziecko mam ocalić przed zagładą w Auschwitz? Hm, niech się chwilkę zastanowię. No, tak. Muszę rozważyć wszystkie za i przeciw, zajmie mi to chwilkę, jedno jest zdrowe, drugie zaś inteligentne, jedno ma wspaniałą osobowość, za to drugie jest wyjątkowo odważne. Ojej, czas już minął? Jak to, zabieracie obydwójce? Uff, co za ulga.

Tik-tak-tik-tak. Chciałem coś powiedzieć. Ale nic nie powiedziałem.

Potem więc jeszcze przez jakiś czas ją przytulałem i całowałem. Myśląc sobie, że może zapomni o tej chwilowej, niezręcznej sytuacji.

Jak będę miał następną dziewczynę, to już nie będę smutny ani dziwaczny, ani nieprzystępny. Dam jej wszystko, czego będzie chciała, i jeszcze więcej. Wielką emocjonalną kartę kredytową. Już mi się nie włączy program uciekania od intymności.

Ale najpierw muszę iść świętować narodziny nie mojego dziecka.

Mike wrócił dzisiaj do pracy, ale Karin wciąż leży w Szpitalu Nowojorskim. Stworzenie ma dwa dni-wygląda jak wstępny projekt człowieka. Oczekuje się ode mnie stwierdzenia, że jest słodkie, postanawiam jednak nie zajmować określonego stanowiska. Muszę sobie zostawić możliwości manewru.

- No powiedz, czy to nie najśłodsze dziecko na świecie? To pierwsze słowa, jakie padają z ust Karin. Cała jej twarz

się błyszczy, jakby ktoś po niej przejechał szlifierką i potem

nałożył warstwę wosku do polerowania karoserii. W ostatnich dwóch miesiącach ciąży osiągnęła przerażające rozmiary. Zaczynały też w niej rosnać obawy, dało się to zauważyć. Nic nie mówiłem, ale w skrytości ducha zastanawiałem się, czy nie urodzi przypadkiem volkswagena.

Cała jej twarz jest zalana promiennym uśmiechem. Nawet jej włosy są jakieś radosne.

- No powiedz! - nalega.

- Nie wiem. Może się przejdę na oddział noworodków i porównam ofertę,

Ale tego nie mówię.

- No jasne - mówię.

- Fajny dzieciak - mówię.

- Niezła robota. No, z tym porodem i w ogóle - mówię.

Zawsze słyszałem, że rodzice przechodzą jakąś taką transformację łączy mózgowych, w związku z czym nie mieści im się w głowie, że ich dziecko mogłoby nie być najrozkoszniej-szą istotą, jaka kiedykolwiek brudziła pieluszki. Wciąż czekam na to, żeby ktoś mi udowodnił, że to nieprawda, ale jakoś nikt się do tego nie kwapi. Mam dużo całkiem inteligentnych znajomych, specjalistów od inwestycji bankowych, lekarzy i tak dalej. Teoretycznie są na tyle rozgarnięci, żeby być w stanie sobie wykombinować, że mniej więcej połowa niemowląt musi być poniżej przeciętnej. Ale jak do tej pory nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby jakiś świeżo upieczony tatuś czy mamusia mówili: „Czy nie wydaje ci się, że nasz dzidzius nie jest tak słodki jak większość dzidziusiów? Szczerze mówiąc, trochę mnie to dziecko rozczarowało. Ale co tu się dziwić - spójrz tylko, jakich ma rodziców”.

Nic zadaję żadnych pytań na temat fizjologii, z wyjątkiem niepewnego: „To jak, ee... minął, ce... ten cały, ee... poród?”. Wydaje mi się bowiem, że byłoby niegrzecznie nie dać jej szansy opowiedzieć mi o tym, co w końcu stanowi najbardziej niezapomniane doświadczenie jej życia, choć

mnie ono kompletnie nie interesuje. Jest to jedyne pytanie, jakie w tej kwestii zadaję. Mam po temu powód: nie chcę wiedzieć. Jakoś jednak tak się dzieje, że w ciągu kolejnych dwudziestu minut, starając się jedynie być uprzejmym i grzecznie potakując, dowiaduję się że:

1. Lekarze musieli wyciąć Karin ogromną dziurę w poprzek brzucha.

2. Musieli zrobić jeszcze jedno wielkie cięcie, tym razem podłużne, w jej macicy.

3. W tej chwili te rozcięte części jej ciała trzymają się razem za pomocą z s z y w e k.

4. Od czasu porodu nie puściła jeszcze bąka, a to, jak się okazuje, bardzo niedobrze.

5. Jedynym źródłem pożywienia, jakie w tej chwili ma niemowlę, jest to, co uda mu się wyssać z piersi Karin.

- Chcesz potrzymać dziecko? - pyta Karin.

Nie. Dlaczego kobiety zawsze zadają to pytanie? Czy nie zdają sobie sprawy, że uczucia, jakich one doznają, kiedy trzymają na ręku swoje niemowlę (czyli niezrównana radość, miłość i duma, że udało im się urodzić dziecko bez rozszczepu kręgosłupa czy czegoś takiego), różni się od uczuć, jakich ja doznaję, kiedy trzymam na ręku cudze dziecko (czyli całkowitej obojętności)? Wciąż jeszcze lubię Electric Light Orchestra (owszem, tak), ale nigdy nikogo nie zmuszam, żeby też ich słuchał.

- Tak - mówię.

Trzymam więc na ręku dziecko. Podtrzymuję mu głowę i myślę sobie, że jest ona wielkości niedużej kapusty. Nic dziwnego, że mówi się, że dzieci znajduje się w kapuście, Karin idzie do toalety (czy mi się zdaje, czy unoszą się wokół niej jakieś gazy?), a pod jej nieobecność ukradkiem obmacuję główkę dziecka, żeby sprawdzić, czy są na niej jakieś

miękkie miejsca. Ale zdaje mi się ona raczej twarda. Myślałem, że główki noworodków są jak tygodniowe banany. I znów się zawiodłem.

- Co robisz? - to wróciła Karin. Przyłapała mnie na tym, jak gorączkowo obmacuję główkę jej nowo narodzonego dziecka.

- Nic, tylko tak, nie wiem - trzeba zmienić temat. Strzelaj! - Ona jest taka, no, milusiał

- Mów do niej coś! - rozkazuje Karin. - To dzieciom dobrze robi.

Wyobrażam sobie, jak za osiemnaście lat to dziecko z rozczarowaniem otrzymuje cienką kopertę z uniwersytetu Stanford, albo i z jakiegoś mniejszego uniwersytetu. Tylko dlatego, że nie pozwoliłem jej umysłowi należycie się rozwinąć podczas tych milczących czterech minut, które z nią spędziłem, kiedy miała parę dni.

- Ee... - mówię. - Cześć, dzidzia. Jesteś naprawdę bardzo... malutka. Jak minął poród? Fajna dzidzia. Miło cię poznać. Mam nadzieję, że masz się dobrze.

Proszę Karin o wybaczenie, niestety muszę już iść (mamroczę, że „mam ostatnio dużo pracy” - no ładnie: po raz pierwszy użyłem tej wymówki wobec noworodka!) i rzucam się do ucieczki. Muszę przejść obok szpitala onkologicznego po drugiej stronie ulicy. Jest tam bezdomna kobieta. To znaczy niezupełnie bezdomna, zdaje się bowiem zamieszkiwać wyłom w murze budynku, mieszka sobie we wnęce. Leży tam sobie tyłem do ulicy, twarzą do budynku. Ma ściągnięte w dół spodnie, które odsłaniają plamiste, sinawe pośladki, jakby mówiła światu, żeby ją pocałował w dupę. To dopiero fatalne życie, mieszkać przy szpitalu onkologicznym. Chociaż z drugiej strony, lepiej być na zewnątrz niż w środku. Jakaś kobieta przechodzi obok ulicą. Nie ma lewej ręki. To są, ludzie, którzy naprawdę mają powód być załamani. Ale czy są?

No, chyba tak, takie przynajmniej sprawiają wrażenie. Ja z kolei nie mam absolutnie żadnego powodu, żeby być załamany. A jednak jestem. Co z kolei powoduje, że załamuję się jeszcze bardziej. A na dodatek teraz jeszcze do mojego załamania dochodzi odrobina poczucia winy.

Piątek, 13 lipca

Po pracy wracam do domu i czuję się gruby (zdaje mi się, że zaczyna mi się robić cellulitis - na podbródku) i wyrzucam do śmieci wszystkie obrzydliwie tuczące chnipy, nie mówiąc już o wstrętnych słodyczach. Myślę o tym, co będzie jutro. Jutro jest ten występ Julii. Ona wie, że chciałbym tam być. Dawałem jej to do zrozumienia. (Na przykład lak: „Mej, może mógłbym wpaść na ten twój występ czternastego?”). Ale w tym tygodniu nic o tym nic wsfKiminała. Może zadzwoni. Chociaż pewnie nie.

Jest piątek wieczór, co trzeba przecież uczcić, włączam więc telewizor i oglądam baseball. Włączam też płytę. Oraz otwieram okno. Potrzeba mi hałasu, żeby zagłuszyć krążące po mojej głowicy myśli o Julii. I tak co rusz coś mi o niej przypomina - a to dzwoni telefon, a to słyszę dźwięk nowej wiadomości na komputerze w pracy, albo jakąś piosenkę, którą ona lubi, albo zanim się zorientuję, to już siedzę przed telewizorem i oglądam jakiś film, o którym z nią rozmawiałem, a to jeszcze coś innego się dzieje, no i w efekcie myślę o niej niemal przez cały czas, codziennie.

Jeśli zaś chodzi o stan mojego mieszkania, no cóż. Zwykle widać po nim, że ktoś tu żyje. W tej chwili można by jednak raczej wywnioskować, że ktoś tu zmarł. Zdecydowanie trzeba by trochę posprzątać. Na szczęście nie ma tu zbyt dużo przestrzeni. Wypsikanie wszystkiego, co mam w zasięgu wzroku, toksycznym płynem i wytarcie tego potem do sucha nie zajmuje mi aż tyle czasu, ile się obawiałem. W powietrzu zaczyna unosić się cytrynowy, nieco mdlący zapach.

Dzwoni telefon. Jest ósma pięćdziesiąt pięć.

Zapadam w swój wielki skórzany fotel - siadam w poprzek, przerzucając nogi przez jego poręcz. Na spiętrzonyj przede mną górze czarnego plastiku nie ma ani pytki, cała lśni. Wydaję z siebie ostrożne „halo”, Nie znoszę tego, kiedy odbierani telefon wesołym, pewnym głosem i okazuje się, że to jakiś telemarkting. Czuję się wtedy wykorzystany.

- To ja - odzywa się głos, który chcę i nie chcę słyszeć najbardziej na świecie.

Cholera. Jest piątek. Przyłapała mnie na tym, że siedzę w domu i nic nie robię.

- Jak leci? - pytam.

- Dobrze... - Jej wypowiedzi często kończą się zawieszeniem. Julia wyznaje wiarę w słowa niewypowiedziane. Każda rozmowa z nią to jak szukanie dobrze ukrytego wielkanocnego jaja. Ale takiego raczej satanistycznego - szukasz niewinnego jajeczka, a znajdujesz granat w kolorach tęczy.

- Jakie masz plany na dziś? - pytam, jak zawsze.

- Żadnych - odpowiada ona, jak zawsze. - A ty? Szybko rozważam w milczeniu możliwe opcje.

1. Powiedzieć prawdę: Właśnie sprzątałem mieszkanie z ferworem, który by wprowadził moją matkę w zdumienie połączone z zachwytem. Co więcej, gdyby teraz była tu moja matka, to po raz pierwszy od roku 1984 mielibyśmy o czym ze sobą rozmawiać.

2. Spreparować napędce jakieś naprawdę słabiutkie kłamstewko.

- A nic, zaprosiłem paru przyjaciół na kolację - mówię. No jasne, będzie Kim Lan, Dr. Oetker i Johnnie Walker.

Biore głęboki wdech, przygotowując się na kolejne pytanie.

- Tak sobie tylko myślałam - mówi, jak zwykle zmierzając do celu metodą wycofywania się. A kiedy ona cofa, to

jakoś zawsze ja jestem tym facetem, który stoi z tyłu za samochodem i patrzy w przeciwną stronę. Uwaga! Uwaga! Z drogi! - Masz jakieś plany na jutro?

Wypuszczam powietrze z płuc. Jutro jest ten jej występ. Pokaz tańca. Grupa taneczna, do której należy Julia (a oprócz niej jeszcze jakieś małe dziewczynki), ma jutro wieczorem amatorski występ w szkole średniej w South Norwalk. Julia będzie brać udział w dwóch układach, a zważywszy, że jest zachwycająca nawet, kiedy sobie zwyczajnie siedzi, to oddałbym swoje lewe jajo, żeby zobaczyć, jak tańczy. Chociaż nie, lewe jajo jest mi potrzebne. No to śledzionę. Albo trzustkę. Jakiś taki mniej potrzebny organ.

Ale ona zaraz mi powie: „Proszę cię, nie przychodź”.

Zaraz mi powie: „Będzie tam Duanc {a on jest od ciebie wyższy}”.

Zaraz mi powie: „Czy ty nie widzisz, że to już skończone?”.
Zaraz mi powie: „Przestań się wreszcie koło mnie kręcić”.

- W sumie miło by było zobaczyć, jak tańczysz - mówię, badając temat.

- Tak myślisz?

- Myślę, że to może być całkiem fajne - mówię.

- Ale przecież to będzie beznadziejne!

- Jakoś nie chce mi się wierzyć - mówię. - Myślę, że to będzie śliczne. - Powiedziałem „śliczne”? Ta panna powoduje, że używam takich słów jak „śliczne”.

- Przejedziesz taki kawał drogi, a potem sobie pomyślisz „zmarnowałem całą sobotę, a tyle fajnych rzeczy mógłbym /robić”.

Co niby takiego fajnego mógłbym zrobić, jeśli ona by nie brała w tym udziału?

- I tak nie mam nic lepszego do roboty - kłamię. Zdażyłem już wymigać się od udziału w chrzcinach oraz ślubie. Oczywiście uie mogłem powiedzieć przyjaciołom, których znam od lat, że nie będę obecny na najważniejszych wydarzeniach ich

życia dlatego, że istnieje niewielka szansa, że pewna dziewczyna, która mi się podoba, pozwoli mi popatrzeć, jak tańczy na betonowej sali wyłożonej linoleum. Powiedziałem więc wszystkim, że nie mogę iść, bo moja matka ma torbiel jajnika. (Lekcja numer jeden - kiedy się kłamie, warto się wysilić. Należy podawać informacje na tyle szczegółowe, żeby nikomu nawet nie przyszło do głowy, że to kłamstwo. Lekcja numer dwa: trzeba wybrać taki temat, o którym ludzie nie będą chcieli za bardzo dyskutować).

Omawiamy rozkład jazdy pociągów, możliwe miejsca spotkań. Nocą może nie być już pociągów z powrotem do miasta, mam więc na wszelki wypadek przywieźć ze sobą coś do spania, w razie czego mogę przenocować u jej rodziców.

- W sumie cieszę się, że przyjedziesz - mówi. Mhmmm.

- Aha, tak przy okazji - dodaje ona. - Może tam być Duane...

- Aha - mówię.

- Mam nadzieję, że nic masz nic przeciwko? - mówi ona.

Odpowiadam jakimś mruknięciem. Po czym odkładam

słuchawkę i siedzę w pokoju, słuchając wieczornej symfonii alarmów samochodowych na Osiemdziesiątej Trzeciej Ulicy.

Cofamy taśmę

Ale wróćmy do początku. Do tego, jak to się w ogóle wszystko zaczęło. Właściwie trudno by to było nazwać randkami - już prędzej były to dawki. Mocne dawki, nieregulowane przez standardy Izby Lekarskiej.

Pierwsza dawka

W posepny lutowy wieczór siedzę sobie w moim boksie w redakcji ze słuchawką przy uchu. Czyżbym chciał się znów wplątać w jakieś tarapaty? Nie, chcę tylko zamówić „kurczaka po chińsku”. Jest ósma, a ja zamawiam właśnie czwarty tego dnia posiłek. Na moim biurku walają się oferty, makiety, czasopisma i moje półbuty w rozmiarze 42.

- I jeszcze smażony ryż z wieprzowiną - mówię. - Jak długo to potrwa?

- Jakies dziesięć minut? - mówi dziewczyna po drugiej stronie linii.

Odkładam słuchawkę i wracam do swoich zajęć redakcyjnych. Po prostu zajmuję się swoimi sprawami. Chociaż właściwie to nie - zajmuję się sprawami idoli i przestępców.

A tu siedzi Tom Farrell - mówi Hyman Katz, najstarszy n.i świecie asystent redakcyjny, człowiek, który w swojej skórze czuje się tak świetnie i jest tak oddany swojej misji (którą jest bycie Hymanem Katzem 24 godziny na dobę), że wszyscy, mówiąc o nim, używają zawsze jego pełnego imienia i nazwiska: Hyman Katz. Pracuje w tej gazecie od

trzydziestu lat, dostarczając fakсы, odbierając telefony i robiąc to wszystko, co się tu robiło w dawnych czasach: odszyfrowując wiadomości zapisane morsem, mieszając kadzie z tuszem drukarskim, jak również przekazując kolejnym pokoleniom asystentów i asystentek swoją wyrafinowaną, wielkomięjską zgorzkniałość. Dzisiaj jest z nim jakaś nowa. Niesie stertę faksów, wyciąga z niej jeden i mi podaje.

Podnoszę wzrok. Ona się uśmiecha. Jej twarz poraża mnie niczym nagły wybuch urośli. Mam oczy wielkie jak pluszowy miś.

A tymczasem Hyman Katz prowadzi ją dalej. O rany.

Jedyne, co mnie teraz z nią łączy, to faks, który trzymam w dłoni.

Spółka HJB

Do: Redaktora/Producenta

Od: Cheryl Wang, wiceprezes działu reklamy, tel. 525-9411 **

DO NATYCHMIASTOWEGO ROZPOWSZECHNIENIA **
Magazyn „Randy” ogłasza poszukiwania najpiękniejszej kobiety świata roku 2001.

Potem już nie widzę jej w redakcji. Nie wiem, jak ma na imię. Nie jestem nawet pewien, w którym dziale pracuje. A jeśli znów ją zobaczę, to co jej powiem? „Mam na imię Tom. Myślę, że jesteś... niesamowita”.

Druga dawka

Tydzień później. Są walentynki. Po pracy idę do baru U Langana z Bran Lowenstein, z którą od lat standardowo umawiam się na randki. Znamy się już nad wyraz dobrze. Niejednokrotnie już dzieliliśmy się ze sobą najinnych mniejszymi szczegółami naszego życia, leżąc w łóżku o drugiej w no-

cy - z tym, że ona leżata w swoim łóżku na Osiemdziesiątej Siódmej Ulicy, a ja w swoim na Osiemdziesiątej Trzeciej.

Bran ma czarne oczy, czarne włosy i lubi czarny humor. Pierwszą rzeczą, jaka powoduje, że się człowiek zastanawia, czy ona właściwie jest atrakcyjną kobietą, jest jej nos, który raz w żartach (choć uwaga ta całkiem nieźle oddawała rzeczywistość) nazwałem przy niej „dziobem”. Jej reakcja nie była najlepsza. Żadna panna, choćby miała nie wiadomo jakie poczucie humoru, nie zniesie, żeby ktoś się wyśmiewał z jakiejś części jej ciała. Naprawdę. Choćby i ze stóp. One myślą, że to bardzo szkodzi urodzie, jeśli ma się poniżej kostki solidny kawałek ciała. Są przekonane, że faceci siedzący w knajpie mówią sobie; „Ta Rebeka, jest w sumie całkiem niezła, ale słyszałem, że nosi pantofle w rozmiarze 43”. „O, nie! Stary, co ty gadasz! Już nigdy więcej na nią nie spojrzę! Przecież w takim razie nie zostaje już nic oprócz jej cudownej twarzy, włosów, cycków, brzucha i tyłka!”.

Tak przy okazji, stopy Bran przypominają kajaki. Jeśli jednak chodzi o jej nos, to po pewnym czasie człowiek zdaje sobie sprawę, że jest to jej największa ozdoba. Za każdym razem, kiedy ją widzę, to właśnie ten nos mnie kompletnie rozbija. Spotykamy się raz na jakiś czas, żeby pójść do kina (jako feministka upiera się, że będzie płacić za co trzeci) oraz ponarzekać na aktualny brak chłopaka/dziewczyny. Nie widuję jej jednak zbyt często, bo przez większość czasu jest gdzieś w terenie, w pogoni za jakąś historią, którą opisuje. Pracuje przy produkcji jednego z tych programów telewizyjnych, z których dowiadujesz się, że mrożony jogurt wcale nie jest niskotłuszczowy, że twój otwieracz do puszek stanowi śmiertelne niebezpieczeństwo i takie tam.

Spędzając czas z Bran, mogę gratisowo podbudować swoje poczucie męskości. Zawsze mam wtedy wrażenie, że jestem wilkiem w wilczej skórze, a nie owcą w owczej. Bran jest ode mnie trochę wyższa, co mnie zmusza do tego, żebym stał

prosto. Myśli co najmniej tak samo szybko jak ja, muszę więc przy niej wyteżać uwagę. Widziałem raz taki film, gdzie dzieciak ze zdeformowaną twarzą wchodzi do gabinetu luster, a w lustrze, które wykrzywia wszystkie inne twarze, jego twarz wygląda nareszcie normalnie. Bran jest dla mnie takim właśnie lustrem.

- Wyglądasz... - mówi Bran.

- Tak?

- Wyglądasz, jakbyś zwracał uwagę na to, jak wyglądasz

- mówi Bran. - Dla odmiany.

Bran nie kryje w zanadrzu pretensji do świata - ma je zawsze na wierzchu, żeby móc cię nimi bombardować. Myślę, że to z powodu jej imienia: Brandy. Brandy Lowenstein, prawdopodobnie jedyna Żydówka na Long Island o takim imieniu. Jest na tym punkcie wrażliwa. Kiedy rodzice dają komuś na imię tak, jak nazywa się popularny gatunek alkoholu, to ludziom zaczyna pracować wyobraźnia. A przy tym brandy, jak zresztą uparcie jej przypominam, to chrześcijański trunek.

- Ubrania dobrze na mnie leżą - mówię. - Nie chcę się chwalić, ale mam budowę zawodowego sportowca. Takiego na przykład zapaśnika sumo.

Mam długie, rozczochrane włosy, które nadają mi wygląd gwiazdy rock and rolla, albo może samotnego rewolwerowca. Ale nadrabiam to strojem: marynarka w brązową pepitkę, koszula w kolorze miodowym („miodowy” - kolejne słówko, które podłapałem od dziewczyn, razem z „wrzosowym” i „łososiowym”) i jednobarwny, granatowy krawat. Tak, przeważnie noszę marynarkę. Dzięki temu moje ramiona wyglądają na nieco solidniejsze. Chirurgiczne implanty ramion

- mogą być dowolnej wielkości. Mam też na sobie stylowe czarne spodnie i wypastowane markowe buty. W którymś momencie, gdy dobiegałem już trzydziestki, odkryłem, że niezależnie od wszystkich innych atutów mężczyzna może z miejsca zostać skreślony z powodu niewłaściwego obuwia.

- To nic do wiary - żebym nie miała z kim pójść na randkę? - mówi Bran.

- Ja też cię kocham - odpowiadam.

- A co z ciebie za amant - mówi ona. - Mogłeś chociaż narobić mi obciachu w pracy i przysłać mi jakiś wielgachny bukiet głupich róż.

- Może przysyłałbym ci kwiaty, gdybyś się ze mną ciupciała - mówię.

- Może bym się z tobą ciupciała, gdybyś przysyłał mi kwiaty - mówi ona. - Nic znoszę walentynek.

- Uwielbiam walentynki - mówię ja.

Jakaś drobna brunetka przepycha się kolo mnie w stronę baru. Uśmiecha się do mnie nieśmiało. Muszę przyznać, że kiedy tylko jestem gdzieś z jakąś panną, to mam nieodpartą potrzebę obrzucać okiem wszystkie panny dookoła, żeby sprawdzić, jak na ich tle wypada ta, z którą przyszedłem.

- Cześć, ślicznotko - mówię, żeby wkurzyć Bran. - Świetne buty,

Wszystkie panny uważają, że mają fantastyczne buty, ale są tak kompletnie nienawykłe do tego, żeby jakikolwiek facet zauważał to, z czego są najbardziej dumne, że czasem udaje się na takim komentarzu pociągnąć dobre trzy minuty konwersacji. Dodatkową korzyścią jest to, że wiele dziewczyn wychodzi wówczas z założenia, że skoro zwracasz uwagę na ich obuwie, to musisz być gejem, dzięki czemu nieraz przestają się pilnować i zanim się zorientują, może się nawet udać zacząć z nimi poważną rozmowę. Na początek lepiej, żeby cię miały za geja.

Twarz drobnej brunetki już lekko promienieje. Dziewczyna chce coś powiedzieć, ale Bran nie dopuszcza jej do słowa. Jesteś chory - mówi głośniejszym niż to konieczne.

Moja drobna brunetka i jej twarz odsuwają się. No ale serio - mówię. - Spójrz tylko dookoła.

Pomieszczenie jest pełne zebranych w żałosne grupki samotnych kobiet. Przyszły parami, wspierając się nawzajem, albo odważnymi, pełnymi energii trójkami.

- No i co? - pyta Bran.

- Ta knajpa - mówię - to najzwyczajniejsza w świecie irlandzka spelunka: drewniane panele na ścianach, sport w telewizorze nad barem. Nie jest trendy, nie jest na fali, z głośników nie leci idiotyczne europejskie techno. Tutaj ważny jest alkohol i faceci, którzy lubią go pić. Ale nawet tutaj jest dzisiaj mnóstwo fantastycznych babek. Normalnie nie da się spotkać szalowej dziewczyny, która by nie miała chłopaka. Ale dziś wieczór wszystkie samotne kobiety myślą sobie „Muszę być twarda! Niech mnie ktoś oderwie od tych chusteczek i filmu *Pretty Woman*!”, Wszystkie więc wyszły dzisiaj się zabawić. Co więcej, dziś wieczór wiadomo, że jeśli widzisz kobietę bez faceta, to znaczy, że ona nic ma faceta - nie ma więc obawy, że stracisz pół godziny, zagadując jakąś ślicznotkę, a potem ona wyjedzie do ciebie nagle z ememżet.

- Ememżet? - pyta Bran.

- „Mężczyzna mojego życia”.

- No tak, szkoda, że tak tu ze mną utknąłeś - mówi Bran.

- A może się właśnie na ciebie uparłem? - mówię ja.

- Oj, przestań już - mówi ona.

Nie jestem pewien, czy Bran mnie kręci. Za każdym razem, kiedy rozważam możliwość konsumpcji, nie mogę się powstrzymać, żeby nie polać jej sosem sarkazmu. Wiem jednak z całą pewnością, że kiedy jestem z nią w knajpie pełnej kobiet patrzących wokół wygłodniałym wzrokiem, to panny się na nas patrzą. I myślą sobie: „O, ten zaliczył test u tej dziewczyny”, „Ma certyfikat, że nadaje się do użytku”. Powiedzmy, że w knajpie siedzi pięć samotnych kobiet i spotykają one pięciu facetów. Czterech z nich jest samotnych, ale piątemu udaje się mimochodem wspomnieć o tym, że spotyka się z pewną znaną modelką. Wszystkie panny polecą na tego faceta od modelki.

Wtedy właśnie pojawia się Laurel, nieco nerwowa młoda reporterka z działu miejskiego, żując pasmo swoich włosów i rozglądając się naokoło.

- Cześć - mówię, pochylając się celem obowiązkowej wymiany pocałunków. Nigdy nie jestem pewien, czy powinienem wówczas naprawdę starać się dotknąć ich policzka, ryzykując, że popsuję im makijaż, czy raczej zachować się jak totalny fałszywiec i tylko musnąć powietrze ustami. No a do tego dochodzi oczywiście jeszcze kwestia śliny, poza tym piję piwo, co powoduje, że mam wilgotne usta, co mogłoby /kolei wywołać wrażenie, że się ślinię. A nic jest miło, kiedy po takim „muśnięciu” panna ociera sobie policzek.

Przedstawiam Laurel moją towarzyszkę.

- Hej - mówi Laurel. I odwraca się, żeby wyrwać z tłumu za sobą jeszcze kogoś. - To jest Julia.

I wówczas zauważam, jak przez tłum przy barze przeciska się najcudowniejsza na świecie dostarczycielka faksów. Wydaje się maleńka, jak gdyby przytłoczona, przestraszona tym miastem.

- Jestem Tom - mówię, jak gdybym nigdy wcześniej nie /wrócił na nią uwagi, a wówczas następuje nerwowe uściśnięcie dłoni - nasz pierwszy kontakt fizyczny. Kiedy to się zaczęło, to ściskanie dłoni kobietom? Czy mam im serwować mocny, męski uścisk dłoni, jak kiedy witam się z face-lem, ryzykując połamanie jej delikatnych, ptasich kosteczek? Czy powinienem raczej być delikatny i tym samym występować od tej pory w ich świadomości pod etykietką „niemoty”? Spójrzmy prawdzie w oczy - kiedy masz do czynienia z kobietami, nic nie jest proste.

Julia nic nie mówi. Bran i Laurel zaczynają natychmiast wspólnie narzekać na walentynki. Laurel właśnie zabija czas, bo jest potem umówiona ze swoim chłopakiem, który mimo że spotyka się z nią od roku, to nie przystał jej dzisiaj kwiałów. Koleś nie mógłby postawić sprawy bardziej jasno,

nawet gdyby wynajął w tym celu powierzchnię reklamową na mieście: nie ma zamiaru się z nią ożenić. Laurel i Bran urządzają sobie na ten temat długą debatę w stylu szkoły ateńskiej. Za każdym razem, kiedy zbliżają się do oczywistej konkluzji, jakoś się przed nią wzbraniają. Ostatecznie dochodzą do wniosku, że Laurel powinna teraz wzbudzić w nim poczucie winy, tak żeby musiał jej kupić jakiś drogi prezent. W ten sposób będzie mogła się pocieszyć miłym symbolem jego uczuć, których on najwyraźniej wcale nie żywi. A prezent będzie się zarazem świetnie nadawał do tego, żeby mu nim cisnąć w twarz, kiedy w końcu doprowadzi go do tego, żeby z nią zerwał.

- Ale może ja się tylko oszukuję? - rzuca Laurel.

- Z tego, co mówisz, to on mi wygląda na jednego z tych beznadziejnych marzycieli, którzy nie mają za grosz ambicji - mówi Bran. - Oj, Tom, przepraszam, nie gniewaj się.

I tak ich nie słucham. Sącze pomału swoje małe piwo, a jednocześnie wielkim haustem pochłaniam Julię. Jest niemiłosiernie piękna. Ma skórę jak z reklamy żelu do kąpieli „Słoneczne chwile”. Wygląda tak, jakby codziennie rano leciutko muskały ją promienie śródziemnomorskiego słońca. Jej usta przywodzą na myśl pierwszą butelkę wina, jaką się w życiu upiłeś. Popielatozłote włosy spływają kaskadami na jej ramiona i bezlitośnie opadają na oczy, niczym rwąca rzeka pożądania. Chcę się zanurzyć w jej włosach. I te zielone oczy, ciepłe jak kominek w Boże Narodzenie, a naokoło nich, w kącikach, załamanie światła. Takie delikatne, spokojne oczy, w których kryje się jakieś pragnienie. Takie oczy miewają poeci - cierpliwe i ciche, oczy przepełnione lekkim, choć stałym, rozczarowaniem. Oczy, które mówią „czasem lubię cierpieć”. A nad nimi prawdziwe brwi - a nie jakieś absurdalne namalowane ołówkiem protezy w miejscu rytualnie wyskubywanych włosków. Nie wydaje mi się, żeby miała na sobie jakiś makijaż oprócz szminki. Dobry makijaż pole-

ga na tym, żeby kobieta wyglądała tak, jak wygląda bez niego.

Po chwili jednak robi się już nieco dziwnie, tworzą się jakieś nieciekawe klimaty. Laurel po prostu wychodzi. Idzie szukać swojego m.m.ż. Natomiast Bran, stwierdzając, że w tej knajpie nie ma dla niej żadnego potencjalnego m.m.ż., zaczyna coś marudzić, że chce iść do domu pooglądać maraton *Pretty Woman* na kablówce, więc odprowadzam ją do laksówki. Tyle fantastycznych babek, a ja nic jestem niczym m.m.ż. A ostatni raz robiono mi loda chyba p.n.e,

Po czym dzieje się coś jeszcze dziwniejszego - Julia, to przesłodkic maleńkie stworzonko, wcale się nic spieszy. Kto by przypuszczał, że coś takiego może się zdarzyć? Ale z drugiej strony, równie mało prawdopodobne jest, żeby trzech niezwiązanych ze sobą nijak koleśi o nazwisku Taylor wylądowało niezależnie od siebie w zespole Duran Duran.

- Mogę ci postawić drinka? - wypalam idiotycznie. Tego mdzaju pytania nie są zupełnie w moim stylu, wychodzą mi jak reklama Martini z roku 1979.

Ona jednak mówi mi na to coś przepięknego. Tak.

1 jest to pierwsze słowo, które do mnie wypowiada. Wezmę chyba dzin z tonikiem - mówi, ale wciąż nic zdejmuję swojego przesłodkiego żółtego płaszczyka. „Prze-Jodkiego”? Czyja powiedziałem „przesłodkiego”? Kiedy stoję przy barze, zagaduje mnie jakiś stały bywalec.

Wyglądasz mi na jakiegoś pisarza czy kogoś takiego mówi facet, który wygląda tak samo jak wszyscy faceci z Long Island, jakich w życiu widziałem, z tym że jest od nich o głowę niższy. - Wyższa klasa, co? No wiesz, skarpetki dobieram pod kolor, Pewnie wiesz wszystko o tych tam porównaniach i metaforach, no nie?

Cos tam wiem - mówię.

- No to co to jest taka metafora, to chyba wtedy jak się porównuje coś do czegoś, używając słowa „jak”, zgadza się?

- To jest porównanie - mówimy z Julią jednocześnie i razem się uśmiechamy. Zawsze jestem gotów paść do stóp pannic, która zna gramatykę.

Mam myśl: może mógłbym wciąż wywoływać uśmiech na jej twarzy. Ale jeśli będę zamiast z nią rozmawiał z tym gościem, to będę robił wrażenie, jakby mnie ona nic nie obchodziła. Będę luzakiem. Bycie luzakiem wychodzi mi najgorzej. Mój osobisty doradca Koneser zawsze mi powtarza: „Zachowuj się tak, jakbyś był koleś, który wciąż ma do czynienia z gorącymi laskami”.

- Jestem John - mówi ten koleś.

- Tom - mówię ja. - A ta milcząca dama to moja nowa znajoma, Julia.

Ściskają sobie dłonie. Miło, miło.

- Dzięki za drinka - mówi Julia, po czym zapala papierosa i macza usta w dżinie z tonikiem. - Będę się nim po cichutku rozkoszować.

Ja nie palę. Nie lubię palić. Ale lubię palaczy. Prawie wszystkie co ciekawsze rozmowy, jakie odbyłem w tym mieście, mogłem sobie następnego dnia zeskrobywać z płuc.

- Pracujesz w „Timesie”? - zgaduje John.

- Nie, w „Brukowcu” - mówię. - Bardzo mi przykro.

- A dlaczego nie w „Timesie”? - mówi, wyraźnie rozczarowany.

Ludzie często zadają mi to pytanie. Dlaczego nie w „Timesie”? Świetnie sobie radzę. Zarabiam sporo kasy. Czy to naprawdę ma znaczenie, że pracuję w gazecie, której pierwsze wydanie tak roi się od błędów, że redakcyjni dowcipnicy nazywają je „brudnopisem”? Czy to ważne, że tusz z nagłówków tak się maże po rękach, że po tekturze odczuwasz fizyczną (oraz moralną) potrzebę zmycia z siebie tego brudu?

Nie, to wszystko nie ma znaczenia - pracuję tam dlatego, że uwielbiam te skoki adrenaliny, swobodę pracy, walkę na śmierć i życie. No a poza tym redaktorzy „Timesa” nigdy do mnie nie oddzwaniają.

- W „Timesie”? - mówię tak, żeby Julia też usłyszała.

- Dlaczego miałbym się godzić na obcięcie potowy pensji? Koneser zawsze powtarza: „Na gotodupców laski nie lecą”.

- Myślałem, że w tym waszym fachu to kiepsko płacą

- mówi John.

- „Times” zamiast pieniędzy oferuje prestiż. Ale prestiżem się nie najesz - mówię, choć nie mam pojęcia, ile ptaci „Times”, mogę tylko sobie wyobrazić, że o niebo lepiej niż to, co nam płacą splukani, migający się od podatków australijscy właściciele „Brukowca”. Ale Julia jest w tym biznesie nowa i najprawdopodobniej myśli, że mam pensję godną rekina finansjery.

- Ale „Brukowiec” to dobra gazeta - mówi gość, kiwając głową. - Czytam ją w pociągu.

- Wszyscy ją czytają w pociągu - mówię. - Dopóki ludzie będą srać i korzystać ze środków masowego transportu, to będzie dla nas robota.

Julia się śmieje.

- A czym ty się zajmujesz? - pytam.

- Zgadnij - rzuca on. Ma umięśnione ramiona i szeroki kark pracownika budowlanego. Ma też żelazne dłonie pracownika budowlanego. I spieczoną słońcem skórę pracownika budowlanego.

- Dekoratorem wnętrz? - rzucam. Julia tłumi śmiech.

- Nie - mówi on. - Zgaduj dalej.

- Oj, przepraszam, ale ze mnie palant. Może raczej projektantem wnętrz?

- Nie no, coś zupełnie innego.

- Dyrygentem?

Julia znowu chichocze.

- Nie - mówi John. - No, śmiało.

- Instrukтором sztuk walki?

- E, tam. Daj spokój, jestem brygadzystą na budowie.

- Stawiasz domy - mówię.

- Zgadza się.

- Za to masz u mnie szacunek - mówię i rzeczywiście tak myślę. -

Będiesz kiedyś mógł chodzić sobie po tym mieście z wnukami i mówić: „To zbudowałem. I to też”. Podczas gdy wszystko, co my przez cały rok napiszemy w gazecie, zostanie zapomniane.

Julia zdaje się mnie cicho popierać. Skończyła drinka, więc zamawiam jej następnego.

- Jeszcze raz to samo dla pana? - pyta barman. Pewnie. Z punktu widzenia takiej Julii mogę być całkiem

imponującym gościem. Prostolinijny, szczery. Błyskotliwy, dobrze ubrany, przyjaciel ludu pracy. Jedyne, co mi teraz jeszcze pozostaje dodać do tego obrazka, to parę słów o tym, jak uwielbiam zwierzęta.

- Hej, a skąd jesteś? - pyta John. - Założę się, że z Manhattanu. Ja jestem z Long Island.

- Właściwie to pochodzę z Waszyngtonu - zawsze to mówię, kiedy chcę wywołać u kogoś wrażenie, że jestem synem jakiegoś senatora, podczas gdy w rzeczywistości mój ojciec zajmował się naprawianiem klimatyzacji w Rockville w stanie Maryland, a do tego uważał, że frytki to taki rodzaj warzyw. Żeby móc chodzić do mojej prestiżowej szkoły, musiałem udawać, że mieszkam u bogatej ciotki. Dzieciaki w szkole wyglądały, jakby się urodziły w tych swoich markowych tenisówkach i bluzach. A moja garderoba? Cóż, wyjątkowość miał tu dział chłopięcy lokalnego domu towarowego, aż po sznurowane buty za kostkę, które wówczas stanowiły maksymalny obciach, za to kiedy zacząłem dobijać trzydziestki, w niezrozumiały sposób stały się nagle

krzykiem mody pośród stylowych dzieciaków w tym mieście. (Ja oczywiście już nigdy nie będę mógł ich założyć, podobnie jak sztruksów i dzwoniastych džinsów - co oznacza, że nigdy nie będę trendy). Nie stać nas było nawet na reklamowane wszędzie ciasteczka - u nas w domu jadło się ich tańszą wersję. Na wszystkich naszych szklankach widniały postacie z promocji w McDonalldzie. (Ale coś ostatnio mało widać tego puchatego stworka Grimacc. Co się z nim stało? Może uznano, że jest zbyt zniewieściały? Albo może przeszedł drobną transformację osobowości i teraz występuje jako Barney?). W ostatniej klasie liceum zebrałem wszystkie dziesięciodolarówki, jakie dostawałem od ojca za koszenie trawnika, i zamieniłem je na markową kurtkę z przeceny, żeby się wkrótce przekonać, że właśnie wyszła z mody, więc noszenie jej jest równie trendy co branie udziału w turnieju gry w remika w wiejskim klubie. Tak oto rozpoczęła się moja edukacja na polu mody: kiedy mnie na coś wreszcie stać, to właśnie przestaje to być trendy.

- A czym się zajmuje twój ojciec? - pyta dalej John, jednocześnie przeliczając sobie w głowie, ile mogę mieć odłożone w funduszu powierniczym.

- Obawiam się - mówię - że to tajemnica wagi państwowej.
Julia się śmieje.

A w spodniach podryguje mi coś zdecydowanie twardego. Czas na matą przerwę.

W łazience patrzę w lustro i myślę sobie: minęło już półtorej godziny, a Julia wciąż tu jest. Nie wiem, czy przypadkiem nie planuje w dowolnej chwili się zmyć, ponieważ wciąż nie zdjęła swojego płaszczyka, no ale przecież jesteśmy nie tak daleko od drzwi i nie jest tak znowu ciepło, tak czy inaczej ona wciąż tu jest. Boże, mój Boże - czyżbym faktycznie miał u niej jakieś szanse? A najciekawsze w tym wszystkim jest to, że kiedy ją zobaczyłem po raz

pierwszy, to pomyślałem sobie „E tam, wielkie rzeczy - jeszcze jedna ślicznotka obwarowana aurą nietykalności". Nie zadziałała na mnie aż tak bardzo. Ale teraz myślę sobie: „To jest to!". Może każdy z nas ma tylko jedną taką szansę?

Czas na pogawędkę z moim człowiekiem. Szefuńciem. Panem Podspodniałskim. Moją magiczną różdżką.

- No i jak?

- *No i jak?*

- Jak się masz?

- *Jak się mam? A jak wyglądam?*

- Jak napęczniała parówka.

- *Gorączka często pociąga za sobą obrzęk.*

- Uspokój się. Nie po to tu jesteśmy. Nie załatwię tego, jak będziesz w takim nastroju,

- *Gówno prawda. Po cos' chyba chodzimy po tej ziemi.*

- Nie jesteśmy na ziemi. Jesteśmy w kiblu.

- *Zrób cos', żeby mnie wzięła w usta. Zrób wszystko. O to jedno cię proszę.*

- „O to jedno cię proszę". Była taka piosenka.

- *Ty pieprzona cipo.*

- Próbuję coś tutaj załatwić.

- *No ale widziałeś, jaki ona ma sprzęt?*

- Mhm.

- *Te jej usta? Normalnie dwie poduszki powietrzne, amigo. Tak dojrzałe, że zaraz chyba pękną. A jakie delikaine. I ten kolor. Możesz sobie wyobrazić, jak zajebicie bym wyglądał, jakbym miał na sobie takie usta w charakterze sombrero? OW. Lecimy na nią!*

- Znów napęczniałeś, parowo.

- *Musze, muszę.*

- Pracuję teraz nad podstawą.

- *Wet ją*

- Mam się na nią rzucić?

- *Ja bym się rzucił.*

- Bo jesteś kulasem.

- *Już cię nigdy więcej o nic nie poproszę.*
- Bzdura. Będziesz prosił bez końca. Nigdy nie masz dość.
- *Jesteśmy tylko ludźmi.*
- Ty, no, nic się tutaj nie dzieje. Ona sobie pomyśli, że poszedłem się z tobą pobawić.
- *A mógłbyś? To by zajęło tylko chwilkę.*
- I byłoby bardzo nie na miejscu.
- *Babskie gadanie.*
- Na tym świecie rządzą kobiety. Musimy się dostosować do ich reguł gry.
- *Weź ją.*
- Uspokój się. Barbara Bush.
- *O nie.*
- Hillary Clinton.
- **Bk.**
- Camryn Manheim. Rosie O'Donnell. Oprah Winfrey*.
- *Urna Thurman.*
- Oprah.
- *Umai*
- No dobra, teraz już przeginasz. Liza Minelli.
- *Wygrałeś. Ty skurczybyku'.*
- Uff. Dzięki.
- Siku, siku, mój koniku.
- Tak czy inaczej, nie mogę się na nią lak po prostu rzucić. A co jak mnie wyśmieje?
- *Tu nie ma możliwości porażki.*
- Znowu cytujesz jakiś film Kona Howarda?
- *On nakręcił Nocną zmianę.*

* Camryn Manheim, Renie O'Connell, Oprah Winfrey - znane postacie z amerykańskiej telewizji. kojarzone m.in. z problemami z nadwagą

- Shelley Long.
 - *Ta scena, kiedy jest w majteczkach.*
 - Uważaj, pęczniejesz.
 - *Jej tyłek, kiedy się nachyla nad blatem.*
 - Parówka, przesłań. Bea Arthur. Nancy Reagan.
 - *lackie Kennedy!*
 - Jackie Mason.
 - *Ty pedale.*
 - Ale zadziało.
 - *Nic nie trwa wiecznie - ale trzeba się zawsze umieć zachować po męsku.*
 - Trzeba działać sprytnie.
 - *Facet nie musi mieć mózgu, ważne, żeby miał jaja.*
 - Musi mieć mózg, żeby zarobić pieniądze, które wydaje na laski.
 - *Stephen Hawking to mózgowiec. Hugh Hefner to facet z jajami.*
- Którym wolałbyś być?*
- Jak pozwolisz, żeby jaja za ciebie decydowały, to lądujesz w więzieniu, a tam zostajesz czyjąś kochanką.
 - *Nie spieprz tego.*
 - Staram się, jak tylko mogę,
 - *Jak tylko możesz? Tak jak wtedy z Sabriną Klein?*
 - Wiem, wiem.
 - *Już ją prawie miałeś.*
 - Zachowałem się jak dżentelmen.
 - *Na jej własnej kanapie. Dziewczyna w szlafroku. Położyła ci głowę na ramieniu.*
 - *Źle się czuła,*
 - *To ty chyba źle się czujesz.*
 - Miałem wykorzystać słabość dziewczyny, która spędziła cały weekend w łóżku?

- *Jej głowa. Twoje ramię. To jej ciało. Wszedłbym w nią tak głęboko, że połaskotałbym jej wątrobę.*

- *Myślałem, że na dłuższą metę to się opłaci. Chciałem wzbudzić jej zaufanie.*

- *Zaufanie, no jasne. Ślicznie. Jeśli chcesz być jej siostrzyczką.*

- *Mogłaby mnie przecież palnąć.*

- *Jej głowa. Twoje ramię.*

- *Z dziewczynami nigdy nie wiadomo. Czasem się obrażają, jak się sytuację sprowadza do seksu.*

- *Wszystko się sprowadza do seksu.*

- *Dla ciebie może i owszem.*

- *Ja jestem najpotężniejszą siłą we wszechświecie.*

- *A Bóg?*

- *Dobra, dobra, ja przynajmniej naprawdę istnieję.*

- *Jak to się stało, że nie udało mi się z Sabriną?*

- *Jak daleko od twojej ręki był pasek jej szlafroka? Jedno, kurwa, pociągnięcie i sprawa by była załatwiona.*

- *O Boże. Angela Lansbury. Ethel Merman. Jean Stapleton. Janet Reno.*

- *No dobra, już dobra. Pogadamy później. - Kiedy?*

- *Jakieś dziesięć sekund po twoim powrocie do domu.*

- *Jasne, koleś, załatwione. Muszę cię niestety upchnąć tam z powrotem.*

- *Zawiodłem się na tobie.*

Z powrotem w barze. John gdzieś się zmył. Ale Julia nie. Jak ona właściwie ma na nazwisko?

- *Brouillard - mówi, zaciągając się dymem ze swojego camela light.*

- Francuzeczka? - mówię.
- *Un peu* - odpowiada ona, wypuszczając dym.
- To co dostałaś od swojego chłopaka na walentynki?
- pytam. Tak od niechcienia.
- Nic - odpowiada ona,

Patrzę na nią. Ona patrzy na mnie. I nie rozwija wątku. Jest taka scena w *Fort Apache, the Bronx* (numer cztery na liście moich ulubionych filmów nowojorskich, zaraz za numerem trzy

- *Wojownicy*, numerem dwa - *Nocny kowboj*, no i oczywiście numerem jeden - *Pieskie popołudnie*), w której Paul Newman siedzi w samochodzie w jakiejś fatalnej dzielnicy Bronksu, a razem z nim jest policjantka (która później oczywiście okazuje się ćpunką), którą on od jakiegoś czasu podrywa. Ona się go pyta, dlaczego jeszcze nie wykonałwej stronie żadnego ruchu. On na to: „Nie pcham się na imprezy, gdzie nie byłem proszony”. A ona: „Mam ci wysłać grawerowane zaproszenie?”.

Wiadomość dotarła.

Zaczyna działać bojowe szkolenie wojowników ninja, jakie dostałem od Konesera. Koneser mówi tak: „Kiedy tylko nastąpi Ten Moment, zabierz ją gdzieś indziej”. Już samo wyjście z jednego lokalu i pójście do innego zwiększa szanse przedsięwzięcia.

- Obiecałem kumplowi, że wpadnę do jednego baru. Pójdiesz ze mną?

- Tak - mówi ona.

No cóż, to nie było trudne.

Po drodze ona wspomina od niechcienia coś o tym, jak to ona „z moim chłopakiem” pracowała kiedyś w gazecie w Bridgeport, w stanie Connecticut. Nie jest jasne, czy to „kiedyś” dotyczy także aktualności tego chłopaka. A Bridgeport to taki Bronx, tyle że w Connecticut. Mówię więc „aha”.

Koneser mówi tak: „Wszystkie gorące łaski mają zawsze gdzieś jakiegoś «ehlopaka». Nie przejmuj się tym. Mózg gorącej łaski nie radzi sobie z koncepcją nieposiadania chiopa-

ka. Więc trzymają się tych, co byli ostatnio, dopóki nie zaczną kręcić z kimś nowym".

Julia nie rozwija wątku. A ja nie naciskam.

Szczęście znów się do mnie uśmiecha, kiedy docieramy do South, walącej się, mato znanej spelunki w podziemiach na Czterdziestej Dziewiątej Ulicy. Pete stoi na bramce. Jak zwykle zachowaniem przypomina wielkiego, przyjacielskiego misia, któremu z radości ślina kapie z pyska. Wita mnie męskim uściskiem (zero kontaktu poniżej klatki piersiowej - żeby to osiągnąć, trzeba mocno wypiąć tyłek, czyli przybrać postawę, która niebezpiecznie ociera się o gejostwo, w związku z czym uścisk pomiędzy mężczyznami hetero jest czymś w przyrodzie niezmiernie rzadko spotykanym, wśród gestów towarzyskich jest to coś w rodzaju yeti, którego istnienia nikt nie jest do końca pewien, bo nikt go nigdy tak naprawdę nie widział). Pete jest jedynym właścicielem baru, jakiego znam w tym mieście. Julia tego nie wie. Pete uwielbia dziennikarzy, zawsze nam coś stawia gratis. My za to gratis piszemy o nim w gazetach. Robilibyśmy to samo dla każdego innego właściciela baru. Czemu pozostali sobie lego nie wykombinowali? Zamawiam coś do picia. Pete nie daje mi zapłacić. Nie upieram się.

Czas pokazać jej salkę z tyłu baru.

W zaniedbanym, zbyt jaskrawo oświetlonym, pustym wnętrzu, gdzie kiedyś mieścił się zakład fryzjerski i stoisko pucybu-ta, zwykle nikogo nie ma. Julia wybiera z szafy grającej trzy piosenki (jakiś mało znany kawałek Nirvany, coś Nicka Drake'a i *Then She Did* zespołu Jane's Addiction). Minie jeszcze parę miesięcy, zanim zdam sobie sprawę, że dwie z tych piosenek wykonywane są przez osoby, które już nie żyją, i l rzcica brzmi jak wyjątkowo wyczerpująca jazda na heroinie.

Siedzimy na obstrzępioncj pomarańczowej kanapie, na której mieszczą się dwie osoby i ani jedna więcej. Światło jesi oślepiające, ale i tak jesteśmy tu całkiem sami.

- Jaka byłaś w szkole? - pytam.

- Byłam kompletnym mułem - mówi ona. - Żaden chłopak nie chciał się ze mną umówić. Na pierwszej randce byłam dopiero, jak miałam chyba piętnaście lat.

- Wyglądasz na typ samotnika - mówię.

- Zawsze taka byłam - mówi ona. - Jestem jakaś, no nie wiem, niewydarzona.

- Jak na osobę niewydarzoną, masz bardzo ładne oczy - mówię.

Uśmiecha się.

- Nie wiem, czy jestem gotowa do życia w wielkim mieście - mówię.

- Gdzie teraz mieszkasz?

- W South Norwalk, w stanie Connecticut.

O rany. To ma niezły kawałek, żeby dojechać do pracy.

- Musisz chyba coś z tym zrobić, nie dasz tak rady na dłuższą metę - mówię.

- Wiem. Dojazd do pracy zajmuje mi półtorej godziny. W tym tygodniu pomieszkuję trochę u tej dziewczyny od nas z recepcji.

- Możesz przecież znaleźć tu jakieś mieszkanie - mówię. - Jeśli tylko nie przeszkadza ci wielkomiejski styl życia.

Śmieje się.

- No właśnie. Mogłabym mieszkać nawet w jakiejś norze, nie ma problemu. Ale tu jest po prostu za dużo ludzi. Ja jestem dziewczyną z małego miasteczka. Chciałabym tylko czytać książki - mówi. - I jeździć sobie samochodem.

Rozmawiamy o byłych dziewczynach. Moich i jej. Ma oczywiście za sobą Obowiązkowy Związek Lesbijski. I nie mówi tego wcale tylko po to, żeby mnie nakręcić. Jej życie jest po prostu ciekawsze od mojego. Jest ode mnie sporo młodsza, a jednocześnie o tyle starsza. Jest w tym wieku, kiedy z twarzy znika dziewczynom dziecięcy tłuszczyk, a nie pojawia się jeszcze tłuszczyk wieku dorosłego. Już nie ma

pryszczycy, ale jeszcze nie ma zmarszczek. Ma doskonałą skórę. A mimo to zdaje się mieć tyle lat, co mistrz Yoda z *Gwiezdnych wojen*.

Zadaję jej pytania na temat elementów, które się złożyły na jej osobowość. Wszyscy jesteśmy przecież jak hot dogi napakowane różnymi kawałkami książek, filmów i piosenek. Mówisz coś, bo zdaje ci się, że coś takiego mógłby powiedzieć Bogart. Nosisz coś, w czym czujesz się jak postać z filmu wideo, który widziałeś jako czternastolatek. Julia uwielbia *Blue Velvet*, ale też *Spotkamy się w St. Louis. Przekleństwa niewinności*, ale też *Atomówki*. Zna poezję Sylvii Plath, ale nigdy nie odczytywała jej jako nawoływania do tego, żeby przestać golić włosy pod pachami. Jest na środkach antydepresyjnych, ale się z tym nie afiszuje. Nie nosi okularów, ale by chciała. Nie używa powiedzonek typu „to proste jak dwa razy dwa” ani „co do tego nie ma żadnych wątpliwości”, ani „nad tym nie ma co się zastanawiać”. Straciła dziewictwo w domku na drzewie. Chciałbym kupować jej książki, ale też biżuterię.

Kiedy jestem z nią, to czuję się dziwnie, ale jednocześnie jakoś tak swojsko, jakby przypominało mi się coś, co dopiero ma nastąpić w przyszłości. Wiesz, jak to jest - kiedy jest się młodym, zawsze sobie człowiek wyobraża, jak to kiedyś spotka swój absolutny ideał. No wiesz, kobietę o cudownych włosach i w szalowych ciuchach, która nigdy nie mówi o swoich włosach i ciuchach. Kobietę, która nie uważa, że „No raczej” to jest zdanie. Kobietę, która jada steki. Kobietę, która nie poluje na gości z Wall Street. Kobietę, która ani nie nienawidzi swojej matki, ani nie stara jej się za wszelką cenę przypodobać.

Powinnaś przynajmniej spróbować pomieszkać trochę w mieście - mówię, aby w delikatny sposób pokazać jej, że rozumiem jej problemy. - Może ci ono wprawdzie złamać sere, ale za to nigdy cię nie znudzi.

Zastanawia się nad tym przez chwilę, nieruchoma jak kot na rozgrzanym parapecie. Siedzimy tak blisko siebie, że nie dałoby się między nas wcisnąć nawet sobotniego wydania „Brukowca”. No ale przede wszystkim, panie i panowie, ona - wciąż - tu - jest! Ale przy tym zapala kolejnego papierosa.

Zaczynam przejmować się rytmem swojego oddechu. A także rosnącym pulsem. Nie mówiąc już o naprężonym bananie. Wiesz, jak się widzi fajną pannę przez supermocne okulary piwne? Ona właśnie tak wyglądała, kiedy byłem jeszcze trzeźwy. To teraz sobie wyobraź, co widziałem przed sobą po sześciu piwach.

- Ile masz lat?

- Dwadzieścia dwa. A ty ile masz lat?

- Trzydzieści dwa.

Staraj się wypaść „młodo jak na swój wiek”. Nie zdradzaj się. Panny zwykle lubią nieco starszych gości. Że niby dojrzałsi i takie tam. Patrz jej cały czas prosto w oczy. Od czasu do czasu okaż jakoś zainteresowanie. Napawaj się jej oczami i włosami.

To był jej ostatni papieros, wracam więc do baru, żeby zobaczyć, czy Pete czegoś nie ma. Nie ma nic w sprzedaży, ale wygrzebuje parę pojedynczych fajek i wsuwa mi je do kieszeni. Udaje mi się również zdobyć jakieś zapałki.

- To twoja dziewczyna? - dopytuje się.

- Jeszcze nie - mówię.

- No, no, no - mówi Pete - patrzcie, jaki Don Juan.

- Idzie mi na razie niewiarygodnie dobrze - mówię. - Dopiero co ją spotkałem.

- Wiesz co teraz najlepiej zrobić? - sugeruje Pete. - Powiedz dobranoc i sobie pójdź. Ona oszaleje.

Tego nie mogę zrobić. To najpiękniejsza dziewczyna, z jaką kiedykolwiek udało mi się tak daleko zajść. Śmieje się wtedy, gdy potrzeba. Jest poważna wtedy, gdy potrzeba. Wciąż ma na sobie ten żółty płaszczyk, a sama myśl o tym,

co się pod nim kryje, powoduje, że na moim termometrze wzrasta poziom rtęci.

No więc tak. Jestem upojony nocnym powietrzem. Jestem upojony jej twarzą. Jestem upojony alkoholem. Julia dotrzymuje mi kroku w piciu. Pięć, sześć kolejek. Spędziliśmy razem trzy godziny, może więcej. Siedzimy blisko siebie, słuchając dołującej alternatywnej muzyki, takiej, przy której całowała się w liceum.

Daję jej papierosa.

- Dzięki - mówi.

Zaczyna poszukiwania zapalniczki w kieszeni płaszcza. Ale ja już zapalam zapałkę. Mimo że nie znoszę papierosów, to uwielbiam je przypalać ładnym pannom. Ponieważ.

- W przypalaniu dziewczynie papierosa jest coś erotycznego - mówię, potrząsając zapałką w powietrzu, żeby zgasła.

- Oczywiście - mówi ona, posyłając w moją stronę smugę dymu.

Przysuwam się bliżej. Ona nie ucieka. Przysuwam się jeszcze bliżej. Ona wciąż tu jest. Teraz znajduje się już w zasięgu pocałunku. Patrzę na nią. Wyprostuj się, facet. Zawsze się garbisz. Odrywam od niej wzrok. Rozglądam się po sali. Obrzucam wzrokiem szafę grającą. Gapię się w przestrzeń lej żółto oświetlonej, obskurnej podziemnej jaskini. Po czym

znów pochylam się w jej stronę. I wchodzę do akcji.

A ona nie ucieka. Wzbiera we mnie fala ulgi. Aż mnie rozpiera. Wielki spokój. Podobam jej się. Poznanie tej dziewczyny to jak sprzątanie kurzu za lodówką - coś, co się zdarza tylko raz w życiu. Stan kawalerski trwał już dość długo, po drodze przewinęło się parę niemal doskonałych dziewczyn. Ale to może być ostatnia dziewczyna, z jaką się będę w życiu całował.

Całujemy się. Robimy przerwę. Jeszcze się całujemy. Ona kładzie dłoń na moim ramieniu.

Po czym unoszę nieco głowę, zbliżam się ustami do jej ucha i szepczę cichutko dokładnie to, co w tej chwili myślę.

Nigdy nic mów dokładnie tego, co w danej chwili myślisz.

Zwłaszcza zaś nie mów tego, co w danej chwili myślisz, jeśli stwarza to ryzyko odsłonięcia swojego sekretnego ja, które nie powinno zostać odkryte wcześniej niż po sześciu miesiącach intensywnych randek.

A już na pewno absolutnie nie mów nigdy tego, co w danej chwili myślisz, jeśli to, co myślisz, przypomina dialog z telewizyjnego serialu z lat sześćdziesiątych.

Ale oto co mówię:

- Gdzieś ty się ukrywała przez całe moje życie?

A ona na to tylko się do mnie leciutko uśmiecha. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby się ktoś w ten sposób uśmiechał. Jedna strona jej ust sugeruje, że jest zachwycona, druga połowa opada, jakby się smuciła.

Po czym cichutko się śmieje.

A mnie wypełnia nadzieja.

Trzecia dawka

Umawiamy się na czwartek na film o jujitsu i boksie, walkach na miecze i miłości. Czyli czterech podstawowych formach walki.

- Jest jeden o ósmej trzydzieści - mówię. - Ale jest też o szóstej.

- Może ósma trzydzieści - mówi ona. - Chociaż nie. Kurczę. Może jednak o szóstej?

Zjawiam się za dziesięć szósta. Jej nic ma. Piętnaście po szóstej nie ma jej nadal. Idę do meksykańskiej knajpy obok kina. Rozmieniam dolara na drobne. Dzwonię do redakcji. Dzwonię do domu. Nie ma dla mnie żadnych wiadomości.

Jestem sparaliżowany. Z pewnością przecież nie weszłaby do środka beze mnie. Więc czekam. Szósta trzydzieści. Co jest, kurna. Zaczekam jeszcze do seansu o ósmej trzydzieści.

Zobaczymy. Jeśli się zjawi piętnaście po ósmej, wszystko jej wybaczam.

Przechodzę na drugą stronę ulicy do sklepu muzycznego HMV i próbuję nieco opanować nerwy. Sprawdzam sekretarkę w redakcji. Sprawdzam sekretarkę w domu. Sprawdzam je jeszcze raz. Czekam dziesięć minut i znowu sprawdzam. Gorączkowo rozważam wszystkie możliwości. Czytałem raz artykuł o brzytwie Ockhama. To laka teoria: że najbardziej prawdopodobne jest najprostsze wytłumaczenie. A najprostszym wytłumaczeniem jest to, że ona po prostu straciła zainteresowanie.

Idę jednak na film i siedzę na nim przez dłuższą chwilę. Naprawdę chciałem go zobaczyć. Jest on jednak tak przepełniony poetyckim smutkiem i lirycznym cierpieniem, i tragicznym tragizmem, że zdaje mi się, że mam przed sobą powiększone do rozmiarów kinowego ekranu zdjęcie rentgenowskie mojej psychiki. Wychodzę przed końcem filmu. Wiem, że na końcu na pewno ktoś umrze.

Mam taki problem. Czasem wypadam za burtę. Mało tego, że wypadam za burtę, to jeszcze nie mam na sobie kamizelki ratunkowej. I wpadam w ocean pełen rekinów. A z nosa leci mi jak na złość strumień krwi. No i właśnie sobie przypomniałem, że wcale nie muszę umieć pływać.

W piątek dzwonię do pracy, że jestem chory. Nic ma dla mnie żadnych wiadomości. Dzwonię do Julii do pracy. Telefon dzwoni, ktoś odbiera, po czym się rozłącza. Nie dzwonię drugi raz. Mija weekend. W poniedziałek dzwonię, że jesieni chory. Dzwonię do niej do pracy. Nie odbiera. Zostawiam wiadomość: „Ec... cześć. Mówi ee... Tom. Możesz do innie zadzwonić?”. Ale ona nie dzwoni.

Jestem wściekły, głównie na samego siebie, Zobaczyłem przed sobą żółte światło, a raczej żółty płaszczyk, nacisnąłem na gaz i... wjechałem w sam środek ruchliwego skrzyżowania.

We wtorek wracam do pracy, przygotowując sobie zestaw wymówek. Nikt mi nie mówi, że nie wyglądam na chorego.

Przez resztę tygodnia chodzę do pracy, ale przenika mnie dojmujące poczucie pustki. Julii nie ma nigdzie w zasięgu wzroku. Może jest w terenie i pracuje nad jakimś artykułem. Może jest chora? Tak chora, że nie jest w stanie posługiwać się telefonem? To też możliwe. Wyobrażam sobie, jak leży na sali w szpitalu z serialu telewizyjnego, ma zabandażowaną głowę i mamrocze tylko w kółko: „Kim ja jestem?”, a wokół niej stoi tłum nic nierozumiejących lekarzy.

Znów poniedziałek. Dziesięć dni, odkąd mnie wystawiła do wiatru. W mojej kabinie leżą starty gazet, rozkładówek, czasopism, całego tego badziewia, jakie składa się na moją badziwną egzystencję. Witam, nazywam się Badziewicz, a pan? Ach, bardzo mi miło, panie Spokojny, Bezpieczny, Żonaty. Pewnie nie martwi się pan tym, kiedy i z kim pan następnym razem pójdzie do łóżka? Albo do kogo będzie pan mógł się choćby przytulić? Bo przecież nawet faceci czasem mają już dość seksu. No tak, całkiem łatwo jest znaleźć kogoś, z kim można pójść do łóżka. Chociaż tak naprawdę, jest niewiarygodnie trudno znaleźć kogoś, z kim by się miało ochotę pójść do łóżka, ale jeszcze trudniej jest znaleźć kogoś, obok kogo człowiek miałby ochotę się rano obudzić.

Na samym dole sterty badziewia - karteczka. Bez koperty. Gruby, gładki, biały papier, złożony na trzy. Moje imię napisane jest kursywą.

Tom,

Nie mam słów, żeby wyrazić, jak bardzo jest mi przykro z powodu zeszłego tygodnia. Nie sądzę, abym kiedykolwiek była w stanie podać Ci jakiś powód, który by nie brzmiał jak kiepska wymówka. Prawda jest taka, że przez ostatnie parę tygodni nie było u mnie

najlepiej i nie byłam do końca sobą. Wiem, to żaden powód, żeby do Ciebie po prostu nie zadzwonić.

Ale naprawdę bardzo mi było z Tobą fajnie i chętnie bym się jeszcze kiedyś z Tobą spotkała. Oczywiście, jeśli uważasz, że jestem kompletnie nieodpowiedzialna/psychiczna i szkoda na mnie czasu, jest to zrozumiałe. Tak czy inaczej - przepraszam.

Julia

Boże, nawet jej charakter pisma jest przepiękny. Równe, czytelne litery, ale zarazem jakieś (akie stylowe i eleganckie, i nieco melancholijne: ciasno postawione, kanciaste, tajemnicze. Nie lam żadne dziewczynskie li lorki z tłustymi pętelkami i uśmiechniętymi buziami zamiast kropek nad „i”. Teraz to już naprawdę mnie wzięto.

Nie dzwonię do niej, dopóki nie jestem gotów do wyjścia z pracy pod koniec dnia.

- Hej - mówię do słuchawki.

- Jak się masz - mówi ona.

Czy rzeczywiście inne dziewczyny nadają swoim wypowiedziom rosnącą intonację? Tak mniej więcej na koniec każdego zdania? Nie ona. Jej głos jest cały czas tak samo niski i aksamitny, kojący i seksowny. Rozmawiając z nią, ma się wrażenie, że ta przyjemność kosztuje cztery dolary za minutę.

Dzwoni mój drugi telefon.

- Dostałem twoją karteczkę - mówię.

- Tak - mówi ona.

- Może byśmy tak spróbowali raz jeszcze? - pytam.

- Chętnie - mówi ona.

Więc odbieram drugi telefon, żeby wysłuchać dzisiejszej historii stulecia.

Trzecia dawka. Drugie podejście

Proponuję jej spotkanie w jednej z tych nowomodnych meksykańskich knajpek. Niewiele się ona różni od

staromodnych meksykańskich knajpek poza tym, że na stole stoi słoiczek kredek, którymi można sobie mazać po papierze, którym przykryty jest obrus, zamiast głośno puszczonej salsy mają tu głośno puszczone soul, a ich drinki mają smaki w rodzaju „granat” albo „kiwi z kumkwatem”. No a poza tym, to za cenę każdego z nich można by pojechać na trzydniową popijawę do Tijuany. Koneser mówi tak: „Pozwól jej zobaczyć, jak marnujesz pieniądze”.

- Poproszę zwyczajną margaritę - mówi do kelnerki Julia.

Siedzi w tym swoim uroczym żółtym płaszczyku całkowicie bez ruchu. Wyobrażam sobie, że wszyscy muszą się na nią gapić. A ja nie mam za dużo wyobraźni.

- A dla pana? - pyta kelnerka.

- Poproszę arbuzową. Czy będzie bez pestek?

Julia się śmieje. A kelnerka nie. Nowojorskie kelnerki nigdy się nie śmieją.

- Chociaż nie, właściwie to poproszę truskawkę z mango - mówię. Chwilę za późno przychodzi mi do głowy, że nie jest to chyba najbardziej męski drink, jaki można sobie wyobrazić. Powinienem być powiedzieć coś w rodzaju „Whisky z wodą sodową. Tylko mało wody”.

Kelnerka przewraca oczami i odchodzi bez słowa.

- Brakowało mi ciebie tamtego wieczoru - zwracam jej uwagę, wyobrażając sobie jednocześnie, jak Koneser wali szklanką o stół, rycząc: „GDZIEŚ TY SIĘ KURWA PODZIE-WAŁA?”. Czy powinienem zachowywać się bardziej jak Koneser, czy bardziej jak ja sam? A jeśli to ostatnie, to kim ten cały ja do cholery jestem?

- Przepraszam - mówi ona.

- Co się stało? - pytam.

Nic nie mówi. Robi tylko minę zagubionego pieska i pozwala, żeby opadły jej ramiona. Widzę, jak w jej zielonych oczach zaczynają zbierać słowa. Nie potrafi jednak przepuścić ich przez usta. Potem coś jej nagle przychodzi do

głowy. Zaczyna szperać w torebce, szukając odpowiedzi. I odnajduje paczkę papierosów.

- To twoja odpowiedź? - pytam.

- Nie, to były tylko takie tam sprawy, z moim chłopakiem. Zapalam dla niej zapalną.

- Sprawy - mówię.

Nachyla się w stronę mojego płomienia.

- Sprawy ostatnio nie układają się najlepiej. Nie wiem, co jest ze mną nie tak, rozumiesz?

Wypuszcza dym kąciem ust. Wciąż ma na sobie płaszcz, choć w pomieszczeniu jest ciepło. Wygląda tak, jakby w każdej chwili miała rzucić się do ucieczki.

- Możesz mi powiedzieć, jakie to sprawy? - pytam.

- Jeszcze nie - mówi ona.

Ale nie wie o tym, że nic na mnie tak nie działa, jak ciekawa zagadka do rozwiązania. Może zresztą być nawet mało ciekawa, jeśli tylko ma zielone oczy. Z których jedno jest niemal zasłonięte przez te cudowne włosy. Ta dziewczyna jest zagadką w otoczce tajemnicy, a wszystko to ukryte w naprawdę cudownym ciele.

Kiedy byłem dzieciakiem, w niedzielne popołudnia, kiedy moi bracia gdzieś sobie czmychali, rodzice wozili mnie ze sobą po pchlich targach. Jeździli tam, żeby ratować przed zatraceniem nieszczęsne stare meble, pociemniałe drewniane resztki ocalałe z czasów ich dzieciństwa, przypominające im to, co kiedyś stało w domach ich rodziców. Te skrzynie i stoły na cokołach, które mieli zamiar tachać do domu, żeby spędzić nad nimi kilka dni, z pełnym oddaniem i miłością zeskrobując z nich farbę, żeby je przeobrazić w to, czym i tak zawsze były - zwykłe podniszczone rupiecie. Na tych pchlich targach snułem się zwykle apatycznie wśród siert porysowanych płyt i ubrań o zapachach cudzych domów. Rodzice pytali, czy coś bym może chciał. „Nie”. Mijaliśmy stoisko ze słodyczami, krainę ręcznie malowanych

ceramicznych zwierzątek. Może mogliby mi coś kupić, za to, że jestem takim Dobrym Chłopcem? „Nie”. Dopóki nie napotykalismy genialnego handlarza, przed którym stała beczułka pełna tajemniczych pakunków w woreczkach z brązowego papieru przewiązanych wstążką. Jedyнным ich oznaczeniem był namalowany flamastrem znak zapytania. A nad stoiskiem napis „WORECZKI Z NIESPODZIANKĄ”. Wszystkie były po dolarze. Za każdym razem musiałem jeden dostać. To co znajdowałem w środku - bakelitową miseczkę albo drewnianą kaczuszkę - zdążyłem zwykle wyrzucić jeszcze przed powrotem do domu.

Wraca kelnerka z naszymi drinkami. Przy stoliku obok siada dwóch białych koleś i jeden czarny, zaczynają się kłócić na temat sportu. Jeden z nich, najpotężniejszy, ma na sobie założoną tył na przód czapkę baseballową. Taki wygląd mówi: „Jestem tak dumny z tego, że wspiąłem się na najwyższy szczyt na Wall Street, że gotów jestem dziś wydać może i z pięćdziesiąt dolarów”. Do tego uparcie droczy się z kelnerką. Obserwuję to. Uwielbiam patrzeć na wysiłki innych facetów.

Julia wypuszcza kolejny kłęb dymu. Unosi się spirala nad jej głową. Wszystko co ona robi, ma w sobie tyle stylu.

- No i jak ten film? - pyta.

- W porządku - mówię. - Lubię stare filmy. Źrenice jej się rozszerzają.

- Ja też. Nie rozumiem, dlaczego w tym mieście jest jedno kino, w którym puszczają stare filmy, i sto kin, w których leżą same nowe. Czy to nie jest totalnie porąbane? No bo przecież jak wchodzisz do księgarni, to mają tam gdzieś z przodu stolik z nowościami, ale cała reszta sklepu to same stare książki.

- To samo w sklepach z płytami.

- Czy wszystko musi być zawsze, wyłącznie tu i teraz? - Chciałabym, żeby to wszystko trochę zwolniło. Chciałabym, żeby czas się zaczął cofać.

- No cóż. Jak powiedział Woody Allen, to by oznaczam, że musiałbym jeszcze raz wysiedzieć na rewii na lodzie.

- Podoba mi się to, że jestem coraz starsza - mówi Julia. Chciałabym tylko, żeby historia się cofała. Jest tyle rzeczy, które mnie ominęły. Beatlesi, Kennedy.

- Walczmy z tym. Uśmiecha się.

- Dobrze, ale jak?

- Od dziś nie czytamy książek, które mają mniej niż dziesięć lat. - Dla mnie to nic trudnego. I tak zbyt dużo nic czytam.

- Świetnie. T oglądamy tylko czarno-białe filmy.

- No i ewentualnie jeszcze te, w których gra Steve McQueen.

- Mhm - mówi ona. - Albo Hugh Grant. Albo Jack Nicholson.

- Nic może ci się zarazem podobać Hugh Grant i Jack Nicholson - mówię. - To tak, jakbym ja powiedział, że chcę się ożenić albo z Audrey Hepburn, albo z Marilyn Monroe.

Wzrusza ramionami.

- Ja przynajmniej mam ochotę na takich, co jeszcze żyją, dziadziusiu.

- Może sama nic wiesz, na co masz ochotę.

- Pewnie, że wiem. Na kogoś takiego, kto jest taki jak Hugh, kiedy mam na to nastrój, i taki jak Jack, kiedy zajdzie taka potrzeba.

- Aha - mówię. - A skąd te biedne młode koziołki mają wiedzieć, na który wariant masz akurat ochotę?

- O to właśnie tutaj chodzi - mówi ona, wypuszczając kolejny obłok dymu. - Jak nie umiesz czytać, to nie bierz się za książki.

Kiedy to mówi, wygląda dokładnie jak Gloria Grahame. Ten zadarty w górę noszek wyćwiczony w wykrywaniu na odległość podstępnie wciskanego kitu. Sposób, w jaki podnosi jedną z brwi. Nic powinno się nigdy podnosić w pomieszczeniu broni, bo komuś może się stać krzywda.

- Kojarzysz Glorie Grahame? - ryzykuje.

Julia lekko przymyka oczy. Jej usta wykrzywiają się w niezdecydowanym uśmiechu. Wygląda, jakby wpadła w trans.

- To ona była nawiedzoną, wiecznie pijaną primadonną w *The Bad and the Beautiful*. Ryła też przecież, na miłość boską, moją ulubioną postacią w filmie *Oklahoma**. „Dziewczyną, która nie umie powiedzieć nie”. Przecież to była najlepsza piosenka! „Za każdym razem, gdy się poddaję, mam dziwne wrażenie, że właśnie wygrałam”. To chyba pierwsza postać w historii filmu, która pokazuje, że to całkiem fajnie i w porządku być totalnie łatwą panienką. A na koniec nie musiała płacić za grzechy. Nie zwariowała ani tragicznie nie zginęła.

- Coś w tobie mi ją przypomina - mówię.

- Teraz, naprawdę?

W ten sposób udaje mi się postawić jej kolejnego drinka.

- Nigdy nie mogłem rozgryźć Glorii Grahame - mówię.

- Zawsze ma się wrażenie, że może w końcu wyjdzie za głównego bohatera albo...

- Albo go udusi? - mówi ona. - Ona była taką delikatniejszą wersją Lauren Bacall. O rany. Znasz *Pustkę*?

- Czy znam? Znam to na pamięć!

- Pamiętasz, co on do niej mówi w samochodzie? - pyta.

- Jasne. „Narodziłem się, gdy mnie pocałowała. Umarłem, gdy mnie opuściła”.

- I jeszcze - Julia filozoficznie zaciąga się papierosem

- „żyłem przez kilka tygodni, kiedy mnie kochała”. Uwielbiam zdesperowanych twardzieli.

- A wyraz jej twarzy, kiedy Bogart jej to mówi? Wszystko mógłby wyrazić.

- Dokładnie. Po co mówić, kiedy można sugerować? Mówi to jak najprawdziwszy Woreczek z Niespodzianką.

- Co ty robisz w „Brukowcu”?

- Proszę cię - mówi ona. - „Magazyn Poetycki Południowego Connecticut” nie ptaci zbyt dobrze.

- Może w tym, co robimy, też jest poezja. Próbujemy podążać za rytmem masakry. Pieśnią plugawości.

- Założę się, że potrafisz pisać - mówi, zapalając kolejnego papierosa.

- Udaje mi się nieźle zarobić na życie - mówię. Unosi brew.

- Co? - pytam.

- Nie. Powiedziałam: pisać.

O cholera. Przeszywa mnie nieznacznym wyrzucikiem sumienia. Zdarza mi się czasem pomyśleć, że czas już dorosnąć, wykorzystać te nieliczne talenty, jakie mam na wyposażeniu mózgu, zabrać się do roboty. Ale zawsze coś fajnego leci w telewizji.

- Może kiedyś - mówię.

- Napiszesz o mnie opowiadanie? - pyta Julia.

- Nie - mówię. Zabolęła ją to. Więc mówię:

- O tobie to musiałaby być cała powieść.

Ocalony! Na trybunie owacje. Wygrałem jeszcze jedną kolejkę. Zauważam, że Julia przygląda mi się teraz jakoś inaczej.

- O co chodzi z tym spojrzeniem? - pytam.

- O nic. Tylko tak, sama nie wiem. Jesteś jednym z nielicznych rudzielców, którzy nie mają takich wstrętnych pomarańczowych włosów.

- Ee... dzięki?

- Bez obrazu, rzecz jasna - kładzie mi rękę na dłoni i patrzy na mnie wzrokiem ubranej w jednobarwną marynarkę prezydentki wiadomości, której płacą ciężkie pieniądze za to, że doprowadza ludzi do płaczu.

Patrzę na jej dłoń z nadzieją, że nie zabierze jej jeszcze przez chwilę.

- Sama chciałabyś takie mieć - mówię. - No przyznaj się.

Moje włosy dużo lepiej by się prezentowały na dziewczynie. Wszystkie panny marzą o rudych włosach. Czasem mi się zdaje, że umawiają się ze mną tylko dlatego, że skrycie planują w nocy mnie ostrzec i szybko zwać do perukami.

Julia się śmieje. Zabiera rękę.

- Takie włosy stworzyłyby mi wiele nowych możliwości.

- Patrzysz na mnie jak owczarek niemiecki na kawał mięsa.

- Podoba mi się też twój nos - mówi ona.

- O! Jeśli chodzi o niego, mogę ci go oddać.

- Okej. Teraz ty mi musisz powiedzieć jakiś komplement. To mnie zbija z tropu. Od czego tu zacząć? Mam ułożyć listę alfabetyczną?

- Dlaczego? - pytam.

- Ja ci właśnie powiedziałam dwa.

- To, że coś nie jest wstrętne, uważasz za komplement?

- Jasne.

- Dobra - mówię. - Pozwól, że się chwilę zastanowię. Wpatruję się przez chwilę w podłogę. Potem patrzę w sufit. Opuszczam głowę i rzucam jej nieśmiałe spojrzenie.

- Julia - mówię. - Mam być szczery? Przez chwilę będę całkowicie poważny. Pośród wszystkich dziewcząt, jakie znam...

Zdaje mi się, że Julia wstrzymuje oddech.

- ... jesteś jedną z niewielu, które nie powodują u mnie odruchu wymiotnego.

Śmieje się. Zdaje się jednak, że kamień spadł jej z serca.

- Wciąż mi jeszcze jeden wisisz, ty głupku - mówi.

- I masz tajemnicze oczy - mówię.

Znów taki sam półuśmiech. I zaczyna coś sobie bazgrać kredką.

- To wystarczy - mówi.

- Narysuj siebie - mówię ja.

- Okej, ale ty też musisz narysować siebie - mówi ona. Wyjmuję kredkę z małego szklanego słoiczka i zaczynam

szkicować epopeję. Nie potrafię rysować. Jest wiele rzeczy, których nie umiem robić. Ale to mi nie przeszkadza próbować.

Próbuję podejrzeć, co rysuje Julia, ale ona to dobrze zasłania.

- Nie, nie, nie - mówi, nic odrywając wzroku od swojej pracy.

Rysuję ogromny stadion. Wiwatujące tłumy. Zawsze załatwia mnie perspektywa. Gdzie jest gumka? Julia chce zmienić kredkę.

- Daj mi żółtą - mówi.

- Już prawie skończyłem - mówię. - Co rysujesz?

- Cii - mówi ona. - Nic przeszkadzaj geniuszowi w pracy. Patrzą na nas koleś ze stolika obok. Ten najbliżej mnie,

facet w odjechanym garniturze i maksymalnie błyszczących butach, klepie mnie w łokieć.

- Przepraszam bardzo - mówi, a w jego głosie słychać pewność siebie, jaka przychodzi po wypiciu czterech margarit. - Mam pytanie.

- Nie teraz - mówię.

- Tylko jedno pytanie - mówi on.

- Zostaw nas w spokoju - mówię i rzucam mu ostre spojrzenie. - Poważnie. Nie żartuję.

- Możecie mi powiedzieć, jak się dostać... jak się dostać na... Ulicę Szamkową?

Salwa śmiechu przy stoliku facetów dumnych z tego, że potrafią sami sobie zawiązać krawat. Julia podnosi wzrok.

- Hej - mówi czarny koleś. - Czy ja ciebie nie widziałem na przerwie?

Dalej się śmieją. Tym razem jeszcze klepią się nawzajem po różnych częściach ciała. Julia już nie podnosi głowy. Proszę was - mówię.

- Ej, koleś - mówi trzeci koleś, naprawdę wielki kawa! mięsa. -
Zapytaj swoją córeczkę, czy nie miałyby ochoty na mojego lizaka.

Julia udaje, że tego też nie słyszy.

- Dość tego - mówię, patrząc temu trzeciemu w oczy. Temu
mięśniakowi.

- Ooo - mówi on. - Co teraz zrobisz? Nic nie mówię. Rysuję dalej.

- Skończyłam! - mówi Julia.

- Pokaż - mówię ja.

- Najpierw ty - mówi ona.

Więc jej pokazuję. Na rysunku mam naprężone mięśnie, buty do
pół łydki, tarczę i miecz. Spod hełmu wypływają moje rude włosy.
Tłumy wpatrują się we mnie z uwielbieniem. Lew i tygrys uchwycone
są w pół skoku. Nie wyglądam na przejętego. Mam na twarzy okrutny
uśmiech mocno zahartowanego zabójcy.

- Dokładnie tak cię widzę - mówi Julia. - Tylko jednego nie
rozumiem: dlaczego wyglądasz, jakbyś był opóźniony w rozwoju?

- To tylko taki zawadiacki uśmiech - mówię.

- Chyba raczej maniacki wyszczerz - mówi ona.

- Założę się, że nie rozpoznałabyś wymalowanej na twarzy
nieugiętej determinacji, nawet gdybyś ją miała na wprost przed sobą -
mówię.

- Chyba pociętej halucynacji, ewentualnie z domieszką
niewydolności zwieraczy, tyle przynajmniej ja tu widzę.

- Ej - mówi czarny koleś przy stoliku obok. - Ej, ty. Picasso!

Ignoruję ich. Julia nie wygląda na specjalnie zrelaksowaną.

- Ej, Rembrandt! - mówi ten w garniturze.

- Co? - pytam.

Zaczynam pomału odczuwać efekty wypitego alkoholu - czuję
się panem sytuacji.

- Robisz też akty? Na przykład jej? - pyta ten w garniturze. Julia zdecydowanie nie wygląda na zrelaksowaną.

- Zachowujecie się panowie mało kulturalnie - zwracam im uwagę.

- Ej, ty - mówi ten potężny. - Ej, ty, Szekspir. Mogę prosić o autograf?

Szekspir?

- Jasne - mówię.

Nachylam się nad wesołym stolikiem, biorę sobie z ich słoiczka jedną kredkę. I piszę na papierze na ich stoliku, tak elegancko i artystycznie, jak tylko potrafię, „Gogh”.

- „Gogh” - mówi ten potężny prosiak. I tyle? Tylko takie jedno imię?

- Och, przepraszam - mówię. - Zapomniałem o reszcie. Pochylam się znów i dopisuję „pierdol się”.

Możecie się pewnie domyślić, co następuje potem.

- Co to ma niby znaczyć? - pyta ten wielki.

- Przepraszam, jeśli to dla panów brzmi nieco brutalnie - mówię.

Julia teraz już wygląda na przestraszoną. Wszyscy trzej goście wstają. Ja też wstaję.

- Słuchaj, koleś - mówi ten w garniturze, dźgając mnie palcem w klatkę piersiową. - Nie widzisz, ilu nas tu jest? Co, nie umiesz policzyć do trzech?

Koleś w garniturze i ten czarny są mniej więcej mojego wzrostu. Patrzą to na jednego, to na drugiego.

- Chyba nie umiem - mówię. - Może wyjdziemy sobie na zewnątrz i o tym podyskutujemy?

Wszyscy trzej naradzają się przez chwilę, po czym wybuchają śmiechem.

Julia wygląda na przerażoną.

No pewnie - mówię. - Koniec końców pewnie wygracie. Ale gwarantuję wam, że zanim to nastąpi, to jeden z was wyląduje w szpitalu. Ciekawe, który to będzie?

Stoją przez chwilę w milczeniu. Siadam i pociągam jeszcze łyka. Oni też siadają.

- Może jednak wrzucić na luz - mówi ten w garniturze.

- Puścimy to wszystko w niepamięć - mówię. - Kiedy tylko ładnie przeprosicie moją koleżankę.

Przez chwilę dochodzą z ich strony jakieś niepewne pomruki. Julia rzuca mi pół uśmiechu, w którym kryje się ulga.

- No tak, masz rację - mówi ten w garniturze. - Trochę żeśmy się nie wstrzelili.

I wracają do swoich sporów na temat tego, jak najlepiej pokierować drużyną New York Mels.

Julia patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. Gwałtownie wypuszcza z ust dym, jakby przez kilka minut była pod wodą.

- No dobrze - mówi. - Może wiesz, gdzie tu jest łazienka? Pokazuję jej drogę. Przechodzi za moimi plecami. Po czym

się zatrzymuje i kładzie mi rękę na ramieniu. Pochyliła się, aż czuję, jak jej oddech owiewa moje ucho.

- Ty bestio - szepcze.

Kiedy tylko znika z pola widzenia, koleś w garniturze trąca mnie łokciem.

- Ej! - mówi.

- Wspaniale - mówię. Mógłbym przysiąc, że mam rozpalone oczy, jakbym cały wieczór siedział przed kominkiem.

- Niezła jest - mówi ten czarny. - Co nie, Mike?

- Całkiem niekiepska - mówi Mike, strzepując ze swojego garnituru jakiś niewidoczny pyłek.

- Może być - mówi ten potężny. Rzucam mu wściekle spojrzenie.

- Ned, to jest Tom - mówi Mike.

- No to co - mówi Koneser. - Uregulujesz nasz rachunek, czy jak?

- Powiedziałem - dwie kolejki. Dla ciebie i jednego pomocnika. Mało brakowało i byś tym orangutanem wszystko popsuł.

- O czym ty mówisz? - odpala Koneser.

- Nie wydaje ci się dość niedorzeczne, żebym się rzucał do walki z dwoma koleśkami plus jeszcze tym tutaj King Kongiem? Troszeczkę przesadziłeś.

- Tu chodzi o kreowanie atmosfery, Tom - mówi Mikc.

- On był z moim bratem na studiach.

- Myślałem, że się do tego idealnie nada - mówi Koneser. - Spójrz tylko na niego. Ten człowiek przecież wygląda jak typowy burak z Wall Street. Jezu, on nawet chodził na uniwersytet na Florydzie.

- Na Florydzie - powtarzała kupa mięsa.

- To, że studiował na Florydzie, widać gołym okiem, ale nie w tym rzecz - mówię.

- Jak to - widać gołym okiem? - pyta Ned.

- Spójrz na swoją czapkę - mówię. - I na tę marynarkę. A co to za obrazek masz na zegarku? Czy to nie wasz ulubiony aligator?

- A co, coś jest nie tak ze studiowaniem na Florydzie?

- pyta Ned, który teraz, kiedy wstał z miejsca, zdaje się jeszcze większy.

- Siadaj, bydlaku - mówi Koneser. - O co w ogóle chodziło z tym pierdzielonym Szekspirem?

- Już, już, w porządku, uspokójcie się - mówi Mike. Na studiach zawsze opowiadał, że kiedyś zostanie dyplomata w ONZ. Zawsze próbował zwalczać przemoc mocą uroku osobistego. W związku z czym obaj z Koneserem już od dawna traktujemy go z lekkim pobłażaniem.

Nie zwalaj wszystkiego na orangutana - mówię, wsuwając Koneserowi w dłoń dwie dwudziestodolarówki. - To ty go tu przyprowadziłeś. Ja miałem swój plan. Tobie i Mike'owi mogę zaufać.

Teraz nagle Ned jest po mojej stronie stołu. Jak on się tu znalazł? Czy ktoś dał mu mapę?

- Ej - mówi Koneser. - Ej, ej.

On też przechodzi na moją stronę stołu, ale zawartość tequili we krwi nieco spowalnia mu ruchy.

- Nie jestem niczyją małą - mówi Ned. - A może ty miałbyś ochotę wyjść na zewnątrz?

- Daj spokój, gorylku - mówię. - Pozwól, niech się tym zajmą dorośli.

Kiedy wraca Julia, Ned trzyma moją głowę w kleszczach swojego ramienia, a Koneser okłada go pięściami po plecach i krzyczy coś bez sensu. Mike zniknął gdzieś poniżej poziomu stołu. Prawdopodobnie gryzie Neda w kostkę. Kelnerka, która po raz pierwszy tego wieczoru demonstruje, że potrafi się poruszać nieco szybciej niż dryf kontynentalny, rzuca się szaleńczym zrywem za bar i coś tam nadaje, jak przystało na przestraszone dziewczę. Skarżypyta. Barman nie wygląda na specjalnie uszczęśliwionego, Idzie w naszą stronę. On też jest ode mnie większy.

- Proszysz o rachunek - przeciska mi się przez zmiażdżoną tchawicę.

Na szczęście mam ten przywilej, że to mnie wyrzucają pierwszego. Chłopaki jeszcze się w środku spierają o rachunek, kiedy my z Julią lądujemy na świeżym nocnym powietrzu.

- Cudownie - mówi Julia. - Parę drinków, a do tego jeszcze pokaz.

Czy to oznacza, że ma o moim popisie jeszcze gorsze zdanie, niż gdyby właśnie obejrzała *Koty* w jakimś popularnym teatryku w Kansas City? Zastanawiam się nad tym, rozcierając sobie dłonią kark. Gdzieś czytałem - czy może to tylko kolejny wymysł „Brukowca”? - że kiedy starożytni Grecy wystawiali *Króla Edypa*, to zmuszali jakiegoś niewolnika, żeby zagrał rolę tytułową. Dzięki temu, kiedy przycho-

dzilo co do czego, mogli koleśowi na koniec naprawdę wetknąć w oczy rozgrzane pręty. A Robertowi De Niro się zdaje, że to on wymyślił aktorstwo oparte na rzeczywistej przemianie osobowości.

- Mój dzielny gladiatorze - mówi Julia. - Chodź no tu. I zaczyna masować mi kark.

- Może następnym razem - proponuje - to ja wybiorę miejsce?

Następnym razem. To brzmi całkiem nieźle.

Ma jeszcze godzinę do odjazdu pociągu do Connecticut, więc przez chwilę łazimy chwiejnym krokiem po Upper West Side, nie mówiąc zbyt wiele. W tym swoim żółtym płaszczku i białych rękawiczkach z jednym palcem zdaje się taka maleńka i przemarznięta. Zimno aż szczypie w oczy. Na rogu ulicy dostrzegam źródło inspiracji. Całodobowy sklep spożywczy, nęcący klientów świeżymi produktami. Czasami fluorescencyjna lampa nad działem warzyw i owoców przygasa. Tak właśnie było wczoraj. A to stwarza pewne możliwości.

- Chodź - mówię.

Światło nadal nie działa. Dział warzyw i owoców osłonięty jest baldachimem ciemności, który bardziej niż do sklepu pasowałby do knajpy. Wieść już się rozeszła po okolicy. W zaciemnionym kącie jakiś wysoki, dobrze ubrany dzieciak w czapeczce rybacze oraz jego nieduża dziewczyna o koreańskich rysach chichoczą radośnie, że udało im się podwędzić trochę winogron. Dwóch gejów ze swoim pieskiem-gejem podejrzenie krąży wokół kumkwatów.

Ale z ciebie łobuz - mówi Julia, kiedy wkładam jej w usta jagodę,

Cii - mówię. - Nikt się nie zorientuje, jeśli zjemy dowody przestępstwa.

Niemal zderzamy się z inną parą, rześką blondynką i koleśkiem wyglądającym na artystę, oboje w masywnych okularach,

bezwstydnie rozchichotani. Przepuszczamy ich, żeby znów rzucić się w wir nielegalnych szaleństw.

- Uwielbiam sprawdzać, jakie coś jest w dotyku - mówi Julia, zamykając w dłoniach pomarańczę i przejeżdżając palcami po jej grudkowatej skórcie. Podnosi ją do nosa i pomalutką wciąga powietrze. - Zapachy, kolory. To, że coś może być z wierzchu chropowate i gumiate, a pod skórą takie delikatne.

To prawda. Zwykle migiem przelatuję przez tę alejkę, kierując się prosto do działu produktów paczkowanych i puszkowanych. Jeszcze nigdy do tej pory nic spędziłem tu więcej niż dwie minuty. Ale gdy się na to patrzy oczami Julii, wszystko zdaje się tutaj soczyste i zmysłowe. Las postawionych na sztorc brokułów przypomina kuszące gąszcze. Kolby kukurydzy czekają na obrzezanie.

- Powąchaj - mówi Julia, podtykając mi pod nos cytrynę.

Biorę głęboki wdech, czując, jak ten cytrusowy owoc wypisuje swoje imię na mojej korze mózgowej. Czuję się przez to jeszcze bardziej pijany.

- To jest jak dział porno w wypożyczalni wideo - mówię. - Wszystko jest tu takie krągłe, dojrzałe, soczyste. Powinno się to oddzielić od reszty sklepu kotarą, żeby się tu nie zaplątało jakieś dziecko.

Stały stan ekscytacji, jaki okazują tutaj banany i ogórki, przypomina mi mnie samego w okolicach ósmej klasy. Główki sałaty wyglądają, jakby stworzone były do tego, żeby zrzucać kolejne warstwy ubrania. Staram się omijać wzrokiem futrzaste jajeczkowate kiwi. Sama myśl o tym, że jakiś zboczeniec mógłby do nich podejść i je mocno ścisnąć, powoduje, że aż bolą mnie jaja.

- O Boże, spójrz na te truskawki - mówi Julia. Wyjmuję jedną z pudełka i zjadam połowę.

- Daj mi, daj mi - mówi Julia i stara się ją przechwycić, ale zabieram ją z zasięgu jej ręki.

- E-e - protestuję.

Julia tylko na mnie patrzy.

- Zamknij oczy - mówię. A ona to robi. Jej usta zdają się bezwiednie rozchyłać w oczekiwaniu. Pocieram połówką truskawki jej górną wargę, najpierw od dołu, a potem naokoło, po czym przechodzę do dolnej. Potem robię jeszcze jedno okrążenie, ale dwa razy wolniej. A potem jeszcze jedno, jeszcze wolniej. Mijają lata. Jej usta jeszcze trochę się rozchylają. Jej oczy zdają się coraz szczelniej zamknięte. W końcu podaję jej do ust tę truskawkę, a ona skubie z niej kawałeczek, jak ptaszek. Potem jeszcze jedno skubnięcie, żeby na jak najdłużej starczyło. Wciąż nie otwiera oczu. Trzyma moją dłoń, tak jakbym przypalał jej papierosa. Jej nozdrza się rozszerzają w owocowej ekstazie. Po jej brodzie spływa maleńki strumyczek soku. Trzeba aż pięciu ospałych kęsów, żeby w końcu truskawka zniknęła. A potem Julia całuje moje palce.

Podnosi ku mnie swoje wielkie oczy i rzuca mi szelmowskie spojrzenie.

- Chodź no tu - mówi.

A ja nachylam się do pocałunku.

Ale go nie dostaję. Julia robi sprytny zwrot w tył i prowadzi mnie w głąb sklepu. Stoją tam otwarte beczułki z ziarenkami kawy. Arabica, Sumatra, kolumbijskie espresso.

- Spróbuj tego - mówi. - To świetne uczucie.

Zrzuca płaszcz i mi go podaje. Po czym zanurza prawą rękę w beczułce francuskiej kawy palonej. Aż po łokieć. Obraca ręką w jedną i w drugą stronę. Napina mięśnie.

- To takie dziwne uczucie, kiedy się zaciska pięść i potem ją rozluźnia. Albo obraca nadgarstkiem. Jakby się wkroczyło do innego kosmosu - mówi. - Jakbyś był na innej planecie. Mogłabym się w tych ziarenkach zanurzyć i po prostu zniknąć. A najśmieszniejsze, że ja wcale nawet nie lubię pić kawy.

Nie, ty ją tylko lubisz molestować - mówię.

- Czasami - mówi ona - robie dzbanek kawy, tak tylko, dla samego zapachu. Potem zawsze ją wylewam. Ten zapach tak cudownie wypełnia powietrze, prawda?

Zanurzam lewą rękę w beczułce. To wcale nie takie łatwe. Nie da się tego zrobić na siłę. Musisz postarać się wślizgnąć, odgarniać na bok po jednej warstewce tych ziarenek, usuwając je sobie z drogi delikatnym ruchem czubków palców. Moja dłoń pomału wpełza do środka, wijąc się i pogrążając coraz głębiej, przebijając się przez stawiającą opór materię. Nasze dłonie spotykają się gdzieś w połowie beczułki. Przejeżdżam palcem po delikatnym spodzie jej kciuka. A jej dłoń wtula się w moją.

- Pułapka - mówi i przygląda mi się spod swoich ciężkich powiek. Wyczekuje mojego następnego ruchu. Wyzywa mnie.

- Czy to ja cię złapałem, czy wpadłem w twoją pułapkę? - pytam.

- Może - mówi ona.

- Może co? - pytam.

- Może sam się powinieneś domyślić - mówi ona. Przyciągam do siebie jej usta. Następuje długi, przyjemny

pocałunek. Ciężki zapach kawy przypomina coś pierwotnego, tak jakby każde ziarenko wydobyto z samego środka ziemi. Powietrze jest lak gęste, że zdaje się, jakbyśmy byli całkiem sami, ukryci w bezpiecznym obłoku kofeiny.

Czwarta dawka

Dwa razy odwołuje spotkanie. Bez podania powodu. Po czym proponuje francuską knajpę na East Side. Napis nad drzwiami głosi coś w rodzaju „pod dwoma larwami”. Dziwne te francuskie nazwy, aż ciarki przechodzą. Spóźnia się pięć minut. Czyli, jak na kobietę, jest dziesięć minut przed czasem.

Jest czwartkowy wieczór w marcu. Zostawiamy za drzwiami ostatnie popisy rozszalałej zimy. Zajmujemy ławę przy ścianie na sali z tyłu restauracji. Decyduję się na stek

z frytkami. Koneser mówi tak: „Zawsze zamawiaj najdroższą pozycję na karcie i nalegaj, żeby ona zamówiła to samo”.

Rozglądam się naokoło, zapisuję sobie to miejsce w pamięci: to raj dla lasek. Ma to coś, czego brakuje tak wielu miejscom, wszystko zdaje się mówić „zobacz, jak bardzo się staramy, żebyś czuł się u nas jak we Francji”. Kelnerki mówią ze strasznym francuskim akcentem.

- Stek z frytkami, średnio wysmażony - mówię do kelnerki.

- *Moi, je prends la même chose* - mówi Julia, opatulona swoim żółtym płaszczkiem.

Do zapamiętania: nauczyć się francuskiego.

- Co mają państwo z St. Émilions, rocznik 99? - pytam. Koneser kazał mi się tego nauczyć na pamięć.

Zrobiłem chyba wrażenie na kelnerce, poleca mi to, co mają najlepszego. Zamawiam, nie pytając o cenę. Klasa. Tak

- to właśnie ja!

- Mówisz po francusku - zagaduję.

- Tylko trochę - odpowiada. - Najbardziej mnie zawsze kręciły brzydkie wyrazy.

- Julia Brouillard - mówię, smakując te słowa w ustach.

- Co to znaczy?

- Mgła - mówi Julia. - Nawet lubię to nazwisko. Daje mi poczucie, że mogę się schować. Sama w mojej własnej mgle, której nikt nie będzie w stanie przeniknąć.

- Co zatem oznacza nazwa Les Deux Magots? Dwie larwy?

- To wyrażenie slangowe - mówi Julia, zapalając już drugiego papierosa. - Oznacza dwóch brzydali.

- Więc ja ci się kojarzę z brzydalami? Julia się śmieje,

- Do Les Deux Magots w Paryżu często chadzali Verlaine i Rimbaud.

- A, chyba ich kojarzę - mówię. - To ci z piosenki Boba Dyiana: „Sytuacje źle się kończyły, wszystkie związki marne były. Nasz był taki jak Verlaine'a i Rimbauda”.

- No właśnie - mówi Julia, zdejmując swój płaszcz. Ma pod nim obszerny irlandzki sweter. - To z piosenki *You're Gonna Make Me Lonesome When You Go*. Właśnie przez nią zaczęłam się nimi interesować.

- Jak rozumiem, nie bardzo im się udało - mówię.

- No nie, właściwie to ich związek był skazany na klęskę

- mówi ona. - Taką piękną klęskę. Byłby z tego dobry film. Mam wielką chęć zażartować, że może Stallone mógłby w nim zagrać Rimbauda, ale jakoś się powstrzymuję.

- Verlaine miał żonę - mówi Julia. - Kiedy się poznali, Rimbaud był jeszcze nastolatkiem. Był dla Verlaine'a taką... Loli tą.

- No proszę, a co to za marzycielski uśmiech? - mówię, patrząc na nią.

- Możesz sobie wyobrazić, jaka to sita, być taką Lolitą?

- pyta ona. - Strasznie mi się podobała ta książka.

Nigdy jakoś nie udało mi się za to zabrać. Wiem, że w latach pięćdziesiątych to była sensacja we wszystkich brukowcach i tak dalej, no ale szczerze mówiąc „STARSZY PAN WYDAJE SPROŚNĄ KSIĄŻKĘ” to w dzisiejszych czasach już nie jest takie szokujące, chyba przyznacie. Brukowce, podobnie jak medycyna i rakiety, dawno już przekroczyły próg tego, co kiedyś uważano za niemożliwe.

- Nie pokazałaś mi w końcu tego, co narysowałaś tamtego wieczoru - mówię.

- A, to. - Jej ręka automatycznie kieruje się ku zapięciu torebki. - To było dość głupie.

- Ach tak - dedukuję niczym Sherlock Holmes. - Wciąż to masz przy sobie.

- Nie. Tak.

- No nie bądź taka - mówię. - Ja ci pokazałem mój rysunek.

- Ale to takie idiotyczne. - Wyjmuje rysunek z torebki i rozkłada kartkę na kolanach w czasie, gdy kelnerka podaje nasze steki.

Biorę z talerza frytkę i patrzę na jej rysunek. Wielkie, ostro zakończone wieżowce. Wszystkie wyglądają jak budynek Chryslera, ich szpikulce wbijają się w niebo. Stoją po obu stronach ulicy, którą jedzie samotna, maleńka taksówka. Budynki wyglądają jak potwory. Pełno w nich agresywnych, ostrych kątów, wszystkie pochylają się nad ulicą, nie dopuszczając do niej słońca. Ech okna wyglądają jak zaciśnięte zęby, Za oknem taksówki widać małą, ładniutką buzię, która wygląda na zewnątrz i zdaje się tym wszystkim przytłoczona.

- To ty w tej taksówce? - pytam.

- Wiem, wiem, to beznadzieja - mówi ona. - Chciałam być taka artystyczna.

- Podoba mi się - mówię, choć nie jestem co do tego tak całkiem przekonany. - Nowojorskie biuro obsługi turystów mogłoby to wykorzystać jako reklamę. I tak mamy tu za dużo turystów.

- Nigdy nic mówiłam, że dobrze rysuję - mówi ona.

- A co robisz naprawdę dobrze?

- Nic.

- Założę się, że nie.

- No dobrze - mówi Julia tonem konspiracji. - Ale niech to pozostanie między nami. Tańczę.

„Tańczę”. Czy istnieje słowo, które by bardziej potrafiło podsycić moje zainteresowanie? Betsy też tańczyła.

- A co tańczysz?

Wszystko - mówi ona. - Taniec nowoczesny, jazzowy, balot. Ale nie stepuję.

- Na pewno pięknie wyglądasz, kiedy tańczysz - mówię.

Nieśmiały uśmiech. Zaraz jednak wstaje i zdejmuje z siebie kolejną warstwę. Wielgachny sweter idzie w odstawkę. Pod nim ma króciusięnką spódniczkę z zadziornymi marszczeniami oraz obcisłą czarną, buntowniczą koszulkę bez rękawów ze srebrnym, błyszczącym sercem pośrodku. Znow siada i patrzy na mnie - a ja na nią.

- Pozwolisz mi kiedyś popatrzeć, jak tańczysz?

- Tak się składa, że akurat przygotowujemy taki występ - mówi ona. - W lipcu, liędę tam ja, moja koleżanka Carla i jeszcze parę dziewczyn z naszej grupy w South Norwalk.

- Chętnie bym to zobaczył.

- Akurat ty - mówi, celując we mnie frytką - powinienes przyjechać.

Zanim kolacja dobiega końca i każdemu z nas udaje się opróżnić po trzy kieliszki wina, robimy się oboje nieco roz-anieleni. Więc zamawiamy sobie po jeszcze jednym. Smakuje niebiańsko, czuję się niemal jak w łonie matki. Albo jeszcze lepiej. W łonie mojej matki pewnie śmierdziało smołą i nikotyną. Przy Julii czuję się tak dobrze, że nie chce mi się nawet wymyślać anegdotek, żeby ją rozbawić.

- No i znalazłam mieszkanie - mówi Julia.

- Tu w mieście? - pytam.

Sprzątają już ze stołu. Nagle okazuje się, że sala wokół nas jest już niemal pusta. Patrząc na zegarek. Cztery godziny jakoś się ulotniły.

- W Harlemie - mówi ona. - Dokładnie na Sto Dwudziestej Pierwszej Ulicy. Zaraz koło Uniwersytetu Columbia. Przeprowadzam się w przyszłym tygodniu.

- Szybko się z tym uwinęłaś - mówię.

- Ktoś, z kim kiedyś pracowałam w gazecie w Bridgeport, potrzebował współlokatorki.

- Jakaś twoja przyjaciółka? - pytam.

- Nie, to akurat jest facet.

Gdzieś głęboko w trzewiach czuję lekkie drgnięcie. Moja trzustka wyrywa się lekko do przodu, przez mój przewód pokarmowy przelatuje fala gazu. Ale przecież w Nowym Jorku to nic dziwnego, że ludzie mają współlokatorów pici przeciwnej. Mamy tu przecież staty deficyt przestrzeni mieszkalnej. Mógłbym wymienić niejedną znajomą dziewczynę, która mieszka ze współlokatorem płci męskiej, z którym nic jej oprócz tego nie łączy. Niektórzy z tych kolcsi nawet nie są gejami.

- Dobrze będzie mieć cię tu w mieście pod ręką - mówię.

- Bardzo się cieszę. Te dojazdy to była mordega. Trzy godziny dziennie.

- Będiesz się tu świetnie bawić - mówię.

- Mam nadzieję.

- Chodź tu do mnie - mówię.

- Dobrze.

Następnie wstaje i siada obok mnie na ławie. Przez chwilę się przytulamy.

- Chcę cię mieć cały czas w zasięgu ręki - szepczę jej do ucha.

- Dobrze,

- Francuzi - szepczę - całują się w taki szczególny sposób.

- Ach lak? - mówi Julia.

- *Out.*

Kiedy kończymy się całować, jesteśmy już jedynymi gośćmi w restauracji. W pobliżu kręci się jakieś dziesięć kelnerek i ich pomocników. Zmieniła się muzyka. Edith Piaf ustąpiła miejsca przeraźliwie głośno puszczoneму *Total Eclipse of the Heart*. Robię miny rozpacz i oburzenia. Julia się śmieje.

- Teraz lada chwila będą zapalać górne lampy - mówię, kładąc na stole kartę kredytową, która natychmiast z niego znika.

- I tak muszę już iść - mówi Julia. - Za dwadzieścia minut mam ostatni pociąg.

Już leży przede mną rachunek. Opiewający na sumę, z której można by opłacić tygodniowy czynsz. Zostawiam przesadnie duży napiwek. Po czym odprowadzam Julię na dworzec Grand Central. W środku jest już o tej porze pięknie i pusto - wypełniające zwykle dworzec tłumy podróżnych zostały już. odesłane tam, skąd przyjechały.

- Chcesz zobaczyć moje ulubione miejsce? - pytam.

- Jasne. A tak w ogóle, to byt bardzo mity wieczór, *monsieur*.

- Milo mi, *mademoiseile*.

- Myślę, że powinnam się była urodzić we Francji - mówi Julia, kiedy schodzimy po schodach. To znaczy ja schodzę. Ona raczej tanecznym krokiem przemieszcza się w dół. A na samym dole robi obrót na jednej nodze, drugą jednocześnie odrzucając w tył. Patrzy na mnie z zaciśniętymi ustami i językiem wypycha sobie policzek, jak figlarne dziecko. - Podoba mi się ich język. Jest taki bardzo mglisty.

- Mglisty?

- Niedokładny. We francuskim jest dużo mniej słów niż w angielskim, więc słowa cały czas muszą wykonywać podwójną robotę. Zawsze musisz się w nich doszukiwać znaczeń, domyślać się rzeczy z kontekstu.

- Jakiś przykład?

- Zależnie od kontekstu - mówi Julia, robiąc obrót - to samo słowo może oznaczać „lubić” albo „kochać”. Tym samym słowem określają „całowanie” i „bzykanie”. To samo słowo może znaczyć „złośliwy” albo „mądry”.

- To brzmi jak idealne narzędzie do stwarzania nieporozumień - mówię.

- No - mówi ona. - Takich w stylu musicalowej komedii omyłek.

Naprzeciw baru Ostryga znajduje się kamienny łuk przejścia o sklepionej górze.

- Chodź tu - mówię. Kładę dłonie na jej ramionach i prowadzę ją w róg z jednej strony kamiennego łuku. - Stań tutaj, twarzą do ściany.

- Po co?

- Zaufaj mi - mówię.

Po czym przechodzę do przeciwległego rogu, oddalonego o piętnaście metrów. Odwracam się, żeby sprawdzić, czy Julia nie oszukuje. Oczywiście że tak. Niby to stoi twarzą do ściany, jak niegrzeczne dziecko, ale i tak cały czas stara się ukradkiem spoglądać przez ramię.

- Gotowa? - pytam. - Odwróć się twarzą do ściany. Robi to, z pewnym ociąganiem.

Staję twarzą do mojej ściany i zaczynam do niej szeptać.

- Juuuulia - mówię przeciągle.

Jej śmiech leci w górę, objając się o kamienny łuk, przelatuje pod sufitem i spada w mój róg, czyścusięki jak strumień światłowodu.

- To było niesamowite - mówi Julia. - Zrób to jeszcze raz.

- Spróbuj mówić szeptem - mówię najcichszym głosem, jaki można sobie wyobrazić. - To taki kącik szeptów. Wszystko zawsze wychwyci. A zwłaszcza tajemnice.

- Dzięki za kolację - szepcze Julia. - I dzięki za... - Jej głos zamiera.

- Za co? - szepczę. - Nie dosłyszałem.

- Może nie miałeś usłyszeć.

Być zagadkowym to jedno, być tajemniczym to już coś więcej, ale być francuskomglistym to już chyba stopień najwyższy.

- Julia - szepczę. - Chciałbym cię pocałować, bo jesteś całkiem niegłupia.

Znów się śmieje.

- Wiesz, jak we Francji nazywają romans? - szepcze Julia.

- No jak?

- *Une aventure.*

- Czyli awanturnicza przygoda? - pytam.

- Och, tak - odpowiada cichutko Julia.

Zdaje się, że przyszło mi wystąpić w roli pieprzonego Indiany Jonesa.

- Nie ruszaj się - mówię. - Stój twarzą do ściany.

Jest postusznna. Ale gdy podchodzę do niej i obejmuję ją w talii, wiem prawie na pewno, że domyśla się, co zamierzam zrobić.

Kolejne dawki prowadzą do uzależnienia

Zabieram ją na film. Polem nawalamy się dżinem w pubie U McHale'a. Zabieram ją na sztukę. Potem wlewamy w siebie smakowe wódki w Rosyjskim Samowarze. Tydzień później zabieram ją na premierę do Radio City. Potem upijamy się na wielkim przyjęciu w hotelu Hilton. Zabieram ją na mecz koszykówki - jacyś znajomi mieli dwa nadliczbowe bilety, więc siedzimy sobie w luksusowej łoży, a sznur kelnerów przynosi nam bez końca kolejne dżiny z tonikiem. Tak naprawdę wcale nie jestem taki świetny, chętnie jednak będę dalej udawać, jeśli to będzie konieczne. Potem idziemy do Swifta i dalej pracujemy nad naszym stanem upojenia.

Z głośników lecą zgrzythwe dźwięki gitary, jakby gdzieś się coś waliło i rozpadało na kawałeczki. To *Yellow* zespołu Coldplay.

- Co ty właściwie we mnie widzisz? - mówię, starając się przekrzyczeć walące z głośnika basy. Minał już ponad miesiąc, a kwestia seksu wciąż pozostaje bez odpowiedzi i krąży nad nami jak uprzykrzona mucha, którą chce się już choćby dla świętego spokoju rozkwasić. Każdy wieczór kończy się serią coraz bardziej nieopanowanych cielesnych uciech na tylnym siedzeniu taksówki. Kiedy podjeżdżamy pod moje mieszkanie, za każdym razem mówię jej do ucha:

„Chodź na góro". A ona za każdym razem odpowiada: „Nie mogę".

W tej piosence Coldplay najbardziej lubię to, że daje ona wrażenie totalnego zmęczenia. Koleś śpiewa o tym, jak to uwielbia tę dziewczynę i jak ona świetnie wygląda i przypomina mu gwiazdy, ale cały czas słysząc jednocześnie jego fizyczne wyczerpanie, zmęczenie, które skapuje z niego jak pot z boksera. I to takiego, co ma już za sobą jakieś dziewiętnaście rund na ringu.

- O co ci chodzi? - pyta Julia.

- No, dlaczego właściwie spędzasz ze mną tyle czasu? Słuchamy grzmotów i zgrzytów wydawanych przez gitary.

- Jesteś niegłupi - mówi Julia. - Jesteś miły. Jesteś zabawny. Lubię cię - mówi.

- Jestem w takim razie facetem twoich marzeń.

Ten tekst zyskuje sobie niepełny wybuch śmiechu. Bez komentarza. Julia świetnie by się nadawała na rzecznika Białego Domu.

- Już od dawna chcę ci coś powiedzieć - mówi teraz. Kiwam głową. O, cholera.

- Tego wieczoru, kiedy się spotkaliśmy w knajpie, mówiłam ci, że miałam chłopaka.

- Tego, co pracuje w Bridgeport - mówię. Julia potakuje.

- Kiedy mieszkałam w Connecticut, wtedy było... trochę inaczej. Ale odkąd jestem tu w mieście...

Niedokończone zdanie przez chwilę wisi w powietrzu, po czym ląduje na podłodze, razem z porozlewającym na niej piwem.

- Sprawy zaczęły przybierać poważniejszy obrót - mówię.

- Tak - mówi ona. - No właśnie. A jeśli chodzi o nas,.. Chciałabym, żeby to pozostało...

Wiesz, jakie słowo usłyszysz, zanim jeszcze ono zostanie wypowiedziane. Tak jak pędzące w godzinach szczytu metro

- najpierw słycać tylko jego ryk w tunelu, a już za chwilę z torów syją się iskry i setki ton śmiertelnoścnoego pędu wjeżdżają na stację.

- ... platoniczne - mówi Julia.

Żeby to pozostało platoniczne?! Pokryłem już pocałunkami jakieś czterdzieści procent jej ciała! A w ogóle kim był ten cały Platon? Jakimś koleśiem, który nie potrzebował z nikim chodzić do łóżka? I z tego powodu ma być bohaterem? Czy może raczej wymyślił sobie to „platoniczne uczucie”, żeby móc się wymigać od zabierania dziewczyn na górę i wrócić do swoich ulubionych swawoli z chłopczykami? I kto w ogóle powiedział, że ten Platon był taki świetny? Mijają trzy tysiące lat, i z czego słynie jego kraj? Z gyrosów i z tych wzorków na jednorazowych kubkach do kawy!

Nic nie mówię. Tylko kiwam głową. Gram rolę Faceta, Który Wszystko Rozumie. I próbuję nie pozwolić, żeby zamiast niego zobaczyła Faceta, Który Właśnie Przeszedł Zatrzymanie Akcji Serca.

- Co tylko sobie życzysz - mówię.

Koleś z Coldplay śpiewa: „Dla ciebie wykrwawię się do sucha”.

Julia bierze mnie za rękę. Z westchnieniem ulgi opuszcza ramiona. Marszczy brwi. Robiąc to wszystko, jest jeszcze piękniejsza niż zwykle, co wydaje mi się nieco nie w porządku.

- Dziękuję - mówi.

- No dobrze - mówię ja. - Jak on ma na imię?

Julia przez dłuższą chwilę nic nie mówi. Próbuje zboczyć jakoś z tematu niepewnymi uśmiechami. Ale ja nie spuszczaam z niej oczu.

- Duane - mówi w końcu.

Nic nie mówię. Ponieważ jestem niezrażony, beztroski, nonszalancki.

- Nie wiem, jak ludzie to robią, że nie tracą zainteresowania

- mówi Julia, patrząc w dół. - Czy w końcu się sobą nie nudzą?

- Tobie się właśnie znudziło - mówię. Ona kiwa głową.

Po raz pierwszy uderza mnie, że *Yelbw* jest naraz ostrzeżeniem i konwersacją. Ostrzeżenie brzmi: chłopaki, czy naprawdę starczy wam na to siły? A konwersacja polega na tym, że wokalista wnosi swoje błaganie, a gitara, która odgrywa tu dziewczynę, odpowiada. Ale nie mówi ta gitara za wiele. Tylko sobie jęczy i piłuje tę gałąź, na której on siedzi.

Nie potrafię zadać jej kolejnego pytania. Ponieważ jestem zrażony, troski, szalancki.

Wychodzimy na zewnątrz i się przytulamy. Walę dłonią w powietrze, dopóki nie zatrzymuje się taksówka. I nie zadaję jej pytania: co ci się znudziło - on czy ja?

Kiedy wracam do domu, samotnic wdrapuję się na czwarte piętro. Sporo dziś wypilem, ale jeszcze nie całkiem dosyć. Nalewam sobie potężną szklanę. Chciałbym się w niej zanurzyć i zakonserwować się we własnej tęsknocie. To wszystko nie powinno być takie skomplikowane. Nie zawsze tak było. A może było? Wciąż mam te same zmartwienia, jak kiedy byłem trzynastolatkiem. Tyle że teraz nieco lepiej się ubieram, mam dużo więcej pieniędzy i jestem znacznie bliżej punktu, w którym jest już zdecydowanie poza normą pozostawać *samotnym*.

Kiedy byłem trzynastolatkiem, najbardziej lubiłem:

1. walić konia w wannie, oglądając świerszczyki;
2. *Imperium kontratakuje*;
3. wygrywać z Buckym w tenisa;
4. Steve'a Martina;
5. obrzucać się z Buckym różnymi rzeczami w jego basenie, jednocześnie rzucając cytatami z *Golfiarzy*;
6. grać w szkole w piłkę trzech na trzech z Buckym, Clintem, Johnem, Jimem i Ralphem w mgliste jesienne dni, kiedy czuło się w powietrzu świeży zapach rozkładu,

a liście tak fajnie chrzęściły pod nogami, zwłaszcza kiedy się pośród nich blokowało przeciwnika;

7. gitarową solówkę w *More Than a Feeling* Bostonu;
8. nieoczekiwane zwycięstwa drużyny Baltimore Orioles;
9. grać z Buckym w gry wideo;
10. mieć poczucie, że czeka mnie świetlana przyszłość.

Obecnie najbardziej lubię:

1. prawdziwy, realny, oficjalnie uznawany seks, taki jaki się kwalifikuje do wszelkich statystyk;

2. jak mi ktoś robi laski; (kiedyś to był numer jeden, ale spójrzmy prawdzie w oczy - w dzisiejszych czasach dziewczyny rozdają tę usługę wszystkim naokoło jak miętową gumę do żucia. Albo raczej truskawkowo-śmietankową. Może ktoś powinien wypromować taki nowy produkt: „Wielka Pała zapewni twojemu oddechowi długotrwałą świeżość!”);

3. poznać jakąś pannę na imprezie i sobie z nią poflirtować, patrząc, jak się śmieje z moich żartów;

4. upijać się na wesoło (w przeciwieństwie do upijania się na smutno, kiedy ma się problem), najlepiej jeśli ma to miejsce tej samej nocy co punkty 1, 2 lub 3.

5. walić konia, oglądając katalog z damską bielizną (jeśli będę stale naoliwiał gnata, to czy nabierze on połysku i wyrobi się jak rękawica do baseballu? Kiedy w ogóle pojawią się na rynku jakieś transplanty penisów?);

6. kiedy jakaś fajna panna podchodzi do mnie na imprezie i cytuje któryś z błyskotliwych tekstów, jakie się ukazały w jakimś moim artykule (jeszcze nigdy się to nie zdarzyło, ale byłoby fajnie);

7. spędzać czas na basenie Konesera w Amangasett, już nie rzucając w siebie niczym, ale nadal rzucając cytatami z *Golfiarzy*;

8. dostawać zaproszenia na koncerty Dylana albo premiery fajnych filmów;

9. trzydzieści minut ostrego pocenia się w saunie cedrowej;

10. kolumnę z humorem w magazynie „Randy”.

Zobaczmy. Co się nic zmieniło? Wciąż potrafię docenić dobry dowcip oraz orgazm. Wciąż lubię oglądać filmy oraz hm... zdaje się, że mam upodobanie do wilgoci. Co się stało z nadzieją na przyszłość?

W pracy czytam gazety i układam scenariusz naszej konwersacji. Swoją spontaniczność mam zaplanowaną co do najmniejszego detalu. Robię sobie nawet notatki. Po czym dzwonię do niej „tak tylko, pogadać”. Niczego od niej nie chcę. Kto, ja? Ja jestem tylko takim świetnym gościem, który śmiesznie komentuje tematy dnia. Nie umawiam się z nią.

Następnego dnia znów do niej dzwonię, ta sama zagrywka. No czy nie jestem świetny? Jestem fajnym kumplem. Rozmawiamy o jej braciach. I o jej mamie. Rozmawiamy też o różnych książkach, jakie właśnie czytamy. To znaczy książkach, które ona czyta. Nic umawiam się z nią.

Potem w jakiś mokry kwietniowy piątek znów wisimy na telefonie. W tych popołudniowych pogawędkach w piątki zawsze jest ledwo zauważalna, nostalgiczna nuta pożegnania - Julia jedzie do domu pociągiem o 20.52, a ja wiem, że nie zobaczę jej do poniedziałku. Nic pytam o szczegóły. Częścią naszej niepisanej umowy jest, że nic widzimy się w weekendy.

Co robisz w weekend? - pyta Julia. - Nic specjalnego - mówię. - A ty? To, co zwykle - mówi ona, Chcesz się trochę przewietrzyć? - pytam. Wygląda na to, że przestało padać (jedyne sposob, żeby się o tym przekonać, będąc na tej wysokości, to spojrzeć sto

pięćdziesiąt metrów w doi na ulicę - jeśli nie widać rozłożonych parasoli, znaczy, że się przejaśniło), więc zakładam mój niebieski blezer, ten, który wiele osób w wieku Julii uznałoby za obciachowy, ale który ona sama uważa za fajny styl retro, coś a la szkolny mundurek. (Nic mówię jej, że kupiłem go, wcale nie myśląc o takiej „stylizacji”, tylko jak najbardziej na serio - wydawało mi się, że będę wyglądać w nim „poważnie”, a musiałem mieć coś, co mógłbym zakładać na coraz częstsze i już nieco sztywniackie niedzielne śniadania z moimi żonatymi przyjaciółmi). Spacerujemy Siódmą Aleją aż do Penn Station, rozmawiając o Audrey Hepburn. Oczywiście *Śniadanie u Tiffany'ego* to ulubiony film Julii.

- *Szarada* jest dużo lepsza - mówię.

- Jest śśśświetna - mówi Julia.

- A widziałaś *Sabrinę*?

- Bo co, Audrey grała tam rolę Julii Ormond?

- Bardzo śmieszne - mówię. - A *Dwoje na drodze*?

To mój ulubiony, mało znany film z Audrey Hepburn. Ale Julia też go widziała. I był świetny. Cały film kręci się wokół związku Audrey z Albertem Finneyem. Są lata sześćdziesiąte, a oni jako świeżo upieczone małżeństwo jeżdżą po Europie, nie mając grosza przy duszy i wymieniają się ciętymi uwagami. Audrey ma zawsze na sobie sukienki Givenchy (jeszcze jedna rzecz, jakiej się nauczyłem, przebywając dużo z kobietami), które to słowo należy (jak nauczyła mnie jedna z moich byłych) wymawiać maksymalnie pretensjonalnie: „Żi-wą-szi”. W filmie cały czas są skoki w czasie, to w tę, to w drugą stronę pomiędzy dobrymi i złymi momentami ich związku.

- Fajne jest tam to, że wszystkie zwroty akcji są kompletnie zaskoczenia - mówię.

- No - mówi Julia. - Dzięki temu cały czas nie wiesz do końca, co myśleć.

- Co o tym myśleć - mówię, dokładnie cedząc siowa.

- No właśnie. Tak jak o tym przed nami.

Ruchem głowy pokazuję tani dom towarowy po drugiej stronie ulicy.

- Niiieee! - krzyczy Julia, starając się jak najlepiej wejść w rolę dziewczyny bohatera kina akcji, który właśnie pędzi w stronę zasadzki.

- Chodź - mówię. - Tatuś musi kupić żarówki,

Dziś jestem ubrany tak, żeby jeszcze od biedy ujść za nowojorczyka. Tu jednak wyglądam jak jakiś król Monaco, A poza tym, pomiędzy tutejszymi klientami, czuję się znacznie powyżej Minimalnej Wysokości do Zaakceptowania u Dorosłego Mężczyzny. Ludzie niezamożni nie sięgają wysoko nie tylko finansowo. Może powinienem rozważyć możliwości zrobienia tutaj kariery?

- Przepraszam bardzo - zaczepia mnie przepotężna Latynoska około pięćdziesiątki. Na twarzy ma kilka grubych warstw makijażu, a w koszyku pełno najtańszych towarów z promocji. Wygląda na umęczoną życiem.

Ignorujemy ją, ale kobieta ciągnie mnie za rękaw.

- Przepraszam, czy pan tu pracuje? - pyta niepewnym angielskim.

Rzucam Julii spojrzenie.

- Owszem - mówię.

- Muszę znaleźć odżywkę dla niemowląt - mówi kobieta.

- Ten pan, znaczy ten chłopak, on mi mówi, że to jest tu, ale nie mówi, gdzie tu. Szukam już od dziesięciu minut.

- Niestety nie wiem, gdzie to jest - mówię.

- Że co?

Koło nas przechodzi dzieciak w czerwonej kamizelce z metkownicą w ręku. Porusza się, jakby był na kółkach. To on - mówi kobieta. - Przepraszam! Przepraszam! Dzieciak nie nie słyszy. Zejść rnu z drogi, on ma metkownicę. Wyciągam przed siebie rękę.

- Tom Farrell, dział sprzedaży - mówię. - Jerome? Dzieciak zatrzymuje się zdumiony, jak gdybym odczytał jego myśli, a nie identyfikator.

- Tak? - pyta.

- Czy możesz pomóc tej miłej pani? Potrzebuje znaleźć odżywkę dla niemowląt.

- Ten dział jest...

- Jerome. Jak masz na nazwisko, Jerome?

- Carns.

Teraz wygląda na przestraszonego. Mam jego nazwisko.

- Zrób mi przysługę - mówię. - Zabierz tam panią i jej pokaż. Będę o tobie pamiętał, kiedy przyjdzie do premii świątecznych.

Widać gołym okiem, że ten dzieciak jeszcze w życiu nie dostał premii świątecznej. I oczywiście pewnie nigdy jej nie dostanie.

- Tędy proszę - mówi dzieciak i leci między półki.

- Dziękuję panu - mówi kobieta i przytyka do ust końce palców.

Julia się do mnie uśmiecha.

- To było świetne - mówi.

Wracamy do redakcji i sami wsiadamy do windy. Zajmuję strategiczną pozycję w rogu, ręce mam za plecami. Julia stoi w przeciwległym rogu. Mam ochotę porwać ją w ramiona. Ona ma ochotę być porwana w ramiona. W windzie są kamery. Stoimy na swoich pozycjach, uśmiechając się do siebie. Po chwili zaczynamy robić do siebie głupie miny. Roztrzępana panienska. Opóźniony koleś ze *Sting Blade*. Omdlewająca księżniczka. Wulgarny artysta-podrywacz. Ding! Drzwi się otwierają.

- Cześć! - rzuca Julia i wyskakuje z windy. Dosłownie wyskakuje. I trochę się potyka, chociaż nie ma o co. - No tak, chyba ci wspominałam, że trochę tańczę?

Wracam do swojej kabiny, ale nie dzwonię do Julii. Kiedy zbliża się czas wychodzenia z pracy, udaję pośpiech sygnali-

zujący początek szalonego kawalerskiego weekendu, choć tak naprawdę nie mam żadnych planów poza spędzeniem piątkowego wieczoru w mieszkaniu Karin i Mike'a, kiedyś niezależnych istot ludzkich, które obecnie wypowiadają kwestie takie jak: „Nie lubimy takich filmów” (to o *Boogie Nights*), „Nigdy o nich nie słyszeliśmy” (to o zespole Radio-head albo jakimkolwiek innym, który pojawił się później niż Thompson Twins) oraz (pod koniec zeszłego roku) „Spodziewamy się dziecka”. Dzwoni telefon. Na wyświetlaczu pojawia się jej imię.

- Hej - mówię.

- Hej - mówi ona.

- Miłego weekendu - mówię.

- Tobie też... - mówi ona.

- Usłyszałem jakieś zawieszenie - mówię ja.

- Zastanawiałam się tylko, czy nie miałbyś ochoty na śniadanie w niedzielę.

I wówczas mój wiecznie niespokojny mózg się relaksuje i zaczyna niemal mrużyć z zadowolenia. Zastanawiała się tylko, czy nie miałbym w niedzielę ochoty na seks.

- To może w Café Żabka? - proponuję.

- Koło południa? - sugeruje Julia.

- Świetnie, to do zobaczenia - mówię ja.

Patrzę na zegarek: zaczynamy odliczanie. Przede mną jeszcze czterdzieści dwie i pół godziny słodkiego oczekiwania.

To już ten dzień. O ósmej wyskakuję z łóżka i energicznie otwieram żaluzje. W moich żyłach leci solówka seksu. Mój puls bije tak: „seksSEKS seksSEKS seksSEKS”. Myję twarz (seks). Szoruję zęby (seks). Biorę prysznic (SEKS! SEKS! SEKS!). Ubieram się tak, żeby absolutnie nie wyglądać na kogoś, kto ma nadzieję na seks. Dżinsy (obwąchuję je dokładnie, czy aby na pewno seksownie pachną?). Czysty T-shirt. Na to wystrzępiona, buntownicza koszula z długim

rękawem. Nie zapinam jej. Że niby lak luzacko. Woda kolońska? Lepiej nic. Chociaż, może tylko troszkę. Pac, pac. Niuch, niuch. Za dużo! Podtykam najpierw jedno ucho, a potem drugie pod kran. Co powoduje, że woda spływa mi po szyi i wpływa za koszulę. Lepiej jednak pachnieć nijako niż jak facet, który nosi biżuterię.

Jestem na miejscu odrobinę spóźniony. Ale ona jest jeszcze bardziej spóźniona. Po nieco mokrej ulicy przejeżdżają z szumem samochody. Dziesięć minut spóźnienia. Piętnaście. Stoję na rogu, patrzę spode łba i myślę: „Jeśli tym razem wystawi mnie do wiatru, to... to zaraz jej wybaczę i znów zacznę jej opowiadać, jaka jest piękna”. Może mi zrobić, co tylko chce. Nie powinienem jednak dopuścić, żeby zdała sobie z tego sprawę. Ale już niedużo mi pozostało tego krycia się przed nią. Po dzisiejszym dniu wszystko będzie inaczej. Będę miał dziewczynę - świeżusienką, pachnącą, prosto spod igły. A Nowy Jork - ten zalany wodą, pełen obrzydliwych kałuż, bez sensu wyiębiony, ale zarazem wilgotny Nowy Jork? Nowy Jork też będzie świeży i pachnący. I ja tak samo. Znajomość z tą dziewczyną to jak płukanie gardła - można się pozbyć całego starego emocjonalnego osadu.

Jest. Próbuje się wyswobodzić z tylnego siedzenia taksówki.

- Sorki, sorki, sorki, sorki! - mówi. - Naprawdę ciężko złapać taksówkę w deszczu.

- Nie ma problemu - mówię, całując ją w policzek.

- To co, idziemy? - pyta ona.

No więc wchodzimy do środka. W czasie, gdy przeglądamy kartę, Julia obrzuca mnie spojrzeniem.

- Aha - mówi. - A więc tak właśnie wyglądasz, w weekendy.

- Jak wyglądam? - pytam.

- Nadal całkiem nieźle - mówi ona.

Czuję, jak w spodniach coś mi się pomału rozwija. Nagle zaczynamy jeść nieco szybciej niż to konieczne, rozmawiamy przy tym o niczym.

- To co chcesz robić? - pytam. - Jest tu w pobliżu pchli targ. Kupować rzeczy, które ktoś inny wyrzucił. Taa, jasne

- właśnie po to tu jesteśmy.

- Właściwie, to jestem trochę zmęczona - mówi Julia do swojego talerza.

- Masz ochotę się zdrzemnąć?

- W sumie mogłabym się zdrzemnąć - mówi Julia do swojej bluzki.

Krew mi odpływa z mózgu. Jest potrzebna gdzie indziej.

- Rachunek - mówię do kelnera.

„Idź powoli” - napominam sam siebie, kiedy ją prowadzę do swojej kryjówki. Taki tylko spacer. Przechadzka. Podziwiamy kwiatuszki wystawiające z ziemi noski na małych, ogrodzonych skrawkach trawników wokół drzew. Ludzie w odświętnych ubraniach wracają do domu z kościoła. Oni wierzą w Boga. Ja wierzę w ostre tancerczki.

Nie ma pośpiechu. Jeszcze cztery przecznice. (Dziecięce wózki poruszają się strasznie wolno. Trzeba je wyprzedzić). Po prostu cieszymy się tym dniem. (Jakaś trzymająca się za ręce para idzie sobie pomalutku chodnikiem, jakby on do nich należał. Wymińmy ich, schodząc na chwilę na ulicę. Chlap, chlap po kałużach). Tak, tak, mógłbym godzinami lak sobie spacerować bez celu. (Ktoś tutaj niby uprawia jogging, ale chyba się raczej cofa - przeciśnijmy się pomiędzy nim a murem piaskowca, opsa, starłem sobie skórę na łokciu, ale to nic). Jeszcze trzy przecznice. Co za piękny dzień, w sam raz na spacer. (Myślałem, że jazda na rolkach wiąże się zwykle z manią szybkości. Tymczasem właśnie chyba doganiamy tego tutaj gościa w obcisłym sportowym ubranku!. Jeszcze dwie przecznice. Tak, ja i moja dziewczyna tak sobie właśnie leniwie spędzamy popołudnie (potykając się o psy i dzieci). Następna przecznica. Czy wszyscy w tej dzielnicy łykali dzisiaj z kawą po sześć pigułek valium, czy mamy dzisiaj jakiś Narodowy Dzień Bez Pośpiechu?

Ostrożnie, ostrożnie. Nie obejmuję jej w pasie. Nie całuję jej, kiedy stoimy na światłach. Patrzymy prosto przed siebie, staramy się omijać kałuże. Na Broadwayu Miłość jest wciąż jeszcze otwarta. Cztery piętra po schodach do mojego mieszkania. No i...

Julia siada na kanapie. Ja podchodzę do wieży. Włączam „Murmur”. I chociaż nie lubię być jednym z tych kolesi, co to zawsze mówią, że „ich pierwsza płyta była najlepsza”, w tym wypadku tak się akurat składa, że jest to prawda. Z wyjątkiem *Radio Free Europe*, bo to ich najgorsza piosenka, ale jest na samym początku, więc ją zawsze przeskakuję.

- Uwielbiam tę płytę - mówi Julia, zamykając oczy.

- Michael Slipe był o niebo ciekawszy, kiedy mówi! szyfrem.

- Dokładnie. „Ta piosenka jest dla mojej ukochanej”? Proszę cię.

Siadam obok niej. W odległości, którą można bezpiecznie nazwać przyjacielską, nie napieram. Nie dotykam jej. Słucham muzyki.

Michael mówi tak: „Nie obawiaj się, to nie potrwa długo”.

- *Pilgrimage* to taka świetna piosenka - mówi Julia.

- A najlepsza na tej płycie?

- *Perfect Circk* - mówi Julia.

- Miałem nadzieję, że to powiesz - mówię. - Wiesz co, pierwszy raz usłyszałem ten album dopiero na pierwszym roku studiów.

Ona tylko na mnie patrzy.

A ja sobie przypominam pewien wyjątkowo krzykliwy program, który kiedyś oglądałem na kanale bratniej organizacji naszej gazety - Telewizji Awantura. Nazywało się to *Gafiarze*. Były to fragmenty wiadomości telewizyjnych, ta-

kie, w których jacyś wybrani przez naród oficjele wygłaszali komentarze, których potem mieli żałować. Kiedy tylko padała jakaś niewłaściwa uwaga, na ekran nakładał się wielki czerwony balon z napisem „GAFA!” Jeden z prowadzących zdefiniował gafę jako moment, kiedy polityk, rozpaczliwie starając się uniknąć mówienia prawdy, przypadkiem zdradza swoje prawdziwe poglądy.

Przebacz, Ojczy, bo dopuściłem się gafy. Po mojej głowie krąży uporczywa myśl: przecież ta płyta jest pewnie dla niej retro. Może Michael Stipe to taki jej Sinatra?

- Chcesz pooglądać zdjęcia?

- Pewnie! - mówi Julia.

Wszystko jest pod kontrolą. Zdjęcia celowo trzymam w nieporządku - wszystkie tkwią w kopertach, w jakich je odebrałem, wetkniętych w nieładzie na półkę z książkami. Nie wkładam zdjęć do albumów. Gdybym to robił, można by je było przekartkować i zwrócić uwagę na to, że daty na zdjęciach z ostatnich kilku lat mogą nasuwać podejrzenie, że czasem - nie za często - nakłada się tam na siebie w czasie kilka różnych narzeczonych. Ale teraz to wszystko już za mną. Kiedy już wszystko się ułoży z Julią, ten (niezmiernie rzadki) problem, jaki miałem z innymi dziewczynami, zniknie. Najpiękniejsza kobieta na świecie siedzi tu na mojej kanapie. I czeka.

Biorę do ręki trzy nieszkodliwe koperty, które wczoraj wieczorem z premedytacją umieściłem na górze stosu, żeby były pod ręką na wypadek przedwczesnego przyływu żądzy. Pomimo (naprawdę sporadycznego) zjawiska nakładania się narzeczonych niestety bardzo łatwo dawało się znaleźć takie koperty, w których nie pojawia się żadna narzeczona.

Na zdjęciach, które jej pokazuję, widnieję ja bawiący się z dziećmi przyjaciół (o rany!), ja na ślubach przyjaciół, ja wygłupiający się w rogatym hełmie wikinga (takiego, jaki ma Elmer w *Co to jest opera, doktorku?*), ja w czarnym

krawacie. Wszystkie zdjęcia są starannie dobrane i mówią: jestem wesołym, ale można na mnie polegać, jestem lubiany w towarzystwie i mam przyjaciół, dużo podróżowałem i zawsze potrafię zaskoczyć. Przy oglądaniu tych wszystkich zdjęć przelatuje cała płyta i leci jeszcze raz. Kiedy wracam z pokoju, do którego odnoszę w końcu zdjęcia, znów leci czwarty kawałek.

- Fajne to było - mówi Julia. - Coś jak *Historie hollywoodzkie: Tom Farrell*.

Michael mówi tak: „Mówią o namiętności”. I wówczas zaczynamy się całować. Oraz dotykać. Oraz rozbierać.

Kiedy rozpinam jej bluzkę, już wiem. Jej stanik. To nie jest stanik, który się tak po prostu nosi. To jest stanik, który się zakłada, żeby go ktoś mógł zdjąć. Staniki akcji zawsze są nowiusieńkie, koronkowe, czerwone lub czarne. (W bardziej zaawansowanym wariacie bywają też białe. Tylko naprawdę dobrze zorientowane dziewczyny wiedzą, jaką siłę oddziaływania na faceta mają białe staniki. Zwykle pierwszy stanik, jaki widzimy w życiu, jest biały - stanik mamy. W dawnych czasach istniał federalny nakaz noszenia białej bielizny. Tak zatem każdy biały stanik przywołuje teraz to pierwsze przypadkowe mignięcie, kiedy mama się ubierała, lub ten zapierający dech w piersiach rzut okiem do zakazanej szuflady z bielizną). Stanik Julii jest jaskrawo, wściekle szkarłatny.

- To dla mnie założyłaś taki seksowny stanik? - pytam. Julia się śmieje.

- Ale nie pasuje mi do majtek! - mówi.

- Zobaczmy - mówię, Rozsuwam zamek - jasnozielone.

Nie spieszę się. Julia na chwilę przerywa.

- Tak przyjemnie, delikatnie całujesz - mówi.

Uśmiecham się.

Płyta R.E.M. wyznacza mi rytm. Postanawiam pracować nad jedną strefą erogenną na piosenkę. Ale nie daję rady. To aż cztery minuty. A niech tam. Zanim zaczyna lecieć *Perfect Circle*, biorę ją na ręce i niosę do sypialni. No prawie. Nieco się potykam. Wiecie, to dość dziwne uczucie tak nieść dziewczynę na rękach. Do tego niemal rozwalam jej głowę o framugę drzwi.

Rzucam ją na materac. Przewraca się na brzuch i czeka, leżąc sobie seksownie w swojej seksownej bieliźnie. Spójrzcie tylko na nią. Na jej majtkach powinien być napis: „Uwaga! Dziewczyna, którą zamierzasz skonsumować, może cię poparzyć”.

To będzie niesamowite. To nie będzie przypominało niczego, co dotąd przeżyłem. Jest tylko jedno ale. Wiecie, jak to jest - każdemu się zdaje, że ma znakomite poczucie humoru, świetnie prowadzi samochód i jest cudownym kochankiem? Ale kiedy na imprezie następuje przerwa w rozmowie, nigdy nie mogę wymyślić nic śmiesznego. Zanim skończyłem dwadzieścia pięć lat, zaliczyłem już trzy całkiem niebagatelne wypadki samochodowe. A teraz...

Sobota, 14 lipca

Ale to było ponad cztery miesiące temu. Dziś wieczorem jest jej występ taneczny. Wstaję wcześnie. Nie mam ochoty na dzisiejszy dzień. Czy nie moglibyśmy przejść od razu do następnego?

Nieco niepewnie zbieram się pomału do kupy. „Ujmujący” - giosi napis na moim szamponie. „Wszechstronny”

- na piynie do soczewek kontaktowych. „Petna kontrola”

- to żel do włosów. „Bądź na luzie” - sugeruje dezodorant. Nie jestem w stanie spełnić oczekiwań moich własnych przyborów toaletowych.

Wyobrażam sobie, jak siedzę obok niego w pierwszym rzędzie, wszystko bardzo kulturalnie. Po czym wyobrażam sobie, jak on wpada w szaleńczą furję zazdrości z mojego powodu, wydziera się na Julię i z piskiem opon odjeżdża w noc swoim dwucylindrowym klekotem marki Hyundai Muskrat, rocznik 1986, a porzucona przez niego Julia wdzięcznie pada w me ramiona.

Do kwiaciarni po róże. Czy czerwone będą zbyt jednoznaczne? Kupuję żółte, kolor ostrożny, rozważny. Te róże przypominają mi jej żółty płaszczyk. Sprzedawca przekonuje mnie do zakupu do nich od razu szklanego wazonu. Mega-bajer. Na wszystko razem wydaję sześćdziesiąt osiem dolarów. A co mi tam!

Powiedziała, że mogę przenocować u jej rodziców, więc pakuję T-shirt i szorty do spania, no i bieliznę na zmianę. A gdy tak sobie grzebię w szufladzie na bieliznę... he, he,

he, co ja tu widzę? Witam panów lateksowców. (Nie zaszkodziłoby je trochę przetrzeć, ciut się już przykurzyły). Zawsze dobrze mieć jedną (albo pięć!) w zanadrzu, no nie? Biorę dwie, pakuję je do torby. Po czym je z niej wyjmuję i wkładam z powrotem do szuflady - a co, jeśli ona by je znalazła? Mogłoby to wyglądać ździebko beczelnie. Z drugiej jednak strony, jakie jest prawdopodobieństwo, że ta wyjątkowo mało wścibska osoba zacznie mi grzebać w rzeczach? Znów pakuję je do torby. Ale zaraz przytomnieję i myślę, że naprawdę powinienem mieć większe zmartwienia niż to, że w odpowiednim momencie nie będę miał gumki. Więc wracają do szuflady.

Siedzę w metrze, ogromniastym bukietem zakrywając to, co mi się przeży pod rozporkiem. Kobiety patrzą na mnie z zadowoleniem. Kiwiają głowami, uśmiechają się. Facet z pięknymi kwiatami dla swojej wybranki. Do zapamiętania: może to dobry sposób na poznawanie kobiet? Jedyne, co bym musiał zrobić, to wyłuskać z portfela co sobotę sześćdziesiąt osiem dolarów i cały dzień jeździć metrem. Oczywiście, jeśli ktoś zapyta, to te kwiaty są dla mojej matki. „Nie, to nie jej urodziny. To... tak tylko”.

- Piękne kwiaty - mówi kobieta na peronie na stacji Grand Central. Blondynka, ładne oczy. No dobra, ma z pięćdziesiątkę. Ale to i tak największy skok damskiego zainteresowania, jakim się mogę pochwalić w tym tygodniu.

Wyjeżdżam więc z Nowego Jorku i jadę pociągiem do Ameryki. Ameryki oglądającej komercyjną telewizję. Ameryki robiącej zakupy w sieciach sklepów rodzinnych. Ameryki zbierającej pamiątkowe talerze. Ameryki oglądającej opery mydlane. Ameryki nalepek na zderzakach. Ameryki supermarketów. Ameryki barów sałatkowych i koszonych trawników. Ameryki boreliozy i centrów handlowych.

Muzyka w słuchawkach zagrzewa mnie do boju: Radio-head, „OK Computer”. To by była naprawdę ostra muzyka

do seksu. Polem sobie przypominam, że Julia mówiła mi, że uwielbia tę płytę. Próbuję o tym nie myśleć. Ale mi się nie udaje.

Wygrzebuję z pamięci moje ulubione chwile z Julią. Wtedy u Swifta, kiedy staliśmy przed szafą grającą, ona nie wiedząc czemu szukała uparcie *Rikki Don't Lose That Number*, a moja ręka odkryła nagle jej talię i przyciągnąłem ją do siebie, całując jej włosy. „Mmm - powiedziała wtedy - naprawdę ładnie pachniesz”. Przebiegam myślami przez listę rzeczy, które mogły tego dnia znaleźć się na moim ciele lub w pobliżu. Szampon, odżywka, w strategicznych miejscach trochę mydła, dezodorant. Próbuję odtworzyć swój zapach.

Wtedy w Rosyjskim Samowarze. Była jedenasta. Oboje byliśmy w dobrym nastroju. Piliśmy wódkę o smaku cytrynowym, chrzanowym, kokosowym i arbuzowym. Dużo tej wódki. Ona tego dnia niewiele jadła. Opowiadaliśmy sobie swoje tajemnice, a potem ostro zabawialiśmy się w taksówce. Nie chciała wejść na górę, więc posłałem ją w dalszą drogę. Później mi powiedziała, że kiedy taksówkarz odwoził ją do domu, pochyliła się i po cichu zwymiotowała na tylnym siedzeniu. Była zbyt zakłopotana, żeby mu o tym powiedzieć. Rzygnęła sobie całkowicie poza prawem. Powiedziałem jej, że chciałbym, żeby od tej pory zawsze myślała o mnie, kiedy rzyga. Zaczęła się śmiać.

Wtedy na rozdaniu nagród Narodowego Koła Krytyków Literackich. Wieczór zapowiadał się niezbyt ciekawie, i choć rzadko się to zdarza, to, co nadeszło, całkowicie potwierdziło te oczekiwania. Ceremonia miała miejsce w niedużej, ponurej sali wykładowej na wydziale prawa Uniwersytetu Nowojorskiego. Nie przeczytałem żadnej z omawianych tam książek. Na przyjęciu potem nie znalazłem nikogo. A ludzie od książek to paskudne małe trolle. Akurat dobrze się wpasowałem. Ale wyszedłem wcześniej i zadzwoniłem do niej z automatu. Był wietrzny, poniedziałkowy wieczór, nieprzy-

zwoicie zimny jak na połowę marca. Julia wciąż jeszcze była w pracy. Właśnie miała wychodzić. Czy miałyby ochotę na drinka? Miałyby. zaproponowałem, żebyśmy się spotkali w dość ekskluzywnej knajpie Mystcry na Czterdziestej Ósmej Ulicy. To jedno z niewielu przynajmniej w miarę fajnych miejsc niedaleko naszej pracy. A ona wystawiła mnie do wiatru. Czekałem pół godziny, myśląc sobie „Może powinienem zadzwonić do niej na komórkę?”. Ale nie miałem drobnych. Musiałbym iść do baru i błagać którąś z tych pięknych i wyniosłych kelnerek, żeby mi rozmieniła kasę. Wyszedłbym na idiotę. Wyglądałbym jak koleś, którego ktoś wystawił do wiatru. Czterdzieści pięć minut. Nikt nie ma zwykle ochoty wyglądać na to, kim właśnie jest. W końcu zebrałem dość odwagi, dostałem drobne. Zadzwoniłem na moją domową sekretarkę. I odebrałem następującą wiadomość:

„Cześć, ee... to ja. Pewnie jestem kompletną idiotką, bo jest jedenasta, a ja... Nie mogłam jakoś znaleźć tego miejsca, o którym mówiłeś, więc... Poszłam na Czterdziestą Ósmą Ulicę, ale... Jakoś nikt mi nie potrafił pomóc znaleźć tej knajpy. Więc... chyba... pójdę... do... domu. Naprawdę mi przykro. Bo pewnie spędziłeś tam kupę czasu, myśląc, że znów cię wystawiłam. Ale to nieprawda! Czy mógłbyś do mnie zadzwonić? Na komórkę? Albo na domowy? Jak tylko odbierzesz tę wiadomość? I... ec... powiedz mi tylko, że mnie nie nienawidzisz? No to tak. Do usłyszenia. Pa.”

Cudowne. Czysta poezja. Cała złość dosłownie ze mnie opadła. Zadzwoniłem do niej na komórkę.

- Tę knajpę dość trudno znaleźć - mówię. - Jest napis, ale mały. W Nowym Jorku jest taka zasada, że jeśli się chce mieć dużo klientów, trzeba dobrze ukryć lokal.

- Ale ze mnie idiotka - mówi Julia mocno podenerwowanym głosem. - Nie mogę w to uwierzyć.

- Cii, maleńka - mówię. - Wszystko w porządku. Spotkamy się na zewnątrz. Południowo-wschodni róg Czterdziestej

Ósmej Ulicy i Ósmej Alei. To był mój błąd, że wybrałem takie mało znane miejsce.

Pięć minut później stoję na południowo-wschodnim rogu Czterdziestej Ósmej Ulicy i Ósmej Alei. Jest tam wjazd na kryty parking. Straszny ziąb. A jest środek marca! To ta niekończąca się zima 2001. Gdzie ona teraz jest? Omiotam wzrokiem przeciwległą stronę Ósmej Alei. Potem Czterdziestej Ósmej Ulicy. Zawiążuję sobie szalik wokół szyi. Zakładam rękawiczki. Z jakiegoś powodu odwracam się w drugą stronę, twarzą w kierunku wjazdu na parking.

I widzę Julię, skradającą się wdzięcznie na paluszkach w tym swoim żółtym płaszczyku, zdecydowanie za cienkim na tę pogodę. Na jej twarzy maluje się przerażenie postaci z kreskówki. Ja jestem myśliwy Elmer, a ona to Królik Bugs.

Jej wyraz twarzy mówi: „O nie! Przyłapali mnie! Wszystko na nic!“. Obejmuję ją niedźwiedzim uściskiem, unoszę w górę, ściskam tak mocno, jak tylko mogę, i kręcę się z nią wokoło. A ona się śmieje i śmieje. No, drodzy państwo, mój dzisiejszy pomiar szczęścia daje zaskakujące wyniki. Reszta facetów na tym świecie może solne walczyć o drugie miejsce.

Wysiadam z pociągu w South Norwalk. Nie ma jej na peronie. Ale jest na dole. Ma na sobie ogromniaste okulary słoneczne a la hollywoodzka gwiazda oraz dżinsową sukienkę, taką, która nie ma z tyłu suwaka (sprawdzałem). Wciąga się ją tylko przez głowę, na gołe ciało. Nie założyła stanika. Wygląda niesamowicie. Wygląda jak encyklopedia seksu.

- Cześć - mówi i śmieje się tym swoim półśmiechem. Julia przoduje w nerwowym śmiechu. Wypełnia on każdą cząstkę jej ciała, zaspachlowuje wszystkie miejsca, w których ujawnia się jej ustawiczne lekkie zakłopotanie egzys-

tencją. Julia wspina się na palce, żeby po siostrzanemu musnąć mnie w policzek. Mła!

Dopiero wtedy zauważa, co trzymam w ręku. Ogromny szklany wazon jest zawinięty w celofan, z boków bukietu wystają małe kwiatuszki, swoimi różkami uzupełniające główną obsadę. Wszystko to razem naprawdę robi wrażenie.

- O raaany! - mówi Julia. I śmieje się tym swoim nerwowym śmiechem.

- Znalazłem to w pociągu - mówię.

- O rany! - mówi Julia. Coś jej zdania robią się coraz krótsze.

- No naprawdę - mówię. - Miałem szczęście, że akurat je ktoś tam zostawił.

W domu spotykam jej rodziców (tata raczej ponury, mama egzaltowanie emocjonalna) oraz braci (wszystkowiedzący Gary oraz nieco młodszy, mocno zagubiony Al). Gołym okiem widać, że w tym domu odnotowano więcej bojowych potyczek niż na niejednym nowojorskim ringu. Oraz mniej więcej tyle samo występów cyrkowych.

- O Boże, spójrzcie tylko! - woła matka. - Co za nieprawdopodobny bukiet! Skąd takie piękne kwiaty?

- A, to? Znalazłem w pociągu - mówię.

No czy to nie urocze z mojej strony, że tak umniejszam swoją zasługę? Ale jednocześnie myślę sobie: „powinienem mieć też coś dla matki”. Zawsze trzeba mieć coś dla matki. Chyba że Julia należy do tych dziewczyn, które bardzo się starają umawiać z właśnie takimi kolesiami, którzy doprowadzają do szału matczyne jednostki.

Młodszy brat wchodzi niedbałym krokiem do pokoju. Nie jest zbyt rozmowny.

Chyba specjalnie dla mnie zastawiono stół wszelakimi dobrami: mieniające się, niebieskozielone plastikowe talerzyki, takie same kubki. Pełen asortyment działu mięsnego w supermarkecie, włącznie z mielonkami, o jakich dawno

świat nie słyszał. Plastikowe, półprzezroczyste widelce i noże mają swój ciężar, jak gdyby miały wywołać wrażenie, że w tym domu nawet jednorazowe sztucce są wysokiej jakości. Do picia zaś naszykowano sześć litrów popularnych napojów gazowanych, w większości bez kofeiny. Nie szkodzi. I tak ciśnienie mam zdecydowanie podwyższone, moje nerwy zdają się smażyć na masełku, a hormony produkują tyle hałasu, jakby ktoś walił w gong - wszystko to z powodu jednej wiadomości, która uparcie wciąż przelatuje z hukiem przez układ energetyczny mojego organizmu: JuliaJuliaJulia. Uzależnia jak mocna kawa albo i jeszcze gorzej - bo pragnę jej nie tylko co rano, kiedy się budzę, ale też co wieczór, kiedy idę spać.

Jemy mielonki i mortadelę, gawędzimy też o tym i owym z babcią i ciocią, które właśnie się zjawily. Obie są tęgie i zarozumiale, na porozciąganej już skórze ich twarzy rysują się wyraźne bruzdy. A co za tym idzie, Julia za trzydzieści lat będzie wyglądała tak samo. Czyli nic wielkiego się nie stanie, jeśli nie uda mi się z nią związać, no nie? Tyle przynajmniej próbuję sobie wmówić. Coś w tym musi być.

Mama („mów mi Charlotte!") uwija się, przynosi lód, łapie butelki z napojami, wysupłuje z plastiku kolejne mięsne specjały. Przez cały posiłek jej obecność jest jedynie przelotna. Czasem słyhać jej głos, odbijający się rykoszetem z wykończonej plastikiem kuchni. W którymś momencie siada przy stole i zjada zwinięty plasterek mortadeli, zaraz jednak znów znika w jakimś tajemniczym celu.

Tata siedzi u szczytu stołu i żuje. Nic nie mówi.

Po posiłku przeglądamy rodzinne albumy i śmiejemy się z napuszonych fryzur, jakie Julia nosiła w liceum. Nagle dobiega nas głośnie walenie do drzwi, jakby dobijał się do nich jakiś potwór, jakiś Frankenstein.

Gary, starszy z braci, otwiera drzwi. Moich uszu dobiega „Cześć, Duane".

„Cześć, Duane". Rzadko zdarza mi się życzyć komuś jak najgorzej - zwykle tylko kiedy czytam notatki o osiągnięciach moich kolegów ze studiów w magazynie absolwentów.

W całym domu rozlega się przez jakiś czas powtarzane przez kolejne osoby „Cześć, Duane". Nie ma wątpliwości - musi tu często bywać. Właściwie to zachowuje się, jakby był tu już setki razy.

Duane podchodzi do Julii, żeby ją pocałować. Julia nadstawia policzek i jakoś mało przekonująco masuje go po karku. Przynajmniej się przy mnie nie migdała.

Duane jest wysoki - jakieś dziesięć centymetrów wyższy ode mnie. Głupkowaty drągal o kościstych łokciach i kolanach. Być może panny uważają, że wygląda jak chłopak-marzyciel, ale nie zaszkodzi spróbować go złamać. Ma nijakie, brązowe włosy, niebieskie oczy i mocno niesympatyczną twarz o fakturze pulpeta. I nosi kolczyk, raczej nieciekawym. Przypomina małe kółeczka, które przytraczą ślusarze do dorabianych kluczy. Co to za pomysł, żeby heteroseksualny mężczyzna w roku 2001 miał w uchu kolczyk? Ma na sobie niebieskie dżinsy, zielony T-shirt i tenisówki. Krótko mówiąc, wygląda jak przeciętny mechanik samochodowy.

Otrzymuje powitalnego całusa od cioci, babci i mamuski, tatko zaś rzuca kolejne „Cześć, Duane" - wygląda na to, że jego obecność witana jest znacznie cieplej niż księcia ciemności. Traktują go jak członka rodziny. Ja zaś jestem tutaj obcy, nieznany, niechciany.

Mierzymy się nawzajem wzrokiem.

- Tom Farrell - mówię. Przygląda mi się podejrzliwie.

- Fkąd takie nazwisko? - pyta.

- No... irlandzkie.

„Zapijaczony murarz na diecie kartoflanej" - mówią oczy Duane'a.

- A jak ty masz na nazwisko? - pytam.

- Feinberg - rzuca ostrym tonem.

O kurczę. Żyd. Pewnie jest inteligentny. I dowcipny. A jego ojciec pewnie nic naprawia klimatyzacji, tylko jest jakimś chirurgiem kardiologiem.

Braciszkanie ciągną Duane'a do zabawy latającym talerzem. Widać, że pewnie zabawiali się tak już setki razy. Wszyscy są tu z nim tacy zaprzyjaźnieni.

- Fcesz porzucać latającym talerzem? - pyta Duane. Niech pomyślę. Czy mam ochotę rzucać sobie latającym

talerzem z facetem, który sypia z moją kobietą? Nie, nieszczególnie. Nie uprawiałem lej zabawy od lat. Mogłoby się okazać, że lepiej od rzucania talerzem idzie mi rzucanie mięsem, a staram się nie popisywać przed kobietami czymś, co mi nie najlepiej idzie.

Duane nie wyznaje tej samej filozofii co ja - na przykład wciąż coś mówi, chociaż nie ma nic do powiedzenia. Każda konwersacja wiąże się z koniecznością polania trochę wody, zanim się będzie można wykazać błyskotliwością. U niego kończy się na laniu wody: korki, pogoda, o której wstał, co jadł na obiad (fupe z macy u swojej matki - okazuje się, że świętuje ona jeszcze nieco opóźnioną Pafchę). Jest nudny jak flaki z olejem, jakby go zaprojektowano dokładnie na miarę tej nudnej okolicy. Facet, który nadaje się tylko do jednego - żeby w niego rzucać piłką w grze w zbijaka.

- Fkąd jeftes? - pyta.

- Z Rockville, w Maryland - mówię.

Po czym łaskawie milknę, żeby dać mu szansę jakoś to skomentować. Ale on nic ma nic do powiedzenia.

- A skąd ty jesteś? - pytam.

- Pileataway - mówi on,

- Słucham?

- Pileataway. W ftanie New Jerley.

- W New Jersey są świetne nazwy miejscowości - mówię. -Takie na przykład Ho-Ho-Kus. Albo Wechawken.

Julia się śmieje.

- Jak spojrzeć na mapę, to same absurdalne nazwy. Ich założyciele to musiała być jakaś banda zapijaczonych dowcipnisi. Gdzieś tam na pewno można znaleźć miejscowość o nazwie Kuśkomrowisko albo Za-za-zadek.

Julia odrzuca głowę w tył i się śmieje. Duane gromi ją spojrzeniem. Tak jest, koleś. Najlepiej wycofaj się zaraz z tej gry.

- Wiesz co - mówi Duane. - To są indiańskie nazwy. Nie zostały wymyślane dla żartu.

Wyraz jego twarzy jest tępy, poważny, nijaki. Rzadko można spotkać Żyda bez poczucia humoru. Nie licząc oczywiście zawodowców - tych, co zamiatają ulicę czarnymi chałatami, w które się przebierają pod hasłem „spójrz tylko na mnie - jestem prawdziwym Żydem!”.

Oglądamy razem zdjęcia z pięćdziesiątych urodzin matki. Julia nieśmiało wznosi toast albo szarpie się z braćmi - wygląda bardzo seksy w bluzce bez rękawów, z wyciętym dekoltem. W tle każdego zdjęcia czai się nadęty Duane, z wiecznie tym samym wyrazem twarzy, który mówi: „Jestem Opanowany, jestem Odpowiedzialny, mam kij w Odbycie”.

Jest tam też zdjęcie Julii, która w dziwacznej pozie, z językiem epileptycznie zwisającym jej z kącika ust, z otwartymi dłońmi próbuje złapać w locie latający talerz.

- Ona zawsze tak robi, nie umie inaczej - mówi Al, kręcąc głową.

- Co za gracia! Co za wdzięk! - mówię. - Nie jesteś czasem tancerką?

- Przestań!

Dostaję prawy prosty w ramię.

- Ale naprawdę, mogłabyś to zdjęcie jakoś wykorzystać mówię. - Można by z niego na przykład zrobić plakat reklamujący Olimpiadę Niepełnosprawnych.

- A, to ta impreza, gdzie chodzisz podrywać dziewczyny? pyta Julia.

- Próbowałem. Ale była zbyt ostra konkurencja. Ciężko wygrać z kolesiem na wózku.

- A jak się sprawdzały twoje tckściki przy podrywaniu głuchych dziewczyn?

- Nie wszystkie lubiły, jak się mówiło, że są trochę niekumate.

- No proszę, a ja myślałam, że kto jak kto, ale ty byłbyś ekspertem od nickumowatości.

Skoro jesteśmy przy nickumatych: Duane nie odzywa się ani słowem. RzUCA tylko szaleńcze spojrzenia to na Julię, to na mnie. Matka przechodzi do następnego zdjęcia - tym razem jest to ujęcie warte fortunę. Julia, w stroju topless, dziko ganiająca po plaży, w wieku lat mniej więcej czterech.

- O Boże! - woła Julia. - Mamo!

- Znalazłam je niedawno - mówi pogodnie Charlotte.

- Dorzuciłam do kolekcji, kiedy jedliście obiad.

- Jak to miło się przekonać, że jest takich parę rzeczy, które się u ciebie przez te wszystkie lata wcale nie zmieniły

- mówię, Charlotte się śmieje.

- Julia zawsze była płaska jak deska - mówi. - Na pewno nic ma tego po mnie!

Po czym, żeby zilustrować swoją wypowiedź, bierze w dłonie i lekko unosi swoją obfitość, żeby każdy mógł się jej dobrze przyjrzeć. Tak jest, proszę pani, nic da się nie zauważyć.

- No dobrze - mówi Julia. - Poproszę o torebkę, będę rzygać.

- Byłaś taka cudowna - mówi Charlotte.

- „Byłaś”? - pyta Julia.

- Mam nadzieję, że dostanę kopię tego zdjęcia? - mówię do Charlotte.

Duane milczy. Plan był taki, żeby jej pokazać, w równym pojedynku, że jestem pod każdym względem od niego lepszy. No dobra, może on jest ciut przystojniejszy. Ale przecież

dziewczyny podobno nie przywiązują do tego aż takiej wagi? A chociaż on jest ode mnie o wiele wyższy, to i tak ja jestem o wiele wyższy od Julii. Jeśli chodzi o umiejętności konwersacyjne, to facet przy mnie odpada. A ona na pewno to zauważa. To ja kilka razy ją rozśmieszyłem. A Duane wyszedł na kompletnego mruka.

Jedziemy na występ jednym samochodem: tata miś, synek miś, prawie-zięć miś i ja: Ledwo Tolerowany Miś. Występ ma miejsce na szkolnej scenie. Po drodze Duane napiera na mnie banalnymi pytaniami, jak matka pod tykającą dzieciom słodycze. Każde zdanie próbuje zacząć od „słuchaj”, co w jego wypadku nie jest najlepszą strategią.

- Fłuchaj, kim jefleś w tej gazecie?
- Fłuchaj, jak długo pracujesz w mediach?
- Fłuchaj, widziałeś oftatnio jakiś dobry film? Zaczynam mieć ochotę zrobić komuś krzywdę.

Jakoś jednak nie zadaje mi pytania „Fłuchaj, czy może uprawiałeś kiedyś fekf z moją dziewczyną?”. Mimo że ma do dyspozycji następujące informacje:

1. kupiłem jej drogi bukiet kwiatów, a do tego jeszcze szklany wazon;
2. jechałem przez godzinę pociągiem, żeby zobaczyć, jak jakieś tancerki-amatorki wpadają na siebie i elementy scenografii;
3. kiedy jesteśmy z Julią pośród ludzi, jak ognia unikamy swojego wzroku.

Jednak on o nic nie pyta. Co z niego za reporter? Reporter z małego miasteczka, który przepisuje informacje z agencji prasowych i nigdy nie sięga po telefon. Reporter, który nic pyła o to, czego nie chce wiedzieć.

Już na sali oglądam kiepsko odbity na ksero program występu. Naiwny rysunek migoczących okien wieżowców nocą. Tłusta dziecięca czcionka ogłasza: „W hołdzie miastu Nowy Jork”.

Hołd składa zaś grupka osób, które mieszkają godzinę drogi pociągiem od tego miasta. Ale mają rację. Z tej perspektywy Nowy Jork zdaje się tak samo egzotyczny jak Bangkok.

Kurtyna w górę. Koleś stojący przed sceną puszcza prawdziwą płytę na prawdziwym gramofonie. Przez głośniki, które zostały po wojnie koreańskiej, zaczyna dolatywać jej szum.

Za scenografię robią pomalowane dekoracje z kartonu przymocowane do kotary z tyłu sceny - mało zgrabne półtorametrowe czerwone jabłko pokryte brokatem. Z boku zaś strzelisty trójkąt uformowany przez, dziesięć białych gwiazd. Z tym wielkim jabłkiem to jeszcze rozumiem. Ale te gwiazdy stanowią dla mnie zagadkę. Może po dwie na każdą nowojorską dzielnicę?

Pierwszy taniec to *New York, New York* z musicalu *Na przepustce*. Tancerki - grupa średnia, składająca się z czternastolatek - poruszają ustami do lecących z głośników trzeszczących tekstów piosenki. Wymachują rękami, pokazując, że „Bronx jest na górze, a Battery Park na dole”.

Kolejne cofnięte w czasie kawałki: *Give My Regards to Broadway, I'll Take Manhattan*. Każdy z nich niemiłosiernie się przedłuża, a na koniec jeszcze się wszystko powtarza. Pulchniutkie tancerki depczą sobie po palcach, a te parę panienek, które faktycznie potrafi tańczyć, miesza się z małymi dziewczynkami i starszymi kurami domowymi. Nie ma takich dwóch tancerek, które by hasały po scenie w tym samym rytmie. Mają jeden kawałek z melonikami zdejmują je z głów i obracają nimi w powietrzu. Potem kładą się na plecach, wystawiają w górę swoje tłściutkie nóżki i dla odmiany obracają te kapelusze stopami. Jedna po dru-

giej gubią te meloniki. Po chwili cała scena jest usłana melonikami. Tancerki bez meloników tańczą dalej, już tylko udając, że mają meloniki, co zdecydowanie ułatwia sprawę. Być może można by tę konwencję pociągnąć jeszcze nieco dalej - może by tak dziewczyny dogadały się z widownią, że przedstawienie będzie tylko na niby i wszyscy poszlibyśmy sobie na piwo?

Zaglądam do programu - Julia pojawi się dopiero w akcie drugim.

Akt pierwszy składa się z siedemnastu kawałków.

- Można tu dostać coś do picia? - pytam siedzącego obok Milczącego Ala.

- Na zewnątrz jest poidelko z wodą pitną - zachęca.

- A poidelka z alkoholem nie ma?

Wzrusza ramionami. Al nie łapie tego, co mu rzucam. Julia raz mi powiedziała „Uwielbiam Ala. Al to po prostu ja sama”. Muszę nad nim popracować.

W przerwie wszyscy wychodzimy na zewnątrz, na ciepłe wiosenne powietrze. Słońce właśnie zachodzi. Powietrze pachnie świeżo, jak to poza miastem. Jakby naprawdę coś tu rosnęło czy co.

- Fiuchaj - mówi Duane. - Byłeś już kiedyś na takim wyftępic?

Siedzę obok niego na niskim betonowym murku. Ojciec Julii gawędzi z jej koleżanką z zespołu, Carłą, która dopiero co się zaręczyła. Zgodnie z etykietą podziwiam kamyczek na jej pierścionku.

- Jeden zero dwa karata - przechwala się Carla. Pomiędzy mną a Duanc'cm pojawia się wielka mrówka.

Miażdżę ją butem.

- Oj, nicee - protestuje Duane.

Pojawia się Julia, w ohydnej czerwono-czarnej plastikowej sukni koktajlowej, po której widać z daleka, że pochodzi z wypożyczalni kostiumów.

- Wiem, wiem - mówi Julia, zanim ktokolwiek ma szansę się odezwać. - Te stroje są po prostu straszne.

- Zakręć się - mówię.

A ona się kręci. Suknia ma odkryte plecy.

- Tra la la - mówi Julia, wzruszając ramionami.

Ma tańczyć w następnym numerze, chociaż dopiero co się o tym dowiedziała. Trochę się denerwuje. Poza tym jej strój stwarza zagrożenie pożarowe. Siada na murku naprzeciw tego, na którym siedzimy ja i Duane, równie daleko od nas obu, w pozie niefaworyzującej żadnego z nas.

Ale zaborczy Duane musi jej dotykać. Niezgrabnie podrywa się na równe nogi i usadawia się za jej plecami. Po czym bezustannie doiyka jej ramienia, kładzie jej rękę na dole pleców, przyciąga ją do siebie. Julia czasem się opiera, a czasem nie. Próbuję gawędzić z ojcem Julii, jednocześnie kątom oka obserwując sytuację. Julia zauważa obok siebie na murku kolejną mrówkę i gwałtownie wstaje. Duane najdelikatniej na świecie strąca mrówkę listkiem. Przywraca ją przyrodzie. Uwalnia ją. Obrzucam wzrokiem ziemię z nadzieją, że kiedy wstanę, to będę miał jeszcze szansę przypadkiem ją rozdeptać.

Poniżej wyciętych pleców sukni przecinają ją seksownie krzyżujące się paseczki. Tam właśnie znajduje się teraz ręka Duane'a, Nie patrzę, ale jednak patrzę.

Rozmawiam z ojcem Julii na temat Microsoftu. Nie patrzę. (Dotyka jej, pociera, trzyma za rękę). Rozmawiamy o recesji, o jego pracy w firmie sprzedającej oprogramowanie komputerowe. Rozmawiamy o sporcie, a ja nie patrzę. (Obejmuje ją, głaszcze, tarmosi).

Z powrotem na krzeselku, zaczyna się część druga. Zdarzyło wam się kiedyś oglądać, jak wasza dziewczyna, ta na którą uwielbiacie patrzeć, tańczy? Na scenie jest jakieś piętnaście lasek, tańczą do *There's No Business Like Show Business* i jest to popis klasy takiej, jaką ma dwudziestoczerokarato-

wy sztuczny diament. Julia jest pomiędzy nimi. Jest w plastikowej sukni. A ja jestem w siódmym niebie. Trochę wypada z rytmu. Porusza rękami z ledwo zauważalnym opóźnieniem. W pewnym momencie odwraca się w prawo zamiast w lewo, przez ułamek sekundy zderza się biodrem z Carlą i parska śmiechem. Chłonę każdą sekundę tego cudownego zjawiska. To, co ta panna potrafi robić z nogami, to, jak się przegina w tył. Co za marnotrawstwo! Takie ciało zarezerwowane co noc dla sepleniącego miłośnika mrówek.

Choreografia następnego kawałka jest lak absurdalnie niedorzeczna, że nie jestem przygotowany na to, co ma po nim nastąpić. W programie jest czterdzieści tańców, ale tylko ten jeden jest jej własną choreografią. Ułożony jest pod fajną, dziwną muzykę instrumentalną, a dziewczyny są w nim w fajnych, dziwnych kostiumach - seksownych obcisłych bluzeczkach, luźnych tureckich spodniach prosto z haremu. Połowa z nich jest ubrana na czerwono, a połowa na niebiesko. A gdy Julia się porusza, wykręca, podbiega, obraca się i staje na jednej nodze, drugą wystawiając w kierunku bogów, nagle mam poczucie, że wiem, po co tutaj jestem, że wiem, dlaczego Julia jest Julią - objawia mi się tajemnica. Za pięć minut ta cudowna chwila dobiegnie końca, a dziewczęta ustąpią miejsca na scenie grupce sepleniących czterolatków śpiewających *Happiness* z musicalu *You're a Good Man, Charlie Brown*.

Ale teraz jeszcze Julia przekracza granice piękna. Jest sensem wszechświata. To do niej należą prawa autorskie stworzenia. Czuję się, jakbym odkrył płótno Matisse'a na prowincjonalnym pchlim targu. Kiedy Julia kończy, reszta rodziny znów wychodzi na zewnątrz. Tylko ja zostaję i jeszcze przez minutę siedzę wbity w krzesło.

Kiedy w końcu wychodzę na zewnątrz, widzę całą rodzinę. Julia też tam jest. Jest już na luzie i kompletnie zлана potem. Ze wszystkich stron atakują ją szpony Duane'a.

Wchodzimy z powrotem do środka na wielki finał, czyli *One* z musicalu *A Chorus Line*. Julia dołącza się do tańczących w rzędzie dziewcząt, a my klaszczemy jak należy, a potem czekamy w korytarzu. Stoję obok Duane'a.

- No to co - mówię. - Załatwmy to po męsku.

Ale oczywiście tego nie mówię. Nic nie mówię. Tylko czekam.

- Fłuchaj, jakie lubisz książki?

Czas na nieduże dochodzenie. Dowiaduję się o jego godzinach pracy (jest na nocnej zmianie, to dlatego Julia prawie zawsze ma wolny wieczór), że we wrześniu zabiera ją do Meksyku (zrobię wszystko, koleś, żeby do tego nie dopuścić), że kiedy w zeszłym roku była w Portugalii („Pierwszy raz leciałam samolotem” - wyznała mi z zażenowaniem tego wieczoru, kiedy się poznaliśmy), to też on ją tam zabrał. Wracam pamięcią do jej różnych opowieści i je w myślach przeredagowuję. W miejsce każdego „ja” należy wstawić „my”. „Mieszkam na Sto Dwudziestej Pierwszej Ulicy”? Nic, nie, w wersji Duane'a „mieszkamy” właśnie tam.

Zapytuję o jego plany na przyszłość.

Na razie stara się jakoś przebić do pracy w mieście. Chce się wydostać z Connecticut. Jego ambicją jest zostać prawdziwym, etatowym reporterem, gościem, który biega na miejsca pożarów i chowa się w krzakach dla jakiegoś wielkemiejskiego szmatławca. Innymi słowy, marzy o takiej pracy, jaką ja wykonywałem ileś już lat temu i dawno ją sobie odhaczyłem jako zaliczony punkt w życiorysie. I taki gość ma nadzieję zapewnić jej życie na takim poziomie, do którego jest (przeze mnie) przyzwyczajona?

Pewnie, udaje mu się z nią sypiać i tak dalej, ale jest parę rzeczy, co do których nie mam wątpliwości, a które wypłynęły jakoś pośród strumieni wina i dżinu, jakie razem z Julią wypijaliśmy.

L. On chce z nią wziąć ślub.

2. Ona „nie jest pewna”, czy chce z nim wziąć ślub.

- Czy masz zamiar - mówię do niego przyjacielskim tonem - jakoś niedługo się oświadczyć?

- Cześć - to wróciła Julia.

Opada mi szczeka. Tym razem ma na sobie czerwoną, ozdobioną cekinami bluzeczkę, tak obcisłą, jakby to była tylko opalenizna, do tego dzinsową spódnicę. Wciąż nie ma na sobie stanika i wciąż wygląda zachwycająco.

Jak my musimy wyglądać z jej punktu widzenia, kiedy stoimy blisko siebie i prowadzimy przyjacielską pogawędkę? Oto my. Faceci, których ona zdążyła już dość dobrze poznać. Czy ona, patrząc na nas, myśli sobie: „Ten fajnie smakuje, ten drugi gorzej zaspokaja głód”?

Duane do niej podchodzi. Coś jej szepcze do ucha. Ona się uśmiecha. Po czym on jej wręcza uniwersalną kartkę-na-wszelkie-okazje („Gratulacje z okazji osiągniętego sukcesu”) oraz grudkę ziemi, z której wystaje kilka zmarnowanych chwastów i jedna świeża stokrotka. Musiał to wyrwać z ziemi gdzieś z tyłu szkoły. Jak jest bez grosza przy duszy, to mógł odegrać chociaż biednego artystę i podarować jej jakiś starannie wypracowany wiersz albo kolaż. Ale mu się nie chciało albo po prostu nie przyszło mu to do głowy.

Julia się śmieje, stara się nie okazywać pogardy, pokazuje kartkę wszystkim dookoła. Patrząc na jego podpis. Okazuje się, że jego imię pisze się D-W-A-Y-N-F. To niewiarygodne. Myślałem, że laki mogą mieć na imię tylko biedacy z Południa.

Dowiaduję się, że powstał jakiś dziwny plan, żeby ileś lam tancerek oraz nasz dziwaczny trójkąt miłosny spotkało się później razem oblać występ.

- O której jest ostatni pociąg do Nowego Jorku? - pytam.

- Chyba coś koło pierwszej - mówi Julia.

Z powrotem w domu. Matka zastawiła stół na nowo. Kurczak teriyaki na zimno. Na lodówce wisi przyczepiony magnesem rozkład jazdy pociągów - ostatni jest o 23.07. Patrząc na zegarek - jest 23.00.

- Jak długo się jedzie na stację? - pytam nerwowo.

- Jakies piętnaście minut - mówi Julia.

No ładnie. Członkowie rodziny starają się uprzejmie zapewnić mi jak najlepsze warunki na noc. Mogę spać w łóżku Ala, który przechodzi tera/, okres „spójrz tylko na mnie - jestem prawdziwym dziwakiem”, w związku z czym i tak zawsze śpi na kanapie. Ale zaczyna się robić ponuro. Musiałem już patrzeć, jak Dwayne ją obmacuje. Musiałem patrzeć, jak ją całuje. Czy będę też musiał słuchać, jak robią to w pokoju obok? „Błagam, tylko nie skrzywienie łóżka” - myślę sobie.

Cała nasza trójka udaje się do samochodu ojca Julii. Julia siada za kierownicą, Dwayne siada obok. Hura! Szykuje się nocna hulanka. Zabieramy po drodze Carlę i Joego, po czym kierujemy się do „modnej” okolicy, do jednej z tych niby „studenckich” knajp, gdzie dostaje się piwo w plastiku, z głośników leci Bon Jovi, a w sobotnie wieczory przesiaduje tu rozwydrzona młodzież, która wyrzyna w stołach swoje imiona oraz próbuje uprawiać filozofię, choć nie ma na to licencji.

W knajpie zamawiamy sobie każdy po piwie i siadamy razem z paroma innymi tancerkami, które całkiem przypadkowo nagle też się zjawiają. Jak się okazuje, jest to jedyna przyzwoita knajpa w okolicy. Nazywa się „Mała chatka” albo „Stary domek” czy jakoś tak.

Dwayne zaczyna rozprawiać o hokeju. Rzuca liczbami. Jak na fana hokeju, to jest z niego prawdziwy geniusz.

- Ja się bardziej interesuję koszykówką - mówię. - Lubię tę drużynę z Filadelfii. No, jakżeż oni się nazywają?

- „Seventy fikferf” - mówi Dwayne*.

*Seventy-Sixers („76ers”) - drużyna koszykarska z Filadelfii.

- A ten ich gwiazdor, który podobno wygrywa wszystkie mecze?
- Allen Iverfon*.
- Tom, proszę cię - mówi Julia.
- Rozmawiamy o sporcie - mówię.

Julia trzepie mnie pod stołem w kolano. A ja ją szczypię w udo. No i wtedy się to dzieje. Bez jaj. Szafa grająca. Gitara elektryczna. Ta dam dam dam - ta dam!

Ktoś puścił *Jessie's Giń* Ricka Springlielda - piosenkę o frustrującej miłości do cudzej dziewczyny!

A mnie znów zalewa lala niepokoju, kiedy myślę o tym, jakie koszmary czekają mnie dziś w nocy w domu Julii. Jest tam tylko jedno piętro plus mieszkalna piwnica, na głównym poziomie trzy maleńkie sypialnie, jak w domku dla lalek. Byłe nie skrzywienie łóżka. Proszę, błagam, tylko nie skrzywienie łóżka.

Resztę wieczoru spędzam, gapiąc się w pustą szklanekę swojego jedyne zamówionego dzisiaj piwa, postanawiam bowiem się nie upijać. Wypadam z rozmowy. Joe ma na sobie T-shirt z napisem „MAMY NA CIEBIE HACZYK - KSIĄŻKI Z NASZEJ BIBLIOTEKI”. I obrazek, na którym wielka ryba łapie się na przynętę w postaci książki, tym samym skazując się na rychłą śmierć. Świetny sposób, żeby zniechęcić przestraszone dzieciaki do czytania książek. Joe siedzi obok Carli. Obojgu akurat skończył się wątek w rozmowach z pozostałymi, więc patrzą teraz, na siebie. Ale nic wiedzą chyba, co mogliby sobie powiedzieć, więc zaczynają się przytulać. I potem już się dalej tylko migdała.

Zanim wsiadamy do samochodu, żeby pojechać nim z powrotem do domu Julii, ona daje Dwayne'owi kluczyki.

*Allen Iverson - słynny koszykarz.

- Ty prowadzisz - mówi.

Wracam na swoje miejsce na tylnym siedzeniu, tym razem jednak Julia z poświęceniem gramoli się na niewygodne, środkowe miejsce koto mnie. Jej udo napiera na moje. Po drugiej stronie ma Carłę, Joe siedzi z przodu. Na zakrętach Julia nieco się we mnie wtula. Czuję jej zapach. Czy ona czuje mój? Czy jeszcze ładnie pachnę?

Z powrotem w domu. Dwayne pierwszy leci do ubikacji. Wychodząc, wpada na Julię.

- Sfluczka nie działa - szepcze do niej z powagą.

Sfluczka to chyba najmniej skomplikowany element wyposażenia domu. Niewiele może się tam popsuć. Naciska się przycisk, do którego od środka przymocowany jest łańcuszek, na którego końcu znajduje się gumowa zatyczka. Zatyczka blokuje dopływ wody. Kiedy naciskamy na przycisk, zatyczka się unosi, a woda wypływa ze zbiornika do muszli.

Zdejmuję pokrywę zbiornika. Łańcuszek odczepił się od zatyczki. Naprawienie tego zajmuje jakieś cztery sekundy. Dwayne nie ma nawet tyle rozumu, żeby wykombinować, że naprawę sfluczki trzeba zacząć od zdjęcia pokrywy. To nie jest zwykły tępak. On ma chyba jakiś specjalny dyplom z głupoty. On by chyba przegrał nawet w grze w jedną kartę. Z drugiej jednak strony, ma na tyle rozumu, żeby się znaleźć w takiej sytuacji, która pozwoli mu za chwilę zobaczyć rozebraną Julię, co go czyni w tym domu kimś na miarę Billa Gatesa.

Nakładam pokrywę z powrotem, kiedy pojawia się Julia ze szklanką wody. Patrzę na jej oczy, jej skórę, jej włosy, jej ciało. Teraz potrzeba mi tylko szklanki tego wszystkiego. Boli mnie serce. Nie to disneyowskie serce w kształcie serduszka, nie - to prawdziwe, bijące serce. Czuję ból w jego przedsionku i w samej komorze sercowej. Tylko nie skrzypienie łóżka.

- Cześć - mówi Julia.

- Naprawiłem sfluczkę - mówię.

Ale to nie to właściwie mówię. Tak naprawdę mówię: „Jestem użytecznym mężczyzną! Potrafię naprawiać sprzęty domowe!“. Mówię też: „A ty tkwisz przy jakimś palancie, kiedy masz przed sobą pełnego fantazji naprawiacza sprzętów!“.

- O - mówi ona. - Fajnie. Przyniosłam ci wodę.

Biorę z wdzięcznością szklankę. Myślałem, że niosła ją dla siebie. To taki jej mały wyraz czułości. Tajemny sygnał, który mam odczytać. Lub może najmarniejsza na świecie nagroda pocieszenia.

Julia prowadzi mnie do pokoju Milczącego Ala. Kiedy tam wchodzę, mam dziwne uczucie, że patrzę na zdjęcie ze swojego życia piętnaście lat temu. Tania wieża i drogie głośniki, Plakaty niecodziennych bohaterów, gniewnych geniuszy: oczywiście Einstein, potem Brando, Gandhi, *Chłopcy z ferajny*, Carl Sagan, Jim Morrison i... Duży Al z serialu *Happy Days*. Temu przyglądam się bardziej uważnie, Jest na nim napis „Dla Ala - Al“. Na ścianach wiszą też wycinki z gazet na temat powrotu Johna Glenna w kosmos, plakat reklamujący piwo Miller oraz, co typowe dla chłopaka mieszkającego trzy tysiące mil od Kalifornii, inny reklamujący stroje do surfingu (myślałem, że one były przebojem w latach osiemdziesiątych - ale może teraz wróciły w charakterze retro?).

- Ja to narysowałam - mówi Julia.

Na przymocowanym do niskiego sufitu kawałku brylistu namalowany jest flamastrami dziecięcy obrazek.

- To Carl Sagan - mówi Julia.

Postać legendarnego autorytetu w kwestiach kosmosu stoi w oknie statku kosmicznego na tle gwiazd. Jedną rękę ma w nienaturalny sposób, jak to na dziecięcych rysunkach, wygiętą w górę, tak że może nią machać do widzów. Nie potrafię określić, czy narysowała to piętnaście lat temu, czy wczoraj, ale tak czy inaczej rysunek jest doskonały. Jest w nim wszystko - rodzina, kochająca starsza siostra, bliskość i ciepło

i dwoje ludzi, którzy się bardzo dobrze znają. To wszystko, czego ja nie mam.

- Ładne - mówię, ale patrzę na nią, I stoimy tak przez chwilę.

- To co, zobaczymy się rano? Kiwam głową.

Julia idzie na dół, do Dwayne'a. Słyszę, jak rozmawiają ściszonymi głosami piętro niżej,

Kiedy gaszę światło, na suficie pojawia się mnóstwo fosforyzujących gwiazd. Myślę sobie, że jeszcze nigdy nie widziałem czegoś tak cudownie tajemniczego. Gapię się na nic przez siedem godzin, czekając, aż nadejdzie poranek. I nasłuchując.

Ale nie dochodzi mnie skrzypienie łóżka.

Niedziela, 15 lipca

Czekam, aż wszyscy wstaną, po czym wypęlam z pokoju i kieruję się do kuchni, potulny potwór, wciąż trzymający się przy życiu zombie, którego obecność wprawia wszystkich w zakłopotanie. Trzymam w ręku torbę.

Reszta domowników siedzi przy bułeczkach i kawie, rodzinna atmosferka.

Julia zrywa się z krzesła, staje obok mnie - nieco za blisko, ale też nieco za daleko.

- Chcesz bułeczkę? - pyta.

Już sama myśl o jedzeniu przyprawia mnie o mdłości. Potrzebne mi są w tej chwili: prysznic, czyste ubranie, litr płynu do płukania ust, maska tlenowa, sen, przeszczep całego ciała, jakiś niezbywalny dowód, że obchodzę jeszcze kogoś poza moją matką, Krwawa Mary, coś do szorowania twarzy, masaż głęboki mięśni, krople do oczu, trochę seksu oraz zastęp sanitariuszy, którzy by mnie stąd wynieśli. Ale nie bułeczka.

- Chcesz pączka? - pyta ojciec Julii. Nie chcę.

- A może chcesz foku pomarańczowego? - pyta Dwayne. Nie, dziękuję.

- Muszę iść - mówię Julii do ucha.

Z uporem maniaka przekładam wciąż rozkład jazdy pociągów - z torby do kieszeni dzinsów, potem do kieszeni koszuli. Moja torba leży ostentacyjnie na środku pokoju, czyli jakieś półtora metra od środka kuchni - tu naprawdę nie ma zbyt wiele miejsca.

Wokół rozlega się ciamkanie i siorbanie. A ja czuję się naprawdę bardzo, bardzo źle.

- Za dwanaście minut mam pociąg - mówię Julii do drugiego ucha.

I już jesteśmy w samochodzie. Za chwilę będę wolny. I będę mógł spokojnie przejść załamanie nerwowe.

- Nie ma dużego ruchu - mówię jak palant. Jest niedziela rano, poza miastem.

- Miło, że przyjechałeś - mówi Julia.

Rozmawiamy o jej wiecznie trajkoczącej matce i stale milczącym bracie.

A ja myślę sobie: to by mi nie przeszkadzało. Mógłbym żyć z tym poczuciem, że „już jej lak bardzo nie interesuję”. Dałbym sobie radę z takim szczegółem, że „ona mieszka z kimś innym”. To wszystko naprawdę nie musiałyby mnie martwić.

Gdyby tylko ona dalej chodziła ze mną do łóżka.

Kiedy dojeżdżamy na stację, pociąg już stoi na peronie. Łapię torbę i wypadam z samochodu. Julia w pośpiechu odpina pasy i przeskakuje na drugą stronę, żeby pocałować mnie w policzek.

- Zadzwoń do ciebie później - mówi, patrząc na mnie zmartwionym wzrokiem. - Obiecuję.

I odjeżdżam. W pociągu udaje mi się zasnąć na dziesięć minut, w efekcie czego wskaźnik mojego snu od piątkowej nocy wzrasta do dziesięciu minut. Kiedy dojeżdżam do domu, przez jakiś czas idę jak lunatyk przez słoneczne miasto, po czym wchodzę do sklepu i kieruję się od razu do działu z piwem, napojami gazowanymi, chipsami i dipami do nich. Ten dział się powinien nazywać „kawalerski”, bo zakradają się tu i szwendają między półkami głównie mężczyźni w przedziale wiekowym od osiemnastu do trzydziestu czterech lat, bez asysty kobiet. Taszcą oni smutne plastikowe koszyki, przez co przypominają Czerwone Kapturki, którym nie udało się zostać wilkami. Czasem zastanawiam się, co

może się znajdować w innych działach. Aha, no właśnie - muszę jeszcze kupić płatki śniadaniowe.

Huk radiowej muzyki zdaje się dobiegać prosto z pudełka otrębów z rodzynekami. A to co? No tak. Kiedy byłem dzieckiem, pośród monotonnej masy pływających w mleku płatków śniadaniowych można było czasem znaleźć chrupiące jagódki - cudowne, słodzisieńkie bryłki w kolorze matczyngo sutka. Trzeba się było nieźle napracować, żeby je znaleźć. Wyławiało się je łyżką i podejmowało istotne decyzje: czy zjeść je wszystkie od razu, czy lepiej starać się, żeby w każdej branej do buzi łyżce była choć jedna? Albo może w ogóle je najpierw omijać, żeby na koniec na dnie talerza została już tylko sama wielka góra chrupiących jagódek - prowadzące prosto do nirwany apogeum słodczy?

Dzisiaj można kupić całe pudełko samych jagódek. Ech, te dzisiejsze dzieciaki. Nie wiedzą, co to trudy i znoje. A do tego mają jeszcze pistolety wodne. A do tego jeszcze ich małe koleżanki uczą się robić łaskę już chyba w czwartej klasie. Czyta się przecież w kółko o tych lolitkach, które na szkolnych korytarzach grają na fletach z akompaniamentem murmurando - chyba wymagają już od nich znajomości podstawowych technik na lekcjach wuefu,

A kiedy stoję przy kasie, znów atakują mnie dźwięki radia. Człowiek zdaje sobie sprawę, że jest z nim nie najlepiej, kiedy nawet w popularnych przebojach jest w stanie usłyszeć złote myśli. Tym razem jest to zespół Bread, który śpiewa, co następuje:

*Chętnie bym oddał to,
co mam Serce i życie, i mój dom,
By móc cię dotknąć Jeszcze raz.*

Upuszczam na podłogę puszkę z sercami karczochów. Podnoszę ją i widzę wgniecenie. Kiedy jest się w tym jedynym w swoim rodzaju stanie, w każdej piosence widzi się siebie. Twórcy tych tekstów to przecież prorocy! Aż się oczy same wypełniają łzami.

Po drodze do domu wspominam Cudowną Kolację parę tygodni temu. Plan był taki, żeby zamiast zwykłej randki

- kolacja w restauracji, kilka drinków, potem jeszcze kilka, a potem kilka jeszcze, a potem zaproszenie na zwiedzanie mojego mieszkania o północy - żeby zamiast tego wszystkiego zjeść kolację w domu, alkohol w domu, a w efekcie tego - ha! Najedzona, zadowolona, lekko pijana panienska cudownie rozłożona na kanapie około godziny dziewiątej trzydzieści. Chwilka na intymne igraszki, po czym mogłaby, jeśliby chciała (choć ja bym jej do tego nie zachęcał), ubrać się i zniknąć jeszcze przed północą.

- Halo, czy to centrala? - zapytałem, dzwoniąc wtedy do niej. - Chciałbym się połączyć z panią Julią Brouillard, rozmowa o treści nieprzyzwoitej, na koszt abonentki. Czy akceptują państwo nieprzyzwoite treści?

- Łączę pana - powiedziała wtedy Julia.

Czy miałyby ochotę wybrać się po pracy coś przekąsić? Miałyby. Sushi? Nie. (Świetnie, to był test). Chińszczyzna? No, może. Włoskie? Tak, włoskie. Po czym nagle, zaraz przed zakończeniem rozmowy, niby to wpada mi coś do głowy

- hej, a może byś tak, no wiesz, wpadła na kolację do mnie?

- Hmm - powiedziała Julia.

- Ale muszę cię ostrzec, że w wyniku tej wizyty twoja składka ubezpieczeniowa może skoczyć nieco w górę - dodałem.

- Hmm - powiedziała Julia.

- Nie musisz nawet nic przynosić - powiedziałem ja.

- No chyba że gaśnicę, na pewno się przyda.

Roześmiała się.

- Dobrze - powiedziała.

- O szóstej? - zaproponowałem.

- O szóstej.

Kończę rozmowę bezgranicznie uszczęśliwiony i tylko trochę przerażony. Do tej pory tylko raz przygotowywałem dla dziewczyny kolację. Nie wyszło to najlepiej. Zaprosiłem Betsy do mieszkania na Sto Szóstej Ulicy, które wówczas dzieliłem z pewnym tyczkowatym, brodatym maniakiem. To było jeszcze w czasach, kiedy miałem dwadzieścia-ileś-tam lat, w okresie, kiedy dziewczyny wszystkich moich kumpli zamieniały się w ich żony. Przygotowałem czarną rybę, do tego czarny chleb czosnkowy, czarną fasolkę szparagową oraz czarną zupę. Spośród kuchennego wyposażenia najlepiej zaznajomiony jestem z wykrywaczem dymu. (Jeśli o mnie chodzi, to wszystkie przepisy kulinarne zaczynają się od słów „wyłącz wszelkie czujniki”).

Betsy mi wówczas wybaczyła. A nawet poszła ze mną do łóżka - kobiece miłosierdzie nie zna granic. Później jednak poradziła mi, żebym już nigdy nie próbował czegoś dla niej (albo dla innej kobiety) gotować.

Tak więc tego wieczoru, kiedy zaprosiłem Julię do siebie na kolację, wyszedłem z pracy z kulinarnym błyskiem w oku. Tym razem tego nie schrzanię.

Od czego by tu zacząć.

Brakowało mi nie tylko umiejętności gastronomicznych, brakowało mi również podstawowych sprzętów. W szafce kuchennej miałem uniwersalną miskę do sałatek/płatków/zupy, cztery nieduże talerze i mnóstwo artykułów o bardzo długiej przydatności do spożycia (jak w schronie przeciwoatomowym) oraz cały zastęp rozmaitych szklanek i kieliszków. Nie miałem nawet serwetek.

Pierwszy przystanek - sklep „Mieszkaj z klasą”. Kupuję płócienne serwetki. O, i jeszcze podkładki pod talerze do

kompletu. Czy potrzebne mi jeszcze kóleczo do tych serwetek? Nie, nie daję się ponieść, żeby przypadkiem nie przekroczyć cienkiej granicy, za którą nie uznają cię już za faceta z klasą, tylko po prostu za geja.

Następny przystanek - sklep „Raj pasibrzucha”. Sięgam po koszyk, ale się reflektuję - potrzebny mi przecież wózek. Zaczynam od działu warzyw i owoców. Kupuję coś na sałatkę. Która to byta ta najmodniejsza sałata? Jakie pomidory święcą triumfy w tym sezonie?

Drugie danie. Świeże tortelli z serem, w prawdziwie włoskim stylu. Sos z wódką, pamiętam, że za nim przepada. Ach - a przecież jeszcze koktajle owocowe przed obiadem. Z niezauważalną kapką rumu specjalnie dla pani. Wracam do warzyw i owoców, kupuję jabłka, banany, jogurt.

Stek. Dwa duże kawałki. Tak. Dlaczego? Bo są drogie. „Pozwól jej zobaczyć, jak marnujesz pieniądze”.

Oczywiście musi być też deser. Coś lekkiego, pysznego i niecodziennego. Może sorbet owocowy z marakui? Biorę też kokosowy. Dam po jednej gałce każdego. Aha, a do tego pojedyncze kawałeczki najlepszej czekolady, które będzie można wetknąć w środek takiej gałki. To się nazywa prezentacja.

Wracam do warzyw i owoców - kupuję świeżą cytrynę. Dzięki temu, jeśli poprosi o wodę, będę mógł ją podać z plasterkiem cytryny. Elegancja Francja. Kto by się temu oparł?

Stoję przy kasie. Kolejka przypomina tłum zebrany przed stadionem, żeby wejść na finały koszykówki. Ale porusza się dość szybko. Jeszcze tylko parę minut... O, cholera. Chleb. Wracam do działu z pieczywem. Tracę kilka cennych minut, naciskając na różne bochenki w białych papierowych torbach i zastanawiając się, jaka jest właściwie różnica między chlebem włoskim a francuskim. W końcu decyduję się na francuski. Wszystko, co francuskie, kojarzy się z seksem.

Z powrotem do kolejki, która jest teraz jeszcze dłuższa. Kiedy udaje mi się z niej w końcu wydostać, jest 18.12. 18.12! Łapię taksówkę. Po to, żeby przejechać kilka przecznic? Szastam pieniędzmi na prawo i lewo. Szkoda tylko, że ona tego nie widzi. Ale w porządku. Postanawiam w którymś momencie wspomnieć jej od niechcienia o tym całym szaleństwie. W ujmujący sposób, podśmiewając się z siebie samego.

Z powrotem w domu. 18.18. Pewnie już tu była i sobie poszła. Nie. Nie wolno mi w ten sposób myśleć. Jednym ruchem wyjmuję z szafki elektryczny grill, który dostałem od mamy na gwiazdkę, myję sałatę i kroję pomidory. (Cholera, zapomniałem kupić drugi nóż do steków. Ale w porządku. Dam jej ten, co mam, a swój będę po cichutku kroił czymś innym, na przykład... Nie! Jeszcze lepiej! Czy to nie będzie cudownie urocze, jeśli będziemy się dzielić jednym nożem, podając go sobie nawzajem? Jak para ubogich artystów w Paryżu lat dwudziestych, którzy z pogardą odrzucają sztywne normy społeczne dotyczące sztucców!). Ha, ha. Za-gotowuję wodę na makaron. Szkoda, że mam tylko jeden rondel. Jak ja podgrzeję ten sos z wódką? Tak samo jak mój kawalerski sos boloński - w tym samym, szybko wypłukanym rondlu po makaronie, który tymczasem czeka w misce przykrytej talerzem, mającym za wszelką cenę powstrzymać uciekającą parę.

18.26. Sałatka jest gotowa. Wygląda na to, że ze stekami zejdzie kupa czasu. Strasznie grubachne. No i każdy z nich zajmuje całą powierzchnię mojego grilla, co oznacza, że nie da się ich zrobić obu naraz, chyba że jeden usmażę na patelni, co z kolei zagwarantuje, że będzie on spalony, a poza tym, to gdzie ona do cholery się podziewa?

18.29. Dzwoni telefon,

- Hej - mówi Julia. - To ja. Właśnie wychodzę z metra.

- Świetnie - mówię, ocierając skraplającą się na moim czole kuchenną parę rękawem.

- Tak tylko chciałam zapytać, czy mam coś przynieść
- mówi Julia.

Właśnie wkręcałem korkociąg w butelkę najlepszego czerwonego wina, jakie miałem w domu, jednocześnie patrząc na porozrzucane dookoła puste torebki, dwa pudełka sorbetu owocowego postawione na lodówce i pomału się rozpływające, podkładki pod talerze i serwetki z wciąż poprzyczepianymi metkami, pojawiające się na powierzchni wody w rondlu bąbelki, sałatę i pomidory - umyte i pokrojone, po czym włożone z powrotem do swoich torebek, ponieważ nie posiadam miski do sałatki, powiedziałem jednak:

- Chyba wszystko jest pod kontrolą.

Kiedy odłożyłem słuchawkę, pomyślałem sobie: „Cholera, przecież ona lubi białe wino”.

- O rany - powiedziała Julia, wchodząc do mieszkania, które właściwie jeszcze pół godziny temu było całkiem czyste. Teraz jednak wyglądało, jakby wybuchł tu robot kuchenny. - Mam nadzieję, że nic robiłeś sobie z tym wszystkim za dużo kłopotu - dodała z lekko zażenowanym, przyjaznym uśmiechem.

I wówczas podała mi kwiaty.

- O, dzięki - powiedziałem. Co ja u diabła mam teraz z nimi zrobić?

- Masz jakiś wazon? - zapytała Julia.

Nie, nie miałem wazonu. Który facet ma w domu wazon?

- Mam coś lepszego - powiedziałem, grzebiąc w szafce.

- To się świetnie nada.

- Co za smak - powiedziała Julia i włożyła kwiaty do wielkiej szklanki do piwa z napisem „WIELKA MAJÓWKA W PANAMA CITY, 1989. KTO NIE PIJE, TEN NIE ŻYJE!”, Nalała do niej wody i postawiła kwiaty na oknie.

Salatka, steki, tortellini - przez cały czas trwania posiłku uwijałem się jak w ukropie, ganiając jak szalenciec pomiędzy dwuosobowym stołem a upaprąną kuchenką. Nie mam tak naprawdę tylu talerzy, żeby starczyło na zebranie towarzyskie powyżej jednej osoby. Połowę czasu spędziłem, gorączkowo zmywając raz to, raz owo. Julia skubała sobie obojętnie wyprawioną na jej cześć ucztę. Zjadła jedną szóstą steku. To tak, pomyślałem sobie, musi wyglądać życie matek.

- Sorry - powiedziała, zauważywszy moje spojrzenie. - Ten koktajl był bardzo sycący.

- Zostawiłaś sobie miejsce na deser?

- Oczywiście - powiedziała.

Podczas gdy ja przygotowywałem deser, Julia wybrała płytę.

- Może być „Automatic for the People”? - zapytała.

- Świetna płyta - powiedziałem, lekko rozczarowany. Czemu nic wybrała „Murmur”?

Wziąłem do ręki serwetkę... o, cholera! Ta pieprzona metka. Ukradkiem odlepiłem ją pod stołem, tak jakby to miało spowodować, że metka na serwetce Julii również zniknie.

- No - powiedziałem do niej z uśmiechem na ustach, kiedy z powrotem usiadła przy stole.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

- Spróbuj tego wina - powiedziałem, nalewając jej duży kieliszek.

- Naprawdę nie spodziewałam się tego wszystkiego - powiedziała Julia. - Nawet nowe podkładki pod talerze? No naprawdę.

- Te starocie? - rzuciłem. - To pamiątka rodowa. Odziedziczyłem je po dziadku, Ezckielu.

Kiedy skończyliśmy jeść, odgoniłem ją od Everestu naczyń w zlewie (tak jest, wszystkie tam były, wszyściusiennie posiadane przeze mnie naczynia) i usiadłem na kanapie, obracając w dłoniach kieliszek wina.

Ale ona wróciła na swoje miejsce przy stole i przyglądała mi się stamtąd uważnie. Z odległości trzech metrów. Albo raczej kilometrów.

Przez chwilę rozmawialiśmy o R.E.M. A potem o The Cure i Radiohead i Nicku Drake'u i dlaczego ona nie przyjdzie tutaj usiąść koło mnie?

- Chodź tutaj - powiedziałem.

Koneser mówi tak: „Nie proś, tylko żądaj”.

Przyszła. Pocałowałem ją. Jeszcze przez chwilę się całowaliśmy. W kuchni coś spadło z dziwacznym hałasem. Julia lekko podskoczyła.

- Sprzątaczką się tym zajmie powiedziałem.

Położyłem ręce na jej talii, zacząłem je wsuwać pod koszulę, wyobraźnia już zaczęła pracować. Ale ona mnie powstrzymała. Łokciami uderzając w moje dłonie. Dziewczyńskie kung-fu.

- Grrr - powiedziała, pochylając głowę i wbijając mi ją w pierś. Przez chwilę siedzieliśmy przytuleni. Zdecydowanie za krótko. Za chwilę już się ode mnie odkleiła.

- Naprawdę muszę już iść - powiedziała. Była dziewięta trzydzieści,

Michael Stipe śpiewał: „Każdego czasem coś boli”.

To było dwa tygodnie temu. A teraz idę do domu ze sklepu i kładę na półkę wgniecione serca. Potrzebuję czegoś, co by złagodziło ból. Kiedy mam problemy sercowe, w którymś momencie zawsze sięgam po rzecz, która zawsze bez pudła miło przytępia zmysły. Przez chwilę potem czuję się lepiej, po czym czuję się znacznie gorzej. Następnego dnia zawsze postanawiam pozbyć się tej rzeczy z domu i już nigdy po nią nie sięgać, ale wiem, że sam się okłamuję.

Tą rzeczą jest „Blood on the Tracks” Dylana, jego wielki słownik bólu. Może nie tylko jego, może każdego innego

faceta też. Wysłuchuję całego *Tangled Up in Blue*. Bez problemu, ten kawałek jest nawet dość zabawny. („Kiedy się poznaliśmy, była jeszcze mężatką / Choć niedługo miała się rozwieść”. Uwielbiam to). Julia nic dzwoni.

Bez problemu wysłuchuję też *Idiot Wind*. A nawet napęła mnie odwagą, bo nagle słyszę proroctwo, na które dotąd nie zwracałem uwagi:

*Nie wiedziałeś,
Nie sądziłeś, że to możliwe,
On w końcu wygra! wszystkie wojny,
Choć przegrał w nich każdą bitwę.
Słusznie.*

Julia nie dzwoni.

Udaje mi się wysłuchać płyty aż do *If You See Her, Say Hello*. To ten kawałek, w którym *siychać*, jak serce Dylana spada na podłogę i zostaje podeptane przez parę wysokich obcasów.

Zachód słońca, żółty księżyc, wspominam przeszłość. Każdą scenę znam na pamięć. Wszystko działo się tak szybko.

I wtedy to się dzieje. Robi się późno. A ona wciąż nie dzwoni. W końcu pękam i z moich oczu zaczynają płynąć dziwne strumienie. Skąd one się biorą? W mojej głowie musi być jakiś potężny zbiornik słonych płynów, ponieważ ten potok trwa przez czterdzieści minut. Zniosę każdy ciężar. Zapłacę każdą cenę. I wpakuję się być może w taką samą kabałę jak Kennedy z Wietnamem.

O jedenastej dzwoni telefon.

- Cześć - mówi Julia. - To ja.

- Cześć - mówię, mój głos przypomina mokry żużel. Czy robię wrażenie, że jestem na luzie?

- Właśnie się obudziłam - mówi przepraszającym tonem.

- W porządku - mówię głosem wilgotnym od płaczu. Im mniej się odzywam, tym większą mam szansę ukryć to coś, co mi siedzi w gardle.

- Wróciłam do miasta i położyłam się tylko na chwilę, no i zasnęłam jak kamień. Spalam osiem godzin.

- To się zdarza - mówię.

- Przepraszam cię - mówi ona. - Możemy kiedyś spotkać się na jakiegoś drinka?

- Dobrze - mówię.

Julia cicho się śmieje, tym swoim śmiechem do zapełniania przestrzeni. Tym śmiechem nie mówi „Jestem rozbawiona”, tylko „Jestem zakłopotana”.

Teraz jednak, skoro wydała jakiś dźwięk, nadchodzi znów moja kolej coś dodać do tej rozmowy. Coś muszę powiedzieć.

- Myślałem - mamroczę do słuchawki - że już nie chcesz mnie więcej widzieć.

Przypatrzcie się końcowym napisom tej komedii, którą kiedyś nakręcą o życiu w Nowym Jorku w roku 2001. Nie będę tam głównym aktorem. Nie będę też cynicznym kumplem ani nawet „drugim barmanem”. Nie, ja będę gdzieś tam pod sam koniec ciągu różnych nazwisk, jako „specjalista od gaf”.

Z powodu tego stanu, w jakim się znajduję. Tego jedyne go swoim rodzaju stanu, stanu, którego się nie wybiera, lecz w który się popada.

Poniedziałek, 16 lipca

W porze lunchu wyjątkowo rezygnuję ze stołówkowej pożywnej porcji cielęciny z parmezanem i czekoladowego napoju. Zamiast tego przeżuвам klajsirowaty baton energetyzujący i uderzam do pałacu cierpienia, sali stękania.

Po co chodzę na siłownię? Żeby lepiej wyglądać nago. Mimo to lista wszystkich osób, które widziały mnie nago od czasu tamtego pamiętnego jedyne go razu z Julią, przedstawia się następująco:

1. Faceci na siłowni

Czyli koniec końców rozbieram się dla czarnoskórych, napakowanych facetów. Czyja aby na pewno nie jestem gejem?

W szatni po cichutku się rozbieram, jak zwykle starając się bezskutecznie dojrzeć swojego dragala pod wypukłością mojego sporego, trzęsącego się, białego brzuszka. Rzucam okiem na brzuchy innych facetów - żelazo, cegła, stal, tytan. Kiedy wciągam T-shirt, czuję się, jakbym zawijał w folię miskę ziemniaczanego puree. Ale w głębi duszy wiem przecie ż, że tak naprawde nie mam wcale nadwagi - jest we mnie po prostu trzech chudzielców, zamkniętych w ciele tłuściocha.

Idę na sałę, przesączoną tajemniczym optymizmem. Zastanawiasz się czasem, czemu kobiety i mężczyźni nie mogą się nawzajem zrozumieć? Spójrż tylko na siłownię, gdzie przy użyciu tego samego sprzętu kobiety próbują osiągnąć mniejsze, a mężczyźni większe rozmiary ciała.

Ta siłownia przeznaczona jest dla czynnych zawodowo mieszkańców śródmieścia, podobnych mi trzydziestolatków, w związku z czym, rozciągając się, słyszę z głośników muzykę dostosowaną do potrzeb naszej grupy demograficznej, muzykę naszej młodości: „Czy wierzysz w miłość?” Nie. „Czy naprawdę chcesz mnie zranić?”. Nie, dziękuję, wystarczy mi, że sam sobie zadaję ból. „Czy ona naprawdę z nim chodzi?”. Grrr.

Ogromni faceci - faceci w prawdziwych strojach sportowych, skąpych koszulkach ze spandeksu - próbują utrzymać na ramionach szlangi ze śmiesznymi, karykaturalnymi ciężarami na obu końcach. Uginają kolana, robią głęboki przysiad, po czym chybotliwie się wyprostowują. I znowu. To wygląda na ostry wysiłek. Pozbawiony wszelkiego sensu, ale ostry. Ciekawe, jaki procent dziewczyn, które teraz właśnie jedzą sobie sałatkę Cezara, rozprawia o tym, że chce poderwać kolesia z ogromnymi mięśniami pleców...

Na wszystkich ścianach zawieszono są lustra, lustra znajdują się też po każdej z czterech stron każdej w tej sali kolumny. Normalnie jak w wesołym miasteczku, tyle że zamiast „wesołe” trzeba by podstawić „pełne udreki”. Wszyscy tutaj sapią i wyciskają ile mogą z wypisaną na twarzy, ociekającą potem determinacją, ale tak naprawdę zajmują się przede wszystkim obrzucaniem wzrokiem wszystkich dookoła. Jeszcze gorzej: wszyscy tu udają, że pakują, po to, żeby mogli udawać, że obrzucają innych wzrokiem, podczas gdy tak naprawdę gapią się głównie na samych siebie. Za każdym razem kiedy spojrzysz tu w lustro - a nie da się nigdzie spojrzeć tak, żeby nie spojrzeć w lustro - widzisz odbicia z pozostałych luster, w których odbijają się kolejne lustra, i tak dalej w nieskończoność. Zdecydowanie nie jestem dzisiaj w nastroju na taką dawkę samego siebie.

Przy kąci z ciężarkami kręcą się faceci w dumnych korporacyjnych koszulkach („Wyścigi Pampersów w Central

Parku", „Arthur Andersen to zaufanie"). Idę niemrawo w stronę ławeczki do wyciskania, przyglądam się zaśnieżonemu srebrnemu prętowi z wypukłościami, których jedynym celem jest chyba zostawianie odcisków na rękach. Potem, jeśli jakaś dziewczyna w knajpie je zauważy, można opowiadać, że to od podnoszenia ciężarów. Nie mam bladego pojęcia, ile jestem w stanie udźwignąć. Jestem redaktorem w gazecie. Kiedy to ostatni raz dźwigałem na swoich barkach coś więcej niż artykuł do napisania? Kiedy ostatni raz podnosiłem jakiś ciężar, a nie tylko siebie na duchu?

Podczas gdy z trudem łapiąc powietrze, wyciskam z siebie siódme poty, podchodzi do mnie napakowany koleś oraz jego kark. Jego klata zdaje się wykonana z pneumatycznej stali. Ma tam wręcz półeczkę. Słyszałem, że branie sterydów powoduje, że rośnie ci biust, a jądra kurczą się do rozmiarów pestek słonecznika. Krótko mówiąc, w pogoni za męskością stajesz się kobietą. Takie są skutki nadmiernej troski o wygląd. Jak śmiemy w ogóle próbować tu coś zdziałać? Tylko kobiety powinny świetnie wyglądać. A my jesteśmy po to, żeby je podziwiać.

- Cześć, kolego - mówi paker. - Poasekurować cię? Unoszę wzrok, żeby mu się przyjrzeć. Albo coś mu wpadło

do oka, albo właśnie do mnie mrugnął. Jego krocze jest zaraz nad moją twarzą. Mam dziwne uczucie, że tak właśnie muszą się zaczynać niektóre gejowskie pornosy. Z głośników zaczyna lecieć głos wdzięczącego się George'a Michaela. (Jak ktokolwiek mógł kiedyś myśleć, że ten koleś jest hetero?).

Nie chcę być nieuprzejmy. Nie chcę też mieć żadnych świadków.

- Nie, dzięki - mówię. I leżę dalej, ciężko oddychając. A on dalej stoi, patrząc w dół na mnie z uśmiechem na twarzy. Czuję się co najmniej tak dziwnie, jak zwykle na randce.

- Może cię zmienić?

Leci piosenka *I Want Your Sex*.

- Jasne, proszę! - mówię przesadnie przyjacielskim tonem. Zrywam się z ławki, zadowolony, że mogę sobie zrobić przerwę.

Koleś ujmuje w dwa palce moje cienkie jak talerze pierścienie, ściąga je ze sztangi i odkłada na miejsce. Po czym nakłada na sztangę dwa masywne latające spodki i kładzie się spokojnie na ławce, patrząc w górę prosto na mnie. Teraz to ja stoję za nim, próbując nie patrzeć na nic konkretnego.

Koleś zaczyna wyciskać.

- Poasekurujesz mnie? - pyta.

A George Michael śpiewa: „Seks jest najlepszy jeden na jednego!”.

- Jaaasnc - mówię.

Pierwsze dwanaście razy idzie mu sprawnie, ale przy piętnastym już traci parę. Nadchodzi chwila, w której muszę się zabrać do działania. Mam mu pomóc unieść sztangę jeszcze raz w powietrze i potem odłożyć ją na stojak. Jednakże, jako że moje mięśnie przypominają makaron, a sztanga tego kolesia waży mniej więcej tyle, co terytorium Norwegii, oczyma wyobraźni już widzę komedię, jaka zaraz tu się rozegra. Tak naprawdę, on przecież bardzo dobrze wie, że nie powinien za nic prosić mnie o asekurację. Ale on właśnie udowadnia, że nie jest uprzedzony. Stara się włączyć mnie do stada niezależnie od tego, jak wyglądam. Przyjmuje mnie do braterstwa mięśniaków w ramach jakiegoś programu pozytywnych działań wobec słabeuszy.

Podniósł sztangę na jedną czwartą wysokości. Trzymam dłonie pod sztangą, gotowe do pomocy.

- Dasz radę - mówię.

- Yy... YY! - mówi on. Drżą mu łokcie.

- Sam temu podolasz - mówię, chwytając dłońmi sztangę.

- Yy! YYYYYY!

Sztanga podnosi się jeszcze parę centymetrów w górę. Próbuję mu pomóc ją podnieść. Zdaje mi się, że podnoszę samochód osobowy.

- Naprawdę świetnie dajesz sobie radę - mówię ze skruchą. Facet wydaje z siebie jakieś bardzo głośne samogioski. Po jego czole spływa pot. Całym ciałem staram się jakoś mu pomóc podnieść sztangę jeszcze te parę ostatnich centymetrów (myśląc sobie „ale fajnie - wreszcie widzę żyły na swoich ramionach”), ale chyba mnie też ktoś tu powinien asekurować.

Zniżam głos i bardzo po męsku rzucam:

- Dawaj, skończmy z tym. Zupełnie jak ten twardziel Lee Marvin.

I rzeczywiście kończymy. No i całe szczęście, bo zaczynam już czuć, jak ścięzna w moich ramionach zaczynają się rozciągać jak karmel w reklamie Snickersów.

Facet wstaje, po męsku wypuszcza z ust powietrze.

- Dziękś, men - mówi.

- Spoks - mówię ja.

My z bractwa podnoszenia ciężarów porozumiewamy się specjalnym kodem.

- Super, że mi pomogłeś wszystko samemu dokończyć.

Czy mięśniaki mają tyle rozumu, żeby się popisywać sarkazmem? A jeśli tak, to co ja mogę teraz zrobić? Puścić zniewagę mimo uszu czy sprowokować go do zadymy?

- Po to tu jestem - mówię.

Kiedy się odwraca, żeby założyć na sztangę większy ciężar, przemykam się w stronę jakiejś przerażającej maszyny. Tym razem siedzi się prosto, unosi ręce i ściąga w dół wielki pręt, który przymocowany jest łańcuchem do całej sterty połączonych ze sobą ciężarków. Wyjmuję szpilkę z jednego z nich i przekładam ją bliżej górnego końca. No, trochę bliżej. O framugę pobliskiego okna opiera się żujący gumę trener, z luzacko założonymi rękami. Przeszywa mnie wzrokiem, Jeszcze nie zdążyłem nawet usiąść, a jego wzrok już mówi: „Wszystko robisz źle”.

- Jak leci? - rzucam w jego stronę.

Pojedyncze kiwnięcie głową. Nie odwraca wzroku.

I znów mam trzynaście lat. Siłownia u mnie w liceum. Czasem zaglądałem tam po leniwej, ostatniej w planie zajęć lekcji wuefu, na której biegaliśmy sobie po boisku albo po korcie tenisowym. Siłownia znajdowała się zaraz obok szatni, chłopaki więc wpadały tam czasem trochę się porozciągać albo powyciskać. Takie nadprogramowe zajęcia dla sportowych geniuszy, którzy się tam mogli wykazać, tak jak ja wykazywałem się zwykle, pisząc wypracowania z nadobowiązkowych lektur. Tak więc zbieraliśmy się tam wszyscy: kapitan drużyny piłkarskiej, pierwszy obrońca drużyny baseballowej, kilku jeszcze obudowanych mięśniami nara-miennymi, trójgtowymi i czworogłowymi piłkarzy, no i ja. Ja tam tylko siedziałem dla zabicia czasu, czekając, aż opustoszeją prysznice, bo nie chciałem obnosić swoich trzech włosów tonowych wśród kilkunastu rzucających sprośne teksty i okładających się ręcznikami osiłków, dumnych z dżungli włosów, jakimi już zarosło im przyrodzenie. Nigdy nie byłem w stanie zrozumieć, dlaczego tak wiele radości miałyby przysparzać paradowanie nago w towarzystwie osób tej samej płci. Paradoksalnie, rzucające się w oczy zakłopotanie w takich chwilach ściągało na moją głowę szydercze okrzyki „pedałek”.

Ta szkolna banda bez wysiłku podnosiła spiętrzone pod niebo ciężary w tę i z powrotem, podczas gdy ja rozciągałem łydki. Oraz ścięgni pod kolanami. Ramiona. I kostki - trzeba pamiętać, żeby nimi poobracać w różne strony. A, tak, jeszcze szyja, też trzeba nią pokręcić przez dłuższą chwilę. Kiedy kończyły mi się pomysły, co jeszcze mógłbym rozciągnąć, siadałem i przez chwilę żałośnie ćwiczyłem swoje bicepsy. Chłopaki stopniowo porzucały swoje ciężary i z rozbawieniem zbierały się za moimi plecami. Wkrótce dookoła mnie rozlegały się nieproszone komentarze.

- Co on r...

- ... tak całym ciał...
- ... musi odpocząć po każd...
- ... jakiś upośledź...
- ... mój brat też tak podnosił ciężarki, ale miał wtedy jedenaś...
- Jak sądzicie, cipki na niego lecą?

Parsknięcia śmiechu dookoła. Nie przejmowałbym się tym tak bardzo, gdyby nie to, że ten ostatni komentarz padł z ust nauczyciela wuefu.

Ale trener na Pięćdziesiątej Ulicy nie musi nawet nic mówić. Wystarczy, że pogardliwie zuje gumę.

Przyciągam metalowy drążek do klatki piersiowej, a on patrzy na mnie jak naćpany. Przyciągam jeszcze raz. I jeszcze. Z moich ust wydobywają się jakieś nieokreślone dźwięki.

- Hip - mówię na przykład.
- Jooo - mówię potem.
- Aaaj - mówię następnie.
- Źle to robisz - mówi trener.

- Naprawdę? - pytam, wypuszczając z rąk drążek. Klank! Wszystkie głowy zwracają się w moją stronę. - Ale patrzyłem na instrukcję.

- Nie o to chodzi, facet, te twoje dźwięki to kompletna pomyłka. Przecież nie masz tam nawet jakiegoś wielkiego ciężaru.

- Nie powinieneś przypadkiem jakoś zachęcać klientów? Wzrusza ramionami.

- Nie jesteś moim klientem - odpala.

Aha. Muszę więc sobie tego kolesia wynająć, żeby się zamknął. Wynajęcie trenera kosztuje pięćdziesiąt dolarów za godzinę. Tu nie chodzi o wyciskanie mięśni, tylko o wyciskanie pieniędzy.

- A co tobie do tego - mówię ze złością.

Kątem oka dostrzegam nad swoim ramieniem potakujący ruch głowy.

Obracam się - kilku byczków porzuciło swoje ciężary i uformowało wokół mnie szepczące półkole. To się zaraz może zrobić mało śmieszne.

- Skończyłem! - mówię, wstając z maszyny i wycierając z niej swój pot.

Przebiegam jeszcze kilka morderczych mil na bieżni mechanicznej. Pod koniec ociekam już potem, jakby mnie ktoś w nim zanurzył. Wszystko dookoła zlane jest moim potem, od którego pewnie już korodują przekładnie. A poza tym jestem pewien, że nieco produkowanych przeze mnie soków musiało polecieć na tadniutką Azjatkę na bieżni obok. Żeby się czymś zająć w czasie, gdy desperacko próbuję odzyskać oddech, naciskam guzik z pomiarem spalonych kalorii. Okazuje się, że spaliłem... tyle co jedna trzecia Big Maca.

Wlokę się w kierunku wagi. W ciągu tygodnia straciłem jakieś trzy kilo. To dlatego właśnie faceci chodzą na siłownię - zawsze bowiem czeka nas tu jakaś miła niespodzianka. Jeśli przybierasz na wadze, myślisz sobie, że rozbudowały ci się mięśnie. Jeśli ubywa ci kilogramów, myślisz, wtedy, że spaliłeś trochę tłuszczu.

„Miłość to narkotyk” - dobiega z głośników. Nieprawda, Miłość to nazwa naszej drogerii. A Julia, moja prywatna aptekarka, sprzedaje w niej viagrę, eter, speed, valium i heroinę.

Środa, 25 lipca

Koneser zaprosił mnie na kolację. Powiedział, że gdzie tylko chcę. „To może do Rao's?", zaproponowałem. Najbardziej ekskluzywna restauracja w mieście. Jest w niej miejsca na jakieś dwanaście osób, wszystko same gwiazdy, gangsterzy albo dwa w jednym. Koneser tam zadzwonił, ale nawet on nie ma aż takich znajomości, zadowolamy się więc The Yale Club. Na ścianach wiszą wielgachne, ponure portrety, klimat jak w *Nawiedzonym dworze* Disneya, kelnerzy mają typowe dla służby małe wąsiki, wielkie dębowe stoły zdają się wyciosane na potrzeby pijących miód dzbanami wikingów. Średnia wieku tutejszych bywalców - nieboszczyki. Mężczyźni prezentują swoje znaczne łysiny i sztywne chusteczki. Nic mniej sztywne są twarze ich żon. Teoretycznie członkiem klubu może być każdy, kto kiedykolwiek studiował na uniwersytecie Yale (albo Dartmouth, albo którejś z ich bratnich organizacji), ale tak naprawdę jest to azyl dla zagrożonego gatunku, tej zanikającej mniejszości traktujących życie serio białych mężczyzn pracujących w wielkich korporacjach, którzy lubią rozmawiać o polityce zagranicznej, jedząc gotowaną wołowinę z ziemniakami i popijając to koktajlem z brandy albo szkockiej.

Koneser czuje się tu jak ryba w wodzie, wygłasza wciąż pochwały jakości płótna serwetek, doboru win, sprawności przyrządów do rozłupywania krabów. Od czasu do czasu zaczyna bezwiednie mówić z absurdalnym brytyjskim akcentem. Podczas gdy on *nadaje*, ja piję. Koneser dużo mówi.

Być może połączył nas przypadek, ale to dzięki alkoholowi zostaliśmy przyjaciółmi.

- Co słyhać na froncie cielesnych uciech? - pyta.

- Jest taka jedna dziewczyna - zaczynam.

- Zaczekaj chwilę - mówi Koneser. - Już wiem, o co chodzi.

Czekam na słowa mądrości. Koneser mi wszystko wyjaśni. Koneser wszystko wie. Pociągam jeszcze lyk wina. Tak dla hartu ducha.

- To jest Perriet - mówi Koneser. Odwracam głowę, za mną stoi kelner. - A ja zamówiłem Pellegrino.

Obracam się na krześle. Jakiś nieszczęsny imigrant w smokingu, skulone ramiona, głowa posłusznie pochylona.

- Zajmę się tym, proszę pana.

- I zabierz to ze sobą - mówi Koneser, podając mu szklanę. Koneser właśnie zareklamował podaną mu wodę.

- To co, spożytkujemy jakieś winko? - pyta Koneser, otwierając kartę win o rozmiarach atlasu świata.

- Spożytkujemy? - pytam.

- No, stary. *Słońce też wschodzi.*

- Od dawna chcę to przeczytać - mówię. Nie jest to do końca prawda. Pamiętam, kiedy kupiłem tę książkę, ale nie zabrałem się za nią od razu - było wtedy sporo fajnych filmów na HBO. Od tamtej pory zabierałem ją na wakacje, z optymistycznym założeniem upychałem ją do plecaków i bagażu podręcznego ze szczerym zamiarem przeczytania jej albo przynajmniej udawania, że ją czytam w jakimś dobrze widocznym miejscu, w egzotycznej kawiarni na Piazza Navona albo na ulicy Khao San. Po jakimś czasie była już tak cudownie zdezelowana, że pomyślałem sobie, że właściwie to nie muszę już jej czytać.

- To po prostu książka o chlaniu - tłumaczy Koneser. - Z tym, że jest tam tyle scen, w których się chla, że facet wymyśla na to coraz to nowe określenia. Jak na przykład „spożytkować”.

- Fajne słowo - mówię.

- No nie? Jest w nim kwintesencja tego, o co chodzi w piciu. Alkoholu się nie konsumuje, to jest narzędzie, twórcze paliwo.

- Które czasem pomaga nadebrać na gaz.

- Jeśli nie jesteś w stanie porządnie się napić i wrócić samochodem do domu, nie powodując po drodze ciężkich obrażeń ciał albo drzew - mówi Koneser - to nie jesteś mężczyzną.

Czasem zastanawiam się, czy Koneser rzeczywiście jest najlepszym doradcą, jakiego można sobie wyobrazić.

- Wiesz, gdyby nie ta twoja Iryzurka, to całkiem nieźle byś wyglądał - mówi, przyglądając mi się podejrzliwie. - Nie tak dobrze jak ja, ale jednak,

Koneser wie, że świetnie wygląda. Szerokie bary, talia osy. Mocne, umięśnione ramiona. Mocne mięśnie nóg, wyćwiczone przez lata gry w piłkę. Nieskazitelnie mahoniowa skóra, dredy do ramion ściągnięte w tył i spięte w kucyk. Sprawia wrażenie, jakby w ogóle nie zdawał sobie sprawy, że jest czarny. Prawie nigdy o tym nie wspomina. Kiedy idę z nim ulicą, jego wzrok przyciąga spojrzenia wszystkich lasek. Koneser się tylko do nich uśmiecha. A ja oczywiście pozostaję niewidzialny. Kiedyś mi mówił, że nie zdarzyło mu się jeszcze przeżyć dwóch tygodni bez seksu. Gdyby to powiedział ktokolwiek inny z moich znajomych, zabrzmiałoby to jak nedorzeczna przechwałka. Ja się ugamiam za spódniczkami - Koneser je łąwi.

Nosi włoskie ubrania. Jego zegarek kosztował więcej niż dowolna kombinacja dziesięciu rzeczy, jakie kiedykolwiek w życiu kupiłem. Byłem z nim wtedy, kiedy go kupował, we Florencji. Jego cena, podana w lirach, wyglądała jak numer telefonu (razem z kierunkowym). Koneser bez zastanowienia podał swoją kartę kredytową. Nic jest u niego najlepiej z matematyką. Jestem niemal pewien, że nigdy nie policzył, ile go ten zegarek właściwie kosztował. Podczas tej samej

wycieczki kupii też pizzamę, która kosztowała więcej niż mój najlepszy garnitur.

- Pana Pellegrino - to powrócił kelner.

Na skinięcie głową godne rzymskiego cezara kelner nalewa Koneserowi wody do szklanki.

- To co, zacząłeś trochę dbać o siebie? - pyta Koneser.

- Chodzę na siłownię - mówię. - Mniej jem.

- Jak zrzucisz jeszcze dziesięć kilo - mówi on - to może ci oddam parę takich, co mi się już znudziły.

- Ubrań?

Koneser przewraca oczami.

- Lasek - mówi.

Po czym zaczyna mi tłumaczyć, dlaczego Wielka Brytania nie powinna za nic pozbywać się Izby Lordów. Trwa to czterdzieści minut. Koneser mocno popiera system klasowy. Sądzi, że Ameryka nie będzie naprawdę wielka, dopóki nie ustanowi bardziej efektywnego podziału społeczeństwa na możnych i pospólstwo. Kiedy jeszcze studiował na uniwersytecie Dartmouth, założył pismo studenckie, które było tak prawicowe, że gdyby Koneser był biały, to zasugerowano by mu zmianę uczelni. Ale Koneser wypracował sobie swoją własną niszę: reakcyjny rastafarianin. Pewien telewizyjny program publicystyczny poświęcił mu kiedyś jeden odcinek. Koneser miał wtedy dziewiętnaście lat.

- O wilku mowa. No fajno faj, braciszku, fajno faj - znaczący ruch głową.

Raz na jakiś czas porozumiewamy się z Koneserem językiem z *Mechanicznej pomarańczy*, zwłaszcza jeśli staramy się zakodować co bardziej niedwuznaczne treści wobec kulturalnego otoczenia.

Odwracam się. Między stołami wdzięcznie sunie długonoga blondynka w mocno opiętych spodniach, których pasek nie sięga nawet jej kości biodrowych. Jesteśmy w Yale Club, gdzie, jak sądzę, nie uważa się za stosowne odsłania-

nia brzucha, ale jej bluzeczka niezupełnie sięga paska. Łypimy pożądlawie na zarys stringów, które prześwitują przez spodnie, kiedy się pochyla, żeby pocałować jakiegoś starszego gościa. Może to jej ojciec. Albo raczej „tatuś”. Tak czy inaczej, zmysłowe powitanie, jakie mu serwuje ta panienka, może tylko przyspieszyć jego zgon, wywołując natychmiastowy zawał serca. Mam podejrzenie, że w to powitanie angażuje się jej język.

- Co za bajeczny tylek - mówi Koneser, jakbyśmy przez cały wieczór o niczym innym nie rozmawiali. - Rrrrra! - dodaje, warcząc jak pies, z szerokim uśmiechem na twarzy.

Koneser, tak jak ja, jest chłopaczkiem, tylko takim trochę większym. W przeciwieństwie do mnie, jego cechuje stan posiadania. Ma samochód (range-rovera w kolorze wozu strażackiego i o mniej więcej podobnym rozmiarze) i domek letni w Hamptons, ekskluzywnej części Long Island. Kupił go od jakiejś trzeciorzędnej gwiazdki i ma tam podgrzewany basen, oczko wodne i prawie hektar ziemi, po której mogą spokojnie biegać psy, a której obrzeża są tak gęsto obsadzone sosnami, że z całej jego posesji nie widać żadnego innego domu. Koneser nie pracuje. Ma następującą etykę zawodową: pracować jest nieetycznie. Ma natomiast przewagę nad innymi śmiertelnikami w postaci ogromnego spadku, jaki jego rodzice, oboje jedynacy, mają w planach mu przekazać jako swojemu jedynemu dziecku. Jego ojciec jest królem sałatki Coleslaw - kiedy tylko ją jesz, on zawsze na tym zarabia. Sałatkę Coleslaw dodają, choć się o nią nie prosi, a potem zabierają, nietkniętą, w każdej z sieci restauracji rodzinnych, tych, w których serwuje się gigantyczne porcje dla żarłoków („Udając się do baru sałatkowego, skorzystaj z czystego wiaderka na każdą porcję”). Kto by pomyślał, że jedno z najmniej pożądanых dań na świecie („Mamusiu, mogę jeszcze troszkę tej pysznej kapustki z majonezem?”) może być tak dochodowe jak średniej wielkości kasyno?

Koneser przez parę lat pracował dla swojego ojca, ale początkowe etapy wdrażania jego genialnego pomysłu - żeby dodawać sałatkę Coleslaw do każdego zestawu śniadaniowego - pociągnęły za sobą wielomilionowe koszty. Ojciec Konesera uznał, że jego latorośl mniej gwałtownie nadweręży rodzinną kasę, jeśli mu się da jakieś niedochodowe zajęcie (studia malarskie, historyczne, wolontariat w utopijnych kampaniach politycznych) i ulokuje z dala od rodzinnych interesów w Nowym Jorku. Chociaż Koneser i tak potrafi wykazać się kreatywnością w wydawaniu pieniędzy. Kiedyś, gdy byłem u niego w mieszkaniu, zapytał, czy nie napiłbym się kawy. Pewnie, powiedziałem. Zadzwoił do knajpy na dole i zamówił kawę z dostawą na górę, podczas gdy jego niemiecki ekspres do kawy za trzysta dolarów stał sobie opuszczony na tytanowym blacie. Jego pies, Alfa, pije wyłącznie wodę Evian. A wyjeżdżając kiedyś na kilka tygodni do swojej letniej posiadłości, Koneser zostawił w mieszkaniu włączoną klimatyzację. Zrobił to celowo. „Nie lubię zaduchu w mieszkaniu” - prychnął wtedy pogardliwie. Ja swoją włączam na co najwyżej żalosne trzy godzinki, jednocześnie przeliczając w głowic lecące kilowaty.

W takim tempie. Koneser podejrzewa, że skończą mu się pieniądze jeszcze przed sześćdziesiątką, nieraz jednak zarzeka się, że uniknie tego problemu, wcześniej zapijając się na śmierć. Wprawdzie, jak nam kiedyś wytłumaczył Mike, badania wykazują, że umiarkowane spożycie alkoholu może się wiązać z długowiecznością (przeczytał nam to chyba na głos z jakiegoś pisma dla smakoszy wina). Jeśli jednak chodzi o Konesera, nie można mówić o żadnym umiarkowaniu.

- No więc jest taka jedna dziewczyna - powtarzam, podczas gdy kelner otwiera drugą już butelkę bordeaux. Opowiadam Koneserowi historię mojego załamującego weekendu, pomijając co bardziej żalosne momenty.

- Jaki jest twój następny ruch? - pyta Koneser.

- Nie wiem. Trochę się jeszcze kolo niej pokręcę - mówię.

- Może da się ją oswoić?

- Jak daleko udało ci się z nią zejść?

- Do czegoś tam już doszło - mówię.

- To dobrze - mówi Koneser i wykonuje zamaszty ruch prawą ręką, w której akurat trzyma też kieliszek wina. Na obrus leci struga płynu o wartości jakichś ośmiu dolarów.

- Musisz jej po prostu powiedzieć, o co, kurwa, chodzi w tej grze. Musisz przestać być taką ciotą. Powiedz jej, słuchaj mała, ten koleś to kompletny nieudacznik i co ona w ogóle, kurwa, przy nim robi? Ten koleś nigdy nic nie osiągnie. Jest reporterem w gazecie w Connecticut? No co to jest, ja cię, kurwa, proszę! Na pewno nie zarabia więcej niż trzy tysiące miesięcznie! To ewidentny idiota, bez ikry, nie da rady jej utrzymać, nie da rady jej zabrać na żadną tajną imprezę!

- Tak jest - mówię i wyprostowuję się na krześle. - No wiaśnie, ja mogę ją przecież zabierać na fajne imprezy. - Balangi gwiazd filmowych, hulanki ludzi z branży muzycznej, popijawy ludzi książek. Będzie tam mogła spotykać interesujących ludzi. I być może odejść z którymś z nich.

- Powiedz jej, że nie masz, kurwa, zamiaru być dtużej jej wycieraczką i że jak nie rzuci tamtego debila, to po prostu znajdziesz sobie kogoś innego. Musisz, postawić sprawę jasno, że ona nie może tak cię bez końca zwodzić.

Nie podoba mi się to, do czego to wszystko zmierza.

- Ale czy nie lepiej znosić te tortury, niż w ogóle jej nie widywać?

- Nie! - Koneser zaciska dłoń w pięść. Jakby w zwolnionym tempie obserwuję, jak unosi ją w górę, przygotowując się do uderzenia nią w stół, zamiast tego trafia jednak stojącego za nim meksykańskiego kelnera w splot słoneczny. Kelner zanosi się cichym kaszlem. Koneser patrzy na niego spode łba, jakby mówił „Co to ma, kurwa, znaczyć, że walisz brzuchem w moją pięść?”.

- Na deser mamy czekoladowe ciasto lodowe, kulki ptysiowe... -
mówi kelner.

- Jeśli ona nie wykopie tego kolesia na zbity pysk, to będziesz jej musiał pokazać, że jesteś, kurwa, mężczyzną! Nie nosisz chyba koronkowej bielizny, co?

- Ale czy to nie jest trochę ryzykowne?

- Ciasto cytrynowe, ciasto z limonek, lody...

W niektórych facetach złość wzbiera powoli. Ale to nie przypadek Konesera. Kiedy Koneser się wścieka, gość dwa stoły dalej musi wytrzeć sobie krawat z jego śliny.

- Taa - mówi do kelnera. - Poprosimy lody. Mój przyjaciel miałby ochotę na TUTTI FRUTTI!

Rozglądam się nerwowo dookoła, zastanawiając się, czy jeśli siedzą tu jacyś geje, to nie uznają tego ostatniego zdania za nieco uwłaczające ich godności. W końcu jednak jesteśmy przecież w Yale Club. Jest raczej mało prawdopodobne, żeby nagle wstał tu od stołu jakiś elegant w garniturze w prążki i muszce w kropki i powiedział: „Przepraszam panów bardzo, ale tak się składa, że jestem skarbnikiem Amerykańskiego Stowarzyszenia na Rzecz Miłości Homoseksualnej”.

- Będę mężczyzną - zarzekam się lub przynajmniej niepewnie próbuję prognozować. Zawsze myślałem, że nastąpi w moim życiu jakiś decydujący moment, w którym z wyrostka przedzierzgnę się w mężczyznę. Sądziłem jednak, że będzie się on wiązał z walką kung-fu z jakimś rabusiem albo ewentualnie skokiem w odległy punkt boiska na wielkim finale futbolu, celem złapania piłki mającej zapewnić mojej drużynie zwycięstwo.

Kiedy wczółguję się do domu, czując, jak się we mnie przelewa półtorej butelki wina, patrzę na zegarek. Jest 01.15, 26 lipca. Włączam komputer. Są dla mnie jakieś wiadomości!

od: dalekdaleko temat: laski robią laski

od: sprzedaz2001

temat: CHŁOPACZEK33, CHCESZ ZARABIAĆ 500
DOLARÓW DZIENNIE?

od: 05trenumery

temat: NIEWIARYGODNE!!! DZIEWCZYNA I KOZIOŁ

od: życzenia e-sklep.com

temat: Wszystkiego Najlepszego, Tom Farrell!

Pyk. Pyk. Pyk. Klikam na ostatniego maila.

wystano: 26/07/01 00:01

Obrazek przedstawia kawałek tortu z wbitą w środek świeczką.
Słowa napisane są śmieszną, grubą czcionką:

Chcieliśmy wystać Ci tort, ale baliśmy się, że lukier mógłby Ci się przykleić do ekranu. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!
e-sklep

Czyli komputery mają teraz automatyczne programy do wysyłania swoim automatycznym klientom automatycznych e-kartek. Jeślibym ustawił w swoim komputerze automatyczne odpowiedzi na te wiadomości, to wszystko mogłoby się odbywać już całkowicie bez udziału mojej osoby. A dwa komputery mogłyby wejść w nieskończoną pętlę wzajemnych podziękowań. „Dziękuję za urodzinowego e-maila”. „Dziękuję za podziękowanie za urodzinowego e-maila”. „Dziękuję za odpowiedź na moje podziękowanie za urodzinowego e-maila”. Czy dobre maniery to nic jedna z tych bezużytecznych rzeczy, które

- jak sądziliśmy - komputery miały wyeliminować z naszego życia? Ale nie, zamiast tego bankomaty wypływają teraz banknoty i wyświetlają ci: „Dziękujemy, że korzysta Pan z naszych usług”. Komputery posunęły nas o jeszcze jeden krok w stronę kompletnej feminizacji amerykańskiego życia. Teraz musisz już pamiętać o urodzinach. No bo jakie się ma wymówki, jeśli się zapomni? „Ojej, przepraszam, nie uznałem, że jesteś wystarczająco ważna, żeby cię wpisać do mojego terminarza na Yahoo!”.

Co daje mi trochę do myślenia w kwestii tego, czemu nikt nie zadzwonił, żeby mi życzyć wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Ale nie będę o tym teraz myślał, bo jest druga w nocy i jestem zmęczony. Jutro jest kolejny dzień.

Czwartek, 26 lipca

8.55

Gówno prawda. Taki sam pieprzony dzień jak wczoraj.

Czwartek, 26 lipca

21:05

Obowiązkowe przyjęcie urodzinowe na tylnej sali u Langana. Salę mamy zarezerwowaną tylko do dziewiątej, bo potem mamy ustąpić miejsca jakimś spragnionym porządnej hulanki koleśiom z Wall Street, którzy podobno na swój wieczór tylko dla dorosłych wynajęli sobie tancerkę brzucha. Porozsytałem e-maile do prawie wszystkich w mojej książce adresowej. Ci, którzy się zjawiają, przyprowadzają ze sobą ludzi, których nie znam. Kim są ci wszyscy ludzie?

Z udawanym luzem, fałszywym entuzjazmem, brnę przez zebrany tłumek. Przyszło jakieś siedemdziesiąt osób. Mój pogląd na robienie imprez jest następujący: zaprosz dużo ludzi, których ledwo znasz, którzy przyjdą i zobaczą mnóstwo innych ludzi, których ledwo znasz, i nabiorą przekonania, że jesteś naprawdę popularną w towarzystwie osobą. Skoro zaś wszyscy myślą, że jesteś popularną osobą, no to chyba nią ostatecznie jesteś, tak jakby? Zaprosilem 140 osób, pośród nich takie, od których dostałem wizytówki na innych imprezach i zatrzymałem je wyłącznie po to, żeby móc ich zaprosić na swoją imprezę, żeby w zamian za to oni też mnie zaprosili na swoje.

Żebym miał okazję poznawać fajne panny.

Dzisiaj występuję w towarzystwie Liesl. Miała nawet dla mnie prezent i w ogóle - jakieś powieściłło. Nie mam nawet zamiaru go czytać. Widziałem już wersję filmową. Dzie-

sieć minut po tym, jak dotarliśmy na miejsce, Licsl znalazła sobie jakiegoś pół-Niemca, z którym natychmiast wdąta się w pogawędkę. I teraz siedzą sobie na boczku, porównując zapewne przepisy na sznyce albo rozprawiając o biedermeierze i zcitzgeißie. Mimo że ona powinna tu robić za moją ozdobę. Muszę mieć kogoś u boku, jakiś oręż, którym będę mógł się obronić, jeśli pojawi się tu Julia. Na szczęście wszyscy mi tu oferują ukojenie nadszarpniętych przez Julię nerwów, a każdy kolejny kieliszek (wypijany z myślą „a co mnie to właściwie obchodzi”) wchodzi mi łatwiej niż poprzedni. Wszystko wygląda znacznie ładniej, jeśli się to widzi przez lekką mgłę, nic uważacie?

Obok mnie przelatuje mocno zaokrąglona postać, z szybkością, która każe podejrzewać, że ktokolwiek stanąłby na jej drodze, skończyłby z odcisniętymi na koszuli śladami butów. Najbardziej niebezpieczne miejsce w Nowym Jorku to odcinek pomiędzy spragnionym pismakiem a barem. Sięgam do centrum tej rozmytej plamy i zaczepiam go za łokieć.

- Eli! - mówię. - Jak miło cię tu widzieć!

- Tom! - mówi Eli. - Wszystkiego najlepszego! Zejdź mi z drogi!

Ciągnie za sobą Hillary, która wygląda jeszcze bardziej oszalamiająco niż zwykle. Uśmiecha się tylko i kiwa mi głową, po czym znikają w poszukiwaniu moralnego wsparcia.

Wówczas pojawia się Roilo, ze zmrużonymi z rozbawienia oczkami. Prześlizguje się przez kakofonię dźwięków z uśmiechem na ustach, jakby słyszał wiwatujące na jego cześć tłumy. Niespodziewanie zalewa mnie poczucie głębokiej, niepowstrzymanej sympatii dla jego kochającego skandale uśmiechu i bijącego żywo, brukowego serca.

- Witaj - mówię, wykonując jednocześnie jakiś wyjątkowo nieprecyzowany ruch ręką, coś pomiędzy machaniem do kogoś, salutowaniem a obraźliwym gestem. - O, mroczny rycerzu na chwiejnych nogach.

- Postaw lepiej coś mocnego, jestem splukany - mówi Rollo. -
Twoja kolejka.

Sam jestem nieźle napruty, ale nawet w takim stanie potrafię dostrzec, że on jest zalany w trupa. Potwierdza to też fakt, że obaj harmonijnie przelewamy się to w jedną, to w drugą. Czy to nie piękne?

- Moja kolejka? Jaka moja kolejka? Chcesz coś mocnego? Proszę bardzo: TY PIEPRZONA TANIA KURWO!

Śmieję się z własnego dowcipu. Parę osób obrzuca mnie zaniepokojonym wzrokiem.

- Kto świętuje, ten funduje - mówi Rollo.

- Może w Anglii - mówię ja. - Ale my tu żyjemy w zupełnie innym kraju. Wygraliśmy wojnę. Pisali o tym we wszystkich gazetach,

- Ale daj spokój, stary, jak to mówi! Szekspir? „Za łyk whisky z tej butelki dobrą radę tobie dam”.

- To śpiewał Kenny Rogers.

- Dobra - mówi Rollo. - Szekspir czy Kenny Rogers. Takie same pismaki, gryzpiórki, wierszokleci jak my, Wypijmy za nich.

- Obsługa - mówię, wykonując powolny ruch głowy w stronę klasycznej alkoholowej księżnej ubranej w obcisłą bluzeczkę i skórzaną spódniczkę. Tu na Manhattanie kelnerki stanowią monarchię - wyglądają nieziemsko, są na tyle głupie, że całkiem możliwe, że są dziećmi splodzonymi przez krewnych, budzą powszechny strach i zarabiają więcej niż dowolnych trzech znanych mi redaktorów razem wziętych. Nieco poniewczasie przypominam sobie, że jeśli się którąś źle potraktuje, to potrafi ci taka wrzucić do drinka środek przeczyszczający, no ale przecież za głęboką lewatywę w modnym sanatorium płaci się jakieś 150 dolarów.

- Tak jest. Bolek! Dla naszej dwójeczki jakiś nektar szczęścia - mówi Rollo.

- Czy ty przypadkiem nie zarabiasz dużo więcej ode mnie?

- Ale mam żonę, nie wiem, czy pamiętasz,

- A to niby czyja wina?

- Daj spokój, nie bądź takim łosiem.

Dziewczynie w końcu udaje się przecisnąć przez tłum. Rzuca mi nienawistne spojrzenie.

- Moja śliczna - mówi Rollo, puszczając do niej oko.

- Jak się masz? I co mi dasz?

Kelnerka czeka, mam wrażenie, że brakuje jej w ustach gumy do żucia, którą mogłaby ostentacyjnie strzelać.

- Ten dżentelmen obchodzi dziś rocznicę swoich urodzin

- mówi Rollo - i zgodził się pokryć koszty. Poproszę zatem dwa razy podwójny dżin z lodem. A ty co pijesz, Zyguś?

- Dżin z tomkiem - mówię. - Wstrząśnięty, a nie tylko zmieszany. Z wisienką maraskino.

- I to samo dla pani - mówi Rollo do kelnerki, kiedy idzie zrealizować zamówienie. Dziewczyna rzuca mu przez ramię nieśmiały, kokieteryczny uśmiech.

- Tylko tyle potrzeba? - pytam.

- Świat jest oparty na pieniądzu i wciskaniu kitu, Zenek

- mówi Rollo. - Tak naprawdę wystarczy jedno z dwojga. Odwracam się, żeby jeszcze raz rzucić okiem na drzwi

wejściowe. Staję na palcach. Nic ciekawego, chociaż udaje mi się dostrzec nieco rozmazaną sylwetkę Liesl. Czy ona już rozmawia z dwoma kolesiami? Przez moją głowę przelatują z hukiem popieprzone nagłówki w stylu naszego brukowca; „BEZLITOSNE DZIEWCZĘ W BEZNADZIEJNEJ KNAJPIE”, „NARWANA NIEMKA KPI Z KŁOPOTÓW KUMPLA”. Kto zaprosił na moją balangę jakichś facetów bez upoważnienia?

- Rozglądasz się za kimś szczególnym? - pyta Rollo.

- Przejechał cię czołg Kupida? Wyglądasz jak pies, który chce zakopać gdzieś gnata. O kogo więc chodzi?

- O twoją żonę.

- Moja żona to egzemplarz pokazowy. Mógłbym z nią startować na wystawie psów.

- Powiedz no - mówię. - Zawsze mnie to zastanawiało. Dlaczego mężczyźni się żenią? Wiem, dlaczego robią to kobiety - całe to urządzenie mieszkania, wybieranie ubranek dla dzieci i tak dalej. Ale dlaczego faceci?

- No właśnie, dlaczego? - zgadza się Rollo. - Po co samemu sobie wiązać sznur? Czemu chcieć nagle wstępować do klubu pajaców w obręczkach? „Lepiej zgnić, niż mężem być” - mawiało się za młodu. Mówię ci, synku, byłem w wojsku i dokładnie tak samo jesi w małżeństwie - zero prywatności, przez cały dzień dostajesz tylko szorstkie komendy i przydzielają ci jakieś dwadzieścia centymetrów przestrzeni na powieszenie twoich wszystkich ubrań.

- Po co się w takim razie zaciągnąłeś?

- Bo doprowadzała mnie do absolutnej wściekłości myśl, że ona może się bzykać /. kimś innym. Małżeństwo ucisza nieco wariackie myśli. Nie chcę cię martwić, ale jedyny wybór to ożenić się albo zostać seryjnym mordercą.

Wraca do nas kelnerka. Ma dla Rolla dwie wysokie szklanki i szeroki uśmiech.

- Bcllissima! - woła Rollo i wychyla duszkiem zawartość jednej z nich. - Proszę zabrać tę szklankę tam, skąd ona się wzięła, i przysłać mi tu jej siostrę bliźniaczkę - mówi.

Kelnerka podaje mi mój dzin z tonikiem, ale wisienki mi już pożałowała. A tak się składa, że naprawdę miałem na tę wisienkę ochotę. Chwilę się zastanawiam, czy dać jej napiwek, ale w końcu ofiarowuję jej standardową stawkę, w zamian za co ona nawet na mnie nie spojrzy. Ale stawia za to na mahoniowym blacie obok nas miskę pełną orzeszków ziemnych. Biorę sobie ich garść w ramach kolacji.

- Chcesz trochę? - pytam. Potwierdzony przez świadków widok Rolla spożywającego jakieś jedzenie wywołałby w redakcji niemałe zdziwienie.

Rollo unosi brew.

- Nie jadam do posiłków - mówi.

- Aha - mówię, przeżuwając orzeszki. - Opowiedz jakiś dowcip.
- Sadysta i masochista umawiają się na randkę - mówi Rollo. -
Masochista mówi: „Może chcesz mnie uderzyć?”. A sadysta na to:
„Nie”.

- Bardzo śmieszne - mówię, wlepiając oczy w drzwi.
- Opowiedz mi taki, którego jeszcze nie słyszałem.
- Ale ja coś słyszałem - mówi Rollo. - Wypatrujesz tej nowej od
nas z redakcji.

- Kto ci to powiedział? - pytam, próbując rozszyfrować
wiadomość zaszyfrowaną w białych prążkach na jego marynarce, jak
narysowane kredą zarysy ciał, lecące w górę w stronę klap, gdzie się
załamują i rozbiegają pod dziwnymi kątami.

- A jak, kurwa, myślisz? - mówiąc to, wali palcem wskazującym
w mój obojczyk. - Mam (barn) swoje (barn) źródła (bam).

- Rollo - mówię, odstawiając szklanę i łapiąc go za klapy
marynarki, żeby te kredowe prążki przestały mi latać przed oczami - ty
nie masz żadnych źródeł. Masz tylko bogatą wyobraźnię.

- Przecież to widać po każdym twoim spojrzeniu, westchnieniu -
mówi on.

- Rollo - mówię - kto ci to powiedział?

- Mój złociutki. U Langana nic się nie może wydarzyć bez mojej
wiedzy. Jestem tu co noc. Byłem tu wtedy, kiedy się poznaliście. To
były walentynki, prawda?

- Tak mi się zdawało, że widziałem cię wtedy przy barze

- mówię. - Byłem jednak przekonany, że jesteś nieprzytomny.

- Dobrzy reporterzy potrafią wtopić się w tło - mówi Rollo.

- Ty się raczej zatapiałeś w szklance. Więcej życia można
zaobserwować u pelargonii.

Podnosi w stronę czoła wiedźmowały palec.

- Trzecie oko - mówi. - Zawsze jest otwarte.

- *Taa* - mówię. - Albo raczej barman ci wszystko opowiedział.

Puszcza to mimo uszu. Misterium legendarnego pismaka. Nikomu nie wolno się dowiedzieć, skąd on wie to, co wie, bo gdyby ktoś się dowiedział, to mógłby mu podebrać informatora.

- To co, spotykasz się dzisiaj z tą młodziutką ślicznotką?

- pyta.

Wzruszam ramionami.

- Ona ma chłopaka. To długa historia.

Choć tak naprawdę niezbyt ona długa. Króciusia. Jak jakieś, kurwa, haiku:

tajemnice przy drinkach

rozbierana gimnastyka

wkracza sepleniący mostek

- Jesteś niewyrobiony w sztuce uwodzenia - mówi Rollo.

- Wiesz co, zapisz sobie parę rad - mówi, wiedząc, że tak jak on, tak jak wszystkie pismaki, zawsze mam przy sobie notesik.

Robię notatki na swoich urodzinach. Czasami moje życie nawet mnie samemu zdaje się trochę dziwaczne.

Rollo przez chwilę milczy, nadyma policzki, wychyla resztę drinka i energicznie odstawia szklanekę na blat. I zaczyna mówić, z prędkością, z jaką do tej pory tylko pił.

- Opowiedz jej o swoich uczuciach. Ale tak, żeby nie czuła się zagrożona.

- Żeby nie czuła - powtarzam, rozglądając się, z nadzieją, że Koneser nie słyszy tej rozmowy. Ale Koneser pije przy barze. Z trzema blondynkami i jedną rudą.

- Powiedz jej tak. Zaczynij od tego: „Słuchaj, przecież to oczywiste, że nie wyjdiesz za niego”.

- Ale czy to takie oczywiste? - pytam.

- Musisz być pewny swego. Przecież by się z tobą nie spotykała, gdyby miała zamiar wyjść za tego palanta, no nie? Powiedz jej tak: „Wiem, że to musi być dla ciebie trudne”. Zapytaj ją jak najmilej: „Co mogę zrobić, żeby ci pomóc podjąć tę decyzję?”. I nie zapomnij dodać: „Nie będę cię ponaglać”. Podkreśl to.

Podkreślam.

- Daj jej poczucie bezpieczeństwa. Daj jej komfort psychiczny.

Skrzętnie notuję.

- Nie neguj niczego. Zaoferuj jej wsparcie. Zachowuj się tak, jakbyś z nią był i jakby to było nieuchronne - mówi.

- Zachowuj się jak jej facet, a wówczas nim się staniesz. Ułatw jej to trochę.

- To takie łatwe? - pytam.

- To takie łatwe - mówi on. - I jeszcze jedno - dodaje, przyciągając moje ucho do swojego łatwopalnego oddechu.

- Dziewczyny lubią, jak się im szepcze do ucha sprośne propozycje.

- Okej.

- A teraz muszę do kibla. Kiedy wrócę, ma tu na mnie czekać kolejna szklaneczka.

- Czy coś z tego w ogóle zadziała? - wołam za nim.

- To wszystko jedna wielka bzdura - ryczy Rollo ponad głowami tłumu. - Jasne, że zadziała.

Kiedy patrzę, jak odchodzi, po raz pierwszy zauważam, że Rollo wygląda trochę jak mój ojciec. Człowiek, który zabrał ze sobą te wszystkie rady, jakie ojcowie powinni dawać synom.

Patrzę na zegarek: jest 21.15, a jej jeszcze nie ma. O 21.21 wciąż jest nieobecna. O 21.25 dalej nie ma śladu jej obecności. Ani o 21.27. Ani o 21.28. Ani o 21.29. Ona nie przyjdzie. Kolejne zwyczajowe odrzucenie. Już tyle razy dostałem po nosie, że operacje plastyczne Michaela Jacksona wysiadają.

Wtedy właśnie pojawia się Brandy. Nie jest sama.

- Tom - mówi. - To jest Katic Swenson.

Jej była koleżanka z pracy. Niedawno porzuciła przepelniony nienawistnym duchem rywalizacji świat wiadomości telewizyjnych i... zaczęła studiować prawo. Ale jednak. Fajne kości policzkowe, miodowozłote włosy à la Cameron Diaz, szczerłość typowa dla amerykańskiej prowincji, jak u mojej mamy (O nie! Muszę sobie zapisać, żeby nie myśleć o mamie, kiedy myślę o Katie). Podoba mi się Katie. Bran też mi się podoba. Dzięki temu, flirtując z jedną z nich, będę zarazem u drugiej uruchamia! żytkę rywalizacji. Doskonale. Jeśli chodzi o związki z kobietami, wystarczy taką lekko podrażnić, a wyłazi z niej zaprawiony w boju marszałek.

- Masz dla mnie prezent? - pytam Bran,

- Nie - mówi ona. - Ale Katie ma.

- Naprawdę?

- Mam go tutaj w torbie - mówi Katie. - *Voilà!* Jest to komplet kart do tarota.

- Pozwól, że ci powrózę - mówi Katie. - Będzie fajnie. Odstawiam drinka.

Obok stoi Doug, jeden mój znajomy, i mówi, że nie rozumie, o co chodzi z tymi jasnowidzami.

- No bo weźcie takich na przykład gości w telewizji. Jeśli są naprawdę niezli, to ci powiedzą, że na przykład straciłaś właśnie kogoś z rodziny, albo pracę, albo chłopaka. A przecież sama o tym dobrze wiesz. I za coś takiego mam im płacić pięć dolarów za minutę? Na co to komu? Niech mi lepiej powiedzą, co wymyśli firma Cisco przez najbliższe sześć miesięcy.

- Być może jednak możemy ci powiedzieć o czymś, o czym sam nie wiedziałeś - mówi Katic. - Wiesz co, zrobimy najpierw coś innego. Odczytam ci twoją aurę.

Bierze do ręki moją lewą dłoń i się jej przygląda. Przesuwa po niej lekko palcem. Potem robi to samo z moją prawą dłonią. Całkiem możliwe, że w ten sposób ze mną flirtuje.

A jest z niej naprawdę smaczkę kęsek. Ma włosy jak letnie popołudnie i głos jak trzecia nad ranem.

- Masz przed sobą wielką przeszkodę - mówi. - I nic jesteś pewien, czy chcesz się z nią zmierzyć. Ale się zmierzysz. Na początku będziesz miał wrażenie, że to kompletna porażka. Po jakimś czasie jednak sytuacja zacznie się poprawiać.

Czuję kropelkę potu spływającą mi po czole. Patrzę na Douga, autora programów telewizyjnych. Jego pomysł na zwariowany cykl o bandzie leserów, którzy wciąż kombinują, jak tu sobie nawzajem podebrać gadającą urnę z prochami Kurta Cobaina, podśmiewającego się z nich za każdym razem, gdy zrobią coś głupiego, właśnie został odrzucony przez MTV oraz nawet kanały rozrywkowe i komediowe.

- A on co? - protestuję. - On też ma na drodze przeszkody. Każdy je ma.

- No dobrze. Powiem ci w takim razie, co masz w lodówce - mówi Katie.

- No co? - pytam.

- Mmm... Ma... Maj... Majonez - mówi.

- A ty niby kto jesteś? Wielka rocznica firmy Hellmann?

- Ale masz? - pyta Katie.

- Strasznie naciągane. Bo przecież każdy ma w lodówce majonez. Ale akurat ja nie.

Mimo to wciąż jeszcze jestem nieco wytrącony z równowagi. Bo odkryła stojącą przede mną przeszkodę, i to od razu. W następnym zdaniu może równie dobrze odkryć moje zwyczaje dotyczące masturbacji.

Wygląda na zasmuconą.

- Ale mam musztardę - mówię.

- Aha, no to okej - mówi Katie, od razu się rozpogadza-jąc. - To „m” mnie zmyliło.

Chwała Bogu, że ona nie wie, co tak naprawdę się kryje za tym „m”.

I widzę jeszcze jakąś... mielonkę,

- Bzdura - mówię. Każdy facet ma w lodówce mielonkę. Tak się jednak składa, że ja akurat nie. Za to składniki do Krwawej Mary zajmują prawie całą półkę.

Wówczas to właśnie przerywa nam kelnerka i mówi, że powinniśmy już się zbierać.

- No dobra - mówię. - Więc to by było na tyle. Musimy iść.

- Czekaj - mówi Bran, która zdaje się jeszcze bardziej zadowolona z siebie niż zwykle. - Katie nie odczytała ci jeszcze tarota.

- Odczytasz mi go kiedy indziej - mówię, myśląc sobie zarazem: „Ta panna potrafi przeniknąć mnie na wskroś”. Dokładnie tak samo jak Neil Diamond, Dan Fogelberg i Bread.

- Jeszcze pięć minut Katie prosi kelnerkę, posyłając jej słodki uśmiech. Kelnerka wzrusza ramionami.

- No dobrze - mówi Katie, i wyciąga z talii cztery karty. - Teraz uważaj. Odczytamy je po kolei, od lewej do prawej. Pierwsza karla - odwraca ją. - Ósemka pucharów. Ciekawe. Oznacza to początek, w sensie związku. Tradycyjnie, mogłoby się okazać, że chodzi tu o jakąś blondynkę.

Uśmiecha się do mnie nieznacznie, przewrotnie, tak jak uśmiechać się potrafią wyłącznie blondynki. Fajniutka jest ta dziewczyna, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Myślę jednak o szaroblond włosach Julii. W sumie, jak pomyślę, to przecież Liesl też jest blondynką.

- Zawsze wszędzie tylko te blondynki - mówi Bran, potrząsając swoimi ciemnymi włosami. - Świat jest laki... blondys tyczny.

- Dwa - mówi Katie, odwracając kolejną kartę. - Rycerz mieczy. Aha. To wskazuje na jakiegoś mądrego i czarującego mężczyznę, do którego często się zwracasz o radę. Jego rady mogą być jednak zawodne. Może on wnieść w twoje życie silne wrażenia, ale też kłopoty.

Staram się nic patrzeć w stronę Konesera, w tym jednak momencie siedzi on obok Roila na zatłoczonej kanapie.

Obaj mają na każdym kolanie po jednej lasce. Rollo szepcze jednej do ucha coś ewidentnie sprośnego, drugą zaś podszczypuje. Panienki na kolanach Konesera zdają się... hmm... najlepszym określeniem będzie tu chyba „rozkołysane”.

- Trzy - mówi Katie. - Dwójka mieczy. Martwy punkt, sytuacja patowa. Coś się tu ciągnie bez końca.

Wiecie, jak to jest, że nigdy się nie myśli o swoich pachach, dopóki sobie człowiek nie uświadomi, że coś się tam dzieje? W tej chwili myślę właśnie o tym. Nie potrzebuję dezodorantu. Raczej dwóch superchłonnych podpasek.

Pstryk, pstryk. To palce Kalie.

- Jesteś gotów? - pyta, ściągając mnie z powrotem na ziemię.

- Uważaj teraz, Tom - mówi Bran, mocno rozbawiona.

- Cztery - mówi Katie.

Karta przedstawia chłopaka z głupawym uśmiechem, czapką z dzwoneczkami i tobołkiem na kiju przerzuconym przez ramię. Biegnie za nim pies, który szarpie zębami jego spodnie, ściągając je w dół, tak że widać odkryte pośladki.

- No dobrze - mówi Katie. - Muszę cię ostrzec, ta karta ma trochę mylącą nazwę. Widzisz, jak on idzie do przodu, z kijem podróżnym w rękę? Ta karta zwykle zwiastuje początek czegoś zupełnie nowego. Nowa praca, może jakaś podróż.

- Karty zawsze mają rację - mówi Bran. - Tom, jesteś Głupcem.

Piątek, 27 lipca

Dzień po urodzinach lepiej zawsze mieć zarezerwowany dla siebie. Trochę dłużej sobie pospać. Jakie to mile. Co za sny! Miałem cudowną fantazję sportową - mistrzostwa gry w kręgle, w których pobiłem rekord, a do tego w charakterze kuli używałem głowy Dwayne'a. Potem wstałem na tost i herbatę, leniwy poranek z pilotem telewizora w rękę, a leraż mogę się zabrać za poważne sprawy, jakie mam dziś do załatwienia: czyli przede wszystkim nie dzwonić do niej.

Nie zadzwonię do niej, nie zadzwonię do niej.

Nie zadzwonię do niej.

Na dworze jest ciepło i bardzo durno. Ale ja nie wychodzę. Po co ryzykować?

Biorę prysznic i suszę swoje dość już długawe włosy. Moja fryzura zaczyna przypominać coś, co uchodzi już tylko zawodnikom nowojorskiej drużyny hokejowej. W efekcie starań stworzenia imitacji falującej, poetyczno-tajemniczej fryzury à la Johnny Depp, albo chociaż interesujących, nieco obłąkanych fal à la Beethoven, mam teraz na głowie coś w rodzaju przeraźliwego, wilgotnego mopa. Coś z tym trzeba zrobić.

Kiedy wyłączam suszarkę, słyszę, że dzwoni telefon. Podbiegam do niego za późno. Sekretarka się wyłącza i połączenie zostaje przerwane. Ktoś mało odważny. Julia taka jest, panicznie boi się automatycznych sekretarek. Bez zastanowienia wybieram numer serwisu identyfikacji ostatniego połączenia. No, może nie bez zastanowienia. Czy mogę sobie pozwolić na to, żeby wyrzucić w błoto 75 centów

plus jakieś 150 procent podatku, który zdaje się nieuchronnie związany z każdą operacją z użyciem telefonu?

W słuchawce odzywa się przyjemny głos, jak z porannego programu telewizyjnego. Numer, pod który próbujesz się dodzwonić, jest zastrzeżony,

Jest dziesiąta rano. To oczywiście była ona, dzwoniła z pracy! „Brukowiec” ma przecież zablokowaną identyfikację numerów! Ale jak to miło z jej strony, pomyślała, że może jeszcze śpię, i dlatego się rozłączyła.

Nie ważę się wyjść z mieszkania, bo może przecież zadzwonić telefon. Zastanawiam się jednak, czy dam radę wytrzymać cały dzień bez pójścia do łazienki.

Godzina pierwsza. Telefon.

- Halo?

-- Halo? Nie wiem, czy mnie pamiętasz, ale... Mój zbiornik ulgi zaczyna szybko się na nowo wypełniać, wydając przy tym radosne, bulgoczące dźwięki.

- Ten głos mi przypomina - mówię - taką jedną dziewczynę, którą kiedyś całkiem lubiłem.

Śmieje się tym swoim półśmiechem.

- Wiem. No wiem!

- Przespałaś całą imprezę?

- Aha.

- Biedny śpioszek - mówię.

No i znowu mnie złapała - znów udało jej się wszystko wykręcić, tak żebym nie mógł mieć do niej pretensji. Teraz to ja składam jej wyrazy współczucia. Podczas gdy ona przespała całe moje pieprzone urodziny.

- Obudziłam się o ósmej i pomyślałam: „W porządku, zdążę jeszcze wziąć taksówkę do miasta”. Po czym znowu zasnęłam.

Śmieję się półśmiechem. No i nic nie mogę na to poradzić. Już się szykuję, żeby zaraz się uraczyć daniem, które z pewnością mi nie posłuży.

Chcesz się spotkać po pracy? - pytam.

- Dobrze.

Ubieram się. Wciągam brzuch. Wchodzę w dobry nastrój. Chcę być dla niej wszystkim. Chcę mieć uśmiech Toma Cruise'a, teksty Boba Dylana, ruchy Elvisa. Z Toma Cruise'a mam jednak jedynie wzrost, z Boba Dylana włosy, a z Elvisa wątrobę. Zaciskam pasek jedną dziurkę dalej niż zwykle. Ból nic jest przeraźliwy, jak się tego spodziewałem, lecz jedynie nieznośny. Jeszcze jedna dziurka i będę mógł go wyrzucić - zrzuciłem już parę kilo.

Jestem na miejscu punkt piąta, odbieram ją z pracy. Idziemy na film o kolesiu, który nie jest w stanie już nic nowego zapamiętać. Cokolwiek zobaczy, cokolwiek usłyszy, jakiegokolwiek informacje by mu się podetknęło pod nos - on wszystko od razu zapomina. Jesi lam laka scena, w której jego dziewczyna zachowuje się wobec niego naprawdę nieładnie, bo wie, że on i lak za pięć minut wszyściusieńko zapomni. Niektórzy faceci nigdy się nie uczą.

- Chodźmy do parku - mówię. - Trzeba przecież wykorzystać te ciepłe noce. Za jakieś trzy tygodnie będzie już pewnie padał śnieg.

- Znakomity pomysł - mówi Julia. Przygotowałem się na tę ewentualność. Mam w plecaku

butelkę wina, dwa plastikowe kieliszki, korkociąg i kocyk. Idziemy do parku i siadamy pod drzewem. Otwartą przestrzeń wypełnia świergot. Nie, nie ptaków - telefonów komórkowych. Dookoła nas tatusiowie bawią się ze swoimi córeczkami. Julia ma smętną minę.

Piętnaście metrów za nami jakaś para się migdali. Piętnaście metrów przed nami - to samo.

- To mi przypomina jedną piosenkę Dylana - mówię.

- Wszystko zawsze przypomina piosenki Dylana - mówi Julia.

Słowa piosenki po prostu ze mnie wypływają.

Siedzieli w parku wieczorem. Niebo nad nimi ciemniało. Jedno jej spojrzenie, iskry poleciały. Jego przeszedł dreszcz- Simple Twist of Fate - mówi Julia.

- Zgadza się - uśmiecham się z wdzięcznością. Z tą dziewczyną tak świetnie się rozmawia, zupełnie jakbym rozmawia! z samym sobą.

Pomału zapada zmrok. To też część mojego planu.

Otwieram wino, udaje mi się nawet nie zostawić w butelce kawałeczków korka (hura!), siadamy na kocyku i nalewam jej trochę więcej niż sobie.

- Cudowna była ta karteczka od ciebie - mówi Julia. Dziś ukazał się pierwszy tekst podpisany jej nazwiskiem.

Żeby to uczcić, zanim wyszedłem wczoraj z pracy, zostawiłem jej zabawną karteczkę i butelkę szampana. Oraz jedną różę. Wiem, wiem. Nie musisz nic mówić.

- Co sobie pomyślałaś, jak zobaczyłaś tę różę? Pomyślałaś, że jakiś redaktor cię próbuje zahaczyć?

- Od razu wiedziałam, że to od ciebie - mówi Julia. Siedzi wyprostowana. Leżę za jej plecami i podziwiam

przypominającą wiolonczelę wypukłość jej bioder, fascynująco wąziutką talię. Ma na sobie obcisłą koszulkę bez rękawów, która podjeżdża lekko do góry, odsłaniając dół jej pleców. Moje palce wędrują w tamtą stronę.

- Masz na plecach tyle maleńkich, białych włosków mówię. Bo ma. Jak ptasi puch. Cudowne.

- Oj, wiem. Kiedyś nawet goliłam sobie plecy. Jestem okropnie owłosiona!

- Jesteś zupełnie w porządku - mówię. Nabieram powietrza w płuca. Ona to zauważa. Siadam i przysuwam się do niej. Biorę w ręce jej dłonie.

Każde z nas wypilo już po dwa kieliszki wina.

- Chciałbym ci coś powiedzieć - mówię.

Po tym, jak kolejka górską wreszcie wtacza się na najwyższe wzniesienie, ale zanim jeszcze zaczyna lecieć w dół, jest ta jedna chwila. Catkowiłgo bezruchu.

Julia ma niepewną minę. Na czole rysuje jej się linia przeczuwanych kłopotów.

Przez dłuższą chwilę nic nie mówię. Poniekąd jest to zamierzone budowanie napięcia dramatycznego. Z drugiej jednak strony, jest to również milczenie, które następuje, kiedy nie chcemy się dowiedzieć tego, co ma za chwilę nastąpić.

Szukam w głowie czegoś, co by nie było zbyt oklepane, ale nic takiego nie mogę znaleźć. Wszystko, co czuję, odczuwano już niejednokrotnie. Wszystko, co mógłbym powiedzieć, nieraz już było mówione. To jednak może być moja ostatnio szansa, żeby jej powiedzieć to, co ona i tak już wie.

- Chcę ci podziękować - mówię - za to, że jesteś sobą i że dzielisz ze mną tyle siebie, ile jesteś w stanie.

W jej oczach widzę desperację. Siedzimy blisko siebie. Nie dałoby się między nas wcisnąć nawet latającego talerza.

- Ale jest taka sprawa - mówię. - To przecież jasne, że nie wyjdiesz za niego. I wiem, że na pewno zastanawiałaś się nieraz, czy jesteś złą osobą. Nie jesteś złą osobą. Jeśli ktokolwiek mógłby tak sądzić, to byłbym to ja. Ja jednak wiem, że jesteś... miła, troskliwa, wiele dająca innym. Popełniłaś tylko jeden błąd.

Zaczynają jej się szklić oczy.

- Nie masz przypadkiem jeszcze jednej butelki wina? - pyta.

- I myślałaś sobie, że może po jakimś czasie się w nim zakochasz, ale tak się nie stało - mówię. - Nie chcesz go zranić. Ale nic wyświadczasz mu żadnej przysługi tym, że zaczekasz jeszcze dwa, trzy lata, zanim mu powiesz. Julia, w ten sposób tylko się nad nim znęcasz.

No czy nie jestem świetny? Facet żyje sobie z seksowną, inteligentną, rozkoszną kobietą. A ja mu chcę tego oszczędzić.

Długa chwila ciszy. Zachodzi słońce. Upał się skończył, ustępując miejsca cudownemu letniemu wieczorowi. Horyzont zalewa smuga w kolorze czerwonego wina, przez liście prześwieca poszatkowane światło zmierzchu. Ludzie zaczynają zwijać koce plażowe, przenośne lodówki, piłki, psy i dzieci. Nikomu się jednak nie spieszy. Wszyscy kurczowo trzymają się resztek dnia.

Julia już teraz naprawdę płacze.

- Masz rację - mówi.

A ja myślę sobie, że całkiem nieźle mi idzie.

- Wydaje mi się, że zamieszkałaś z nim, bo musiałaś znaleźć jakieś lokum w mieście - mówię. Próbuję jej nie przypominać, że nigdy, w żadnej z naszych rozmów, nie wspomniała o tym drobiazgu ani słowem.

- To się wszystko stało tak nagle - mówi Julia przez łzy. - Raz mu próbowałam o tym powiedzieć. Poszliśmy na kawę i powiedziałam mu, że nie chcę tego dłużej ciągnąć, ale on wtedy po prostu zaczął płakać. Powiedziałam mu więc, że nie odejdę od niego.

Aha. Bum! To dopiero wiadomość. Ciekawe, co się wówczas działo między nią a mną.

- Isjedy to było? - pytam.

- Parę miesięcy temu - mówi ona.

Parę miesięcy temu. Próbuję cofnąć się pamięcią do tego, co się działo między nami parę miesięcy temu. I nagle mam wrażenie, jakby ustawiła mi się ostrość w sięgającej w przeszłość lornetce.

- On wciąż powtarza: „Wiem, że mnie kiedyś zostawisz”. Staram się jej nie dotykać, żeby nie zamieniać tego w zabawę erotyczną.

- Chcę się tobą zaopiekować - mówię.

Koneser mówi tak: „Nigdy nie pozwól, żeby cię przyłapała na tym, że cię cokolwiek obchodzi”.

- Będiesz tego żałował - mówi ona - kiedy będę przez tydzień ryczała na twojej kanapie.

- Moja kanapa - mówię - jest impregnowana.

I obejmuję ją. Gładzę ją po włosach. Przyciągam ją do siebie i kładę ją sobie na kolanach. Głowę opiera o zgięcie mojej ręki, ma zamknięte oczy, a ja patrzę na jej delikatny policzek i myślę sobie: „Ta dziewczyna jest niemożliwie piękna”.

Ale ona pozostaje tak wtulona tylko przez parę minut. Po czym znów siada prosto.

- Zawsze miałam chłopaka - mówi. - Odkąd skończyłam piętnaście lat. Nie wiem, jak bym sobie radziła bez chłopaka.

Czy to znaczy, że ja nie jestem jej chłopakiem?

- Czy nie marzysz czasem o tym - mówi, nie patrząc na mnie - żeby jakiś kawałek życia przeskoczyć?

Czekam, aż dokończy.

- To znaczy, żeby przeskoczyć ten etap i od razu zobaczyć, jak to się wszystko skończy?

Patrzymy na zapadający zmrok. Do butelki po winie wpełza świetlik. Zakorkowuję ją i patrzymy, jak się w środku zapala i gaśnie. Słychać odgłosy świerszczy. Brzmia one dla mnie jak Bob Dylan.

Zbocza wzgórza całe ukwiecone.

Świerszcze w rytm gadają jak szalone.

Błękitna rzeka wolno nurt swój toczy.

Mógłbym siedzieć tu przez wieczność, patrząc w twoje oczy.

Julia bierze do rąk butelkę. Wyjmuje korek. Ale świetlik nie chce z niej wychodzić.

- No chodź - mówi Julia łagodnie, stukając w denko.

- To tylko owad - zwracam jej uwagę.
- Nie - mówi ona, dalej stukając w denko, Zajmuje to chwilę, zanim świetlik wylatuje.
- Jeejjj... - mówi Julia, gdy świetlik rzuca się w pijany lot. Ta dziewczyna nic skrzywdziłaby świetlika. Ale dorośli mężczyźni to co innego. Po nas może sobie deptać.

Wtorek, 31 lipca

Wracam z przerwy obiadowej z przepoconą torbą z siłowni, twarzą czerwoną od ćwiczeń i pleśniejącą kanapką (smętna sałatka w czerstwym chlebie) w żalosznej torebce. Sprawdzam wiadomości na sekretarce. „Hej, to ja”.

Uwalniam powietrze z płuc w bezwiednym, cichym westchnieniu. Jej głos. Ten kojący głos, jakim mówią prezenterki programów radiowych. Ten głos, jakim niedoszli samobójcy namawiani są do zejścia z mostu Brooklyńskiego. Ten głos, który zdaje się zapewniać, że każdemu może się zdarzyć chwilowa impotencja. W jednej chwili czuję się już całkowicie spokojny.

„Tak się tylko zastanawiałam, czy to nasze dzisiejsze wyjście jest wciąż aktualne”.

Powstrzymałem się od uporczywego namawiania jej na tę imprezę. Zaprosiłem ją parę tygodni temu, a w zeszłym tygodniu znów o tym wspomniałem. Julia ma zwyczaj odwoływać wszystko w ostatniej chwili, dzisiaj jednak zdaje się, że mam asa w rękawie. Nie każda dziewczyna zostaje zaproszona na przyjęcie z udziałem prezydenta.

Co prawda nie jest to obecny prezydent, ale zawsze to jednak prezydent: Clinton. Ma być na przyjęciu w mieszkaniu jednego z tych bezzębnych literatów, których całe zgraje straszą na Upper Hast Side. Jak się zdaje, któryś z doradców Clintona namówił go do napisania rozdziału do książki o sławnych ludziach i ich wspomnieniach z dzieciństwa związanych ze sportem.

Później dzwonię do niej do domu i umawiamy się na spotkanie w pobliżu miejsca przyjęcia. Kiedy ją dostrzegam, stoi po drugiej stronie East End Avenue - spodnie khaki, w których była dzisiaj w pracy, zmieniła na połyskliwą letnią sukienkę w kolorze łososiowym. Wygląda superkobieco, jak reklama piękna. W pracy mogę jej wydawać polecenia. Jest tylko asystentką, każdy może się nią wysługiwać. Jeśli jednak chodzi o władzę erotyczną, to ona jest dowódcą naczelnym. Baczość! I cała moja prywatna gwardia już pręży się na zawołanie. Julia chodzi w miejscu, patrzy w chodnik, pali papierosa,

Jest lekko zdenerwowana. Zawsze się denerwuje. To również powoduje, że nie mogę się jej oprzeć.

Tkwię po drugiej stronie ulicy, czekając, aż zmieni się światło. Wyciągam więc z torby aparat, naciskam na zoom i strzelam kilka zdjęć. Julia się uśmiecha.

Już po drugiej stronie ulicy nie witam się z nią jakoś przesadnie wylewnie. Nieznaczny pocałunek, lekki uścisk i idziemy.

Podaję swoje nazwisko hostessie na bramce, a ona odhacza mnie na trzymanej w ręku liście zaproszonych gości. Nie ma jednak wykrywaczy metalu. Nie ma też wynajętych bandziorów ani ochroniarzy służb specjalnych, nikt też nie próbuje przeszukać mi torby. Najwyraźniej prezydenta tu nie ma. Czyli znów ją zawiodłem.

Idziemy na górę, gdzie kobiety mają porozciągane w sztucznych grymasach twarze, a mężczyźni w eleganckich krawatach rozmawiają o tym, do której z prestiżowych szkół chodzą ich wnuczki. Jest parę osób w naszym wieku, ale niezbyt dużo, no i nie znam żadnej z nich. Znajdujemy więc dwa wyściełane krzesła przy oknie i pomалу zaczynamy zużywać zapasy wina w barze.

Mieszkanie wygląda na miejsce, w którym Intelktualiści przez duże „I” spotykają się, żeby wymienić najświeższe nowinki na temat kampanii prezydenckiej roku 1952. Opasie, w całości pokryte tapicerką krzesła, na półkach książki,

których okładki skruszały już ze starości. Grube perskie dywany. W otoczonym regałami z książkami salonie można by lądować helikopterem, a do tego jest jeszcze pełen książek gabinet i pełne książek sypialnie i... zaraz, zaraz. Właściwie, to nie widzę żadnych sypialni. Może sypialnie są w ogóle na innym piętrze? To mieszkanie to prawdziwa rezydencja. Czy można nie być uznanym autorem, skoro się mieszka na takiej kwaterze? Brandy i humorystyczne anegdotki są pewnie wliczone w cenę wynajmu.

Naśmiewamy się z różnych obecnych tu „postaci”. Główna autorka działu plotek „Daily News” za wszelką cenę stara się upodobnić do Audrey Hepburn w *Śniadaniu u Tiffany’ego*, ma nawet rękawiczki za łokieć. Są tu też dwie plotkary z „New York Post”: Liz Smith i Cindy Adams, każda z nich ostentacyjnie nie zwraca uwagi na drugą. Jest tu też nasz „manhallański” pisarz, typowy dandy w trzyczęściowym garniturze z kremowego płótna i dobranym do niego kapeluszu, ma też chyba na butach eleganckie, zapinane na guziki getry - innymi słowy, typowy absolwent elitarnego college’u dla humanistów. W rogu stoi zawadiacki, wciąż mierzący w kogoś granatem, król działu plotek w „New York Post”, Richard Johnson. Facet ma prawie dwa metry wzrostu, wygląda o niebo lepiej niż większość gwiazd, o których pisze. Stoi sztywny jak słup, podczas gdy naokoło niego wdzieczą się w tańcu strachu różnej maści pisarczykowie i pochlebcy. Raz na jakiś czas wybucha złowieszczym śmiechem.

Podczas jednej z wycieczek do baru zaglądam do przedpokoju i widzę tam znajomą twarz.

Wracając do naszego kącika, stwierdzam, że niewielu koleś miewa w życiu szansę zaimponować lasce takim tekstem:

- Przyszedł prezydent - mówię,

Clinton próbuje się precyzyjnie przez tłum. Tłumowi jednak zdaje się chyba, że ma przed sobą Mojżesza w jasno-

brązowym garniturze, kanarkowej koszuli i niezbyt tanim krawacie. Prezydent kieruje się w stronę trzech schodków prowadzących do położonego niżej salonu. Wszyscy obecni patrzą na niego.

Julia wygląda na kompletnie onieśmiałą.

- Chodź - mówię. - To może być twoja jedyna szansa, żeby go poznać.

Thum naciska ze wszystkich stron, każdy pcha się w jego stronę, ale ja się przepycham jeszcze brutalniej, ciągnąc za sobą Julię w stronę prezydenta. W końcu docieramy na tyle blisko, że Julia może wyciągnąć rękę i dotknąć jego potężnej łapy. W dzikim ferworze pstrykam zdjęcia, choć wszyscy dookoła mnie potrącają. Chcę się cofnąć, żeby oboje zmieścili mi się w kadrze, ale nie ma jak. Robię więc chaotyczne zdjęcia jak popadnie, starając się złapać Julię na pierwszym planie, a w tle upojoną swą popularnością Wielką Figurę. Podaje jej rękę, patrzy jej w oczy, patrzy na jej ciało. Początkowo nawet jest mi miło, że Julia zwraca jego uwagę, potem jednak przypomina mi się, jaki on ma gust w kwestii kobiet.

Koniec końców wracamy na nasze uprzednio zajęte stanowisko w rogu z tyłu sali.

Clinton rozpoczyna przemówienie, opowiada nam długą i nudną historię o tym, jak to ten koleś, który zredagował tę książkę, był jednym z pierwszych wolontariuszy w jego kampanii w roku 1992. A potem się rozkręca i zaczyna nam opowiadać, jak to było za początków jego kariery, zanim jeszcze zosiał papieżem w świecie polityki, wtedy kiedy miał na podorędziu jedynie sto telefonów i kilka milionów dolarów w banku, a jego stażystami byli gamoniowaci Żydzi zamiast rozochoconych Żydówek i lak dalej, i tak dalej, ale właściwie to już tego nie słucham, ponieważ postanowiłem położyć dłoń na pupie Julii.

Zaczynam od dołu pleców, pełna kultura, ale trzy kieliszki wina oraz posiadanie w zasięgu ręki najpiękniejszej dziewczyny

świata może mężczyźnie mocno namieszać w giowie, w związku z czym już po trzech sekundach moja dłoń obsuwa się na jej lewy pośladek.

To nie jest chamskie obmacywanie, tylko taka delikatna gra. Przejeżdżam lekko paznokciami po rozkosznej wypukłości. I odkrywam dwie bardzo mile rzeczy;

1. Julia ma na sobie stringi.

2. Julia lubi, kiedy ją się głaszcze po pupie w obecności czterdziestego drugiego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Julia lekko się przechyla w moją stronę, a Clinton dalej kokietuje tłum, więc ja dalej kokietuję pupę Julii. Ona zaś opiera głowę na moim ramieniu i przysuwa się bliżej. Całkiem miło. Hoże, jej pupa jest tak słodka, okrągłutka, doskonała, że chyba nigdy nic przestanę jej głaskać. Do tej pory nie sądziłem, żebym jakoś specjalnie leciał na pupy. (No bo w końcu co to za wielkie halo, sam posiadam taką część ciała). Teraz jednak nie miałbym nic przeciwko, żeby mi podawano jej pupę na śniadanie, obiad i kolację.

Clinton robi podsumowanie, po czym tłum zaczyna podążać za nim w stronę drzwi.

- Pora na następną przygodę? - pytam.

- Mhm - mruczy Julia smakowicie, jakby prosiła, żebym dalej ją głaskał.

- To co - pytam ją konspiracyjnym szeptem - jak ci się podoba być molestowaną w obecności ważnych tigur państwowych?

Julia się śmieje.

Spacerujemy sobie leniwie po centrum, szukając miejsca, w którym można by coś zjeść. Skrećamy w Osiemdziesiątą Czwartą Ulicę. Zwracam uwagę, że jest tu niewielki ruch. Mamy piękny wieczór, a ja czuję się maksymalnie napalony.

- Spójrz - mówię zawadiacko. - Jakies dziwne drzwi. Chodź to sprawdzimy.

Do drzwi prowadzi kilka schodków w dół, jakieś półtora metra poniżej poziomu chodnika. Na drzwiach umieszczony jest duży czerwony trójkąt z napisem „SKŁAD I PUNKT ZBIÓRKI ODPADÓW”. Dół jest wylany betonem. Metalowe drzwi są zamknięte na klucz. Wokół nie ma śladu śmieci.

Zeskakuję w dół po schodach i rzucam plecak na ziemię. Julia stoi na najwyższym schodku z niepewną miną, jeszcze się waha. Czeką, żeby ją do czegoś namówić, jak Ewa.

Ale zaraz jest już na dole schodów i w moich ramionach, a moje dłonie śmigają po jej całym ciele. Obejmuję ją w talii, głaszczę po plecach, piję z jej ust, ściskam jej tyłek, robię jej malinkę na szyi. Chcę tam właśnie, zaraz nad obojczykiem, zostawić jej ślad swojej żądz.

Przez głowę zaś przelatują mi stojące przede mną teraz możliwości.

Jedną rękę mam pod jej sukienką, dotykam paznokciami delikatnego zagłębienia pod jej kolanem. Julia trochę się wzdryga, ale ja już jestem na dobrej drodze do obranego celu, postanowiłem bowiem już nieodwołalnie doprowadzić ją dzisiaj do końca drogi.

Próbuje się odwracać, ale trzymam ją mocno lewą ręką.

- Nic się nie martw - szepczę jej do ucha, podczas gdy moja prawa dłoń bierze się ostro do roboty. - Nikogo tu nie ma. Ludzie sobie przechodzą i idą dalej.

Kilka osób już nad nami przeszło. Rzucają przelotnie okiem, ale zaraz odwracają wzrok.

- Nikt nic nie zobaczy - szepczę. - Z tyłu wszystko ci zasłania sukienka.

Ostro pracuję. Ale też się bawię. Dotykam, okrążam, prowokuję.

Julia ma zamknięte oczy. Opiera się na mnie całym ciężarem ciała.

Wciąż trzyma na ramieniu torebkę.

- Nikt stąd z nią nie ucieknie, obiecuję - mówię, biorę torebkę i kładę ją na ziemi obok nas.

I powracam do pracy. Cześć, uda!

- Czy to przyjemne? - pytam,

A ona, spowolnionym ruchem, z zamkniętymi oczami, kiwa głową, a potem kiwa głową jeszcze raz. Cześć, stringi!

- Może moglibyśmy się kiedyś spotkać na West Side... - szepcze Julia.

W mojej dzielnicy. To brzmi jak zaproszenie. Mogłabyś rozwieszać mokre pranie na moim drągalu. A ja mógłbym robić pompki bez użycia rąk.

I dalej prowadzę ją prosto do celu.

Aż w końcu jesteśmy w domu.

Jej usta z wdzięczności nie chcą się odkleić od moich. Pragnę każdej komórki jej ciała. Nie ma takiej części jej, której nie chciałbym mieć teraz w ustach. Jej upojne rzepki. Jej lubieżne paznokcie u nóg. Odciągam na chwilę jej twarz od swojej, żeby na nią spojrzeć - cała jest pokryta warstwą potu. Jej pozlepiane włosy zwisają, jakby dopiero co wyszła z gorącego prysznica.

Po czym znów zaczynamy.

A ja dyszę: „Muszę zobaczyć twoje stringi”.

I padam na kolana, oddany sługa miłości, oddający cześć Najświętszej Paniencie od Świętych Zajeбіścic Seksownych Stringów.

- Mam też inne - szepcze Julia. Te są czerwone.

Sobota, 4 sierpnia

Jestem w letnim domu Konesera na Long Island, siedzę koło basenu w kąpielówkach. W jednej ręce trzymam książkę, której nie czytam, a w drugiej drinka, którego nie piję. Julia jest na wybrzeżu Jersey - z matką, ojcem, braćmi i chłopakiem. Nietrudno sobie wyobrazić, że rzucają teraz latającym talerzem. W ramach kary za tę zdradę w ogóle do niej nie dzwonię. W tym tygodniu zaopatrzyłem się w pierwszy w życiu telefon komórkowy, specjalnie po to, żeby móc do niej nie dzwonić. Ale oczywiście ona zawsze może mieć ochotę zadzwonić do mnie.

Połowanie trwa, ale jej jakoś zawsze udaje się tanecznym krokiem wymknąć mi się z pola zasięgu. Ja jestem myśliwy, a ona cnotliwa. Chodzimy razem na imprezy. Pijemy razem alkohol. Razem narzekamy na pracę. Pijemy, marudzimy. Marudzimy, pijemy. Napleść bzdur, przepłukać, czynność powtórzyć. Chodzimy do kina. Chodzimy na kolacje. Wszystko zawsze kończy się tak samo. Każdy wieczór to seminarium z okrucieństwa. Nic, nie ćwiczenie na frustrację - jeden wielki wycisk. Julia jest dla mnie jak trener, z tą różnicą, że wynajęcie trenera kosztowałoby mnie jedynie pięćdziesiąt dolarów za godzinę.

Na koniec każdego wieczoru jedziemy razem taksówką. Każde z nas wypowiada przypadające mu kwestie w naszym taksówkowym teatryku: „Chodź na górę”. „Nie mogę”. Wielbię ją więc na odległość, która jednak wcale nic jest duża.

Zalecam się do niej jedzeniem. Zalecam się do niej alkoholem. Zalecam się do niej słodkimi oczami i kradzionymi pocałunkami. (Jak to kradzionymi? Przecież płacę za te pocałunki. I to jak płacę!). Zalecam się do niej w parku, zalecam się do niej o zmroku. Zalecam się do niej, aż mi się kończy zapas wszystkich moich zalet - i co wtedy? Zalecam się dalej. Ale ona jest zalotoodporna. Jest niezalecalna. Aż żal tych moich zalotów.

No dobrze, siedzę przy basenie. Pierwszy wychodzi z domu pies Alfa, jest 12.15. Jak zwykle leci prosto na moje jaja.

- Hej, Alfeczku, jak się... au! Nie depcz mi po jądrach, piesku. Tak, ja też. cię kocham.

Twarz mam pokrytą psią śliną, ale czy w mojej sytuacji mogę sobie pozwolić na odtrącenie bezgranicznej miłości? Ogon Alfy pracuje z szybkością tysiąca merdnięć na sekundę. Gdyby sobie wykombinował odpowiedni kąt ustawienia, mógłby pewnie z jego pomocą wznieść się do góry jak helikopter. Wówczas może by sobie polatał po okolicy i odkrył, że są jeszcze inni kolesie, którym może deptać po jajach.

- He, he, he - mówi Koneser, schodząc do brzegu basenu i wkładając stopę do wody. Popija przy tym okazałą Krwawą Mary, prawdopodobnie nie pierwszą tego dnia. Co za degenerat. Aha, skoro już przy tym jesteśmy... Sięgam po swoją szklanę i pociągam łyka. Ach... Jak mogłem o tym zapomnieć? Kiedy przychodzą na mnie ciężkie czasy, Krwawa Mary zawsze spieszy z pomocą.

Koneser siada z nogami do kolan w wodzie, klepie Alfę po tyłku.

- Powinniście się we dwójkę zamknąć w jakimś przytulnym pokoiku - mówi.

- Najmocniej przepraszam za te krzyki - mówię ja. - Nie byłem jakoś akurat dzisiaj w nastroju na brutalne ugniatanie jąder.

- I tak z nich specjalnie nie korzystasz. Możesz to uznać za formę ćwiczeń. Znowu myślałeś o tamtej paninie?

- Co, zauważyłeś może mój nieobecny wzrok?
- No pewnie - mówi Koneser, pociągając łyka. - A do tego jeszcze ta erekcja.

O nie.

- Chyba że to z powodu Alfy, pieprzony zboczeńcu - dodaje kurtuazyjnie Koneser. Chichocze w szklanke.

- Potrzebuję pomocy. Ta panna, ona jest wszędzie - mówię. - Wypływa mi z każdej komórki ciała. Ma w swojej władzy każdy skrawek mojego organizmu.

- W tym ci niestety nie mogę pomóc, chłopie. Jestem kochankiem, nie onkologiem.

- Do tej panny trudniej się dostać niż do Rao's.

- Słuchaj - mówi Koneser. - Wiesz, co powiedział stary i mądry chirurg mózgu do świeżo upieczonego chirurga mózgu?

- Nie wiem - mówię.

- „Nie traktuj tego tak poważnie. To nie technologia raketowa”.

- Wiem, że to nie technologia raketowa. Bo w technologii raketowej wszystko trzyma się kupy. Ziemskie pole grawitacji nie ma zwyczaju przyciągać do siebie we wtorki, a odpychać w niedziele.

- Sporo było ostatnio niedziel, co?

- *Hello!* - mówi ktoś.

Na wybiegu pojawia się kolejna Krwawa Mary, a zaraz za nią Mike. Zeszłej zimy kupili z Karin dom zaraz obok Konesera. W domu Mike'a na wyposażeniu jest rozdarty niemowlak i podstawowa kablówka. U Konesera jest basen i siedemnaście kanałów filmowych. Więcej czasu spędzam u Konesera.

- Hej - mówię.

- Jak woda? - pyta Mike.

Przyniósł też ze sobą jakieś pisemko i przenośne radio. Siawia radio na ziemi i podłącza do kontaktu. Nastawione jest na odbiór stacji, jakiej słuchają ludzie, którzy mają zwyczaj prasować dzinsy.

- W porządeczku - mówi Koneser.

Mike bierze ze sobą pisemko dla smakoszy wina i łąduje się na materac pływający po wodzie. Opiera sobie swoją lekturę o brzuch i czyta, jednocześnie wiosłując od niechcienia dłonią.

W radiu leci najbardziej uprzykrzona piosenka od czasu tamtego kawałka Sheryl Crow o koleśku, który lubi odklejać etykiety z butelek piwa.

Właśnie powróciła znów do atmosfery.

Ma we włosach Jowisza drobiny - hej, hej!

Ona jest jak lato, a chodzi jak deszcz,

Co mi przypomina, że czas coś tu zmienić - hej, hej!

- Uwielbiam tę piosenkę - mówi Mike.

- Wcale jej nie uwielbiasz - mówi Koneser.

- Jak ona się nazywa? - pyta Mike.

- *Drops of Jupiter*, Zespół Train.

- Kupię sobie to na CD - odgraża się Mike.

- No, to już pewna przesada - mówi Koneser.

- Nie kupuj tego, proszę cię - mówię ja. Ani się obejrzysz, a on zacznie się zachwycać tą piosenką, która brzmi, jakby Superman gadał ze swoim psychiatrą.

- Dlaczego? - pyta Mike.

- Bo nic w niej takiego nie ma - mówię. - Tylko bzdura za bzdurą: „Od kiedy wróciła z Księżyca, słucha jak wiosna i mówi jak czerwiec”. Co to ma być? Zapychanie tylko czasu, zanim nastąpi refren.

- Uwielbiam ten refren! - mówi Mike. No i mamy refren:

Na na na na na

Na na na na na naaaaa!

Słuchamy.

- Nie złapałem, co on tam śpiewa? - pyta Koneser.

- „Zaświaty są przereklamowane”? - sugeruje Mike.

- Nie - mówię. - Mnie się wydaje, że to było „Manhattan jest przereklamowany”. Nie łapiesz? Ta piosenka jest antynowojorska.

Są ludzie, którzy nie rozumieją Nowego Jorku. Jest tam brudno i niebezpiecznie, i tłoczno, i drogo, ale wszędzie indziej jest jeszcze gorzej.

- Chcecie wpaść wieczorem na film? - pyta Mike.

Mój błąd - zgadzam się. Kilka godzin później ja i Koneser siadamy sobie u Mike'a i Karin, żeby przyjemnie spędzić wieczór przed telewizorem. Dziecko, które zostało „uśpione” (jak się okazuje, nie oznacza to uśmiercającego zastrzyku, tak jak w przypadku „usypianych” zwierząt, których potem nie trzeba już budzić), nie może nam niestety zaoferować pokazu na żywo, oglądamy je więc na wideo.

Na filmie dziecko bierze kąpiel. I tyle. Nie jest to żadna szczególna kąpiel. Nic w rodzaju „Moja pierwsza kąpiel”, czy „Mój pierwszy szampon”, czy „Moja pierwsza lekcja pływania”, w ogóle nic takiego - po prostu „Kąpiel”. Która trwa piętnaście minut. Mike siedzi na poduszce, jakieś piętnaście centymetrów od telewizora, niemal dokładnie zasłaniając mi ekran, wpatrując się w obraz tak uważnie jak Stanley Kubrick w swojej montażowni. Przez chwilę myślę, czyby mu nie zwrócić uwagi, że zasłania mi widok, ale właściwie to czy tracę coś szczególnie ciekawego?

Oglądamy „Kąpiel”.

- Całkiem niezła jakość - mówię do Mike'a.

- No - odpowiada lakonicznie Mike, tonem sugerującym „cii, nie przeszkadzaj”, zupełnie jakbyśmy oglądali kulminacyjną scenę *Ojca chrzestnego*.

- Ale na tych kamerach wideo nie ma możliwości montażu, co? - dodaję.

- Nie, no jest - mówi Mike. - Wyciąłem na przykład scenę, w której się przyznaję, że nigdy nic zmieniałem Aleksandrze pieluch.

Aha, teraz rozumiem. Czyli to nie jest pierwsza wersja filmu. Jest to wersja ostateczna „Kąpieli”, same najważniejsze ujęcia. Na które składają się obrazy mamy polewającej wodą niedużą, nieco zdezorientowaną osobkę, której mina wskazuje, że prawdopodobnie zastanawia się, czy nie złożyć przypadkiem protestu do Amnesty International.

- Jaka ona jest śliczna! - mówi Karin.

- Prawda, że śliczna? - pyta Mike.

- Śliczna - mówi grzecznie Koneser.

- Wiecie co - mówię ja. - Lepszym określeniem wydaje mi się „poniżej przeciętnej”.

Ale oczywiście tego nie mówię.

- Tak - mówię, bo to powiedzieć najłatwiej.

Ciekawe, kiedy ja sam przestałem być obiektem zachwytów. Czy może, zważywszy, że jestem przecież Chłopaczkiem, a moja mama i tak nie potrafi zaakceptować faktu, że jestem dorosły, wciąż mówi o mnie w ten sposób? „Och, Tom jest fantastyczny. Ma 397 miesięcy, waży 80 kilo i 20 deka. Ma wielką, okrągłą głowę, a na niej pełno włosów!”. No, powiedzmy. To ostatnie nie jest już od jakiegoś czasu do końca prawdą. Spójrzmy prawdzie w oczy - w tamtym okresie miałem dużo więcej wdzięku. To dlatego miałem też dużo większe szanse dostać do ust kobiecą pierś.

Dzwoni moja komórka. Wiedziałem, że zaraz wszyscy zaczną do mnie wydzwaniać.

- Tom? - kobiecy głos. Nosowy i zniecierpliwiony.

- Dziwne by było, gdyby odebrał ktoś inny - mówię. Próbuje ukryć przepelniającą mnie radość pod przykrywką sarkazmu.

- Nudzi mi się - mówi Bran. - Tobie też się nudzi? Podziwiam dziewczyny, które są w stanie się przyznać, że siedzą same w domu i się nudzą w sobotni wieczór.

- Tak - mówię. - Ale nie ma mnie w okolicy. Jestem na Long Island.

- I mnie nie zaprosiłeś! - mówi Bran ze swoim rozkosznym akcentem.

- Jestem pewien - mówię - że będę mógł ci to jakoś zrekompensować. Kino w czwartek?

- Dobra. Wiesz co, może będę miała dla ciebie dziewczynę.

- To ty nią będziesz?

- Przyjdź, to się przekonasz - mówi Bran.

- Czy ta osoba będzie mnie darzyła głęboką i niezmienną pogardą?

- Nie darzę cię pogardą.

- Aha! Więc jednak chodzi o ciebie.

- Niezły z ciebie mądrała, jak na kolesia, który musi wciągać brzuch, kiedy próbuje podrywać dziewczyny.

- Dziewczyny uwielbiają mój brzuch - mówię. - Czują się przy nim szczupłe.

A poza tym, mój brzuch wcale już nie jest taki duży. Nawet kąpielówki są nieco za luźne.

- Aha, no dobrze - mówi Bran. - I pewnie lubią też brzydkich facetów, bo czują się przy nich ładne. I niskich, bo czują się przy nich wysokie. Więc to dlatego Danny DeVito jest symbolem seksu!

- No ładnie - mówię.

- Co?

- Nic. Tylko... Zaczekaj chwilę. Pociągam cicho nosem.

- Tom, wszystko tam w porządku?

- Nie, no tak - mówię. - To znaczy nie. No wiesz, trochę zraniłaś moje uczucia.

- Ojej, przepraszam! Naprawdę?

- Nie. Mam cię, Lowenstcin!

- Ale z ciebie cipa - mówi Bran i się śmieje. - Do zobaczenia w czwartek.

Czwartek, 9 sierpnia

Moja koleżanka nie mogła przyjść - mówi Bran.

- Och, naprawdę?

- Tak, naprawdę - mówi Bran. - Jak to urządzenie działa? Naciska guziki komputerowego monitora. Lepsze to niż

zmaganie się z nierobami zarabiającymi grosze przy sprzedaży biletów. Ale nic się nie dzieje. Bran naciska na guzik z napisem „21.30” i nic się nie dzieje. Za drugim razem to samo, Jak również za pięćdziesiątym.

- Pieprzona maszyna - mówi Bran, rozglądając się za kimś, komu mogłaby nawymyślać. Trochę się w takich chwilach czuję nieswojo.

- Pozwól - mówię, starając się zachować po męsku i przejmując kontrolę. Jeśli bowiem ten cały ekranik mnie akurat zadziała, to będę złotym bogiem, bohaterem walki o bilety do kina. Jeśli zaś nie zadziała, to przecież ona nie może mnie za to winić, no nie?

Nie widziałem Bran już ładny kawałek czasu, ale kiedy teraz na nią patrzę, na jej fajnie falujące czarne włosy i jej rozbawione usta, zaczynam sobie przypominać, dlaczego kiedyś co drugi dzień do niej dzwoniłem i dlaczego przez dłuższy czas myślałem sobie, że wcale nie byłoby tak źle wylądować ostatecznie u jej boku. Zanim jeszcze się poddałem i pogodziłem się ze stałą degradacją mojego statusu: „Kto? On? A, to tylko przyjaciel”. Zeszłej wiosny byliśmy razem w teatrze. Potem poszliśmy do Langana, żeby się przyjacielsko upić. Opowiedziała mi o najfajniejszym mo-

mencie w jej życiu - kiedy była na drugim roku studiów i marzyła o tym, żeby w końcu zostać jedną z Poważnych Młodych Dziennikarek, w związku z czym pojechała na konferencję, na której było pełno takich jak ona, i spotkała tam Barbarę Walters*. Roześmiałem się wtedy. A Bran powiedziała, że jestem potworem.

Bywałem dla niej miły. Zabierałem ją na różne świetne imprezy, upijałem ją, a nawet upalałem. Ale jej nie uwiodłem, w ogóle nie było o tym mowy. Mimo to potrafimy się nawzajem rozśmieszać. Jesteśmy jak małżeństwo, z tą różnicą, że wciąż się sobie jeszcze podobamy. Mój problem jest taki, że po wspólnie spędzonym z nią wieczorze robi mi się ciepłutko i przyjemnie, w związku z czym zaczynam wyłączać obowiązującą normalnie autocenzurę i zaczynam się zachowywać tak, jak z kumplami płci męskiej. Faceci się z siebie w kółko bezlitośnie nabijają. Spróbuj tego z dziewczyną, a wtedy... możesz zapomnieć o próbowaniu już z nią czegokolwiek.

Rozmawialiśmy o nieudanych związkach i upijaliśmy się coraz bardziej. I coraz bardziej się nad sobą użalaliśmy. Potem wsiedliśmy razem w ciepłą i przyjemną taksówkę, bo Bran mieszka niedaleko mnie. „Dziękuję ci, że jesteś moją przyjaciółką” - powiedziałem wówczas z pijacką tkliwością. „Cieszę się, że się do siebie zbliżyliśmy” - powiedziała ona. Padliśmy w sobie w ramiona. I nie był to tylko taki przyjacielski uścisk na pożegnanie. To było coś bardziej męsko--kobiecego.

W multipleksie na Union Square głaszczemy, stukamy, pocieramy i naciskamy guzik na ekranie. Dwoje absolwentów wyższych uczelni nie jest w stanie wywalczyć sobie prawa do zakupu biletów do kina.

- Naprawdę chcesz oglądać ten głupawy film? - pytam.

*Barbara Wallers - znana amerykańska dziennikarka i prezenterka lelewizyjna.

- Oczywiście, że nie - mówi Bran. - Myślałam, że to ty go chciałeś zobaczyć.

- Chyba sobie żartujesz - mówię. - Myślałaś, że ja chcę zobaczyć film o rozkojarzonej blondynce, która fascynuje się markowymi ciuchami? Myślisz, że jestem jakimś totalnym gejem?

- No, w tych spodniach to na pewno nie - mówi ona.

- Co jest nie tak z moimi spodniami?

- Zwisają luźno z tyłu - mówi Bran. - Jak mam w takich warunkach ocenić twój tyłek? A już lepiej nic nie mówić o tej plamic z musztardy.

- Tej? Jej przecież nie widać, jest malutka.

- No tak, masz rację - mówi ona. - Tylko ty jesteś w stanie ją dostrzec. Dla wszystkich innych jest ona kompletnie niewidoczna.

Spacerujemy sobie ulicą Uniwersytecką. Bran zatrzymuje się przed koreańską kwaciarnio-kawiarnią.

- Oooo, uwielbiam je - mówi, zanurzając twarz w dzbanie pełnym konwalii. - Pamiętaj, konwalie to najcudowniejsze kwiaty na świecie.

- Chcesz się cofnąć do czasów, kiedy facet, któremu się podobasz, przysyłałby ci wciąż kwiaty. Ja chcę się cofnąć do czasów, kiedy stewardesy zatrudniało się ze względu na ich atrakcyjny wygląd. Widzisz, każdy ma jakiś powód do biadolenia.

- Tom, możemy na chwilę przestać się zgrywać? - mówi Bran, kiedy ponownie ruszamy. - Martwię się o moją przyjaciółkę Sharon. Mogą ją zwolnić. Znam ją, odkąd mam osiemnaście lat.

- To mi się podoba: „Odkąd mam osiemnaście lat” - mówię.

- Czy ty się ze mnie nabijasz? - jej oczy gniewnie błyszczą.

- Powiedziałem tylko, że mi się to podoba!

- A co ja takiego powiedziałam? - mówi Bran. - Ze znam ją, odkąd skończyłam osiemnaście lat.

- Nie, powiedziałaś „Odkąd mam osiemnaście lat”. To bardzo nowojorski sposób mówienia. U nas w Marylandzie tak się nie mówiło.

- Jezu, ale z ciebie snob - mówi Bran.

- A co ja takiego powiedziałem?

Moje rozmowy z Bran często tak właśnie wyglądają. Wszystko idzie jak po maśle, potem wtrącam jakiś zabawny komentarz, ona się oburza, zaczyna mi suszyć głowę, jaja zaczynają mi puchnąć, za to lufa kurczy się do rozmiarów małej krewetki.

Przed jednym z obskurnych biurowców na ulicy Uniwersyteckiej leży ogromna góra śmieci. W Nowym Jorku góry śmieci są raczej widokiem codziennym, tym razem jednak przeczesuje ją grupka modnej młodzieży. Leżą tam głównie rozmaite papiery oraz winylowe płyty w białych papierowych okładkach. Co kilka minut jakiś znudzony robotnik w średnim wieku dorzuca do tej góry kolejną skrzynkę lub worek.

- Za rogiem jest barek chiń... - zaczynam, kiedy się orientuję, że Bran już koło mnie nie ma. W przeciwieństwie do mnie, ona jest reporterką z prawdziwego zdarzenia - naprawdę kręci ją to, czego może się naocznie dowiedzieć o ludzkim życiu. Jeśli chodzi o mnie, wolę nawet o tym nic myśleć.

Bran rozmawia z jedną z osób przeszukujących papiery i płyty.

- Wiesz, co to jest? - pyta, a oczy aż jej się skrzą z emocji.

- To śmieci KK-Killera!

Na Dolnym Manhattanie jest to znalezisko na miarę starych diademów księżnej Diany. No i wszystko się zgadza

- skoro pan Killer jest obecnie, jak donoszą brukowce, „pod przymusową opieką stanu Nowy Jork”, to po co mu mieszkanie na ulicy Uniwersyteckiej? Wiecie, że ludzie podobno przeglądają nekrologi w poszukiwaniu mieszkań, które nagle straciły lokatora? Może powinni od razu przeglądać też wiadomości w brukowcach?

Bran zdaje się wcielać w rolę dziewczyny Supermana.

- Przecież to materia! do rubryki „O tym się mówi” w „New Yorkerze”!

- Żeby tam coś napisać, musisz mieć znajomości - mówię. Zaraz, zaraz, chwileczkę. Przecież właściwie to ja znam

parę osób w „New Yorkerze”. Pracuje tam moja koleżanka ze szkoły i jej przyjaciółka. Pewnie nieraz słyszeliście, jak ktoś mówi, że „trzeba znać odpowiednie osoby”. Tak się składa, że to ja jestem właśnie tą odpowiednią osobą.

No i widzicie, do czego mnie to doprowadziło? Zaczynam przeszukiwać górę śmieci z nadzieją, że może ktoś mi zapłaci, żebym napisał coś o tym, co tu znalazłem. W ten sposób spadam niżej od koleśki, którzy żyją z grzebania w śmietnikach -oni przynajmniej wiedzą, że kontakt ze śmieciami przyniesie im jakiś dochód. Ja zaś zbieram śmieci w ciemno.

Widok elegancko ubranej dwudziestodwuletniej kobiety grzebiącej w śmietniku, nawet w Nowym Jorku, nawet w tym stuleciu, jest czymś niecodziennym. Ludzie zatrzymują się, żeby popatrzeć. Niektórzy zaczynają podejrzewać, że to musi być naprawdę wyjątkowe śmietnisko, w związku z czym sami też zaczynają w nim grzebać. Już za chwilę cała grupka eleganckich nowojorczyków z dyplomami najlepszych uczelni i świetnymi planami emerytalnymi przeszukuje rumowisko pozostawione przez stojącego na bakier z prawem analfabetę ze Staten Island.

Obok mnie pochyla się czarnoskóry facet. Razem szperamy w śmieciach, zjednoczeni w naszym uwielbieniu dla postaci z pierwszych stron brukowców.

- Lubisz K-Cube? - pytam.

Patrzy na mnie, z uznaniem klepie mnie po ramieniu.

- W porządku jesteś, stary - mówi. - Jak to nie można ludzi oceniać po pozorach, co?

Tak się składa, że znam zasady etykiety określającej, jak należy określać pana Kariera. Mówi się na niego K-Cube,

nigdy K-K-K. Jeśli tak się go nazwie, zostaje się uznanym za rasistę.

- Patrz - mówię niedbałym tonem, pokazując mu matą książeczkę. - Kwitki depozytów bankowych.

- Pokaż, pokaż - mówi, a w oczach aż mu błyszczy wizja oszustwa bankowego. - Albo nie, czekaj. Nieważne. Są jakieś kwitki wypłat?

Bran biega naokoło i przeprowadza z ludźmi wywiady. Ja pomagam jej w szukaniu skarbów pośród śmieci.

Znajduję kontrakty z wytwórnią ICM, z adnotacjami dotyczącymi dodatkowych wymogów („Artysta uprawniony jest do przejazdów pierwszą klasą na koszt organizatora”), scenariusze wideoklipów („Ten film będzie o NOTORYCZNYM PRZESTĘPCY KK-KILLERZE. Chcemy, żeby był maksymalny akcent na konflikt z prawem”), listy producentów i piosenek, oraz długa, pogmatwana wymiana korespondencji pomiędzy KK-Killerem a organizatorem jakiejś imprezy na temat tego, czy jego matka została potraktowana z szacunkiem należnym jej osobie na kolacji po rozdaniu jakichś nagród. Bran rozmawia z kolesiem, który minutę temu stał koło mnie. Okazuje się, że on leż jest raperem, dziś wieczorem ma występ w Joe's Pub.

- Dlaczego nie zostawisz go dla mnie? - jęczy koleś. - Spójrz - mówi, podwijając rękawy koszuli. - Mam większe od niego bicepsy. No dotknij.

Czy to tak właśnie ludzie się umawiają na randki w tej okolicy? Jakie to cudownie proste. Z drugiej jednak strony, gdybym był czarny, nikt by się ze mną nigdy nie umówił.

Facet, który wygląda, jakby inwestował w akcje rozwoju społecznego, przetrząsa pudło pełne czystego papieru faksowego. Bran wyciąga z niego wypowiedź. „Nie wiem, czy czuję dyskomfort dlatego, że jestem tutaj, czy raczej dlatego, że nie byłem tutaj na czas. Nie powinno się spóźniać na zbieranie łupów”.

- Bran - mówię. - Musimy coś zjeść.

Zbieramy z Bran trochę dokumentów i piyt i pakujemy je do pudła. Bran niesie je przed sobą, opierając o brzuch, jakby to było jej dziecko. Idziemy do baru na hamburgera.

Bran nuci sobie najnowszą piosenkę Madonny. Produkcja filmików do wiadomości telewizyjnych oznacza wiele miesięcy pracy, której efektem jest dwunastominutowy kolaż obrazków. To jednak mógłby być prawdziwy artykuł, który zostałby opublikowany za jakiś tydzień. Z wydrukowanym obok jej nazwiskiem. Nieczęsto zdarza jej się to widzieć.

- Myślisz, że to dobry materiał na artykuł? - pyta Bran.

- Dobry.

- Nie będę się chyba dzisiaj kładła, aż to napiszę. Strasznie się cieszę.

- Bran - mówię. - To dobry materiał na artykuł na pięćset słów.

Wyjmuję z plecaka komórkę, żeby sprawdzić czy wciąż jest włączona. Nigdy przecież nie wiadomo, kiedy zadzwoni Julia.

- Ty dupku - mówi Bran. - Co ty robisz z moim telefonem?

- Moim telefonem,

Zaczyna przeszukiwać swoją ogromniastą torbę, tę, którą nazwałem „podrabianym Fendi”, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, mimo że oczywiście nie potrafiłbym odróżnić oryginalnej od fałszywki. Okazało się jednak, że całkiem przypadkiem trafiłem. Bran nie odzywała się potem do mnie przez miesiąc.

- No i co? - pytam, kiedy w końcu wydobywa z niej porysowaną nokię.

- Dali ci taki sam telefon jak mnie?

- Na to wygląda - mówię,

- Musisz zatem wymienić go na inny,

- Co to, to nic.

Płacę za żarcie, po czym przechodzimy na drugą stronę ulicy do jednego z tych fajowych, staroświeckich, niby-irlandzkich pubów z ozdobami z kolorowego szkła, konspira-

cyjnymi przegrodami pomiędzy stolikami i piwem podawanym w dzbanach.

- Tym razem to ty stawiasz - mówię, siadając przy barze.

- Nie mam pieniędzy - mówi Bran i pokazuje mi zawartość portfela. W kreskówce w tym momencie wyleciałyby z niego ćmy, a choć tak się nie dzieje, to przekonuję się, że Bran mówi prawdę - nie ma ani grosza. Panny nigdy nie noszą ze sobą pieniędzy. Jeśliby mnie ktoś pyta! o zdanie, to pannom bardzo wiele uchodzi na sucho. Z tego co wiem, dzieciaki z rodziny Kennedych też sobie łążą bez pieniędzy. Podobnie jak rodzina królewska.

Zamawiam guinnessa. Bran wpatruje się w kartę, jakby byta ona napisana w języku urdu.

- Stella Artois - w końcu mówi do kelnera. Mimowolnie krzywię twarz.

- Co? - pyta Bran, jakby już się bronila przed atakiem. - Nigdy tego nie próbowałam. Chcę się przekonać, jakie ono jest. Dlaczego zawsze musisz mnie obrażać?

- Nie obrażam cię - mówię. - Ja próbowałem już każdego piwa z ich oferty. - Wielokrotnie. - Mogłem ci o nich opowiedzieć.

Bran jest wysoka, w swoim szarym wełnianym garniturze wygląda na jeszcze wyższą. Szerokie klapy, poduszki na ramionach, workowate plisowane spodnie. Przez krótką chwilę, pod koniec lat osiemdziesiątych, panny rzeczywiście tak się ubierały. Większość jednak szybko oprzytomniała.

- Patrzysz na mój garnitur - mówi Bran.

- Skąd go masz? - pytam wymijająco.

- To pierwszy garnitur, jaki w życiu kupiłam! - mówi z radością Bran. - Kosztował trzysta dolarów. Po czym w następnym tygodniu przecenili go na sto pięćdziesiąt, więc go oddałam i kupiłam jeszcze raz.

Ta dziewczyna wciąż nosi pierwszy garnitur, jaki w życiu kupiła. Pod koniec lat osiemdziesiątych.

- Jedna dziewczyna w pracy zapytała mnie, czy jestem lesbijką - mówi ponuro.

- No bo rzeczywiście ubierasz się trochę w stylu Ellen DeGeneres* - mówię.

- Dlaczego ty zawsze musisz powiedzieć coś tak nieprzyjemnego? - protestuje Bran. - Jak możesz być takim kutasem?

Gafa! Trzeba się wycofać.

- Chciałem tylko powiedzieć, że jesteś fajną laską, więc powinnaś się też ubierać jak fajna laska.

- Czyli jak?

- Twoje ubrania zasłaniają zwykle jakieś trzydzieści procent za dużo ciała - mówię.

Podaję barmanowi banknot. Barmani mnie lubią. Zawsze dają im duże napiwki. Dasz takiemu jednego dolara ekstra, a on ci w zamian za to daje gratis drinka za sześć dolarów. Co się rozejdzie, w końcu do ciebie wróci. Taka barma.

Bran upija łyczek piwa. Ja wypijam jednym haustem pół szklanki.

- Czy nie wydaje ci się czasem - pyta Bran łagodnym głosem - że za dużo pijesz?

- Właśnie sobie myślałem - mówię - że ponieważ jak na razie to jeszcze nie działa, może powinienem podwoić dawkę.

Z szafy grającej zaczyna dotatywać *Tangled Up in Blue*. Początkowe dźwięki gitary działają na mnie jak piwo podawane dożylnie. Ach! Z radości aż mi się mięśnie rozluźniają.

- Wiedziałas o tym, że w pierwszej wersji tej piosenki, tej na nielegalnych nagraniach z sesji nowojorskich... - mówię.

- Jakiej piosenki? - pyta Bran.

- No tej. W jej pierwszej wersji...

- Co to za piosenka?

- *Tangled Up in Blue* - mówię.

*Ellen DeGeneres - popularna amerykańska aktorka komediowa, jawna lesbijka.

- Czyja?

- No weź, daj spokój - mówię. - Dylana! To pierwsza piosenka na płycie „Blood on the Tracks”!

- Ale z którego ona jest wieku? - pyta Bran. - Czy oni tu nic mają jakiejś nowszej muzyki?

Lepiej chyba sobie odpuścić.

- Tak czy inaczej - mówię. - W pierwszej wersji tej piosenki wszystko jest w trzeciej osobie. To on był żonaty, kiedy się poznali, choć niedługo miał się rozwieść. To on pomógł jej się wydostać z tarapatów, jak sądził, lecz użył odrobinę za dużo siły. Na nagraniu w Minneapolis, tym, które trafiło na płytę i do masowej dystrybucji, wszystko jest już w pierwszej osobie. Dzięki temu staje się to wszystko dużo bardziej osobiste, nie sądzisz? Ma więcej mocy. A język jest tak pięknie oszczędny. Zamiast powiedzieć „spotkaliśmy się, zdradziła ze mną męża, namówiłem ją, żeby go rzuciła”, Dylan mówi tylko: „Kiedy się poznaliśmy, była jeszcze mężatką / Choć niedługo miała się rozwieść”. Po czym zabija jej męża, ale nie mówi o tym wprost, tylko: „Pomogłem jej wydostać się z tarapatów, jak sądzę / Lecz użyłem odrobinę za dużo siły”. Sama idea zastrzelenia tego drugiego ma w sobie jakąś taką nutkę straceńczego polotu, no nie?

- Tom - mówi Bran. - Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz.

Łądujemy w końcu z powrotem na ulicy Uniwersyteckiej, próbujemy znaleźć taksówkę. Wypiliśmy tylko po jednym piwie, zauważam jednak, że Bran idzie jakoś wyjątkowo blisko mnie. A nawet nieco się w moją stronę pochyła. Niepewnie wysuwam rękę na misję zwiadowczą wokół jej talii. Normalnie kiedy robię coś takiego, mogę się spodziewać opryskliwego komentarza w stylu: „Tom, ile razy mam ci powtarzać, że mnie to nie interesuje?”. Po trzech latach ciągłych porażek człowiek nabiera zwyczaju za bardzo się mc wyrywać z różnymi akcjami.

W tym jednak momencie wszystko wskazuje na to, że Bran podoba się, kiedy obejmuję ją w tali. Po raz pierwszy w historii.

Kilka bardziej znaczących momentów, w których Bran mnie odrzucała:

1. Kiedy ją poznałem. Byliśmy na urodzinach jakiegoś koleś, którego w życiu nie widziałem na oczy w małym, ponurym mieszkanku na Bowery, pełnym nieznanych mi ludzi. Razem z Bran zaśmiewaliśmy się do rozpuku. Poprosiłem ją o numer telefonu. Dała mi go. Po czym zaczęła puszczać w moją stronę rozmaite sygnały mające dać mi do zrozumienia, że nie jest zainteresowana. I tak do niej zadzwoniłem. Rozmawialiśmy przez czterdzieści pięć minut. Znowu udawało mi się ją rozśmieszać, po czym zaprosiłem ją na randkę.

2. Pierwsza randka - premiera najnowszego filmu HBO, styczniowy wieczór, przyjęcie w restauracji John's Pizza na Times Square. Zobaczyliśmy tam jednego z twardzieli z *Chłopców z ferajny* i kręciliśmy się wokół niego, rzucając cytatami z filmu, podczas gdy on rozglądał się tylko wkoło za ochroną. Potem, kiedy wsadzałem Bran do taksówki, próbowałem wymusić na niej pocałunek. Odwróciła jednak w moją stronę policzek - chłodniejszy niż styczniowe powietrze.

3. Rok temu, w lecie, kiedy poszliśmy na obiad do West Village, a ja kupiłem tam fajkę do gandzi. Kilka tygodni wcześniej udało mi się zdobyć trochę fajnego zioła, zaprosiłem ją więc do siebie na degustację. Najpierw się upiliśmy czerwonym winem. Potem trochę paliliśmy, słuchaliśmy piosenek z lat osiemdziesiątych, przytulaliśmy się. Kiedy z głośników zaczęły dobiegać dźwięki *True Spandau Ballet*, udało mi się ją nakłonić

do wolnego tańca. Obejmowałem ją mocno, po czym spróbowałem ją pocałować. Przypominało to łapanie motyla. Podałem się i usiedliśmy znów na kanapie, a ona się położyła z głową na moich kolanach i słuchała muzyki. Przez jakiś czas głaskałem jej długie czarne włosy, aż w końcu poszła do domu.

4. Wtedy gdy jej rodzice zabrali nas na przedstawienie na Broadwayu. Pierwsze słowa jej ojca na mój widok: „Tom, jesteś geniuszem!”. Jak się okazało, Bran zachowywała e-maile, jakie jej wysyłałem, i przesyłała je ojcu. Rodzice Bran przyszli na przedstawienie z własnym jedzeniem: wielką torebką foliową pełną różnych orzeszków. Były całkiem niezłe. Potem odprowadziłem ją do domu i znów spróbowałem pocałować, podczas gdy od rzeki Hudson ciągnął przeraźliwie zimny wiatr. „Nie” - powiedziała Bran.

5. Wtedy gdy przyszła na moje urodziny. Bran i jej najlepsza przyjaciółka, Sharon, były ostatnimi gośćmi, kiedy wszyscy już się rozeszli. Siedzieliśmy razem na kanapie i rozmawialiśmy do czwartej rano. Kiedy Sharon poszła do łazienki, szepnąłem Bran do ucha: „Może zostaniesz?”. Roześmiała się tylko. I poszła do domu.

Kiedy tak idziemy, masuję lekko Bran po plecach.

- Jesteś taka spięta - mówię.

- Tom, widzisz te żółte samochodziki, co tu przejeżdżają? - mówi Bran. - Nie moglibyśmy też się takim przejechać?

Wszystkie taksówki są jednak zajęte. Czekamy na rogu. Obejmuję Bran. Byłby to doskonały moment na to, żeby oparła głowę o moje ramię, nie może jednak tego zrobić, ponieważ musiałaby się w tym celu trochę pogimnastykować. Jest bowiem ode mnie jakieś trzy centymetry wyższa.

- Może wcale nie byłaby z nas taka zta para - mówię.

- Tom - mówi Bran. - Faceci są jak czarne sukienki. Kiedy kobieta idzie z facetem na zakupy, to może przymierzyć setki czarnych sukienek, a on powie, że przecież wszystkie wyglądają tak samo. Dla niej jednak każdej z nich czegoś brakuje.

Au. Myślę sobie jednak o tych paru wersach z piosenki *You're a Big Girl Now*: „Och, daję słowo, że mogę się zmienić. Dla ciebie mogę wszystko. Jakoś dam sobie radę. I ty dasz sobie radę też”.

W taksówce nadal nie daję za wygraną. Ona się jednak wyrывa po jakichś trzydziestu sekundach.

- Tom - mówi. - Co ty u diabła wyprawiasz?

- Próbuję cię tylko nieco rozkręcić.

Udaje mi się w ten sposób od niej uzyskać: a) parsknięcie śmiechem; b) jeszcze jeden pocałunek. Coś jednak zaczyna koło nas brzęczeć.

- Czy to moje serce? - pytam.

- Zamknij się, kretynie - mówi Bran i odpycha mnie od siebie. Wygrzebuje z torby telefon. Myśli sobie pewnie: Nowiny! Materiały!

Ja też sięgam po mój telefon, myśląc sobie, że Julia na pewno się zorientowała, że kręcę z kimś innym, i jest maksymalnie wkurzona. He, he, he.

Ale okazuje się, że to jednak telefon Bran. Odbiera telefon z powagą Poważnej Młodej Dziennikarki.

- Tak, Stuart -- mówi, po czym zakrywając dłonią telefon, zwraca się do mnie: - Jeśli już musisz mieć taki sam telefon jak ja, to zmień sobie przynajmniej dzwonek.

- Czy to oznacza, że masz zamiar jeszcze się ze mną spotykać? - pytam.

W tym momencie jest jednak na tyle poirytowana, że nie dotykamy się już do końca jazdy taksówką. Nie zmieniam sobie dzwonek w telefonie.

Środa, 15 sierpnia

Jestem w pracy, szlifuję plotki, dopracowuję nagłówki, wyrzucam oświadczenia prasowe. Przede wszystkim jednak unikam Julii. Nie dzwonię do Julii. Ignoruję Julię. Zastępowała Hymana Katza na zebraniu redakcyjnym w południe. Całe zebranie spędziłem bardzo dzielnie, nie patrząc na nią. Ona też na mnie nie patrzyła. Tyle że ja się bardzo starałem na nią nie patrzeć, ona zaś wcale się nie zdawała specjalnie starać. Wiem, bo przez cały czas się na nią patrzyłem. Czy ona mnie całkiem zapomniała? Ta zabawa w ignorowanie się nawzajem mało mi się podoba.

Dzwoni telefon. To Bran. Czy mam ochotę wyjść dziś wieczorem na parę drinków i grę w bingo?

- Nie - mówię. Mam ochotę iść do domu i podusić się trochę w swoim własnym, smrodliwym kawalerskim sosie. Dzisiejszy wieczór zdaje się znakomicie do tego nadawać.

- Oj, nie marudź - mówi Bran. - Będzie też Katie. Katie. Ta fajniutka blondyneczka, która przepowiadała mi przyszłość na moich urodzinach.

- Moje plany na dziś wieczór właśnie uległy radykalnej zmianie - mówię.

Jedziemy więc w deszczu w stronę West Village. Bran t atkiem nieźle wygląda - ma na sobie obcisłą niebieską koszulkę na ramiączkach i opiętą czarną spódnicę. Pozwalam jej len jeden raz zapłacić za taksówkę.

- Zawsze za wszystko płacę - jęczy Bran. Dziewczyńska arytmetyka. Jak kiedy przynoszą rachunek na 41 dolarów

plus VAT i napiwek, a dziewczyna mówi „Płacę za siebie” i kładzie na stole... jeden banknot dziesięciodolarowy i trzy jednodolarowe.

- Czytałem twój artykuł w „New Yorkerze” - mówię.

- Och, strasznie ci dziękuję - mówi Bran. - W życiu bym sobie nie poradziła, gdybyś tam tylko przestępował z nogi na nogę i mówił: „Daj sobie spokój, chodźmy stąd”. Ale ty byłeś taki cierpliwy, pomogłeś mi przeszukać to wszystko, a potem jeszcze pochwaliłeś mój tekst, chociaż nigdy przedtem niczego nie napisałam,

Człowiek zdobywa u dziewczyn punkty za bardzo dziwne rzeczy, Mój wkład sprowadzał się do tego, że a) tkwiłem w miejscu jak kwiatek doniczkowy, podczas gdy ona biegała wokół góry śmieci; b) przeczytałem pierwszą wersję jej tekstu. Tekst był dobry. Powiedziałem jej to.

- To wszystko twoja zasługa - mówię.

- No i dzięki za to, że mnie skontaktowałeś ze swoją przyjaciółką w „New Yorkerze” - mówi Bran.

- Nic ma za co - mówię ja.

- Naprawdę masz za to wszystko u mnie wielki szacunek - mówi Bran.

- Ja za to straciłem cały szacunek do ciebie, kiedy nie rozpoznałaś piosenki *Tangled Up in Blue* - mówię ja. Nie mówię tego na serio. Ale. Oto. Się. Zaczyna.

- Dlaczego ty zawsze musisz powiedzieć coś takiego? Jak możesz być taki wstrętny? Ja ci mówię same miłe rzeczy, a ty musisz znów mnie atakować? Co za dupek z ciebie!

- Co ja takiego powiedziałem? - mówię z niedowierzaniem. W towarzystwie Bran sporo czasu spędzam w stanie niedowierzania. Nikt, może z wyjątkiem ludzi z obsługi działu zbiorów płytowych Columbia House, nie traktuje mnie z taką wrogością jak ona.

- Dlaczego jesteś takim potworem? - pyta Bran.

- Nie jestem potworem! - mówię.

No weźcie, chłopaki, sami mnie osądźcie. Potwory: Hitler, Nixon, Gargamel. Nie-potwory: Kubuś Puchatek, Oprah Winfrey, ja.

Katie czeka przy barze, roztaczając wokół siebie obłoczek wdzięku. Macha do nas ręką. Zdaje się cieszyć na mój widok.

- Nie wiedziałam, że tu będziesz! - wola.

Aha, więc zostaję uhonorowany okrzykiem entuzjazmu. Patrzymy na ofertę i mam ochotę zamówić drogą tequilę.

- Patron? - sugeruję.

- Jestem studentką - usprawiedliwia się Katie. - Niedługo zaczynam studiować prawo. Nie mam więc za dużo pieniędzy. Kupmy jakąś tańszą.

- Studiujesz prawo - mówię. - A nie jakąś poezję renesansową. Więc możesz chyba sobie na to i owo pozwolić.

Katie i Bran wyglądają na kompletnie skonsternowane.

- No widzisz - mówi Bran. - On zawsze jest taki złośliwy. Gafa! Za późno się zorientowałem,

- Myślisz, że jestem złośliwy? - pytam Katie.

- No cóż, jesteś bardzo, hm... bezpośredni.

Znajdujemy wolny stolik, pierwszy wsuwam się na miejsce przy ścianie. Katie siada koło mnie, Bran naprzeciwko. Hmm. Czy nie byłoby miło, gdyby to się działo naprawdę? Zaraz, zaraz, przecież to się dzieje naprawdę. Skup się. Pilnuj, żeby to tak trwało dalej.

Gramy w bingo i sączymy już czwartą kolejkę drinków. Katie naprawdę pije. A do tego jest drobna. To dobrze rokuje na najbliższą przyszłość. Obydwoje przegrywamy, kiedy jakiś kretyn drze się „bingo!” i leci na środek sali.

Patrzę na Katie. Jak na mój gust, jest całkiem, całkiem, Bran rozmawia z jakąś laską z sąsiedniego stolika, chyba się skądś znają.

- Masz wydatne kości policzkowe - mówię do Katie. Wygląda na zdruzgotaną.

- Dlaczego mówisz mi coś tak nieprzyjemnego? - oburza się. - Wiem, że mam wydatne kości policzkowe. W szkole nazywali mnie Dizzy Gillespie.

- Czy on znów zachowuje się jak potwór? - pyta Bran, odwracając się w naszą stronę.

- Tak, on jest potworem - przytakuje jej Katie. Ale przy tym się uśmiecha. Kiedy Bran powraca do przerwanej rozmowy z koleżanką z sąsiedniego stolika, Katie pochyla się w moją stronę.

- Wypijemy parę lufek przy barze? - pyta. Zastanawiam się, czy zabrnąłem już na tyle daleko

w strefę gaf, że udało mi się przejść przez tajemniczą niedoskonałość struktury kosmicznej i znaleźć się po drugiej stronie - zamiast wychodzić na głupka, który nie umie wydobyć z siebie jednego społecznie akceptowanego komentarza, może stałem się dla Katie jego galaktycznym przeciwieństwem: Maksymalnym Kutasem. Panem „Mam-wszystko-w-dupie”. Panem „Nie-owijam-w-bawełnę”. Czyżby uchyliła się przede mną kłapa prowadząca do Koneserlandu? Strzelamy sobie po lufce przy barze.

- Słyszałam, że porównałeś Bran do Ellen DeGeneres - mówi Katie.

- Ale nie w sensie, że jest lesbijką - mówię. - Tylko w sensie, że wygląda jak lesbijka.

- Wiesz, ona jest na tym punkcie nieco wrażliwa.

- Zapytała, co myślę, no to powiedziałem - odpowiadam. Czemu dziewczyny zawsze to robią? „Czy moje uda wydają ci się za grube?”. „Podoba ci się ta modelka w samej bieliźnie?”. Skoro wiedzą, że mogą liczyć albo na szczerą odpowiedź, albo na kłamstwo, które będzie świadczyło tylko o tym, że udało im się zrobić z nas rozplaszczonych kastratów?

- Jest taka jedna kobieta, co ją w kółko podrywa - mówi Katie. - I to dlatego. Ale po tym, jak jej powiedziałeś, że wygląda jak Ellen, poszła sobie kupić parę spódnic.

Za naszymi plecami nagle pojawia się Bran.

- No dobra, chłopaki i dziewczyny - mówi. - Czas się zbierać.

Idziemy do Baru Artystów, żeby się spotkać z koleżanką Katie. Sama nazwa kojarzy mi się od razu z jakąś knajpą dla eurosnobów, ale okazuje się całkiem przyjemnym miejscem. W tylnym pomieszczeniu można znaleźć stare kanapy, z czasów, kiedy kanapy nie musiały być jeszcze obowiązkowo eleganckie, stylowe i niewygodne. Te tutaj to zwyczajne, proste stare kanapy, o wszystkich charakterystycznych cechach, jakie pamiętam z moich rodzinnych stron: obszarpane poduszki i powycierane oparcia.

Próba mojej potworności trwa.

- Dlaczego musisz cały czas być takim potworem? - pyta Bran i zaczyna wyliczać wszystkie moje potknięcia. Co konkretnie mówi? Nie mam pojęcia. Muszę przyznać, że w takich momentach słuchanie nie jest moją najmocniejszą stroną.

- Aha - mówię, biorąc niedbale do rąk jej dłoń i lekko ją masując. Patrzę przy tym na Katie, która gawędzi sobie ze swoją koleżanką Ginny po drugiej stronie stołu. Ginny jest oznakowana. Na jej palcu połyskuje pierścienek, który zdaje się mówić: „spójrz tylko na mnie, trafił mi się bogaty facet”. Ginny jest mężatką i chyba nie ma nic przeciwko wynikającemu z tego stanu gwałtownemu spadkowi ilorazu inteligencji. Wszystko, co mówi, oscyluje wokół słowa „Josh”. Dokąd Josh ostatnio zabrał ją na wakacje, dlaczego Josh i ona przeprowadzają się do Japonii, co Josh sądzi na temat jej gry na pianinie, gdzie Josh przebywa dokładnie w tej chwili. Okazuje się, że ta kobieta mówi płynnie po japońsku, jest profesjonalną pianistką i przygotowuje się do udziału w maratonie. Mimo to potrafi spędzić dziesięć minut, opowiadając o zasłonkach, jakie kupiła dzisiaj (tak, tak! właśnie dzisiaj!) w sklepie Bloomingdale.

- Słuchasz mnie czy patrzysz na Katie? - pyta Bran.

- A kogo trzymam za rękę? - pytam ja.

Katie rzuca mi czujne spojrzenie.

Ginny i Katie rozmawiają o tym, jak Katie, po przyjeździe ze stanu Iowa do Nowego Jorku, zatrzymała się na początek u Ginny, która również dorastała w stanie Iowa.

- Dlaczego przyjechałaś do Nowego Jorku? - pytam.

- To mi się wydawało takie ekscytujące - mówi Katie.

- Ale i tak nie ma szans z waszą stolicą, Des Moines, no nie?

- Ale z ciebie potwór - mówi Katie.

Ale w jej oczach widać iskierki. I nie są to iskierki nudy.

Rozpieram się z powrotem na kanapie, rezygnując z udziału w konwersacji i zastanawiam się - czy to w ogóle przejdzie? Czy mogę być Maksymalnym Kutasem? Czy ktoś w ogóle to kupi? Skoro osiągam zaledwie Minimalną Wysokość do Zaakceptowania u Dorosłego Mężczyzny?

Bran idzie do łazienki, a ja wstaję z mojego miejsca i siadam obok Katie. Ona zaś wyjmuje swoją komórkę. Jest odrobinę wstawiona.

- Daj mi swój numer telefonu - mówi Katie i wpisuje mnie do swojej książki telefonicznej. Chce też numery do mnie do domu i do pracy. Ja też wpisuję sobie jej numer do telefonu. Teraz mam ją na zwołanie. I nawet nie musiałem o nic prosić pierwszy. Tryb Maksymalny Kutas - musicie kiedyś tego spróbować. Ryzyko upokorzenia bliskie zeru, jako że nie daje się żadnych sygnałów, że ci na kimkolwiek zależy.

- Dzwonź na komórkę - mówię, kiedy wraca Bran. - Kiedy tylko chcesz.

Teraz Bran z kolei obrzuca mnie wzrokiem.

Muszę iść - mówię. Opuścić towarzystwo jako pierwszy. To dopiero jest luz.

- Ja też idę - mówi Bran i dziewczyny oddają się standardowym pożegnalnym pocałunkom i uściskom.

Ale ja się trzymam od tego z daleka. Jeśli mam się całować z Katie, to na pewno nie w policzek. A Maksymalne

Kutasy nic uznają uścisków. Mam więc od razu z głowy te wszystkie kłopotliwe rytuały pożegnalne! Wychodzę po prostu z Bran z lokalu i idziemy razem do taksówki.

- Ona ci się podoba - mówi Bran już w środku. Zbliżamy się do jej domu.

- Może się podobać - odpowiadam wymijająco.

- Będziesz chciał się z nią umówić - mówi Bran.

- Niewykluczone - mówię ja.

- Wszystko fajnie, dopóki się kogoś nie straci - mówi Bran z goryczą. I zanim wysiądzie, zarzuca mi ręce na szyję i zapamiętałe całuje mnie w usta.

Piątek, 24 sierpnia

Julia wzięła dzisiaj wolne. Jedzie z całą rodziną odwiedzić młodszego braciszka na Uniwersytet Wisconsin, gdzie zaczyna studia. Zaoferowali się, że pomogą Alowi się rozpakować, mimo że najprawdopodobniej chłopak nic ma na to najmniejszej ochoty.

A Rick, miody mężczyzna, który - akurat tak się składa - studiuje weterynarię na tym samym uniwersytecie? To tylko chłopak, z którym Julia chodziła między szesnastym a dwudziestym drugim rokiem życia.

- Masz zamiar się z nim spotkać? - pytam ją przez telefon.

- Tak, dzwoniłam do niego - mówi Julia. - Miał taki głos, jakim zawsze zwracał się do ludzi, którzy do niego dzwonili. W stylu „Jak to miło, że dzwonisz!”. I dużo wykrzykników.

Rick ostatniej wiosny z kimś się rozstał. Był w Nowym Jorku przez jeden weekend. Ale ani razu do niej nie zadzwonił. Być może ma jej już dość.

- Złamał ci serce?

- Nie - mówi Julia. - Tylko trochę je wgniótł.

- Ma dziewczynę? - pytam.

- Pewnie tak - mówi Julia z niesmakiem.

To laki facet, który tylko pstryknie palcami, a dziewczyny niepostrzeżenie materializują się pośród drzew i padają mu do stóp.

- Chcesz się znów z nim związać - mówię.

- Nie - mówi Julia.

Kiedy kończymy rozmowę, od razu wybieram kolejny numer.

- Pomocy - mówię do słuchawki. - Potrzebuję prawnika.

- Chodzi panu o kogoś konkretnego? - pyta Katie.

- Myślałem o pewnej znajomej, która ma świetne intuicyjne wyczucie systemu prawnego i całkiem kształną pupę - mówię.

Katie śmieje się niskim, zmysłowym głosem.

- Dam panu znać, jeśli kogoś takiego spotkam - odpowiada.

- Jak tam pogoń za dyplomem? - pytam.

- Właśnie mieliśmy rozpoczęcie - mówi. - Obowiązkowy program rozrywkowy, godzina szczęścia. Zmusili nas nawet do noszenia identyfikatorów.

- A jak chłopaki? Jak z tego serialu o studentach prawa z Los Angeles?

- Nie wiem. Mieli tam taki produkt uboczny jak „żądni kasy debile w bojówkach”?

Ach, jak miło coś takiego usłyszeć.

- Zajęcia zaczynają się dopiero za tydzień - mówi Katie.

- A ja już mam pracę domową. Gorzej, zalegam z pracą domową.

W życiu nie zaliczę tego kursu.

- Ja tam zaliczam wszystko, a najchętniej fajne knajpy, jakie mam po drodze. Może byś się do mnie przyłączyła dziś wieczorem?

- Wiesz co, naprawdę nic powinnam - mówi Katie.

- I naprawdę mam ochotę się napić.

- A do tego jeszcze jakaś kolacyjka na popilkę - mówię.

- Skoro masz podtrzymywać tradycje prawnicze, musisz najpierw porządnie się najeść.

- Znam jedno nowe miejsce na Columbus Avenue - mówi Katie.

Spotykamy się więc o siódmej w jednym z tych miejsc, gdzie kelnerki mają ściągnięte do tyłu włosy i ubrane są w obcisłe czarne spodnie i białe koszulki z cieniutkimi czarnymi krawacikami wsuniętymi nonszalancko do środka.

Katie ma trzydzieści lat, ale kiedy tak sobie siedzi przy barze w czerwonej plisowanej spódnicy i białym bliźniaczkę, wygląda jak maturzystka. Jest w połowie jakiegoś prawniczego tomiszca, ale za to wypija już trzy czwarte kieliszka czerwonego wina. Zakradam się w jej stronę i siadam obok.

- Przyszedłem pogłębić nasze stosunki - mówię.

- Ha, ha - mówi Katie tym swoim niskim głosem, od którego przechodzą mnie ciarki.

Kiedy siadamy przy stoliku, obsługa elegancko rozkłada karty, zanim nam je podaje. To się nazywa klasa! Po czym Katie wystosowuje nakaz tymczasowy.

- Właściwie to nie jestem zbyt głodna - mówi. - I masz mnie nie upijać. Muszę dziś wieczorem przeczytać jeszcze czterdzieści stron.

Kelnerka czeka cierpliwie z miną prezenterki telewizyjnej, jakby mówiła: „Proszę bardzo, nie mam nic przeciwko temu, żebyście stąd wyszli z rachunkiem opiewającym na nie więcej niż 23 dolary. Pracuję tutaj, ponieważ jest to moje powołanie”.

- Poprosimy butelkę burgunda - mówię.

Podoba mi się tutaj - najdroższe wino w menu kosztuje tylko 40 dolarów za butelkę.

- Już przynoszę - mówi kelnerka. Katie mruży oczy.

- Ale z ciebie maksymalny kutas - mówi. Ale wciąż się uśmiecha.

- A kto powiedział, że pozwolę ci się napić? - mówię. - Mężczyzna musi jakoś gasić pragnienie.

Kelnerka wraca i odstawia swój butelkowy teatrzyk. Pokazuje etykietkę (spoglądam, poruszam ustami, odczytując nazwę, w końcu z powagą kiwam głową), wykręca korek i nalewa mi pół łyżeczki. Teraz moja kolej na bycie gwiazdą. Obracam kieliszek w dłoni, podnoszę go do światła, marszczę brwi i jeszcze obracam. Po czym zabieram się za wąchanie.

- Ojej, no wypij to, fircyku jeden - mówi Katie.

- No proszę cię. Sprawdzam tylko, czy jest dla nas odpowiednie.

Katie próbuje kopnąć mnie pod stołem, ale jej nogi nie są wystarczająco długie. Łapię ją za kostkę i przytrzymuję, przejeżdżając dłonią po jej łydce.

Pociągam łyka. Kiwam głową kelnerce.

- Ale nie musisz chyba sprawdzać, czy moje nogi też są odpowiednie - mówi Katie. Ale rozluźnia nogę i przez chwilę jeszcze trzymam ją za łydkę. Spada jej sandałek.

- Masz łaskotki? - pytam.

- Ani mi się waż - mówi Katie i zabiera nogę. - Czy nic męczy cię czasem chodzenie na randki? - pyta.

- Tak. Nie - odpowiadam.

- No właśnie. Ja mam tak samo.

- To jak rozmowa kwalifikacyjna - mówię.

- No dobrze, to przeprowadź ze mną taką rozmowę - mówi Katie, po czym siada prosto, odważnie patrząc mi w oczy. Upija łyk ze swojego kieliszka.

- Czy może mi pani opisać swoją ostatnią, hm... pozycję?

- Ha, ha - śmieje się Katie tym swoim niskim, mruczącym głosem. - Nie powiem ci, co to była za pozycja, ale opowiem ci o tym kolesiu. Miał na imię Fred. Kiedy go odwiedziłam drugi raz, zorientowałam się, że ma w lodówce dziwne rzeczy. I to był koniec.

- Dziwne rzeczy?

- Gęsi tłuszcz. Wędzone indycze szyje. Mnóstwo puszek z sokiem z małży. No naprawdę dziwne rzeczy.

- Ale cała reszta była u niego w porządku?

- Tak się przynajmniej zdawało.

- Ale to wystarczyło, żebyś go rzuciła.

- Tak jest.

- Przedziwne rzeczy mają miejsce, kiedy się ludzie zaczynają spotykać, co?

- Masz na myśli mnie czyjego? - pyła Katie.

- Was obydwój. Przecież on mógłby się okazać świetnym gościem.

- Okazai się seryjnym mordercą.

- Naprawdę?

- No, na razie jeszcze nie. Ale śledzę brukowce. No mówię ci, facet trzymał w domu mrożone gołębie pisklęta. Golonkę. A, no i jeszcze australijską pastę drożdżową. Chociaż nie był wcale z Australii.

- Powiedziałaś mu dlaczego?

- Nie, no co ty.

- Dlaczego tak się dzieje, że ludzie sobie nigdy nie podają prawdziwych powodów, dla których ze sobą zrywają? Dlaczego nic możemy dać sobie nawzajem tej chwili szczerości, wtedy gdy druga osoba najbardziej tego potrzebuje?

- A jaki byłby z tego pożytek? - protestuje Katie. - Innym razem zerwałam z chłopakiem, bo wróciłam do domu, a on był, powiedzmy, dość zaabsorbowany oglądaniem jakiegoś pornosa. Przyłapałam go na gorącym uczynku.

- Albo raczej zobaczyłaś nagą prawdę. Znow się śmieje.

- Oj, daj spokój. A co było u ciebie najdziwniejszym powodem rozstania?

Raz jedna dziewczyna została u mnie na noc. Rano naląła sobie pół litra (pół litra!) świeżo wyciskanego soku pomarańczowego, który w porywie entuzjazmu kupiłem specjalnie na tę okazję, po czym wypila z tego jeden mały łyżeczek. Oczywiście resztę musiałem wylać do zlewu. Seks to jedno, ale dopijać po kimś to już inna sprawa, I niech lepiej nikt nie używa mojej szczoteczki do zębów. No a potem była też jedna dziewczyna, z którą rozmawialiśmy o naszych ulubionych piosenkach grupy Simon and Garfunkel, a ona się upierała, że jej ulubioną piosenką jest *Cecilia*. To była chyba ostatnia rozmowa, jaką z nią w życiu przeprowadziłem.

- Nic, same zwyczajne powody - mówię.

- Kłamczuch - mówi Katie i kopie mnie pod stołem. Lubię panny, które wiedzą, kiedy kłamię.

Kiedy kończymy wino, robi się nieco dziwnie. Ja mieszkam stąd na południe. Katie na północ. Tylko parę przecznic.

- Mogę cię odprowadzić do domu? - pytam.

- Będzie mi bardzo miło - mówi Katie.

Kolejny dziwny moment następuje, kiedy dochodzimy do wejścia do jej domu, a portier obrzuca nas wzrokiem.

- Sporo się o panu dzisiaj dowiedziałam, panie T.F. - mówi Katie, nie zapraszając mnie na górę. Niemniej jednak zdaje się przepełniona radością.

- Lepiej zatrzymaj to dla siebie, maleńka - mówię, kładąc dłonie na jej talii,

- Bo jak nie, to co? - pyta Katie.

- Bo się doigrasz - mówię i łaskoczę ją.

- A! Przestań! - krzyczy Katie. - Wujaszku! I się uśmiecha.

Po czym następuje pocałunek. Który mówi; jeśli potrafisz mi zaoferować trzy porządne, zabawne randki, to kto wie, kto wie...

Sobota, 25 sierpnia

Jest wpół do dziewiątej wieczorem. Siedzę w domu i oglądam *Chłopców z ferajny*. Tak tylko, żeby sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyłem, gdy to oglądałem poprzednie dwanaście razy.

Moja komórka uprzejmie chrząka. Pierwszy raz się odzywa tego weekendu. Już miałem cichą nadzieję, że po prostu w moim mieszkaniu nic ma zasięgu.

- Cześć - mówi jakiś kobiecy głos. Standardowe dziew-czyńskie powitanie. Dlaczego panny zawsze to robią? Nie mam pojęcia, kto dzwoni. Jak mam to ocenić na podstawie jednego słowa?

- Hej! - mówię, grając na zwłokę. - Jak leci?

- Okej.

Dwa słowa. Nadal nie mam pojęcia, kto to może być.

Po czym nagle doznaję olśnienia, jakbym poczuł w ustach znajomy smak kiszzonej kapusty. Przecież to Liesl! Nie rozmawiałem z nią od kilku tygodni. Sądziłem, że oboje zgodziliśmy się, żeby sprawy po prostu same przygasły. Rozeszły się we mgle.

- *Wie geht's?* - pytam.

Mamy z Niemką taką zabawę, że ja udaję, że mówię po niemiecku. Podtapałem parę powiedzonek od jednego redaktora z Bawarii u nas w pracy, Liesl zaś udaje, że nie zauważa, jaki jestem żaloszny.

W odpowiedzi Liesl mówi coś w rodzaju

„Selbstammerun-genfrauverkaufkenkrankenschwesser”, a ja wydaję z siebie dźwiękowy odpowiednik kiwnięcia głową.

- No więc - mówi Liesl. - Właśnie kończyłam coś tutaj w pracy. - Tak jakby to była najzwyczajniejsza rzecz, jaką można robić w sobotni wieczór. - I pomyślałam sobie, że pewnie jesteś gdzieś na mieście, więc może mogłabym do ciebie dołączyć na parę drinków.

- Wiesz co - mówię. - Tak się składa, że akurat oglądałem w domu film.

Gafa! Przecież ona nie wie, że jestem w domu. Dzwoni na komórkę. Jak dla niej, mógłbym teraz równie dobrze upijać się w towarzystwie znanych literatów albo napalonych aktorek. Dlaczego muszę zawsze pokrzyżować sobie plany jakimś bezsensownym aktem szczerości?

Umawiamy się w Café Żabka za czterdzieści minut. To dziesięć minut drogi ode mnie. Znakomicie, myślę sobie - mam zatem czas na przyjemną relaksującą grę w węża na mojej komórce, a potem się przebiorę.

Czternaście minut później z wielkim żalem odrywam się od gry (mam bowiem poczucie, że właśnie tego wieczoru miałem szansę pobić najlepszy wynik Bran) i w trzy minuty się ubieram. (Wyciągam z szafy koszulę Banana Republic w kolorze ciemnoniebieskim, spodnie Banana Republic w kolorze czarnym i czarne buty Banana Republic. Kiedy ktoś mnie zapyta w sondażu wyborczym o moją orientację polityczną, odpowiem, że jestem Bananowym Republikaninem). Po czym rzucam się pędem ulicą, dokładnie tak samo, jak kiedy byłem dzieciakiem - wiecznie spóźniony. Tyle że teraz, nie muszę doliczać jeszcze czasu na założenie szyfru na rower.

O nie. Zapomniałem o jednej rzeczy. Wracam szybko na górę i maluję sobie paznokcie środkiem „Ugryź mnie”. W życiu nie uda mi się zaciągnąć Niemki do łóżka, jeśli przyłapie mnie na obgryzaniu paznokci.

Jestem na miejscu, zdyszany od biegu, piętnaście minut po czasie, w samą porę, żeby spędzić jeszcze dziesięć minut, czekając na nią. Z mojego doświadczenia wynika, że spotkanie

się z dziewczynami bardzo przypomina uprawianie z nimi seksu - zawsze to ja pierwszy osiągam cel.

Zamawiamy coś do jedzenia, coś do picia. „Nadrabiamy zaległości w kontaktach”,

- Co robiłaś w ostatni weekend? - pytam.

- W ostatni weekend? - mówi ona. - A, byłam w New Hampshire z Gigi i Sebem, wiesz, znasz ich, pojechaliśmy spotkać się z Ramoną i Bethany, pamiętasz, opowiadałam ci o nich, i odwiedziliśmy leż Shakirę, Dorę i Colette, te dziewczyny, o których ci mówiłam, że mają domek na plaży, no a w niedzielę poszłam na przyjęcie z Mariel, Antonio, Robin i Whitney.

Kim są ci wszyscy ludzie? Spotykanie się z nową osobą to niezły wycisk dla pamięci. Musisz się starać pamiętać imiona jej naj-najlepszych przyjaciół i naj-najgorszych facetów i jej rodzeństwa i gdzie ono mieszka, i co robi, t z kim żyje, i jak się nazywają ich dzieci. (Jeśli nie masz pewności, najlepiej postawić na imię „Alcx”. Nadaje się do obu płci i masz mniej więcej jedną szansę na trzy, że się wstrzelisz). A to i tak nie licząc tych wszystkich rzeczy, które musisz pamiętać o samej dziewczynie, z którą się umawiasz. Jej alergie. (Raz chodziłem z dziewczyną, która miała ciężką alergię na wszelkie rodzaje orzechów. Wciąż o tym zapominałem. Nagle okazywało się, że wszystko, co zamawiałem, zawiera orzechy. Ona odbierała to jako znak, że potajemnie pragnę ją zabić albo że co najmniej nie chcę się z nią dzielić jedzeniem). Imię jej szefa. Jej rozmiar sukienki. Jej rozmiar butów. Co lubi w łóżku. (No dobra, to akurat nie jest aż takie trudne). Jak się dostać do jej mieszkania. Jej numer telefonu. Jej drugi numer telefonu. Jej jeszcze jeden numer telefonu.

Oczywiście spamiętanie tego wszystkiego nie sprawia mi najmniejszego kłopotu w przypadku Julii.

- No to fajnie! - mówię.

Niestety na tym etapie nie mogę już zapytać, kim są ci jej wszyscy przyjaciele, ponieważ moja Niemka opowiedziała mi już o nich wszystko ze szczegółami. Tyle że nic z tego nie zapamiętałem. Na moim twardym dysku zostało już bardzo niewiele miejsca, przechowuję tam przecież scenariusze filmów z Królikiem Bugsem, fajne powiedzonka Bogarta i wyniki meczów futbolowych.

- Może spędzimy dziś na mieście całą noc? - proponuję. Próbuje odgrywać Pana Spontanicznego. Przy Niemce.

- Całą noc? - dziwi się ona. - Myślałam, że może tak gdzieś do północy.

Idziemy do niezbyt ciekawej knajpki o nazwie E-Motion, na Columbus Avenue. Udaję, że nigdy tam nie byłem. Od frontu są poodgradzane od siebie małymi przegródkami stoliki, z tyłu ogromne, wygodne pluszowe kanapy. Są tak głębokie, że ludzie przynoszą tam sobie drinki, zdejmują buty i rzucają się na poduszki. Można się tam poczuć jak u rodziców w piwnicy, tyle że nie ma tam rzeźbionych polinezyjskich gadżetów barowych i przykurzonego zestawu do *fondue*, w którym zawsze brakowało jednego widelca.

Pijemy więc sobie nasze dziny z tonikiem i pozwalamy butom polecieć na dywan. Rozpieramy się wygodnie. Liesl jest całkiem blisko mnie. Ale mnie nie dotyka.

- Twoja pozycja wystawia cię na ryzyko - mówię.

- Ach tak? - mówi ona.

- W każdej chwili mógłbym cię pocałować - mówię. Czy wystarczy, jak zrobię aluzję, czy mam jeszcze zrobić aluzję?

Liesl się uśmiecha. A ja ją całuję. Ale tylko przez chwilę. Ponieważ ona zaczyna chichotać.

- No, no, no - mówi. - Nic możemy przecież tutaj się migdalić.

Zajmuje mi chwilę, zanim dociera do mnie znaczenie jej słów. Co ona właściwie mówi, do cholery?

- Chcesz, żebyśmy poszli do ciebie? - pyta Liesl.

Kiedy ostatni raz ktoś mi coś takiego zaproponował? Czy w ogóle ktoś kiedyś mi powiedział coś takiego? Oddech. Kiwnięcie głową. Tak jest. Zwykle kiwnięcie głową.

I już sięgam po buty.

Ale ona znów zaczyna chichotać.

To takie śmieszne?

- Ale nic musimy koniecznie uprawiać seksu - mówi Liesl. Tak więc idziemy do mnie do domu, a Liesl trzyma się

tego, co powiedziała: nie uprawiamy koniecznie seksu. Oddajemy się za to bardzo frustrującym zapasom na moim łóżku. Przez dwie godziny. Po czym w końcu zasypiamy w swoich ramionach. Na jedną minutkę.

- Muszę wstać o dziewiątej - mówi Liesl, szturchając mnie łokciem.

Wstaję, żeby nastawić budzik, który stoi w odległym kącie pokoju. Gdybym mógł go dosięgnąć z łóżka, tobym go po prostu wyłączył i szedł z powrotem spać. Wracając do łóżka, zauważam, że ktoś porządnie poskładał i powiesił na wieszaku stanik i spodnie Niemki. Jak to się stało?

- Seks - mówi Liesl w ciemności, poważnym głosem - to taka intymna sprawa.

Nic będę się spierał.

- Chyba z nikim się tak nie całowałam od jakichś pięciu lat. I nagle ogarnia mnie przytłaczający smutek. Mam tu

przed sobą bardzo ładną, inteligentną młodą kobietę. Jej położenie jest jednak, jak się zdaje, jeszcze bardziej beznadziejne niż moje.

Czwartek, 6 września

W pracy czytam po raz kolejny bezcenny e-mail z poniedziałku:

Od: LIESLM.LAMG@femail.com

Do: FARRELL@Tabloid.com

Temat: Piątek

Mówiłeś, że chciałbyś pójść w piątek do kina, ponieważ jednak mamy chyba w tej kwestii bardzo różne gusta, myślę, że powinniśmy już zacząć to planować. Proponuję...

Proponuje islandzką sagę rybacką, francuską komedię omyłek, chińską operę mydlaną. Dlaczego laski zawsze chcą oglądać zagraniczne filmy? Te same kobiety, które ze zmarszczonym czołem starają się rozwikłać tajemnice horoskopów w „Marie Claire”, nagle okazują się wielkimi intelektualistkami, jeśli chodzi o wyjście do kina. Kiedy ostatnio można było zobaczyć jakiś zagraniczny film, który by nie był przereklamowany? No dobra. *Wejście smoka*. Co ciekawe, Liesl nie miała jednak nic przeciwko obcej rzeniu nowego filmu z Jackie Chanem. Może idzie na kompromis, czyli proponuje, żebyśmy robili to, na co ja mam ochotę? W końcu dogadujemy się, że pójdziemy na to w przyszłym tygodniu - zupełnie jakbyśmy podpisywali międzynarodowy pakt pokojowy.

Wychodząc z budynku na świat zalany resztkami światła słonecznego, dzwonię do Julii, żeby zapytać, czy będzie

miała jeszcze przed wyjazdem czas na drinka. W ten weekend jedzie z tym całym Dwayne'em do Meksyku i jeśli dziś się z nią nie zobaczę, to nie będę jej oglądać przez dłuższy czas. Zamiast jednak usłyszeć jej głos, słyszę głos Vadera informujący mnie, że: „Abonent chwilowo niedostępny”. Dlaczego wszyscy operatorzy sądzą, że to świetny pomysł, żeby ten właśnie gość przekazywał ich wiadomości? Przecież on rozwalił, do jasnej cholery, planetę Alderaan, już nie wspominając o tym, że posiekał na kawałeczki Obi-Wana.

Kiedy jednak chowam komórkę z powrotem do plecaka, atakuje mnie mój osobisty facet w czerni. Przez plac idzie Koneser, z dreadami ściągniętymi elegancko w kucyk. Ma na sobie czarny garnitur, białą koszulę, cieniutki krawat. Wygląda jak rastafariański Wściekły Pies. Pan Czarny. Dopiero po chwili zauważam, że po obu bokach ma towarzyszy - są to Mike Vega oraz Eli Knecht. Obaj starają się z całych sił wyglądać na bezwzględnych twardzieli.

Koneser wyjmuje z ust kubańskie cygaro o rozmiarach godnych Churchilla i puszcza w moją stronę ogromną chmurę dymu.

- Brać go - mówi.

Mike i Eli łapią mnie pod łokcie i pakują do limuzyny o zaciemnionych szybach.

- O co chodzi? - pytam. - Zapisaliście się do mafii? Czy to jakiś bal maturalny?

Jednak Eli i Mike pakują mnie na środek tylnego siedzenia i zajmują miejsca obok, pilnując mnie niczym psy. Koneser rozpiera się władczo na siedzeniu naprzeciwko. Po czym koleś w stroju szofera podchodzi zatrzaskać drzwi. Odgłosy ulicy nikną w nagłej ciszy.

- Ej, chłopaki - mówię. - Chętnie bym się z wami zabawił, ale muszę się dziś spotkać z Julią.

- I o to właśnie tutaj chodzi - mówi Koneser.

Patrzę na chłopaków, wiedząc bardzo dobrze, że tego wieczoru mogą się zdarzyć rzeczy, do których lepiej się nie

przyznawać. Koneser żyje w świecie, w którym nie ma żadnych reguł, swego rodzaju prywatnym Amsterdamem własnej duszy.

- Co to za numer? - pytam.

- Nazywaj to sobie, jak chcesz - mówi Koneser. - Będzie, co będzie.

- To rodzaj interwencji - mówi Mike. Koneser stuka w szybkę. I ruszamy.

Koneser sięga pod siedzenie i otwiera ukrytą tam lodówkę. Wyjmuje z niej butelkę szampana.

- A cóż to takiego? - mówi. - Musimy to koniecznie spożytkować.

- Tak jest, spożytkujemy to znakomicie - mówi Mike, wyciągając z innej skrytki kieliszki do szampana. Muszę przyznać, że zrobił się z niego nagle wyjątkowo błyskotliwy sługa.

- Spożytkujemy to do ostatniej kropelki - mówi Eli.

Czy tylko ja w tym mieście nie czytałem *Słońce też wschodzi?* Tylu młodych facetów czerpie swoje upodobania z Hemingwaya.

Kiedy podjeżdżamy pod odgradzające wejście aksamitne sznury, widzę stojącego na warcie wąsatego gościa w smokingu. Tak naprawdę w dzisiejszym świecie są już tylko trzy rodzaje sytuacji, w których nosi się smokingi. A ten kolo nie wygląda na głównego kelnera ani na pana młodego.

- Witamy w miejscu, gdzie faceci są facetami - mówi Koneser.

- A kobiety są po operacjach plastycznych - mówi Eli.

- Dajcie spokój, chłopaki - mówię, podczas gdy kierowca otwiera nam drzwi. Po czerwonym dywanie rozesłanym pomiędzy aksamitnymi sznurami przelatuje światło reflektora, starające się chyba nadać całej scenie dramatyzm. - Niepotrzebne mi to. Mam się spotkać z dziewczyną.

- Mówiłeś coś o dziewczynach? - wchodzi mi w słowo Koneser. - Ja ci pokażę tutaj niezłe dziewczyny.

Koneser przez chwilę omawia coś z gościem w smokingu. Toczą dyskusję na temat tego, jakie dostaniemy miejsca. Mają tam miejsca dla VIP-ów (cały klub), miejsca dla super VIP-ów (cały klub z wyjątkiem dwóch rzędów stołów z tyłu) oraz Salę Menedżerską, to znaczy miejsca z przodu, jak również Oko Byka, które jawi się jako miejsce tak nieprzeciętnie ekskluzywne, że składa się z jednego jedyne go stołu na podwyższeniu, otoczonego purpurowymi sznurami i gotową na każde zawołanie obsługą. Mike i Eli prowadzą mnie, dyskretnie podtrzymując za łokcie. Obaj są dość odstawieni, mają marynarki i krawaty. Ja mam na sobie wymięte, stare spodnie Gap i zdarte buty. Wyglądam jak jakiś włóczęga albo doktorant.

- Koneser - mówię. - Ja nie jestem ubrany.

- Nie przejmuj się - mówi Koneser. - Dziewczyny też nie będą ubrane.

Po czym wyciąga pojedynczy banknot i wręcza go kowbojowi w smokingu. Nie wiedziałem, że na banknotach 500-dolarowych jest podobizna prezydenta McKinleya, a wy?

- Wygląda na to, że mamy dziś jakiś wieczór specjalny - mówi Eli, gdy idziemy korytarzem w stronę miejsca, gdzie kolorowe światła wirują jak szalone. Muzyka jest ogłuszająco głośna.

- Specjalny wieczór Niegrzecznych Dziewczynek - mówi Koneser, puszczając do mnie oko,

Wokół nas kłębi się tłum umundurowanych ochroniarzy, którzy nam nadskakują i łaszą się w nadziei na napiwek. Umieszczają nas przy najlepszym stoliku. Koneser i Mike rozdają kelnerom pieniądze, podczas gdy Eli patrzy w inną stronę. Mike rzuca mi ukradkowe spojrzenie.

- Nie patrz na mnie - mówię. - To nie był mój pomysł, żeby tu przychodzić.

Koneser zabiera mi komórkę i stawia kolejkę podwójnych szkockich. No i pojawiają się dziewczyny.

Koleś na skraju sceny poprawia sobie tupecik i zaczyna mówić z zabawnym londyńskim akcentem.

- W porząsiu, panowie? W porząsiu? Wita was wasz gospodarz. Ken Talent, którego zadaniem jest wam dzisiaj przypomnieć, że to tu, w Klubie Dżentelmenów „Ogier”, właśnie dziś wieczorem będziecie świadkami historii. Jak najbardziej dosłownie.

Nigdy nie mogę zrozumieć, dlaczego te miejsca zawsze nazywane są klubami dżentelmenów, choć opierają się na naszych najbardziej pierwotnych, nieokrzęsanych, zwierzęcych potrzebach.

- Uwielbiam tego gościa - mówi Koneser. - To największy specjalista od dobrego smaku, jakiego spotkasz w rozbieranych barach.

Gitarowe dźwięki *Revolution* Beatlesów dają znak, że show się rozpoczyna. Ken Talent krzyczy;

- Kobiety, które za chwilę będzie wam dane poznać, to skapo odziane szatany, diabły w niczym nieokrytej ludzkiej skórze, każda z nich to prawdziwa burza w szklance urody, to największe grzesznice w historii! Prosimy naszych ogierów o gorące powitanie naszej drogiej... Marii Antoniny!

Na sali rozlegają się entuzjastyczne świśnięcia, a zza połyskliwej kurtyny wyłania się dama w pełnym stroju z roku 1789. Suknia na wielkiej krynolinie, marszczone falbanki, upudrowana peruka, wyzywający pieprzyk,

Koneser gwizdże, trzymając palce w kącikach ust. Też chciałbym tak umieć. Wali w stół szklanką po szkockiej i zaraz dostaje następną. Ja nie wypilem jeszcze nawet pierwszego łyka.

Koneser rzuca mi spojrzenie.

- Wyglądasz jak kupa gówna - mówi.

- Mam kiepski humor - mówię.

- Będiesz miał na to czas w grobie - mówi Koneser. - Nie ma po co już teraz ćwiczyć miny nieboszczyka. Wypij lekarstwo.

- Alkohol to nie odpowiedź - mówię.
- Nie. Ale pozwoli ci zapomnieć jakie było pytanie. Pociągam tyka. Whisky wypala mi w gardle płomienny szlak. To miłe uczucie.
- Nic chcę się podpierać alkoholem - mówię.
- To nic podpora - mówi Koneser. - To pełen system podtrzymujący człowieka przy życiu,
- No dobrze, panowie - mówi Ken Talent. - Czy to wszystko, co macie do powiedzenia na temat najokrutniejszej kobiety w historii? Zbrodnie Marii Antoniny obejmują małżeństwo dla pieniędzy, głodzenie mas, próbę ucieczki przed ludową sprawiedliwością oraz tandetny wystrój wnętrz! Co na to wszystko powiecie?
- Buuu - krzyczy Eli, mrugając przy tym do mnie.
- Proszę cię - mówię. - Nie puszczaj mi tych oczek. Rozglądam się po klubie. Jest tu właściwie pusto, jeśli nie liczyć siedmiu czy ośmiu łysiejących facetów o smutnych oczach, którzy bohatersko próbują odgrywać szaloną zabawę. Prawie wszyscy krzyczą i gwizdzą, i trącają się nawzajem łokciami. Większość ma na palcach obrączki.
- Kusicielka na scenie ma zawiązaną wokół szyi stylową czarną tasiemkę, która wygląda jak obroża. A na niej maty wisiołek. Wciąż jej sugestywnie dotyka palcami. Tak jakbyśmy w życiu nie widzieli gołej szyi.
- Wiecie co, panowie - mówi znów prowadzący. - Sądzę, że to tylko dzięki tej obróżce jej głowa wciąż jeszcze trzyma się szyi!
- Trzech kolesi przy stole za moimi plecami krzyczy chórem: „Ściąć jej głowę! Ściąć jej głowę!”. Trwa to jednak jedynie, dopóki jeden z nich nie wpada na pomysł, żeby zmienić hasło na „Zdjąć jej suknię!”, co wszyscy natychmiast podchwytyją.
- Ta sukienka musi być dość niewygodna - mówi Mike.
- Taka sztywna. Wykrochmalona - mówi Eli.
- Pewnie ma w środku gorset z fiszbinami - mówi Mike.

- Co za skrepowanie - mówi Eli. - To niemal jak więzienie. Jak jakaś Bastylia.

- Więźniów politycznych trzeba koniecznie uwolnić - mówi Mike.

Maria Antonina stawia jedną nogę na krzeselku w stylu francuskim, takim jakich zawsze pełno na planach przegadanych filmów kostiumowych. Podciąga w górę spódnicę, ukazując nieskończenie długą nogę w nieskazitelnej białej pończoszce. Całe wieki jej zajmuje, zanim dochodzi do maleńkiej czarnej podwiązki na swoim ślicznym, szczuplutkim udzie. Podwiązka ozdobiona jest sztuczną różyczką.

Facetów przy stoliku za mną ogarnęła gorączka.

- Ona temu winna! Ona temu winna!

Najpierw z nóżki znika podwiązka. Maria Antonina obraca ją przez chwilę na palcu wskazującym, zakończonym długim, krwistoczerwonym paznokciem. Rozgląda się, szukając ciekawego celu, i zauważa Konesera. Posyła mu delikatny uśmiech, który wygląda podejrzenie naturalnie, i rzuca mu podwiązkę na kolana.

Faceci z tyłu wydają odgłosy głodnych wilków.

- Wypróbować mnie powinna! - krzyczy jeden z nich.

Maria Antonina zdjęła już obie pończoszki i właśnie przejeżdża sobie palcem wskazującym po dekolcie, kiedy przerywa jej Ken Talent, z zapartym tchem obwieszczając nowinę,

- Panowie, mam niestety złą wiadomość. Królowa Francji została nieco za mocno wciśnięta w swój gorset. Może się okazać, że Maria Antonina będzie dziś wieczór potrzebowała pomocy, żeby się wydostać ze swojego stroju.

Z tyłu za nią już rozsuwa się czerwona kurtyna.

- I dlatego dobrze, że ma ona taką przyjaciółkę jak Lukrecja Borgia!

Wchodzi Lukrecja, jako piętnastowieczna bogini seksu. Jej suknia jest znacznie prostsza od konstrukcji, jaką ma na sobie Maria Antonina. Po prostu sztywny biały stożek, jak

wielki filtr do kawy, o czerwonych obrzeżach. Waży to pewnie ze trzydzieści kilo, i tak samo jak suknia Marii Antoniny, sięga do ziemi. Nie ma potrzeby przedwcześnie odpakowywać towaru. Lukrecja i Maria Antonina wpatrują się sobie w oczy.

Królowa Francji sięga ręką ku upudrowanej białej peruce i zdejmuje ją z głowy, uwalniając kaskadę rudych włosów, które teraz opadają jej na szyję. Muszę przyznać, że patrzę na to z uwagą.

Tym razem w tle leci *Papa Don't Preach*.

- Lukrecja, ta córeczka tatusia, wyszła za mąż w wieku lat trzynastu - opowiada nam Ken Talent. - Jednak chłoptaś, którego poślubiła, nie spodobał się jej ojcu, papieżowi Aleksandrowi VI, który w związku z tym małżeństwo to anulował. Potem papa papież ogłosił wszem wobec, że Lukrecja jest dziewicą, podczas gdy była ona w szóstym miesiącu ciąży. To dopiero były czasy, ta epoka zwana Renesansem!

- Te panie chyba się dobrze znają - mówi Mike.

- To stare przyjaciółki - mówi Eli.

- Pocałujcie się na dzień dobry - mówi Mike.

- I na do widzenia. I na wszystkie okazje pomiędzy - mówi Eli.

- Strasznie tu gorąco.

- Okropnie. Po prostu ukrop.

- Gdyby tak któraś coś zdjęła, może by się nieco ochłodziła.

Ken Talent łypie zza mikrofonu.

- Jej pierwszy mąż powiedział, że dziecko nie jest jego. Powiedział zresztą, że nawet sama Lukrecja nie wie, z kim zaszła w ciążę, mógł to bowiem być jej ojciec albo brat! Jednak, drodzy panowie, biedna Lukrecja nie mogła zatrzymać swojego maleństwa!

Tłumy odpowiadają jednogłośnie „Ooo!”, podczas gdy Lukrecja zaczyna tańczyć wolnego z Marią Antoniną.

- Niestety, chłopiec był chowany potajemnie - mówi Ken Talent.
- Jednak Lukrecja znalazła pociechę, mordując swojego drugiego męża i zyskując sobie tytuł najbardziej występnej kobiety w historii!

Zaczyna się nowa piosenka. Znajome dźwięki klawiszy. O kurczę. Ten kawałek powoduje, że przenoszę się w czasie. Znow mam trzynaście lat.

- To jest to - mówię, kiwając głową.

- No, nareszcie cię, kurwa, ruszyło! - mówi Koneser. - Podoba ci się to, co Lukrecja robi z szarfą Marii Antoniny, co?

- Chodziło mi o piosenkę - mówię. - Uwielbiam Electric Light Orchestra. To piosenka *Evtl Woman*.

Warto było się tu przejechać, żeby tego posłuchać z klubowych głośników. Niezbyt wielu spośród moich sąsiadów podpisało moją petycję o to, żebym mógł puszczać na pełen regulator artystycznego rocka z końca lat siedemdziesiątych.

Faceci z tyłu tupią i gwizdzą. Wyglądają na Włochów, Może czują się urażeni. Może wolą się trzymać wizji Watykanu jako miłego, czystego miejsca. Dlaczego papieże mieliby spać ze swoimi córkami, skoro mają wokół tyłu zdrowiu-sieńkich ministrantów?

Maria Antonina i Lukrecja wzajemnie pozbawiają się zahamowań, są też coraz bardziej twórcze, jeśli chodzi o sztukę pocałunków. Jednak Ken Talent znow sięga po mikrofon, żeby nas zapytać, czy nie wydają nam się one nieco samotne. W międzyczasie didżej zmienia moją świetną piosenkę na ten nudny, rzewny, grany na syntezatorze przebój / filmu *Top Gun*.

- Podczas gdy Maria Antonina i Lukrecja świętują nową erę współpracy francusko-włoskiej - donosi nam Ken Talent - nawet nie podejrzewają, że szpieguje je krzepka dama w bawarskich spodniach, śmiała *Fräulein*, która nie była w stanie znaleźć sobie takiego chłopaka, który by nie był masowym mordercą! Prosimy o nieśmiałe *Wilkommen* dla

naszej wielbiącej *Kampf* walkirii, podstępnej lisiczki - prawdziwie nikczemnej Ewy Braun!

- To może chyba zająć dłuższą chwilę - mówi Mike. - Idę do baru na jeszcze jedną rundkę, zanim się zaczną rozbierać.

- Jak się nazywa ta idiotyczna piosenka? - pyta Koneser, podczas gdy faceci za nami walą pięściami w stoty i tupią. Jeden z nich wstaje i maszeruje po sali krokiem defiladowym, zanim go łapie ochroniarz.

- *Take My Breath Away* - mówię.

- Co, kurwa?

- Zespół Berlin - dodaję.

Koneser pospiesznie przywołuje do naszego stolika jednego z kelnerów i wciska mu w kieszeń parę dwudziestodolarówek.

- Na miłość boską - mówi. - Puśćcie jakąś muzykę dla facetów. Przecież to nie herbatka u cioci.

- A co konkretnie życzyłyby pan sobie usłyszeć?

- Stonesów. Z lat 1968-1978.1 nawet nie próbuj przemycić jakichś gównianych kawałków z „Their Satanic Majesties Request”.

Maria Antonina i Lukrecja pomagają Ewie rozpuścić warkoczyki i zmagają się z jej tyrolskim strojem, kiedy postanawiam rozprostować nieco nogi. Po paru sekundach zaczyna lecieć *Some Girls* Stonesów. Muszę to Koneserowi przyznać - widok wydawanych tuż obok pieniędzy jest prawie tak samo przyjemny jak samo wydawanie pieniędzy.

Bar znajduje się nieco z boku sali, w oddalonym od sceny słabo oświetlonym kąciku. Nad barem zawieszono są telewizory. Mike siedzi na stołku, otoczony trzema kobietami, z których żadna nie jest jego żoną. Kobiety zdają się wpatrywać prosto w jego krocze. Wydają z siebie czułe dźwięki.

Zamawiam sobie szklanek wody, a Mike się do mnie szczyrzy.

- O, proszę, a tu jak miała cztery tygodnie - mówi do swoich pańienek.

Dziewczyny jakby pozbywały się swojej ognistej powłoki neonowych świateł, która rozplywa się i ustępuje miejsca pianiom przedłużanych włosów i silikonu. Jedna z nich czule dotyka kolana Mike'a. Inna na chwilę opiera głowę o jego ramię.

- Na pewno jesteś cudownym ojcem - mówi jedna.

- Najlepszym - zgadza się druga.

Ta, która trzymała rękę na jego kolanie, bierze teraz w dłonie jego oba policzki i patrzy mu głęboko w oczy, mówiąc:

- Jesteś marzeniem każdej kobiety, wiesz o tym?

- Pozwólcie, że wam pokażę małą księżniczkę na jej koniku - mówi Mike arogancko. No naprawdę, kto by pomyślał, że takim tekstem można kogoś zbajerować.

- O - mówi jedna z nich, spazmatycznie łapiąc powietrze, jakby właśnie przeżywała orgazm.

- Mój - mówi druga.

- Boże - uzupełnia trzecia, kończąc ich wspólną myśl. Zastanawiam się w milczeniu, jak by tu poruszyć z Mikiem pewną delikatną sprawę. Z pewnością, jako jego wieloletni dobry przyjaciel, zasłużyłem sobie na to, żeby mógł poważnie rozważyć możliwość wypożyczenia mi dziecka na weekend? No bo przecież jeden spacer po Central Parku pozwoliłby mi nadrobić wszystkie zaległości w kontaktach z kobietami. Co jakieś 100 metrów dostawałbym od kogoś numer telefonu.

Eli podchodzi do baru.

- Fajnie było, chłopaki. Ale ktoś na mnie czeka w domu.

- Daj spokój, zostań z nami - mówię. - Twoja dmuchana lala może chyba zaczekać.

- To nie ja będę dzisiaj sobie coś musiał dmuchać - mówi liii. - Pokój z wami.

I wychodzi.

Co ja tu robię? To znaczy oprócz tego, że oglądam telewi-/ję, w której jakiś Sven Ola ff son, czy też Olaf Svens son, podnosi czterystukilogramową kłodę i z wielkim trudem

przemieszcza się z nią kilka straszliwych metrów, zanim ją upuszcza na piasek. Niech Bogu będą dzięki za kanały sportowe. Pojawia się koło mnie Koneser.

- Podwójna whisky - rzuca barmanowi, po czym zwraca się do mnie: - Ta laska, która gra Lukrecję, to też niezła aktorka. Grała główne role w tej serii pornosów opartych na płytach Boba Dyla na.

- Dylana? - pytam.

- No tak, to była dopiero klasa, mówię ci. *Wieczne wzwody, Pukając do alkowy bram, Dom wstającego kutasa.*

- Oj, proszę cię - mówię. - Możemy już iść? Robi się tu nudno. One wszystkie są takie same.

- I o to właśnie chodzi - mówi Koneser. - Spróbuj zapamiętać tę lekcję. Musisz dać sobie spokój z tą dziewczyną. Masz zamiar się zamećzać myślami o jakiejś lasce tylko dlatego, że kiedyś przy niej poczułeś jakieś przyjemne mrowienie? Oprócz niej jest jeszcze na świecie cała masa lasek, wszystkie zaś mają mniej więcej to samo wyposażenie.

- Ale ja pragnę jej wyposażenia - mówię płaczliwie.

- Słuchaj - mówi Koneser, wychylając swoją szkocką jednym haustem. - Gdzie ja bym teraz był, gdybym miał takie nastawienie do życia jak ty?

- Można się dołączyć do waszej pogawędki? - pyta Mike, siadając obok Konesera.

- Teraz ja stawiam - mówię i wszyscy bierzemy sobie jeszcze po drinku. Koneser pije kolejną podwójną whisky. I popija ją piwem.

- Powiedz mu, no - mówi Koneser. - Powiedz mu, jakie są kobiety.

- Wszystkie są takie same - mówi Mike. - Z wyjątkiem mojej córeczki. Ona jest najpiękniejszą kobietą na świecie.

- Oj, weź się już zamknij - mówię.

Teraz jakiś Thor Orgenborg czy ktoś taki ciągnie na linie jeepa. Trzymając tę linę w zębach. Na platformie z tyłu samochodu siedzi sobie kilka supermodelek, dyndając nogami i machając wesoło do tłumu.

Koneser podnosi wzrok i patrzy na ekran.

- W takich sprawach najlepiej stawiać na Samończyków - mówi.

- Ja stawiam na Svena. Czy tam Olafa - mówię ja.

- Ten zawodnik sumo nieźle wygląda - mówi Mike.

Dwie z panienek, z którymi wcześniej rozmawiał, zachodzą go od tyłu i coś mu bardzo sugestywnie szepczą do ucha. Mike wstaje.

- Przepraszam was bardzo - mówi. - Panie chcą mi pokazać jakąś prywatną, e... wystawę.

- A co z nami.' - pytam. Mike wzrusza ramionami.

- Powiedziały, że jestem dla nich kimś wyjątkowym. Gapimy się na niego z Koneserem, panienki chichoczą

i odchodzą z Mikiem, po jego obu bokach. Kierują się w stronę zasłony z paciorków, przy której stoi kolejny facet w smokingu, który coś tam im otwiera. Co za cuda będzie teraz dane Mike'owi oglądać? Przy barze nie ma już żadnych panienek.

- Z ciebie to naprawdę kawał nietowarzyskiego gbura - mówi Koneser.

Thor jednak sobie całkiem nieźle radzi. Uszedł już jakieś sześćdziesiąt metrów.

- Skoncentruj się - mówi Koneser. - Siawiam stówę na Samończyka, ale Thor ma w nazwisku to takie ukośnie przekreślone „o”. Może warto i na niego postawić. Że wygra ze Svenem. Co na to powiesz? Pięćdziesiąt dolców.

Pociągam łyka ze swojej szklanki. To właśnie bogaci przyjaciele najczęściej nas zwykle kosztują. Ktoś to kiedyś na pewno powiedział.

Samończyk się pochyla i zaczyna stękać, próbując podnieść ogromną huśtawkę z kutego żelaza. Po obu jej stronach siedzą osoby o podobnym ciężarze - krągły biały facet i czarna kobieta „nieco przy kości”. Twarze obydwójga są dobrze znane pracownikom brukowców.

- O cholera - mówi Koneser. - Arelha nie ma dziś lekko. A ten facet po drugiej stronie to kto?

- To najnowszy grubas z programu „Sobotnia Noc Na Żywo” - mówię. - Starają się zawsze mieć wśród prowadzących jakiegoś opasłego kokainistę, który ma szansę przedwcześnie umrzeć, żeby mogli na jego cześć robić spektakularne programy pożegnalne i wydawać specjalne kasety wideo z powtórkami jego programów.

To „Brukowiec” oczywiście rozpowszechnił taką wersję wydarzeń.

- A co to takiego - pyta Koneser - co Aretha trzyma w lewej ręce?

- Wygląda jak cheeseburger z bekonem - mówię.

- Gdyby przewinąć taśmę do przodu na podglądzie, pewnie można by zobaczyć, jak jej rośnie dupa - mówi Koneser.

Patrzymy, jak Samończyk się chwieje, stawiając niepewne kroki. Dźwięk nie jest ustawiony zbyt głośno, nie wiemy więc, czy sędziowie odejmują mu punkty za każdym razem, gdy jego chwiejny krok powoduje, że Aretha rozlewa trochę swojego czekoladowego milkshake'a.

Na głównej sali Ken Talent coś bełkocze na lemat wielkich zapasów w kisielu pomiędzy Medeą a Lizzie Borden*.

Z tyłu dochodzą mnie jakieś głosy. Odwracam się - to tych trzech koleś z sąsiedniego stolika.

- Samończyk wygrywa ze Szwedem - mówi do nich Koneser, obcinając końcówkę cygara.

*Lizzie Borden - Amerykanka z bogatej rodziny, oskarżona o brutalne morderstwo ojca i *macochy* w słynnym procesie z roku 1893.

Goście zaczynają stawiać między sobą zakłady i zamawiają drinki. Ten bar zbudowano na jakieś cztery osoby, a gnieździ się nas tu już sześciu.

- Czy ktoś jeszcze został tam na sali? - pytam.

- Paru japońskich biznesmenów i to chyba tyle - mówi jeden z nich.

Kończę moją whisky i pozwalam jej rozlać mi się po mózgu. Co jest z nami nie tak? Jak nam dać wybór między seksem i sportem, to pytamy „a kto gra?”. Cierpią na to wszyscy faceci. Chcesz oglądać mecz czy coś w tym stylu, dziewczyna się do ciebie przykleja, stara się za wszelką cenę zwrócić na siebie twoją uwagę, gryzie cię w ucho, szepcze ci wyjątkowe sprośności (czy to jakiś babski hormon, który się uaktywnia tylko w niedzielne popołudnia?) i mimo że drużyna przeciwnika ma już znaczącą przewagę, a zostało ledwie pięć minut do końca gry, to siedzisz wkurzony i myślisz tylko: „Daj mi spokój! Muszę przecież wiedzieć, czy naszym chłopakom uda się jednak tamtych pobić!”.

Samończyk dystansuje Thora, kolej więc teraz na Olafa, czy tam Svena, żeby pokazał, co potrafi.

- Nie ma mowy - mówi Koneser. - Tego się nie da zrobić. Szwed chwyta volksvagena, którego tył jest zawalony

beczkami piwa sponsora. Przeciąga go o imponujące dwadzieścia metrów.

Kolejny głos za moimi plecami woła. „Kto chceć zakład?”.

Teraz są już też z nami japońscy biznesmeni, którzy dopingują zawodnika sumo.

Samończykowi udaje się przesunąć samochód o półtora metra. Zawodnik sumo nic potrafi go nawet ruszyć z miejsca. Wygrywam.

- Ja pierdolę - mówi Koneser.

Jeden z Japończyków mu płaci, on zaś płaci mnie. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz udało mi się wygrać z nim zakład.

To musi być jego nie najlepszy wieczór. Koneser nieco się chwieje, w oczach ma dzikie iskierki.

- Wracamy na salę, stary - mówi.

Nagle okazuje się, że ma już przed sobą cztery puste butelki, ale łapie jeszcze dwa piwa na drogę do stolika. Ten koleś przepuszcza przez siebie tyle piwa, co jego range-rover benzyny premium. Rzadko mi się zdarza w tygodniu tyle wypić, no ale życie z Koneserem pełne jest takich drobnych cudów.

- Trudno o bardziej niepozorną dawkę zła niż nasza następna postać - mówi Ken Talent. - Po zdobyciu wykształcenia w „rodzinie” Charlesa Mansona zasłużyła się dla feminizmu lat siedemdziesiątych odważnym gestem, kiedy jako pierwsza w historii kobieta podjęła próbę zabójstwa prezydenta Stanów Zjednoczonych! Co prawda był to jedynie Gerald Ford, mimo to naszej Lynette „Squacaky” Fromme należą się chyba duże brawa!

A ktokolwiek jest tutaj odpowiedzialny za nagłośnienie, nie może się teraz powstrzymać i zamiast Stonesów puszcza nam *I Am Woman* Helen Reddy.

- Jasna cholera, gdzie jest ten mały pedałek? - syczy Koneser, rozglądając się z wściekłością dookoła. - Czyja po to mu dałem trzy banknoty, żeby on mi tu puszczał takie gówno?

Sam jestem nieźle napruty, ale stan Konesera wskazuje na to, że trzaska w nim taka ilość woltów jak na tym dwu-dziesięciometrowym neonie Coca-Coli na Times Square. Wiecie, co mówią o tych gigantycznych neonowych potworach? Że są widowiskowe. Obecny stan Konesera jest właśnie laki - widowiskowy.

Podchodzi do nas kelner, więc Koneser ma okazję dać upust targającym nim emocjom.

- Czy wy tam sobie wszyscy na zapleczu obciągacie druty? - mówi. No poważnie, chciałbym wiedzieć. Ty i ten koleś od dźwięku, kochacie się inaczej, no nie? No po prostu mi powiedz. Chiałbym to wiedzieć. Bo jeśli to jest gejowski

klub z panienkami, to się, kurwa, pomyliłem. Znajdę sobie inny lokal, który będę mógł dofinansować. Czy nie prosiłem bardzo konkretnie o Stonesów?

Kelner nic nie mówi. Ale patrząc na mnie, nieco wywraca oczami. O nie. On chyba praktykuje tutaj jakieś wudu. Nie czuję się najlepiej.

Na scenie pojawia się Squeaky. Zamiast Helen Reddy zaczyna lecieć *Monkey Man* - sama żądza i apokaliptyczny trans taneczny. To jeden z lepszych kawałków Stonesów, przywołuje on jednak jakieś nieprzyjemne wspomnienia. Coś kiedyś mnie gryzło, kiedy tego słuchałem. Jeśli chodzi o Konesera, to zdaje się, że wszedł w trans. Siedzi absolutnie bez ruchu. Squeaky wygląda jak mała, jasnowłosa sierotka, jak dla mnie nic szczególnego, ciało takie sobie, włosy w ewidentnym nieładzie, z lekka przerażający makijaż. Ubrana w dzwony i hipisowską haftowaną koszulę, przechadza się po scenie z pistoletem w rękę, jakby to było dla niej coś nowego. Wygląda na osobę impulsywną i sarkastyczną, taką, która i bez pistoletu potrafi człowieka poranić.

Piosenka Stonesów przypomina mi, jak pierwszy raz w życiu widziałem klatkę z małpami. Moi dziadkowie, którzy mieszkali wówczas w New Jersey, zabrali mnie do zoo na Bronksie. W tamtych czasach Bronx konkurował z Kambodżą o opinię najgorszego miejsca na kuli ziemskiej, tak więc kiedy patrzyłem na te małpy w klatce, przez głowę przelatywały mi kryminalne statystyki. Myślałem sobie: „Aha, no proszę - gwałt, próba gwałtu, napaść, publiczna masturbacja”. Nigdy wcześniej nie byłem w Nowym Jorku. Myślałem więc, że to takie osłre miasto, że nawet małpy to przestępcy. I dlatego trzeba je trzymać za kratkami.

Piosenka *Monkey Man* zaczyna się od dźwięków klawiszy, a kończy się głosami dżungli. W części finałowej gitara przypomina przelatujące nad głowami kule, a Mick Jagger

nie jest już w stanie wydobyć z siebie żadnych artykułowanych dźwięków. Zamiast nich słycać jakiś skowyt żądy, nie ma już nic, tylko wrzaski i krzyki. To był najświetniejszy moment jego kariery. Kiedy w końcu Mick się poddaje, pozwala słabnącemu chaosowi dźwięków wziąć górę pod koniec piosenki, można niemal wyczuć, jak leci po drabinie ewolucji, spadając o jakieś dwa szczebelki w dół. Przestrzeń wokół mnie faluje i się huśta, jednak w mojej głowie sens tej piosenki staje się całkowicie jasny. Tak intensywnego przeżycia nie da się upozorować. Mick sięga tu do samego dna swojego jestestwa. I muszę zadać sobie szalenie ważne pytanie. Co takiego jest w stanie nawet z Micka zrobić małpę? Nie narkotyki. Facet był czysty. To było coś znacznie bardziej niebezpiecznego. A jeśli to coś przemieniło Micka w małpę, to może też w nią przemienić każdego z nas.

Koneser nic nie mówi, tylko kiwa głową, patrząc na scenę.

Dopiero kiedy zaczyna się następny kawałek, przypomina mi się, dlaczego *Monkey Man* niesie ze sobą taki ładunek przerażenia. Ponieważ każdy, kto kiedykolwiek słuchał płyty „Lei U Bleed” wie, co jest dalej. Dzikie wrzaski ustępują nagle boleśnie pięknym dźwiękom. Najpierw oszłamiający, pozorowany atak, teraz prawdziwy cios. Tymimi swoimi małpimi wrzaskami nieokiełznanej żądy Mick tylko nas sobie ustawiał. Dlaczego Stonesi postanowili zakończyć tę płytę akurat tymi dwiema piosenkami, w tej akurat kolejności? Próbowali nam przez to coś powiedzieć.

Chórek dziecięcy. Struny gitary akustycznej. A Mick jeszcze raz zaczyna nam opowiadać o dziewczynie, którą zobaczył. Dzisiaj. Na przyjęciu.

Przez twarz Konesera przemknęła dziwna chmura. W życiu nie widziałem dotąd u niego takiego wyrazu twarzy. Jakby nagle pozbawiono go całej pewności siebie.

- Koneser? - mówię do niego. - Koneser!

- Ta dziewczyna - mówi on. - Ona jest... - głos mu słabnie, choć dalej próbuje on wyartykułować jakiś ciąg spółgłosek.

- Koszmarna? - podpowiadam.

Ta uwaga zdaje się jeszcze bardziej go rozwścieczać. Patrzy na mnie nienawistnym wzrokiem. Po czym pochyla się w moją stronę i kładzie mi dłoń na ramieniu, żeby mieć pewność, że słucham go uważnie.

- Ona wygląda jak Allison.

Mick mówi tak: „Nie możesz zawsze dostawać tego, czego chcesz”.

- Ta piosenka. Ten pieprzony kelner - mówi Koneser. Próbuje przywołać kolesia z rogu, w którym tamten stoi, ale on zdaje się z pogardliwym uśmiechem wpatrywać w punkt jakieś trzy metry nad naszymi głowami.

Allison to dziewczyna, o której Koneser nie wspomina, kiedy jest trzeźwy. Kiedyś, dawno temu ze sobą chodzili, kiedy Koneser mieszkał jeszcze w Bostonie. Z tego, co mi mówił, w ich związku nie było nic oprócz gorzkich kłótni i niesamowitego seksu. Ona go zdradzała, on zdradzał ją, wzajemne uwagi podkreślane były rzucaniem przedmiotami, różnice zdań trzeba było sobie ponownie wyjaśniać w obecności zmęczonych stróżów prawa o czwartej nad ranem. Rozstawali się, potem znowu się schodzili, potem znów rozstawali. Nigdy jej osobiście nie poznałem, chociaż oczywiście widziałem jej rozbierane zdjęcia, które Koneser wszystkim pokazuje. Kiedy o niej opowiada, słucham uważnie, próbując złożyć to wszystko w jedną całość, dzieje się to jednak zazwyczaj w chwilach, kiedy mój umysł nic pracuje najlepiej. „Cały problem z Allison to to, że...”. „Allison mnie rzuciła tylko dlatego, że...”. „Może powinienem jednak spróbować jakoś zadziałać z Allison”. „Ta popieprzona suka Allison”. Jak na dziewczynę, której nienawidzi, Koneser ma o niej całkiem sporo do powiedzenia.

- Daj spokój - mówię. - Nie zachowuj się w ten sposób. Koneser! Proszę cię, żebyś nic zachowywał się w ten sposób.

- To nie jest w porządku - mówi Koneser. - Jasna cholera! Dlaczego nie możemy dostać paru panienek do wyruchania? To nie tak to wszystko powinno wyglądać.

- No wiesz - mówię. - Mam randkę w następny weekend. Wiesz, ta dziewczyna, Licsl? Ona chyba coraz bardziej mi się podoba, no i...

- Ale mi chodzi o tu i teraz - mówi Koneser. - Pozwól, że cię o coś spytam: czy kiedykolwiek posuwałeś kurwę?

Kiedy się rozmawia z Koneserem, człowiek musi odpowiadać na bardzo dziwne pytania.

- Nie - mówię, z pewnym zażenowaniem. To zażenowanie też mnie nieco żenuje. Wstydzę się, ponieważ nigdy nie spałem z prostytutką? - Nie mam ochoty złapać jakiegoś paskudztwa. No i w ogóle.

- To idiotyczne - protestuje Koneser. - Ja mówię o kurwach, którym się płaci tysiąc baksów za noc. A wiesz przecież, że zapłacę za ciebie. Ponieważ gównu mnie to wszystko obchodzi. Te dziewczyny zrobią dla nas wszystko, co tylko zechcemy.

Ach tak? Ciekawe, czy będą leż chciały dla mnie kłamać? Ponieważ nie mam zamiaru wybierać się tam, gdzie już przede mną było tysiąc innych facetów. Nie, żeby nic ufał tym dziewczynom. Ale facetom na pewno.

- Prawdziwi mężczyźni nie mogą się obejść bez cipek - mówi Koneser.

- Dobrze - mówię. - Zamów sobie jedną.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu. Po czym Koneser nagle wali butelką w stół. Z całej siły. Z butelki zaczyna uciekać piana. Bramkarze zwracają się w naszą stronę. To już ta część wieczoru, kiedy każdy, kto ma jakąś broń, zdaje się prowokować kłopoty.

- A niech lo wszyscy DIABLI! - krzyczy Koneser. - BÓG JEST PEDALEM!

Zaraz, zaraz, to chyba nie on zerwał się właśnie na równe nogi i wymachuje spazmatycznie rękami? Przecież nie dyryguje on tu chyba muzyką? I to nie on chyba toczy się właśnie w kierunku sceny? To nie on próbuje jakoś - ups! - wspiąć się po schodkach na górę. To przecież nie może być jego ciało chwiejące się tam, zaraz obok Squeaky/Allison? To nie on napręży ramiona i łapie ją w talii? Jestem raczej przekonany, że nie powinno się takich rzeczy robić w klubie na scenie, i naprawdę chciałbym mu pomóc uniknąć kłopotów, ale jeszcze bardziej chcę zobaczyć, co się dalej wydarzy.

Squeaky, z zadziwiającym uporem nie wypadając z roli, wydaje z siebie ciche mysie piski. Faceci z obsługi zaczynają między sobą gorączkowo szeptać i drapią się po dupach, opracowując plan. Kiedy w końcu zbierają drużynę, wszystko idzie już sprawnie. Sześciu facetów rzuca się na Konesera, który tłumaczy dziewczynie, że musi ona natychmiast koniecznie iść z nim teraz do domu.

- Szanowny panie - mówi spocony menedżer klubu, próbując mu się przy pochlebić, ale zarazem się go pozbyć - jako że jest pan naszym honorowym gościem, chcielibyśmy panu zaoferować gratisowo nasz luksusowy transport powrotny, z podziękowaniami za spędzony u nas czas.

Bramkarze zajmują się Koneserem z pełnym profesjonalizmem. Tylko dwa stopnie dzielą scenę od podłogi, jednak Koneserowi jakoś nogi się płaczą, tak że chyba / pięć razy traci pod nimi grunt. Z jakiegoś powodu mnie też biorą we władanie jakieś ręce i choć nie wkładam w to żadnej energii lokomocyjnej, to jakoś również się przemieszczam w kierunku drzwi, zaraz za Koneserem.

Nasza limuzyna zapala silnik. Wlewamy się do środka i jedziemy do mieszkania Konesera. Koneser wyciąga z lodówki jeszcze jedną butelkę szampana.

- Chcesz się napić? - pyta.

- Może jednak nie - mówię niepewnie, z nadzieją, że moja odpowiedź uzyska jego akceptację.

- Ale z ciebie cipa.

I sam bohaterko żiopie tego szampana, prosto z gwinta. Po czym odnajduje sprzęt grający i włącza Elvisa Costello, nastawiając go tak głośno, że jeśli są teraz akurat w Queens jacyś jego fani, to mogą go sobie spokojnie posłuchać. Słuchając muzyki, potrząsa spazmatycznie głową i zalewa sobie spodnie szampanem, choć tego nie zauważa. Kiedy w końcu podjeżdżamy pod jego mieszkanie, nie wysiada z samochodu.

- Czy to wszystko na dzisiaj, proszę pana? - pyta kierowca.

- Taa - mówi Koneser. - Ale proszę jeszcze chwilę zaczekać.

I siedzimy w limuzynie jeszcze jakieś trzy minuty, słuchając, jak o jej szyby rozbijają się dźwięki piosenki *Allison*. Po czym Koneser kładzie mi rękę na dłoni. A drugą na ramieniu - i przyciąga mnie blisko do siebie.

- Naprawdę cię kocham - mówi mi do ucha. - Wiesz o tym? Dlatego bo ty umiesz słuchać.

Jakoś nie miałem specjalnej ochoty akurat tego dzisiaj usłyszeć.

- Dziś wieczór zobaczyłem nieco inny wariant ciebie - mówię.

- Ależ skąd - mówi Koneser. - Po drugiej stronie mnie jest już tylko chaos.

Reszta wieczoru upływa nam w miarę nieszkodliwie w mieszkaniu Konesera. Koneser na kanapie. Koneser spada z kanapy. Stolik do kawy się przewraca. Jakieś rzeczy rozbijają się o podłogę. Na przykład moja wielka szklanka wody mającej powstrzymać kaca. Jeszcze większa szklanka jagermeistera, którego pije Koneser. Zastanawiam się - jak to możliwe, żeby spaść z kanapy? Koneser zawzięcie szuka czegoś w swoim spisie telefonów, Koneser mówi: „Mógłbym mieć tu dzisiaj całe talerze - talerze! - kokainy”. Patrzę

na zegarek - jest 4.40 rano. Zastanawiam się - czy mogę już teraz poczołgać się w stronę swojego łóżka? Koneser rezygnuje ze znalezienia tego numeru, rzuca swój wizytownik w powietrze i składa głowę na podłodze, pozwalając, żeby zasypała ją chmura białych karteczek. Pewnie planuje następny atak furii. Zastanawiam się, czy nie należy jak najszybciej uciekać.

Kiedy jednak zmierzam już w stronę drzwi, słyszę gardłowy dźwięk.

- Koneser? - mówię zaniepokojony.

Jest nieprzytomny. Ale jego krawat jest zaczepiony o oparcie kanapy. Być może było to chrapanie, a może się właśnie dusi. Przez moją głowę przelatuje potencjalny nagłówek: „PISMAK PORZUCA SKONANEGO PRZYJACIELA W ŚMIERTELNEJ PUŁAPCE PIJAŃSTWA”.

Podchodzę cichutko do Konesera i zdejmuję mu krawat. Jego głowa przechyla się w bok, pociągając za sobą resztę ciała, które przybiera na podłodze dziwną pozycję szmacianej lalki. Kładę mu poduszkę pod głowę i idę na palcach w stronę szafy, żeby odwiesić tam krawat. W sypialni zapalam światło - obok włącznika wisi ręcznie rzeźbiony drewniany szyld z napisem „MI CASA ES MI CASA”, Choć światło zdaje się przepalać mi gałki oczne, wpatruję się w rozbudowaną wieżę stereo, jaką ma on też u siebie w sypialni. Obok niej leży stosik płyt CD, na wierzchu album „Desire” Dylana. *One More Cup of Coffee, Hurricane, Sara*. To płyta, którą Dylan stworzył, pisząc o miłości swojego życia, dziewczynie, dla której powstał też cały album „Blood on the Tracks”. Dziewczynie, z którą pomimo bogactwa, sławy i geniuszu artystycznego jednak mu się nie udało.

Koneser ma w sypialni staromodną orzechową komodę. Otwieram jej drzwiczki i moim oczom ukazuje się oszałamiający widok. Do korkowej tablicy umieszczonej po wewnętrznej stronie drzwiczek poprzyczepiane jest szaleństwo kolorów - jedwab, bawełna, koronki. To Wielka Ściana

Majteczek. Całkiem pokaźna liczba. Nie mogę się powstrzymać i wyjmuję jedną z pinezek, które przytrzymują parę czarnych, ozdobnych majteczek, takich, jakie noszą super-modelki na zdjęciach w magazynie „Randy”. Muszę to wiedzieć. Więc jak jakiś zboczeniec dyskretnie je wążam. Tak jest - kiedyś miała je na sobie jakaś panna. Pozostałe okazy również wyglądają na używane. Są tam nowiusieńkie strin-gi, są też siepiące się i wyblakłe majtki sportowe. Ciekawe, od jak dawna on je kolekcjonuje i czy chowa je potajemnie, kiedy dziewczyny nic patrzą, czy raczej stawia sprawę jasno i mówi im, że jeśli chcą zostać na noc, to muszą oddać fanta? Prawdopodobnie to drugie. Do diabła, przecież w klubie Hogs and Heifers wszystkie panny zdejmują staniki, no nie? Nawet Julia Roberts kiedyś to zrobiła. 75B.

Nagle czuję się bardzo zmęczony. Życiową rolą Konesera jest przecież odgrywanie lidera w wielkiej paradzie wijących się zmysłowo nagich piękności, które normalnie możesz sobie pooglądać, tylko jeśli opłacisz abonament za kanał erotyczny. Ale nawet jemu czegoś brakuje. I to może właśnie tego, co najważniejsze. Dylan był jeszcze lepiej ustawiony niż Koneser, ale też nie dostał tego, co chciał. Jakie więc ja mam szanse z Julią? Lepiej spróbuj szczęścia gdzie indziej, bratku. Przegrałeś. Czas przejść do następnego stolika.

Wracam do salonu i tym razem sięgam poprzez przewrócony stolik, żeby wyłączyć lampę. Znajduję obok niej kieszonkowe wydanie *Słońce też wschodzi*, które wygląda tak, jakby je ktoś już ze sto razy przekartkował. Podnoszę książkę, przejeżdżam palcem po popękany grzbiecie.

- Poczytaj mi trochę - mówi chrypliwie Koneser zza szczelnie zamkniętych powiek.

- Co? - pytam. Czy on mówi przez sen? Zaczyna mnie ogarniać lala trzeźwości, albo raczej pomału odpływa fala pijaństwa, tak jak niebo najpierw robi się coraz mniej ciemne, zanim zaczyna się rozjaśniać.

- Czytaj - mówi Koneser.

- *Słońce też wschodzi?* - pytam.

- Tylko stronę czterdziestą drugą - mówi on. - Proszę. Rozlega się donośne pierdnięcie i Koneser przewraca się

na drugi bok. Otwieram książkę na stronic czterdziestej drugiej - prawie cała jest popodkreślana. Na marginesie jest też pełno gwiazdek i wykrzykników.

- Czytasz? - pyta Koneser, tym razem błagalnie. Więc odczytuję mu te słowa: „Pocałowaliśmy się na pożegnanie i Brett zadrżała.

- Już lepiej pójdę - powiedziała. - Dobranoc, kochanie.

- Nie musisz iść.

- Muszę,

Pocałowaliśmy się jeszcze raz na schodach, po czym zawołałem na *concierge*, żeby otworzyła bramę, Mruknęła coś zza drzwi swego pokoju. Wróciłem na górę i przez otwarte okno patrzyłem, jak Brett idzie ulicą do wielkiej limuzyny, która czekała przy krawężniku pod latarnią. Wsiadła i samochód ruszył. Odwróciłem się. Na stole stała pusta szklanka i druga do połowy napełniona brandy z wodą sodową. Zaniósłem je obie do kuchni i wylałem brandy do zlewu. Przykręciłem gaz w jadalni, siadłem na łóżku, zrzuciłem nocne pantofle i położyłem się. To z powodu Brett zebrało mi się niedawno na płacz. Potem przypomniałem sobie, jak przed chwilą szła ulicą i wsiadała do samochodu, i oczywiście zaraz poczułem się znowu strasznie. Ogromnie łatwo jest być twardym za dnia, ale w nocy to zupełnie inna sprawa"*.

Koneser nic nie mówi, więc odkładam książkę i wyłączam światło. Kiedy kieruję się już do drzwi, Koneser wydaje jakiś cichutki, zaspany dźwięk. Nie jestem pewien, czy zostało w nim jeszcze choć trochę ludzkiego języka.

*Tłum. **Bronisław Zieliński. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1990, s. 14-i5.**

- Koneser? - szepczę.

A on odchrząkuje z gardła jakieś paskudztwo, robiąc przy tym tyle hałasu, że niemal pękają mi bębunki.

- Jesteś moim jedynym przyjacielem - mówi, Zamykam za sobą drzwi i wychodzę na zewnątrz. Po drodze do domu myślę sobie: „Chyba starczy mi koszmarów na to jedno lato. Dobrze, że idzie jesień. We wtorek wychodzi nowa płyta Dylana”.

Wtorek, 11 września

Poprosiłem o zwolnienie z obowiązku zasiadania na ławie przysięgłych. Mam jednak w kieszeni zieloną karteczkę, tyle razy poskładaną, że już niemal się rozpada. W małym kwadraciku wpisany jest maszynowo znak X. Obok zaś wydrukowany napis. „W PRZESZŁOŚCI ZWALNIANY OSIEM (8) RAZY”.

Przed dziewiątą kupuję sobie śniadanie w McDonalddie na rogu Broadwayu i Osiemdziesiątej Drugiej Ulicy, kiedy w radiu mówią, że w centrum miał miejsce jakiś przerażający wypadek.

- Mały samolot pasażerski właśnie się rozbił o jedną z wież World Trade Center.

Moja pierwsza myśl to: „I tak będę w tej okolicy, bo mam tam być w sądzie. Więc wszystko zobaczę. Ale fajnie!”.

Kiedy wysiadam z metra już w centrum, jest wpół do dziesiątej. Kiedy wychodzę ze stacji Chambers Street, widzę obie wieże w gigantycznych kłębach czarnego dymu. Sytuacja zdaje się wymykać spod kontroli. Dlaczego obie wieże są uszkodzone?

Na rogu ulic zebrały się setki ludzi, którzy obserwują to wszystko w milczeniu. Biura się wyludniają. Wszyscy wychodzą na ulicę, ludzie stoją ramię w ramię, codzienny pośpiech ludzi pracy ustąpił miejsca zastojowi. Najdziwniejsze jest to, że nie słychać żadnych odgłosów. Ani ruchu ulicznego, ani zwykłej wrzawy. Ludzie szepczą do swoich komórek. Na coś czekają.

Niebo jest bez jednej chmurki. Raz jakiś koleś rozwalił samolot B-52 o Empire State Building, ale to było w nocy, w gęstej mgle. Budynek wrócił do użytku po paru tygodniach.

Przez chwilę rozważam, jaki powinien być mój następny ruch. Do biegu? Gotów? Pochwal się!

Wybieram na komórce numer Bran,

- Jestem przy WTC - mówię z dumą. Tropiciele newsów uwielbiają wytwarzać wokół siebie aurę ważności (która tylko trochę tłumi unoszący się czasem wokół nas śwadek). Wydaje nam się, że bliskość doniosłych wydarzeń dodaje doniosłości naszym własnym osobom. Sądzymy, że jesteśmy lwami, podczas gdy tak naprawdę tylko sprzątamy klatki.

- Przy WTC? - woła Bran. - Co ty tam robisz? Uciekaj stamtąd zaraz!

- Co? - mówię. - Nie no, tu jest całkiem fajnie.

- Ale to wcale nie wszystko! - krzyczy Bran. - Pentagon już też się pali!

- Pentagon się pali? - powtarzam po niej, pomалу przyswajając sobie tę informację. W automacie mojego umysłu moneta z brzękiem wpada do swojej przegródki, a mnie pomалу zaczyna coś świtać.

Stojący obok mnie facet o azjatyckich rysach pyta:

- Czy mówił pan, że Pentagon się pali?

- Tak - odpowiadam aroganckim tonem. Zawsze wszystko wiem pierwszy. Jestem w końcu z mediów.

A do Bran mówię:

- AJe to nie zamach terrorystyczny. To wypadek, co nie?

- Porwane samoloty! - krzyczy Bran. Samoloty, liczba mnoga. Porwane. No ładnie.

- Aha - mówię.

Rozłączam się i ruszam w dalszą drogę. Muszę się dostać do Centrę Street, żeby się stawić na rozprawie. Wchodzę do budynku sądu, rozpinając plecak, żeby z niego wydostać notes, w którym zapisałem sobie numer sali. Czy to aby na

pewno to miejsce? Obserwuje mnie jakiś gość z naramiennikami i dużą ilością naszywek.

- Mam zasiadać na ławie przysięgłych... - informuję go niepewnie.

On zaś zaczyna machać rękami.

- Odwoła...

Nie słyszę jednak ostatniej sylaby. Zamiast niej słyszę potężny pomruk tłumu zebranego na chodniku. Pędzę na zewnątrz. Podnoszę wzrok, żeby zobaczyć, na co wszyscy patrzą. Widzę jednak tylko kłęby pyłu.

- Co się stało? - pytam.

- Wieża się właśnie zawaliła - mówi mi łysy koleś w garniturze.

Na miejscu, gdzie przez ostatnie trzydzieści lat stała południowa wieża World Trade Center, teraz wznosi się wysoka na 110 pięter kolumna brunatnego dymu.

Ja chcę do mamy.

Dzwonię do niej z komórki, idąc najpierw na północ, potem na zachód, próbując złapać zasięg. Ludzie biegną truchtem po ulicach, coraz to oglądając się za siebie. Gliny i ochroniarze drą się: „Opuszczyć teren, opuścić teren”. Niektórzy przechodnie głośno płaczą. Większość jednak patrzy tylko w ziemię i idzie przed siebie w kompletnej, nieopisanej ciszy. Ulice zapełniają się przechodniami. Jadące nimi samochody albo zniknęły, albo zostały zaparkowane. Gliniarze stawiają na skrzyżowaniach niebieskie zapory. „Opuszczyć teren, opuścić teren” - powtarzają. „Oddalić się od budynków. Oddalić się od budynków”. A ludzie patrzą na rząd przysadzistych, neoklasycywnych budynków sądu, od których zawsze wiało rządową nudą, i widzą w nich nagle potencjalne zagrożenie swojego życia. Ochroniarze i prawnicy razem zmykają co sił w nogach. Wszyscy próbują jak szaleni dzwonić ze swoich komórek albo ustawiają się w kolejkach do ulicznych automatów. Przy pierwszej budce telefonicznej, jaką widzę, sterczy czterdzieści osób. Wszyscy

stoją cierpliwie. Nikt nie patrzy na zegarek, nie przestępuje z nogi na nogę, nie krzyczy „Pospiesz się!”. Idę dalej, kątem oka wciąż obserwuję jednak drugą wieżę. Zastanawiam się, czy... ale nie. To, co się przed chwilą stało, przecież nie może się powtórzyć.

I wówczas się to dzieje. W spowolnionym tempie. Jak winda zjeżdżająca w dół, tyle że w tym wypadku kolejne piętra po prostu przestają istnieć. Piętro po piętrze zamienia się w nicość. Wszystkie 110 po kolei. Gdzie przed chwilą wznosiła się konstrukcja ze szkła i stali - teraz jest tylko dym i drobiny pyłu.

Kiedy wszystko się zawala, cyklon pełen brunatnego dymu i pyłu z rumowiska rusza Zachodnim Broadwayem w kierunku miejsca, w którym się znajduję. Stoję o jakieś dziesięć przecznic na północ od wież WTC. Może powinniśmy...

- Uciekać! - wrzeszczy gлина. - Uciekać! Jeśli widzicie, że ja biegnę, to znaczy, że wy też macie biec, słyszycie?

Gliniarze łapią się za ręce jak przedszkolaki i w parach rzucają się do ucieczki. Są wśród nich kobiety, które płaczą. Ale są też płaczący faceci.

Wszyscy biegniemy Broadwayem, ale goniące nas tornado zaczyna się krztusić i prychać i w końcu zaczyna mu brakować gazu. Nie dosięgnie nas. Rozlega się jednak jakiś inny hałas. Tym razem to nasi. Niebo spektakularnie przecina samolot F-15.

Na środku ulicy stoją zaparkowane samochody. W ciszy słychać jedynie ich włączone radia. Ludzie zbierają się wokół samochodów i słuchają wiadomości. Z jednego samochodu dobiegają jednak dźwięki muzyki, a nie wiadomości. Gra zespół Train.

Powiedz, czy żeglowałaś przez Słońce

Czy dotarłaś na Drogę Mleczną, zobaczyć świat z tamtej strony

Manhattan jest przereklamowany

To miasto nigdy nie było takie ciche. Nie mogę w to uwierzyć. Czy to ci sami kolesie, którzy w roku 1993 próbowali wysadzić w powietrze te same budynki, parkując w ich podziemnym garażu-fortecy z betonu wypożyczoną furgonetkę pełną jakiegoś wybuchowego gówna, po czym zostali szybciutko złapani, kiedy poszli z powrotem do miejsca, skąd wypożyczyli tę furgonetkę, żeby odzyskać swój depozyt?

Muszę się dodzwonić do redakcji. Po pół godziny czekania w kolejce przed budką w końcu udaje mi się pogadać z Maksem, który każe mi natychmiast wracać do redakcji. Autobusy są niewiarygodnie zapchane, a metro nie jeździ, pozostaje mi więc poczłapać pieszo Siódmą Aleją. To, co widzę przed katolickim centrum medycznym, jest niemal tak zadziwiające, jak walące się przed chwilą wieże - tłum nowojorczyków, czekających cierpliwie w kolejce do oddania krwi. Wygląda to jak kolejka na popularny film w kinie Ziegfeld, tyle że jakieś dwadzieścia razy większa. I nikt nie biadoli ani się nie burzy. Wszyscy są opanowani, zdeterminowani.

Spacer do redakcji zajmuje mi godzinę. Na ulicach jest cicho jak w niedzielny poranek. Na sali działu miejskiego jedynym dźwiękiem jest ryczące CNN. Ludzie stoją przed rzędem siedmiu telewizorów i oglądają ogniste kule. Nikt się nie sili na błyskotliwe komentarze.

Za moimi plecami wyrasta Ropuch, bez wezwania stawiając się na stanowisku o sześć godzin wcześniej niż zwykle.

Maks klepie go w ramię i obejmuje go w dziwacznym, męskim płuścisku. Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek wcześniej widziałem, żeby Maks dotykał jakiejś istoty ludzkiej w sposób niewyrażający agresji.

- Irv - mówi Maks. - Nie mamy jak dotąd żadnych wiadomości o Elim.

Od czasu do czasu spotyka nas kara za drażnienie światowych bestii, wtykanie im kijków do klatek - któraś z nich

trzeplnie czasem błyskawicznie łapą i kogoś z nas trafi. Albo może raczej nagle zdajemy sobie sprawę, że żyjemy w klatce i przez cały czas deptaliśmy bestii po ogonie i sikaliśmy jej do kubła.

Prawie wszyscy są w terenie, przygotowują materiały z wydarzeń. Stoję pośród młodych asystentów z Maksem, Irvem i jeszcze paru przepisywaczami, wszyscy razem w milczeniu oglądamy telewizję, wszyscy jakoś zażenowani faktem, że pogoń za gorącą wiadomością może się całkiem przypadkowo zakończyć męczeńską śmiercią, że sala redakcji, w której zwykle da się wyczuć co najwyżej lekki zapach spoconych stóp, może nagle przepełnić się smrodem poniesionej ofiary.

- A Rollo? - pyta Irv.

- Był u Langana, kiedy to się zaczęło - mówi Maks.

- Wiedział więc wszystko od razu. Poszedł zaraz na miejsce ze swoim kompanem gliną.

- Czy wszystko u niego w porządku? - pyta Irv.

- Było w porządku, kiedy się to wszystko zawaliło - mówi Maks.

- Uciekał razem z glinami. Mówi, że upadł i skręcił sobie stopę.

- Mam nadzieję, że nie tę, którą pisze - mówi Irv.

- Tak więc kiedy wróci, to napisze nam całą kolumnę

- mówi Maks. - Posłałeś mu sygnał na pagera? - pyta Hymana Katza.

- Jakieś sto sześć razy - mówi Hyman Katz.

- To zrób to jeszcze raz - mówi Maks.

Hoff z działu przepisywaczy podkrada się i trąca Maksa łokciem.

- Ej, szefie. Czy to oznacza, że należy nam się pizza?

Czasem podczas większych tragedii narodowych w redakcji pojawiają się sterty pudełek pizzy - taka łapówka dla pismaków.

- Hyman Katz - mówi Maks. - Zadzwoń do Patsy's i zamów ze sześć zapiekank.

Owacje zdawałyby się w tej chwili raczej nie na miejscu, wszyscy jednak wyglądają na uradowanych.

Maks, wytrącony nagle ze stanu melancholii, zaczyna rzucać na wszystkie strony dyspozycje.

- Hoff, opiszesz wydarzenia w WTC, w Waszyngtonie i reakcje rodzin. Rita, reakcje międzynarodowe, lotniska. Federalny Zarząd Lotnictwa, wydarzenia w Pensylwanii. Burkey, analiza, kto za tym stoi, wydzwięk polityczny, co Bush z tym zrobi. Kto nam został?

- Ja mógłbym się dołączyć - mówię.

- Tom - mówi Maks. - Skończyłeś swoją robotę? Kiwam głową.

- Dobra. To zrób chronologię. Całego dnia.

Idę do swojego biurka i zaczynam sprawdzać wiadomości, wyciągając z nich dokładne godziny zdarzeń, żeby zrobić zestawienie wszystkiego minuta po minucie. Jak za starych dobrych lat.

W moją stronę kuśtyka Ropuch.

- Eli wciąż nie daje znaku życia - mówi.

- Wiem.

- Ktoś będzie musiał, ee...

- Będzie musiał?

- Być przygotowany - mówi Ropuch. - Zebrać wycinki.

- O Elim? - pytam.

- No wiesz - mówi on.

- Mam zacząć dzwonić, czy...

- Nie - mówi Ropuch. - Jeszcze nie.

- Jakiej to ma być, no... długości?

- Ramka przy artykule - mówi Ropuch.

- Ramka? Dwudziestka? I tyle?

Patrzę na niego z wyrzutem, ale on tylko kręci głową i mówi:

- Wiem, wiem.

Po czym odchodzi w stronę Wielkiego Biurka, kuśtykając jak Quasimodo.

Dwadzieścia centymetrów. Ramka z boku strony. W normalnych warunkach reporter „Brukowca”, który by zginął na służbie, miałby u nas zagwarantowaną pierwszą stronę, zresztą pewnie we wszystkich pozostałych nowojorskich gazetach także.

Dzwonię więc do biblioteki i ściagam te wycinki. Nieraz już pisałem klepsydry. Pisałem je już nawet dla osób, które wcale nie umarły, tak na wszelki wypadek. („Klepsydra nigdy się nie zmarnuje” - lubi mawiać Ropuch). Od pięciu lat mam gotową klepsydrę dla Boba Hope'a, któremu chyba ani śni się umierać*.

Nigdy jeszcze nie pisałem klepsydry dla kogoś znajomego. No a zwykle kiedy się pisze klepsydrę, trzeba podzwonić trochę po ludziach. To jedno z najbardziej ponurych dziennikarskich zadań - trzeba zadzwonić do mamy zmarłego, jego kuzynów, sąsiadów, współpracowników i wytłumaczyć im bardzo dyplomatycznie, że się przygotowuje tekst o ich bliskim i prosi ich o kilka słów. Nie mówi się „klepsydra”. Mówi się „artykuł w hołdzie zmarłemu, aby go ludzie dobrze wspominali”. Czy nie zechcieliby zatem powiedzieć kilku słów o tym, co dla nich znaczyła ukochana osoba? Nigdy nie odmawiają. Pociągają nosem, z trudem łapią oddech, ale mówią.

Dostaję z biblioteki setki artykułów, jakie napisał Eli, całe lata jego pracy. Nie zapełniają one jednak nawet pudełka na buty, w którym mieści się piętnaście małych kopert pełnych postrzępionych wycinków z gazet. Co można powiedzieć o autorze takich klasycznych pozycji współczesnej prozy jak „STŁOCZENI PASAŻEROWIE PRZECIW PODWYŻKOM BILETÓW KOMUNIKACJI MIEJSKIEJ” czy „BURMISTRZ PRAGNIE KOMPROMISU W KWESTII EDUKACJI”? To wszystko na nic, jeśli chodzi o moje dzisiejsze zadanie. Nic ma żadnego wycinka, którego tytuł mówiłby: „ELI WYZNAJE UKRYTE

*Bob Hope (1903-2003) - znany amerykański aktor.

PRAGNIENIA, NAJWIĘKSZE RADOŚCI". Nagle zdaję sobie sprawę, że nie pamiętam, jak ma na imię jego siostra. Donna? Dina?

Męcę się z tym tekstem, kiedy nagle Ropuch wydziera się na całą salę, przyciskając słuchawkę telefonu do piersi.

- Tom! - krzyczy. - Dzwoni Eli, twierdzi, że wcale nie zginął. Ma wiadomości do przekazania.

- Daj go tutaj - mówię. I już dzwoni mój telefon.

- Tom? - mówi głos w słuchawce. - Jezu Chryste, pół dnia mi zajęło, zanim znalazłem tu jakiś działający telefon. Co tam napisałeś?

- Co? - pytam.

- No w tym swoim tekście. Przeczytaj mi to.

- „Pośród grozy wczorajszych wydarzeń, wielokrotnie nagradzany reporter «Brukowca», Eli Knecht, bohatercko poświęcił życie, zdając na żywo relacje z bieżących wydarzeń w World Trade Center. Nie udało mu się uciec przed katastrofą”.

- Ale żeś się zagalopował. Jaki tam „wielokrotnie nagradzany”? - protestuje Eli. - Kiedy to niby dostałem jakąś nagrodę?

- Bo co, ktoś mnie tu przyłapie i zaskarży, że napisałem coś zbyt pochlebnego?

- Mam mieć klepsydrę pełną kłamstw?

- A dlaczego miałyby się jakoś różnić od wszystkich innych tekstów, w których figurowało twoje nazwisko? Napisałem też, że miałeś dużego kutasa.

- A do tego nie zdawałem żadnych relacji - mówi Eli.

- Cholerne komórki nie chcą działać.

- Nikt cię nie nazwie kłamcą, jeśli już nie żyjesz - mówię.

- A tak możesz przecież dostać jakiegoś pośmiertnego Pulitzera. Pomyślałem sobie, że zrobię Dianę jakąś drobną przyjemność.

- Dianę? Debbie!

i znów powracam do świata przepisywaczy - z telefonem dziwnie doczepionym do ciała między ramieniem a uchem, wysłuchuję sprawozdania z terenu. I odkrywam, że wciąż jeszcze potrafię stukać w klawiaturę z prędkością szybko nadającego reportera. Ropuch siada bez słowa przy komputerze obok i przyłącza się do przepisywania. Zamiast jak przystało na twardziela trzymać telefon między uchem a ramieniem, założył sobie głupkowaty zestaw słuchawkowy, w którym wygląda jak panienka z infolinii. Pulchnymi palcami stukamy razem w klawisze, tworząc szalony akompaniament tego niezwykłego dnia.

- Pamiętasz, jaki stamtąd był widok? - pyta Ropuch.

- No.

- Widać było Statuę Wolności - ciągnie dalej. - I wszystkie mosty. W nocy wyglądały jak sznur paciorków.

- Wtedy sobie człowiek przypominał, dlaczego się przeprowadził do Nowego Jorku,

Koło siódmej kręcimy się wszyscy wokół Wielkiego Biurka i oglądamy CNN, kiedy pojawia się Eli. A zaraz za nim kuśtyka Rollo. Nasi wojownicy słowa, którzy cało i zdrowo wrócili z placu boju, skapani w chwale drukarskiego tuszu. Towarzystwo wita ich owacją. Na chwilę zostaliśmy uchwyceni w absolutnej szczerości uczuć.

- Parę dzbanków kawy - mówi Rollo. - Ale natychmiast. Stoimy wszyscy bez ruchu, oglądając się na siebie. Nikt nic nie mówi. Ktoś odkasłuje.

- Można im pogratulować - mówi Rollo, klapy jego grafitowego garnituru w prążki wyglądają na mocno wymięte. - Pierwsza runda. Złapali nas z opuszczonymi gaciami i dostaliśmy w dupę. W porządku. Rozwalcie nas. Koniec prologu. Kurtyna w górę. Akt pierwszy, scena pierwsza. Zaczyna się nasza historia. Cywilizacja przeciw dziczy. Ostateczna konfrontacja, dobro walczy ze złem, czas apokalipsy. Teraz nasza kolej. Damy im popalić. A jakie żniwo? Ile osób tym razem załatwili?

- Jakieś chyba dziesięć tysięcy - mówi Hyman Katz.
- A zatem zostały nam do zrobienia tylko dwie rzeczy
- mówi Rollo, wystawiając kolejno kciuk i palec wskazujący. -

Naładować broń i wymierzyć w cel.

Eli strząsa kurz ze swojej skórzanej kurtki. Patrzy na nas wszystkich, kręci głową jak ktoś, kogo przed chwilą spotkała osobista obraza, i mówi:

- Co za skurwysyny.

Wszyscy pracują jeszcze długo po jedenastej, kiedy to zamykamy pierwszą wersję gazety. Większość przepisywaczy idzie do domu o pierwszej, czyli po ostatecznym terminie zamknięcia wersji ostatniej, kiedy to odmeldowuje się Maks. Inne gazety mają dziś trochę opóźnienia, ale jeśli jest w nich cokolwiek, o czym my nic wiemy, zawsze możemy to ukraść i w ostatniej chwili zatrzymać proces druku, i nanieść zmiany do trzeciej rano. Nie ma tak naprawdę potrzeby, żeby ktoś oprócz Ropucha czekał tak długo, bo to on ma dyżur na nocnej zmianie. Jednak kilku lojalnych poddanych i tak się wciąż jeszcze kręci po redakcji, obracając w rękach odłamki naszej historii. Ktoś przyciszył dźwięk w rzędzie telewizorów, a asystent posadzony przy telefonie złożył głowę na biurku.

Nie zdawałem sobie sprawy, że Eli wciąż jest w redakcji, ale podchodzi do mnie na słówko.

- Jeśli miałbym sobie kogoś wybrać do napisania klepsydry - mówi - to wybrałbym ciebie.

- Tak?

- Hoff by nie umiał poprawnie napisać mojego nazwiska

- mówi Eli.

- Dzięki, Ignac,

- Dobranoc, Tatulku.

Środa, 12 września

A kiedy budzę się rano, przez głowę przelatują mi myśli: walące się budynki, śmiertelne wybuchy, ogień, zniszczenie, przerażenie.

A zaraz potem myślę sobie: „Fajnie. Przynajmniej nie myślę o niej”.

Muszę być w pracy dopiero o trzeciej po południu. Manhattan dzisiaj jest odcięty od świata, taka mroczna wersja komedii *Dzień bałwana*. W mojej dzielnicy wszyscy dzisiaj mają wolne. Nie słychać nawet zwykłych pomruków i warkotów ulicy - większość mostów i tuneli jest zamknięta. Zresztą i tak nikt tu nie chce przyjeżdżać. W końcu nastał ten dzień, kiedy zaczynam rozumieć, dlaczego niektórzy ludzie mieszkają w New Jersey. Na ulicach prawie nie ma taksówek - wielu taksówkarzy to muzułmanie. A prowadzenie w tym mieście taksówki nawet w zwykły dzień jest niebezpieczne.

Julia nie daje znaku życia. Chociaż na pewno jest bezpieczna - znajduje się przecież w kraju trzeciego świata, gdzie nie bardzo jest co wysadzać w powietrze. Ale w porządku. Nic ma żadnego powodu, dla którego miałyby do mnie dzwonić. Przecież nie było żadnego powodu, żebym akurat wtedy był w centrum. Dzwonię do Licsl. Nie odpowiada. Dziwne. Wczoraj też nie mogłem się do niej dodzwonić. To zadzwonię do Bran. Może jej powiem, że cały czas o niej myślałem, kiedy działo się to wszystko. Ale czy myślałem? No, tak jakby. To znaczy, przecież, sam fakt, że teraz

myślę, żeby jej powiedzieć, że o niej myślałem, też się chyba liczy? Dzwonię do niej na komórkę,

- Bran - mówię.

- Nie mogę teraz rozmawiać - mówi Bran. - Jestem w Bostonie,

- Ale w Bostonie chyba ludzie też rozmawiają - mówię.

- Czy ty w ogóle nie wiesz, co się dzieje? Zbieram tu materiał.

Boston - to stąd wystartowały te dwa samoloty. O rany, ale ze mnie idiota.

- Na lotnisku? - pytam.

- Tak! - mówi Bran. - Słuchaj, muszę lecieć, okej? No i leci.

Dzwonię więc do Katie. Jeśli pozwolą na to okoliczności, mógłbym na niej wypróbować przemowę przygotowaną dla Bran.

- Wszystko u ciebie w porządku? - pyta Katie autentycznie zaniepokojonym głosem.

- Tak - mówię. - Myślałem o tobie.

- Ja też - mówi Katie.

- Byłaś w pobliżu? - pytam.

- Proszę cię. Byłam trzy przecznice dalej. Przecież wiesz, gdzie mam wykłady.

- I co, wasz budynek coś ucierpiał?

- Nie da się do niego dotrzeć - mówi Katie. - I co ja teraz zrobię?

- Będziesz miała trochę wolnego - mówię. - Powinnaś jakoś to wykorzystać.

- Chcę wracać na zajęcia - mówi ona.

- Myślałem, że nie znosisz tych zajęć.

- Bo ich nie znoszę. I dlatego właśnie chcę je jak najszybciej skończyć.

- To co dzisiaj robisz? - pytam.

- Muszę popracować nad esejem. Mani go oddać w przyszłym tygodniu.

- A już myślałem, że w takich momentach ludzie zajmują się czymś innym niż tylko obsesyjną pracą - mówię.

- To nie obsesja - mówi Katie. - Chcę tylko nadrobić zaległości.

Wzdycham. Czy wszyscy w Nowym Jorku myślą w ten sposób? Wielki atak terrorystyczny = jedyna w życiu szansa nadgonienia trochę swoich spraw?

Dołączam do powolnej rzeszy ludzi poszukujących na Broadwayu gazet. Zła wiadomość - nie sposób przeczytać złych wiadomości, bo wszystko jest wykupione. Każdy chce mieć wydrukowane potwierdzenie tego absurdalnie hollywoodzkiego obrazu, który widzieliśmy wczoraj. Na każdym kiosku wywieszona jest kartka z odręcznym napisem „BRAK” i tytułami chyba wszystkich gazet. Nawet „Wiadomości Amsterdamskich”. Ludzie mówią „proszę”, „dziękuję” i „miłego dnia” do arabskich sprzedawców. Wszyscy myślą sobie „Biedacy. Przecież to nie ich wina. Żeby tylko nie mieli z tego powodu kłopotów”.

Sprawdzam kilkanaście kiosków, mają jednak tylko kolorowe czasopisma, których okładki zdają się teraz tak na czasie jak dorożki. Po drodze do domu widzę kierującą się na północ niebieską furgonetkę dostawczą „Timesa”. Na rogu ulic stoi świeżo napełniony automat z gazetami. Wielki nagłówek na pierwszej stronie krzyczy „ATAK NA USA”. Wydarzenia przerosły o głowę dziennikarskie próby kreowania sensacji. Wrzucam do automatu trzy ćwierćdolarówki.

Mike zaprasza mnie na lunch i wspólne biadolenie. Jem kanapki, oglądając CNN. Z łazienki dochodzą dziwaczne bulgoczące dźwięki. Nie wydaje ich dziecko, tylko matka.

- Tliiii! Tliiii! - to Karin zanurza dziecko w kąpieli.

- Świat dzisiaj nie jest już ten sam, co wczoraj, co? - mówi Mike.

- Czasem ma się wrażenie, że już nikt nas nic lubi.

- Jak mieszkasz w Nowym Jorku - mówię - to musisz polubić fakt, że wciąż masz złamane serce.

Wraca Karin, niosąc owinięte w tysiące pledzików dziecko.

- Tusi, tusi! Ooo, ple-ple-ple!

To dziecko na pewno będzie się znakomicie rozwijać. W wieku czternastu miesięcy będzie już potrafiło płynnie bełkotać.

- Chociaż z drugiej strony jest to chyba leż jakiś komplement, no nie? - mówi Mike. - To nas najbardziej nienawidzą. Tak jak kiedy dzwoni do ciebie w środku nocy była dziewczyna, tylko po to, żeby zaraz rzucić słuchawką. Doprowadza cię to do szału, ale potem wszystkim się tym chwalisz.

- No tak - mówię. - Jesteśmy najlepsi. Karin ma w tej kwestii inne zdanie.

- Szuuu, szuuu, szuuuuu. A-tak-a-tak-a-tak. Pici-pici. Kuci? Kuci?

Ta kobieta ma dyplom MBA. Wystarczy jednak, że urodziła jedno dziecko i bełkocze jak Jar Jar Binks z *Gwiezdnych wojen*.

- A właśnie, przypomniałeś mi. Dostałem e-mail od Niny.

- Naprawdę?

Nina była dziewczyną Mike'a na studiach. Byli ze sobą przez całe cztery lata, bez przerwy. Koleś miał dodatkową specjalizację z uciech miłosnych. Czasem dołączali do nas ni stąd, ni zowąd z uśmiezkami wyższości na zaróżowionych twarzach. I to w porze lunchu. W środku tygodnia.

- Pisz, że myślała o mnie, kiedy oglądała wiadomości - mówi Mike.

- Tego mi nie mówiłeś - mówi Karin, nagle wracając do świata dorosłych.

- Kiedy ostatnio się z nią kontaktowałeś? - pytam. Ze mną nie skontaktowała się ani Maggie, ani Betsy, ani w ogóle żadna z dziewczyn, z którymi się kiedyś spotykałem.

- Parę lat temu - mówi Mike. - Ona ma teraz dziecko. A kolejne jest w drodze.

Ten atak działa na nowojorczyków jak funkcja automatycznego wybierania dawno nieużywanych numerów. Szybko - skontaktuj się z jakąś ważną osobą z przeszłości.

- Kontaktowałeś się z nią dwa lata temu? - docieka Karin. - Przecież jesteśmy małżeństwem od czterech lat.

- Zawsze lubiłem Ninę - mówię.

- No pewnie! - mówi Mike i mruga do mnie okiem.

- A czemu to ona była taka świetna? - fuka Karin.

- Ale oczywiście nie taka świetna jak ty - mówię. Karin się rozpromienia.

Jestem znów na ulicy, kiedy zaczyna mi brzęczeć komórka. Domyślam się, że to Julia, martwiąca się o mnie przeraźliwie.

- Hej - mówię.

- O Boże - mówi Liesl. - Nie do wiary, co?

- Cały dzień próbowałem się wczoraj dodzwonić do ciebie do pracy - mówię.

- Wiem, wiem, siadła nam centrala.

- Poszłaś od razu do domu?

- Nie, musiałam popracować nad paroma oficjalnymi pismami.

- Czyli pracowałaś cały dzień po największym ataku terrorystycznym w historii Stanów Zjednoczonych? - pytam.

- A ty nie?

- Ja jestem dziennikarzem.

- No, powiedzmy - mówi Liesl. Nieumyślne przytyki są najbardziej bolesne.

- Nie żadne „powiedzmy”, tylko jestem. Pracuję w gazecie.

- No, ale zajmujesz się przecież tam jakimiś błahostkami, no nie?

- Ja... - No cóż, chyba tak. W naszej profesji wpatrujemy się we własne pępki, ja zaś jestem tą watą, co się w pępku zbiera. - Ale zrobiłem, co do mnie należało - odburkuję.

Po czym przypominam sobie pewien fakt z czasów, kiedy zajmowałem się pierwszym atakiem na WTC.

- Czy to nie wasza kancelaria reprezentowała tych gości, co tam podłożyli bombę w dziewięćdziesiątym trzecim?

- No tak - mówi ona. - Nasi prawnicy całkiem sporo wiedzą o tej sprawie od koleśki, których wówczas skazano. Chyba nic mogli się powstrzymać i wciąż się przechwalali różnymi szczegółami akcji. Mówili o najróżniejszych rzeczach. O których ja oczywiście nie mogę z tobą rozmawiać.

- To tylko przywilej na linii klient-prawnik?

- No tak - mówi Liesl. - Mamy lu całe skrzynki akt tej sprawy.

- Nie było cię w domu wczoraj wieczorem, co? - mówię.

- Dzwoniłem do ciebie. Wszystko w porządku?

- Po pracy poszłam zobaczyć, czy mogę oddać krew - mówi Liesl. - Ale jej nie potrzebowali. I biegałam jeszcze tu i tam, sprawdzając, czy nie potrzebują gdzieś wolontariuszy.

- Zdaje się, że mocno to przeżyłaś - mówię.

- A gdzie ty wtedy byłeś?

- Szedłem do sądu, miałem się stawić na ławie przysięgłych

- mówię. - Tak więc byłem w centrum. Wszystko widziałem.

Muszę się nauczyć, jak o tym mówić, żeby nie brzmiało to jak przechwałka.

- O Boże - nic ci się nie stało?

- Nie byłem aż tak blisko. Chambers Street.

- Jak myślisz, kiedy odgrzebią tych, co przeżyli? - pyta Liesl.

- Liesl - mówię. - Tam nie ma nikogo żywego.

- Ktoś musiał przeżyć - mówi ona. - Idę tam jutro,

- Nie sądzę, żeby ci w ogóle pozwolili, no wiesz, tak sobie grzebać w tym rumowisku. Mają do tego specjalne służby, którym się teraz trafiła najlepsza w życiu fucha, żeby wyrobić trochę nadgodzin.

- Jak możesz mówić coś takiego? - oburza się Liesl. - Jutro tam idę.

- Uważaj na siebie - mówię. I tak kończymy rozmowę.

W pracy włączam komputer, który wita mnie tym swoim cudnym, bajkowym dźwiękiem.

Użytkownik komunikatora internetowego EMonahan582 wystat ci wiadomość. Akceptujesz?

EMonahan582: Tom? Tu Betsy.

Chłopaczek33: Cześć Betsy! Właśnie o tobie myślałem

EMonahan532: Nie do wiary, co?

Chłopaczek33: Byłem wtedy w centrum. Wszystko widziałem.

EMonahan582: spadaj stamtąd zaraz! nic ci się nie stało?

Chłopaczek33: Nie, w porządku. Trochę tylko dziwnie

Dawno się nie widzieliśmy EMonahan582: wiem byłem trochę zajęta

Chłopaczek33: Co u ciebie nowego? Wyszłaś ostatnio za

mąż aibo co? EMonahan582: wiesz co... Chłopaczek33: No co?

EMonahan582: Pobraliśmy się z Chrisem parę miesięcy temu

Chłopaczek33: o rany

EMonaban582: jakoś tak dziwnie byłoby mi cię zaprosić

Chłopaczek33: w porządku

EMonahan582: to była taka nieduża ceremonia

Chłopaczek33: ale mogłaś mi chociaż powiedzieć

EMonahan582: wiem :-(

Chłopaczek33: ...

EMonahan582: jesteś na mnie zły?

Chłopaczek33: nie...

Chłopaczek33: muszę lecieć

EMonahan582; zadzwoń do mnie kiedyś

Chłopaczek33: okej, na *razie*

Niedziela, 16 września

Od pięciu dni całe miasto mówi tylko o Tym. Tak się właśnie tutaj mówi o ostatnich wydarzeniach: „To”. „To wszystko zmieni”. „Ciekawe, jak To wpłynie na naszą gospodarkę”. „Myślisz, że oni będą chcieli To powtórzyć?”. Ostatnie kilka dni spędziłem na następujących czynnościach: chodziłem do pracy, przesiadywałem u Mike'a, zamawiałem jedzenie do domu, słuchałem nowej płyty Dylana (która dodaje nową Juliocentryczną kwestię do mojego Dylanowego słownika: „Będę patrzeć na ciebie, aż całkiem oślepnę”). Oraz od czasu do czasu włączałem wiadomości. Których kata-stroficznosc jednakże jestem w stanie przyswajać jedynie w dziesięciominutowych dawkach.

Niemka zaś spędziła te kilka dni w sposób następujący: oglądała wiadomości, czytała wiadomości, dyskutowała o wiadomościach, chodziła na ceremonie ku czci ofiar, zapalała świece, pisała poruszające listy do „Timesa” oraz dzwoniła do mnie regularnie, żeby spytać, czy wszystko u mnie w porządku. Ani razu nie było przy tym mowy o możliwości dokonania przez nią nadzwyczajnego aktu pomocy, który mógłby znakomicie podnieść morale przynajmniej jednego nowojorczyka, a jedyne, co musiałaby w tym celu zrobić, to przyjść do mnie i wziąć ze mną prysznic. To chyba lepsze niż tachanic komuś zaopatrzenia, no nie?

- Jak tam u ciebie? - pytam przez telefon.

- Sama nie wiem - mówi ona. Ale jej głos zdaje mi się jakiś tęskny, a skoro nic mogę liczyć, że będzie spragniona

seksu, pozostaje mi zadowolić się nie sprecyzowaną tęsknotą. Może kiedy tęsknota zaczyna dojrzewać, sprawia sobie tatuaż i kolczyk w pępku? Trzeba znaleźć jakiś weselszy lemat do rozmowy.

- Hej - mówię całkowicie bez powodu. - Kiedy masz urodziny?

- Ee... jutro.

Zdaję sobie sprawę, że tego rodzaju informacje powinno się zdobywać i uwieczniać na papierze, kiedy tylko człowiek się zaczyna z kimś spotykać. Z drugiej jednak strony, jeśli się nie wie, to nie można nic sclirzanić, kupując na przykład Przeróżająco Drogą Prezent, przez który wychodzi się na szpanera, albo Kiepsko Wybrany Drobiazg, który wykazuje brak zrozumienia, albo Prezent w Złym Kolorze, który wykazuje nieuwagę i bezmyślność. Urodziny to dla kobiet znakomity pretekst do zerwania kontraktu. Czy słyszeliście kiedyś kolesia, który by mówił: „Nie no, musiałem ją rzucić. Kupiła mi na urodziny talon do sklepu Gap. To dopiero przykład Dziwacznie Bezdusznego Prezentu!”.

Odkładani powieść detektywistyczną i biorę się za coś znacznie trudniejszego tło opanowania - stos pism „Randy”. Otwieram na stronach o seksie. No dobra, i tak większość pisma jest o seksie, ale mi chodzi konkretnie o strony z instrukcjami, jak to robić po mistrzowsku. Ponieważ mam jakieś niejasne poczucie, że przez całe życie robiłem to nie tak. „Randy” mi pomoże. „Randy” wie wszystko.

Po kilku godzinach pilnej nauki wsiadam w metro i jadę do miasta. Wstępuję po drodze do redakcji. Tak tylko zobaczyć, czy nie potrzebują pomocy. Przy Wielkim Biurku siedzi Ropuch.

- Ty dzisiaj pracujesz? - pyta, trzymając w jednej ręce telefon, a w drugiej pałeczki, którymi je. Włosy wiją mu się na głowie. Wyglądają na sztuczne, ale po redakcji chodzą plotki, że to faktycznie jego naturalne włosy.

- Miało mnie nie być.

- Moje uszy tego nie słyszały. Siadaj. Louise ma trochę materiału do przekazania.

- A to co? - pytam, pokazując na dziwną drewnianą tackę z cienką warstewką piasku, która leży na jego biurku. Jest tam też maleńki krzaczek i miniaturowe grabie. Piasek jest czyściusieńki jak złoto.

- Tom, proszę cię. Musisz nam przetłumaczyć, co nadaje Louise. Jest zbyt podekscytowana.

Wyciągam podstawowe kto-co-kiedy-gdzie-i-dlaczego z ochryplej paplaniny naszej trzeciorzędnej reporterki, która spędziła cały dzień w ratuszu, łażąc za burmistrzem. Potem jeszcze przepisuję parę wiadomości z agencji Reutersa. Około dwunastej podchodzę znów do Wielkiego Biurka, żeby pogawędzić sobie trochę z Ropuchem. Spokojnie wyrównuje grabkami piasek, układając równo każde ziarenko.

- Fajny domek dla lalek - mówię.

- To ogródek bonsai - mówi Ropuch. - To mi pomaga tutaj nie zwariować.

- Za późno - mówię.

- Słyszałeś o Maksie? - pyta on.

- Nie, a co?

- Przechodzi do „Daily News”. Nie mówiłem ci o tym.

- Dlaczego?

- Pamiętasz tę awanturę, którą miał w zeszłym tygodniu z Croninem? Kiedy się na siebie darli, zarzucając jeden drugiemu, że gównieście na temat pracy w gazecie, i kazali sobie nawzajem całować się w dupę?

- No tak, w poniedziałek?

- Nie, chodzi mi o tę we środę. Tak czy inaczej, zdaje się, że Rutledge-Swope wszystko usłyszał.

Tyrone Rutledge-Swope słynie z tego, że kilka razy dziennie dzwoni ze swojego jachtu, albo samolotu, albo domku w Hollywood. Koleś posiada kilka największych gazet na tej

planecie, a do tego sieć telewizyjną i studio filmowe, ale i tak czyta każdy nasz zakichany nagłówek. Jesteśmy jego pieścioszkiem.

- Był tu wielki szef? - pytam.

- Nie, ale dzwonił. Odebrała jedna z asystentek, próbowała zawołać Maksa, ale się nie dało. Powinna była przełączyć na tryb oczekiwania, ale jest tu nowa. Tak więc Rutledge-Swope usłyszał całą awanturę. No i powiedział Maksowi, że może się spakować. Powiedział, że tylko jemu wolno nazywać Cronina głupią cipą.

- Mówisz to ze szczególnym błyskiem w oku - zauważam.

- Cronin wezwał mnie na rozmowę - mówi on. - Wygląda na to, że od poniedziałku władzę przejmuje tu Klaudiusz.

- Ten śliniący się idiota? - mówię. - Czy już ci mówiłem, że świetnie dziś wyglądasz?

- Jesteś moim najlepszym pismakiem - mówi Ropuch. - Nie opuszczaj nas, bo mam w związku z tobą pewne plany.

- Tak jest, Klaudiuszu - mówię.

Poniedziałek, 24 września

Skończyłem robotę na dzisiaj, ale wisi nade mną Rollo, wymachując wydaniem „Timesa”.

- Wiesz, dlaczego oni To zrobili? - pyta. - Dla spódniczek! Tym atakiem każdy z nich gwarantował sobie siedemdziesiąt czarnookich dziewcz w raju!

Do pewnego stopnia może to być prawda. W pismach, jakie po nich zostały, był opis raju, który nie bardzo się różni! od luksusowego domu uciech. Wszystkie działania, jakie podejmują faceci, nawet To, można sprowadzić do podstawowej potrzeby zapewnienia sobie odpowiedniej zdobyczy.

- Czyli co z tego wynika? - mówi dalej Rollo. - Zaatakowały nas prawiczki! Ci wszyscy faceci to przecież musiały być prawiczki! Nikt inny nie marzyłby o kosmicznym seksie z dziewczicami, no nie?

Kiedy wychodzę z redakcji, sam się zaczynam czuć jak czarnooka dziewczica. Lato jest już w stanie agonii, sapie i po-kaśtuje. Zbiera swoich prawników i spisuje testament. I tak już przetrwało trzy dni dłużej, niż powinno, więc trzeba zwolnić łóżko dla nadchodzącej jesieni.

Jadę metrem na Brooklyn. To dość skomplikowana dzielnica - mapa linii metra działa tylko w teorii, tak naprawdę jest tylko punktem wyjściowym dla serii niekończących się odcinków w naprawie, zmian trasy i przerw w obsłudze (Trzeba wypolerować 100 metrów torów? Świetnie, to zamykamy dziesięciokilometrową trasę!), którymi charakteryzuje się życie na Brooklynie. A do tego dochodzą jeszcze

zmiany spowodowane atakiem - niektóre tunele metra zostały całkowicie zamknięte. W rezultacie nie wysiadam na właściwej stacji i pozwalam się wywieźć do jakiegoś nieznanego mi zakątka Brooklynu. Mija pół godziny, zanim udaje mi się jakoś powrócić do rejonu Williamsburg.

Williamsburg, pieśczośliwie zwany Billyburgiem. Raj cyganerii. Uliczni anarchiści, kelnerki z doktoratami, wegetariańskie knajpki z zupami z ekologicznych warzyw, kawiarniani komuniści, zapomniane przez dzieje feministki. Lejący na wszystko dwudziestosześcioletni luzacy, którzy dzięki funduszom powierniczym mogą przeżyć życie w cudzysłowie, nabożnie uczęszczając do kościoła ironii. Wielkowiejska młodzież, która przeprowadziła się na Brooklyn, ponieważ w wielkowiejskim śródmieściu nie czuła się dostatecznie wielkowiejsko. Nawet psy zdają się tutaj stanowić manifest polityczny. Te wszystkie artykuły napisane przez białych właścicieli zagranicznych samochodów o tym, jak to nienawidzą wyzyskujących ludzi białych globalistów? Właśnie tutaj się je pisze.

Przeciskam się przez tłum kobiet i mężczyzn ubranych tak, jakby wciąż jeszcze byli na studiach (wszyscy takie same dzinsy uniseks, okulary w grubych oprawkach, T-shirty w tęczowe paski), do miejsca, gdzie elegancko siedzi sobie Niemka, ze stokrotkami wplecionymi we włosy. Siedzi przy stoliku na ulicy, otoczona przyjaciółmi.

- Cześć! - mówi Liesl.

Nie jestem pewien, jaką mamy politykę w kwestii publicznego okazywania czułości, więc na wszelki wypadek całuję ją tylko w policzek.

- Kupiłem ci coś - mówię, wręczając jej bukiet, który kupiłem dla Julii, zanim się dowiedziałem, że nie będzie jej w redakcji aż do środy.

- Jakie śliczne! - woła Liesl.

Na stole są baloniki i tort. Niemka trajkocze podniecona, przedstawia mnie wszystkim po kolei. Niektórych z nich już

kiedyś spotkałem. Ściskamy sobie dłonie. Bardzo miło. Ludzie przesuwają się, żebym mógł usiąść obok Niemki. To mi się podoba. Najwyraźniej jako jej chłopakowi należy mi się przywilej siedzenia koło niej. A to oznacza również, że przynajmniej z jednej strony będę miał kogoś, kogo w ogóle znam.

Po mojej drugiej stronie siedzi [jara przyjaciół Niemki. Rozmawiamy o tym, jak uwieść kobietę.

- To musi być coś konkretnego mówi Conchita, która pisze doktorat z postmodernistycznej narracji w meksykańskiej prozie kobiecej czy czegoś takiego. - Na przykład: „Masz piękną linię kręgosłupa”.

- Czy ktoś ci to kiedyś powiedział? - pyta Malcolm, wielonarodowościowy analityk bankowy, posiadacz trzech paszportów, w tym dwóch z jakichś dziwnych i przerażających krajów.

- Tak! - chichocze Conchita.

Malcolm i ja wspólnie zerkamy w tę samą stronę.

- I co, zadziałało? - pytam.

- Chyba tak! - mówi Conchita. - Ale tylko na jakiś czas. Ani razu nic powiedziałem Julii wprost, że ma piękną linię kręgosłupa. Myślałem, że to się samo przez się rozumie.

- Ale w którym momencie należy się zatrzymać? - pytam. - A co, jeśli gość ci powie, że masz piękne nozdrza? Nadal będziesz pod wrażeniem?

Nagle coś na mnie leci. Atakują mnie! To imprezowa papierowa laska, w którą się dmucha, a wówczas w stronę obranego celu leci serpentyna.

- No, kochany, w końcu wreszcie zrobiłam ci laskę! - śmieje się Niemka. Na cały głos.

Moja twarz przybiera barwy szkarłatu i purpury. Nie mieści mi się w głowic, że ona mogła tak przy całym stole ludzi powiedzieć, że jeszcze nigdy w życiu nie robiła mi laski. Chociaż tak naprawdę to nic sądziłem nawet, że takie wyrażenia znajdują się w jej słowniku.

- Co w ciebie wlało? - pytam. - Oprócz kilku dużych niemieckich browarów?

Liesl się tylko uśmiecha i pociąga jeszcze łyka.

Pomimo ogromu zawstydzenia myślę sobie jednak, że dobrze będzie, jak ona jeszcze trochę się napije. Któż może wiedzieć, do czego zdolne są małe niegrzeczne niemieckie panienki, kiedy się wyswobodzą z bawarskich spodenek. Jeśli ona potrafi wymówić takie słowa, to można sobie tylko wyobrazić, co jeszcze potrafi robić ustami.

Nadmuchuję balony. Odbijamy je sobie ponad stołem, Pyk. Pyk. Hura! Ale z nas wariaci!

Nieco przesadnie sztywna przyjaciółka Liesl, Nora, odbija balonik w moją stronę, jakby grała w siatkówkę. Balonik uderza mnie w nos ze śmiesznym pacnięciem.

- Aaaaaa! - krzyczy nagle Nora.

- W porządku, nic się nie stało - mówię i dotykam swojego nosa. - Nie mam krwotoku ani nic.

- Nie! - woła Nora. - Mój pierścionek!

Pierścionek, okazuje się, ma ogromną wartość sentymentalną. Wprawdzie nie zaręczynowy, ale zwykły tani pierścionek ze sztucznym oczkiem, подарowany przez starszą siostrę. Jak się okazuje, był na Norę trochę za duży. Czyli trochę się siostrze nie udało. Odsuwamy stół i krzesła i czołgamy się na kolanach po ziemi, stopniowo dochodząc do wniosku, że owszem, pierścionek na pewno jest gdzieś na Brooklynie.

Ludzie podnoszą z ziemi kawałki popękanych baloników, świece z tortu, papier, w który zapakowane były prezenty. Pakujemy to wszystko do plastikowych worków na śmieci i dalej się czołgamy. Po godzinie i piętnastu minutach nie jest to już takie bardzo pasjonujące.

Staję z powrotem na nogi i zaczynam rozmawiać z przyjaciółką Niemki, Molly z Irlandii. Tylko ona jedna nie udaje, że gorączkowo szuka pierścionka. Stoi i pali, obserwując wszystko z dystansu.

- Mogę ci kupić następne piwo? - proponuję.
- Byłoby bardzo miło - mówi ona. - To co, Liesl ci się podoba?
- Podoba mi się - mówię.

- Słuchaj, tak sobie myśleliśmy z kumplami, że na pewno nie miałyby nic przeciwko jeszcze jednemu prezentowi na urodziny. Chcielibyśmy, żebyś jej go później załatwi! - mówi zawadiacko.

- Mhm, to może poszukamy jeszcze tego klejnociku?

Po godzinie i czterdziestu pięciu minutach Nora posępnie przebiera w śmietniku pełnym pustych butelek po piwie, wilgotnych serwetek i resztek jedzenia. Ja z Niemką pomału przymierzamy się do ucieczki.

- Chcesz może pójść teraz do mnie? - szepcze Liesl, całkiem przyjemnym tonem. Kiwam głową.

- Zdajesz się jakaś inna - mówię.

- Czuję, że jesteś mi bliższy - mówi ona. - Po tym wszystkim, co się ostatnio działo.

- To miło - mówię i patrzę jej w oczy, z nadzieją, że moje spojrzenie jest Głębokie i Wieloznaczne.

- Nora - mówi Niemka - musimy już iść. Ale zajrzę tu jeszcze rano i poszukam tego pierścionka. Będzie wtedy lepsze światło.

Nora wydaje z siebie szloch.

- Dobrze! - mówi i dzielnie macha nam na pożegnanie niczym bohatersko znosząca cierpienie chora na białaczkę.

No i idziemy. Do mieszkania Niemki jest jeszcze całkiem długi spacer. Mieści się ono w wałącym się budynku, prowadzą do niego złowróżbne czarne drzwi zaraz obok koszernej chińsko-meksykańskiej knajpki z jedzeniem na wynos, w której grupka ludzi wyglądających na Haitańczyków w skupieniu słucha leżącej z głośników polki.

Mieszkanie znajduje się na drugim piętrze, Drzwi się nie domykają, połowa zainstalowanych w nich zamków jest

popsuta. Jeden pokój, na środku zlew kuchenny, zniszczone linoleum, jakiś potworny łoskot piętro wyżej (czy ktoś tam gra w kręgle?), dwa rozklekotane rowery zajmujące znaczną część wolnej podłogi, popękana żółta farba na ścianach, zamiast dużego, wygodnego łóżka mały materac, maleńki „kącik dzienny”, w którym mieści się jedynie minisofa, przedziwna mieszanka różnych przedmiotów na podłodze. Regat, na nim książki poustawiane według rozmiarów.

- No i jak ci się podoba? - pyta Liest.

- Jak na Brooklynie - odpowiadam.

- Nie jest tu zbyt przyjemnie, co?

- Pewnie pomaiu się urządzisz, jak trochę tu pomieszkasz - mówię.

- No tak - mówi ona, rozglądając się dookoła, jakby zobaczyła to wszystko na nowo. - Tak. Na pewno. Chociaż mieszkam tu właściwie już od sześciu lat.

Rzucam okiem na jej płyty CD. Ma wszystko, co kiedykolwiek popełniła Annie Lennox. A także Indigo Girls. Parę płyt zespołu Parliament. Trochę politycznie poprawnej muzyki świata, żeby nie było. Muszę puścić coś znośnego, zanim ona się za to weźmie. Panny mają tani sprzęt i drogą pościel, myślę sobie. Tyle że tutaj... o rany, a to co? Denon? Przenośne cudeńko, coś pięknego, oczywiście nastawione na jakąś nudziarską stację, ale fakt pozostaje faktem - sprzęt jest klasa.

- Od kogo to dostałaś? - pytam.

- To? A, to od mojego byłego - mówi ona. - Skąd wiesz?

- Intuicja - mówię.

Przez chwilę się całujemy. Moje ręce błądzą po jej malutkiej koszulce z krótkim rękawem. Na rękawkach są drobnuteńkie nacięcia. Uwielbiam rękawy. Kojarzą mi się z górną częścią rąk. A ta z kolei z ramionami. A te z kolei z ramiączkami. Och, jak ja wielbię ramiączka. Staniki bez ramiączek - co za bezsens. Staniki z dodatkowymi ramiączkami - to by dopiero było coś. Gdzieś kiedyś czytałem (pew-

nie w „Brukowcu”, i to pewnie w moim własnym dziale), że doświadczone striptizerki przekonują się, jak bardzo ważne jest nie mieć równusieńkiej opalenizny na całym ciele, takiej jak u pańienek w rozkładówkach. Nie, nie, nie - trzeba mieć zaznaczoną linię majtek i stanika, a wówczas posypią się znacznie większe napiwki. Dlaczego? Bo będąc naga, pokazujesz jednocześnie ślady po ramiączkach. A to facetom przypomina, że patrzą na coś, co powinno tak naprawdę być schowane pod ubraniem.

A co to za konstrukcja pod spodem? Wysoko na plecach jest pasek stanika, ale niżej jest jeszcze jeden, a do tego jeszcze chyba jakaś koszulka... O Boże. Nigdy nie przestanę się chyba interesować damską bielizną. Liesl nagle przerywa i się uśmiecha.

- Pić mi się chce - mówi i idzie się napić mleka sojowego.

Idę do łazienki. Wanna dla karzełków. Podniszczona zasłona do prysznicza. Cieknący kran. Nieusuwalne ślady rdzy. Na szczęście dla zachęty wszędzie porozstawiane są dziewczynskie środki piękności - małe tubki i buteleczki stoją nawet na kibelku. (To dlaczego ona nie używa tych wszystkich dziewczynskich cudów? A może ona ma takie środki piękności, których w ogóle nie widać?). Nie chciałbym się spotykać z dziewczyną, która by nie miała choć trochę takich dziewczynskich rzeczy,

Kiedy wychodzę z łazienki - co za miła niespodzianka - Liesl jest naga od pasa w górę i właśnie zakłada na siebie jakąś zwiewną koszulkę. Rozbieram się do mocno już napiętych majtek i rozmawiamy sobie, leżąc w łóżku. To znaczy na materacu.

- Nie mamy zbyt wiele wspólnego, co? - mówię do niej.

- Chyba w ogóle nic - mówi ona.

- Ale podobasz mi się - mówię.

- To miło - mówi ona.

Dzwoni telefon, okazuje się, że to Nora. Czekam.

- Hura! - mówi Niemka. - Gdzie go znalazłaś?

Okazuje się, że Nora zabrała do domu te wszystkie plastikowe worki, do których powpychaliśmy urodzinowy śmietnik. No i w jednym z nich udało się namierzyć zgubę. Przy trzecim szukaniu.

Kiedy Liesl wraca do pościeli, jest w znakomitym humorze. Gasi światło. Przez chwilę się przytulamy. Myślę sobie „Czemu nie?”.

- Tak się cieszę - mówi Liesl. - A już się martwiłam, że go nie znajdzie. Wciąż jestem jeszcze lekko podenerwowana.

- No cóż - mówię głosem tak niskim i mrużącym, jak tylko potrafię. - W takim razie będziemy cię chyba musieli troszeczkę rozluźnić.

- He, he - mówi ona. Zdaje się jednak gotowa do gry. Niczym zawodowiec, szybko przelatuję myślami przez

najważniejsze punkty programu. Strefa końcowa. Punkt G. Sztuczka z poduszką. Gdzie dokładnie powinien się znajdować mój palec wskazujący. Ile czasu spędzamy na każdym odcinku. Gotowi? Ruszamy.

Na początek ją rozbieram i przyjemnie masuję. Ma zamknięte oczy - to dobry znak.

„Randy” mówi tak: Nie dotykaj jej od razu tam. Dotykaj najpierw tam, tam i tam.

„Randy” mówi tak: Niezależnie od tego, ile poświęcisz czasu, jej i tak się wyda, że się spieszysz.

„Randy” mówi tak: Wyluzuj się. To może ci zająć chwilę. Ale jeśli ona wyczuje u ciebie nerwowość, nic będzie mogła się skoncentrować.

Masu, ma su, masu.

Gniotu, gniotu, gniotu.

Głasku, głasku, głasku.

„Randy” mówi tak: Kiedy się już zbliżysz, oddal się znowu. Potem wróć. I znów się cofnij. W razie potrzeby wszystko powtórz.

Masu, masu, masu.

„Randy” mówi tak: Panuj nad językiem. Liź ją jak pies. Lizu, lizu, lizu,

„Randy” mówi tak: Pozwól, żeby jej ręka zaprowadziła cię we właściwe miejsca.

Jej ręka mimochodem przemieszcza się w tamtą stronę, po czym gdzieś przepada.

„Randy” mówi tak: Nic się nie wydarzy, jeśli ona się nie rozluźni. A ona się nie rozluźni, jeśli będzie miała wrażenie, że się nudzisz.

Jęku, jęku, jęku. To ja. Ona nie wydała na razie z siebie ani jednego piśnięcia. Czy ja to robię właściwie? Hej, jest tam kto?

Ale się nie poddaję. Jestem już niemal w strefie zero. Zbliżam się boleśnie blisko, po czym znów się oddalam. Pojawiam się nagle w zaskakujących miejscach, rozpoczynam nowe kampanie, robiąc wypady z nowych terytoriów, po-malutku, niepostrzeżenie zakradam się znów do kwatery głównej. Po czym znikam! Gdzie jestem? Kiedy wrócę?

A ona sobie leży kompletnie bez ruchu. A mój sprzęt? Trochę pobolewa, ale musi jeszcze poczekać, zanim wejdzie do akcji. Na razie służbę pełnią wyłącznie dłonie i usta.

Po godzinie i piętnastu minutach Liesl w końcu zaczyna wydawać jakieś dźwięki. Lekko dygocze. Czuję jakieś wibracje. Po czym następuje... coś. Czy to było to?

Niestety muszę się zapytać. Jak debil,

- Czy ty... - mówię kładąc się koło niej.

- Taak - mówi ona rozmarzonym głosem.

- Jak było? - pytam.

- Cudooownie - mówi ona.

- Nie przychodzi ci to łatwo, prawda? - mówię.

- Zwykle udaje mi się tylko, kiedy jestem sama. Ale to nigdy nie jest takie uczucie.

Coś mi zatyka nos.

- Opowiedz, jakie to było uczucie - mówię, wydłubując z zębów jej włosy łonowe.

- To było, ojej, te wszystkie kolory - mówi ona. - Spalony oranż i brąz, i czerwień.

Muszę przeczyścić jakoś ten nos.

- Czułam się - mówi ona - jakbym była w Turcji. Albo w Maroku. Jest kompletnie ciemno. Nie widzę nawet Liesl. Więc ona też mnie nie widzi!

- Jakbym była w jakimś namiocie, na środku pustyni - mówi ona. Wkładam sobie palec do nosa. Ach!

- I czułam się, jakbym przechodziła jakąś inicjację, uczestniczyła w jakimś dziwnym rycie.

- Drzeworycie? - pytam, dłubiąc w nosie.

- Nic, dziwnym rycie, obrzędzie - mówi ona.

Dłubu, dtubu. No, od razu znacznie lepiej. Tyle że to, co wydłubałem, jest takie... kleiste. Miałem nadzieję, że będzie suche, wtedy mógłbym to bez problemu wyrzucić w ciemność nocy.

- To było jak święty, mistyczny rytuał - mówi ona.

Obmacuję brzeg materaca. Jest od dwóch stron kompletnie wbity w ścianę. A ja jestem od strony ściany. Pułapka! Zwijam dowód zbrodni między palcami. Zwiju, zwiju. Aż się z niego robi mała, sucha kuleczka.

- Miałam takie poczucie, jakby całe stulecia kobiet przekazywały mi swoją wiedzę - mówi ona. - Wciąż się tylko zastanawiałam, że przecież ty mnie nie znasz. Nie znasz mojego ciała. Skąd mogłeś o nim nagle tyle się dowiedzieć?

- Czasem pomaga - mówię (zwiju, zwiju) - jeśli powiesz facetowi, na co masz ochotę.

Czego ona, nawiasem mówiąc, w ogóle nie robiła. Leciałem bez żadnych wskazówek, w kompletnej ciemności. Niejeden pilot już się tak rozbił.

- Ale ja nie wiedziałam! - mówi ona. - Miałam wrażenie, że znasz moje ciało lepiej niż ja sama!

Naprawdę? Nie mówimy Tu chyba o lerytorium wielkości stanu Wyoming. Robiłem najzwyczajniejsze rzeczy, tyle że bardzo długo. Najwidoczniej jednak la dziewczyna miała do tej pory beznadziejnych kochanków. Więc powstrzymuję się od komentarza. Niech sobie myśli, że jesieni jakimś Czarnoksiężnikiem z Krainy Materaca.

Przetaczam się więc i kładę na niej, patrząc jej głęboko w oczy, a jednocześnie upuszczając na podłogę dowód zbrodni.

Wzdycham z ulgą. Patrę na zegar - jest 4.03. Trzeba by się trochę przespać.

- To mnie uszczęśliwia - mówię (patrz, patrz) - że cię uszczęśliwiłem.

- Zwykle muszę sobie jakoś pomagać - mówi ona. - Nigdy jeszcze tak nie było.

- Nigdy przenigdy? - pytam.

- Nigdy przeniigdy - mówi ona.

- To co, gotowa, żeby iść spać? - pytam.

- Hm - mówi ona. - Nie?

Poniedziałek, 1 października

Właśnie wrzuciłem na ekran dysertację Rolla na temat filmu *Dzień próby* i zacząłem się przymierzać do tego, żeby nadać jej jakiś kształt, który by ją kwalifikował do piątkowego wydania gazety, kiedy pojawia się przede mną sam autor.

- Nie mógłbyś nam troszeczkę z tym kawałkiem pomóc, brachu?

Patrzę na niego. Nie do wiary. Jaskrawozielona marynarka, do tego niebieska koszula i wielka czerwona chusta, z którą można by iść na walkę byków.

Zasłaniam oczy przed tym pożarem krzyczących barw.

- Jezu - mówię. - Z każdym dniem coraz bardziej przypominasz klasycznego nowojorskiego nicponia.

- Ma to już jakby jakąś strukturę - mówi Rollo. - To znaczy nie tyle strukturę, co myśl przewodnią, jakby matrycę, wiesz, o co chodzi. Nie no, oczywiście nie chodzi mi o matrycę, dupa tam, ale o nastrój, wrażenie, smak, aurę tego filmu. To znaczy, no sam zobaczysz, masz. to wszystko przed sobą, trzeba tylko dodać parę uwag - Houston, odbiór?

Patrzę na jego recenzję, której pełny tekst brzmi następująco:

„Najnowszy film Denzela Washingtona, *Dzień próby*, to...”.

- Wiesz, nie chciałbym za bardzo ingerować w twój tekst... - mówię.

- Ale oddasz mi wielką przysługę - mówi Rollo. - Po prostu przez te wszystkie wydarzenia, no wiesz, to poruszenie, tę oś

zła. Przygotowywałem sio, ostrzyłem ołówki, ćwiczyłem, robiłem obchód, musiałem też trochę się pośmiać ze starymi kumplami, przecież to nasze ostatnie okrażenie, prowadzące prosto do zwycięstwa, no nie?

- Przesiadywałeś w Elaine's więcej niż zwykle? - pytam.

- Pozwól, że szepnę ci tylko jedno słówko. „Istan”. A-istan. P-istan. Nieczytelne pieczątki w paszporcie. Tajemne przejścia graniczne, zagraniczne intrygi, starcia narodów, John le Carre, poszukiwania zabójców. Wysyłają mnie. Razem z oddziałami specjalnymi. Czy mam mówić dalej?

- To może po prostu ponadawaj przez trzy i pół minuty o tym filmie? - proponuję. - A ja zapiszę każde słowo i będziemy mieli recenzję. Przecież to i tak nie jest jakaś poważna gazeta.

- Jest jeden mały problem - mówi Rollo. - Przyznaję, nieduży, ale jednak. Taki drobny, upierdliwy szczył, walący konia w krzakach - ale nie trać wiary - on sprawdza pole widzenia, podkrada się w stronę Gomory i...

- Nie oglądałeś filmu - mówię.

- No jasne, że nie. Tyle że tym razem nic widziałem nawet zwiastuna.

- Czyli do tej pory pisałeś recenzje ze zwiastunów? - pytam. To by wyjaśniało, dlaczego parę ostatnich recenzji było pełne dygresji i niejasności.

- Jasne, że nie, no jasne, że nie - mówi on. - Tylko tych ostatnich dziewięć czy dwanaście. Ale co, czy ktoś zgłaszał jakieś zażalenia?

- Nie - mówię. - Ale całkiem możliwe, że nikt poza mną nie czyta twoich recenzji. Sam bym ich nie czytał, gdyby mi za to nie płacili.

Spojrzenie bez wyrazu.

- No dobra, spróbuję - mówię.

- Dzięki. Jestem pewien, że zrobisz z tego arię operową. Aha, nie zapomnij tylko umieścić tam mojego nazwiska, bę-

dę ci bardzo wdzięczny. Nie chcemy przecież zatrwożyć rzesz wiernych czytelników i tak dalej.

Dzień próby miał wejść na ekrany 14 września. Już i tak się opóźnił o trzy tygodnie, bo dystrybutorzy sobie wykombinowali, że w gazetach wciąż jeszcze jest zbyt dużo poważnych wiadomości, żeby mogły zacząć znów traktować każdy nowy film jako nową wspaniałą szansę naszej republiki. Więc już od tygodni trwają pokazy dla prasy. Nawet ja go już widziałem i mam nawet kilka przemyśleń. Na przykład.

- Hej, a kto to taki!

Podnoszę głowę i widzę uśmiech Julii.

- No cześć - mówi ona. - Wróciłam wczoraj wieczorem. Krótka szara spódniczka, opięta czarna bluzeczka. I naprawdę ładna opalenizna.

Na chwilę zamieramy bez ruchu, po czym wstaję z krzesła i obejmujemy się długo i miło. Tak naprawdę. Tak obejmować się możemy tylko my - i nikt więcej.

- Martwiłem się o ciebie - mówię do jej policzka.

Po pracy idziemy do miasta na drinka. I zauważam, że ma na palcu pierścionek. Lewa dłoń, środkowy palec. Czyli nie ten, na którym nosi się pierścionek zaręczynowy.

Nie pytaj.

Fajnie było w Meksyku? Fajnie było w Meksyku. Strasznie było wTacać samolotem? Było strasznie. Kiedy się dowiedziała o tym, co się stało? Wieczorem. Całą noc siedzieli przykuci do CNN.

To tani pierścionek. Tak mi się wydaje. Jubilerski odpowiednik grudki ziemi z paroma chwastami i stokrotką.

- A tak w ogóle - mówię - miałaś tam w Meksyku dostęp do e-maila?

- Tak - mówi ona. - Sprawdzałam czasem pocztę.

Nie wysiała mi ani jednego e-maila. A ja do niej nie miałem jak napisać. Widziałem ją już naga, ale nie znam jej prywatnego adresu e-mail.

Idziemy Piątą Aleją, słońce zdaje się przedwcześnie zachodzić. Im dalej idziemy w miasto, tym się robi ciemniej.

- Co tak śmierdzi? - pyta Julia.

Gryzący zapach, jak palone opony. Wiatr wieje w naszą stronę.

- Wciąż jeszcze się pali - mówię. - Czuć to tylko, kiedy wiatr zawieje w twoją stronę.

Na ogrodzeniu boiska do koszykówki przy Trzeciej Ulicy zawieszony jest odręczny napis „WCIAŻ TU JESTEŚMY”. Do ścian poprzyklejane są skserowane ulotki. Na jednej z nich napisane jest: „Czy znasz jakieś zwierzę, któremu zaginął właściciel?”. Jest też jedna taka, którą można zobaczyć niemal wszędzie. Wysokiej jakości papier, na nim kolorowe zdjęcie cyfrowe biznesmena, który pracował na 100. piętrze. Pod nim ładnie scentrowany napis elegancką czcionką, wszystko wydrukowane na drukarce laserowej i powywieszane w tysiącach miejsc. „Czy ktoś widział tego człowieka?” - głosi napis na ulotce. Tak jakby ten facet po prostu zapomniał zgłosić się w domu. Jakby jego nieobecność była po prostu kolejnym wyzwaniem, z którym należy się zmierzyć za pomocą prezentacji w PowerPoincie i drukarki o wysokiej rozdzielczości.

- Miasto się zmieniło - mówi Julia.

- No tak - mówię ja.

- Nie znoszę zmian - mówi ona.

- AJe to wciąż Manhattan - mówię ja.

- Manhattan jest przereklamowany - mówi ona.

Quatorze Juillet to kolejna restauracja tematyczna w klimacie francuskim. Wszystko zdaje się zapewniać, że jest to „Prawdziwe! Francuskie! Bistro!” - wysmagana wiatrem i deszczem markiza z napisem „Cafe-Journaux-Tabac-Jour et Nuit”, cennik napojów wypisany na lustrze, mało sku-

teczny wiatrak pod sufitem, który przemieszcza tylko kłęby dymu po sali, miedziany kontuar z klepanej blachy. Zamawiam przy barze karafkę wytrawnego białego wina. Polecają mi Sancerre. Próbuję - co za obrzyd listwo. Takie ono wytrawne jak koktajl hawajski.

- To opowiedz, co się działo w Meksyku - mówię. Czasem związki nie wytrzymują wspólnych podróży.

- Oboje byliśmy nieco rozdrażnieni - mówi Julia. - Pokłóciliśmy się.

- Naprawdę? - mówię przyjacielskim tonem współczującego za interesów arna, podczas gdy tak naprawdę czuję się jak jastrząb, który wypatrzył sobie właśnie polną mysz o kulach.

- Dwayne nie słynie niestety z rozrzutności. No i gdziekolwiek byliśmy, zawsze próbował zaoszczędzić parę pesos. No więc raz szliśmy na taką górkę, a on nie chciał się zatrzymać, żeby kupić coś do picia, więc się strasznie wkurzyłam.

- I co zrobiłaś?

- No, tak jakby postraszyłam go, że odejdę.

- Co mu powiedziałaś?

- Powiedziałam: „Może lepiej się będziesz bawił sam, A ja jutro polecę z powrotem do Nowego Jorku”.

A ja już wyobrażam sobie, jak by to było rozkosznie, gdyby tydzień przed spodziewanym powrotem zadzwoniła do mnie z lotniska i powiedziała: „Cześć, to ja. Muszę gdzieś przenocować”.

No ale parę dni później był ten atak. Przez dwa dni oglądali ciurkiem telewizję, ale potem Dwayne...

- Jeździł tylko od jednego miasteczka do drugiego i szukał pokojów z telewizorem. Zaczęło mnie to nudzić. Nie miałam ochoty wciąż oglądać tego gówna.

- Dokładnie tak samo się czułem - mówię.

- Dokładnie. Więc wychodziłam i włóczyłam się trochę samopas.

- I co, podobało ci się? Tak samej spędzać czas? - pytam.

- Właściwie to tak. Było nawet dość fajnie. Dobra odpowiedź.

Julia zamawia coś do jedzenia, ale ja nic jestem głodny, bo jak zwykle jadłem spóźniony lunch po siłowni.

- Powinieneś coś zjeść - mówi Julia. - Naprawdę sporo schudłeś.

- Zauważyłaś? - pytam.

- Wiesz co, wyglądasz, powiedziałabym, całkiem rewelacyjnie - odpowiada słodko.

Za posiłek starcza mi alkohol. Po karafce wina jestem już trochę pijany. Zamawiam więc następną. Jej tempo picia spadło jednak do zera.

Sięgam pod stół i łapię ją za kostkę. Kładę ją sobie na prawym kolanie i powoli zsuwam jej sandałek. Ma dziś na sobie te fajniutkie szare sandały z cieniutkimi tasiemkami. Przejeżdżam paznokciami po jej tydce - gładziusia. W przeciwieństwie do Liesl, Julia sumiennie goli nogi. W przeciwieństwie do Liesl, wokół Julii unosi się pełno dziewczęcych zapachów.

Zamyka oczy, puszcza mi w twarz kłęb dymu.

- Uwielbiam takie drapanie - mówi.

- Przyjemne?

- Jeszcze jak - mówi ona. - Te twoje paznokcie.

„Ugryź mnie” przyniosło efekt. Mam teraz naprawdę paznokcie, po raz pierwszy odkąd skończyłem osiem lat. Tak więc przejeżdżam w górę i w dół jej łydki moimi cudownie zregenerowanymi paznokciami, wdrapuję się ku kolanu i zjeżdżam ku kostce. To przecież też się chyba liczy. Nie jest to co prawda seks, ale z drugiej strony, gdyby tu teraz wszedł Dwayne, to mocno by się wkurzył. Zdaje się, że to teraz moja nowa ambicja - żeby moje działania, nawet jeśli nie przynoszą mi seksualnej satysfakcji, przynajmniej były w stanie rozzłościć kogoś, kto i tak ich nie widzi. Gazeta Dwayne'a wystąpiła go na miasto, żeby porobił wywiady

z ludźmi w strefie zero. Czyli całkiem niedaleko stąd. Może by tak zajrzał tu przypadkiem któregoś wieczoru, kiedy tak się zabawiamy? Może Julia też na to liczy.

- Ale to przyjemne - mówi Julia, omdlewając z rozkoszy.

- Prawie tak przyjemne jak seks - mówię ja.

- Nic nie może być lepsze od dobrego seksu - mówi ona.

- A co to znaczy dobry seks? pytam,

- Taki, żebym miała orgazm.

- Jak często udaje ci się dojść do ostatniej rundy?

- Siedemdziesiąt procent przypadków - mówi ona.

O rany. Robi mi się zwarcie na przewodach mózgowych.

- Siedemdziesiąt?

- Ale u facetów to jest przecież sto dziesięć procent!

- broni się Julia.

- Ty mała bestio - mówię. - Nie miałem pojęcia. Dwayne'owi udaje się ją doprowadzić do szczytu trzy czwarte razy. Albo może nazwijmy to optymistycznie: dwie trzecie,

- Zwłaszcza kiedy jajeczkuje. A teraz właśnie jajeczkuje. I od dwóch dni jestem taka napalona.

To, że ona ot tak sobie mówi mi coś takiego, może oznaczać tylko dwie rzeczy - jest świetnie albo fatalnie. Tego rodzaju informacją podzieliłaby się ze swoim kochankiem. Ale podzieliłaby się nią również z homoseksualnym fryzjerem.

- Tyle że czasem jest mi trudno, kiedy jestem z nową osobą - mówi ona.

- No tak, to trwa chwilę, zanim się do kogoś przyzwyczaisz - zgadzam się, zastanawiając się jednocześnie, czy w półmroku widać, jak pąsowieje mi twarz. Nie udało mi się dokończyć sprawy. Nie byłem nawet blisko. A to przecież prawdopodobnie najbardziej orgazmiczna dziewczyna w Nowym Jorku. Tyle że była też ta historia w wejściu do piwnicy. Czy to się w ogóle jakoś liczy? Czy ona czasem o tym myśli?

- Rozmawiałaś z Rickiem? - pytam.

- Nie. Ale napisałam do niego list.

Byłbym najszcześliwszym człowiekiem na świecie, gdybyś do mnie napisała list. Ale ona napisała do niego. Drapu, drapu. W górę i w dół łydki.

- Bo wiesz, jeszcze na studiach ustaliliśmy między sobą, że e-maile są głupie. Pisaliśmy więc do siebie listy, takie na prawdziwym papierze, kiedy ja studiowałam w Maine, a on w Pensylwanii. Pomyślałam więc sobie, że znów napiszę do niego taki list na papierze.

- Aha?

Na Manhattanie są czasem takie momenty. Przechodzisz przez ulicę dwadzieścia, może trzydzieści razy dziennie. Prawie wszystkie ulice są jednokierunkowe. Uważasz. Czekasz, aż zmieni się światło, patrzysz na sygnalizację i robisz krok z chodnika na jezdnię, myśląc o jakiejś pannie albo o tym, co będzie wieczorem w telewizji, jednocześnie kątem oka obserwując ośmiotonową ciężarówkę dostawczą, która toczy się w twoją stronę, więc chcesz się upewnić, że na pewno zatrzyma się na światłach, kiedy nagle - szszszu! Ośmiotonową ciężarówka czeka spokojnie przy przejściu, ale podczas gdy na nią zerkasz, nagle znalazłeś się o krok od śmierci. Z drugiej strony dostawca-demon przelatuje o parę milimetrów od ciebie, pędząc ze świstem w chmurze zapachu wieprzowiny *moo-shu*, jadąc pod prąd jednokierunkową ulicą, tylko on jeden i jego pancerny chiński rower. Maszyna śmierci, która musi poruszać się szybko, bo gdzieś ktoś dokładnie taki sam jak ty czeka na kolację i na pewno pożałuje azjatyckiemu imigrantowi napiwku, jeśli ten spóźni się choćby o trzy minuty.

- No i po prostu napisałam mu, że go kocham. Szszszu! Tego się nie spodziewałam.

- No i? - mówię cicho.

- No i do mnie nie zadzwonił ani nie napisał.

- Kiedy wysłałaś ten list? - pytam, poważnie zatroskany. Atak mógł spowodować opóźnienie poczty.

- Wysłałam go jeszcze z Meksyku.

Łup! Bum! Krach! Trzask! Ta dziewczyna mnie zniszczy. Jest nieprzejednana. Pierwotny tytuł płyty Elvisa Costello „Siły zbrojne” brzmiał „Emocjonalny faszyzm”. Wiedzieliście o tym? Zawsze mi się wydawało, że byłby to lepszy tytuł. Może sam go kiedyś użyję. Jeśli kiedykolwiek nagram album o słodkim Saddamie z Connecticut.

- Kiedy?

- W zeszłą sobotę. Po tym, jak To się stalo. Bo myślałam sobie, że gdybym mieszkała w Madison, to byłabym tam z moim bratem, którego bardzo kocham i...

- I z Rickiem - kończę za nią. Julia nic nie mówi.

- Musisz się czuć strasznie - mówię.

- Jesteś jedyną osobą, której o tym powiedziałam. Dosłownie jedyną.

- Wiem - mówię, drapiąc i gładząc jej łydkę.

Tabela wyników odsłania się z trzaskiem - mam trzecie miejsce. Ale Dwayne nie ma szans, a Rick jej nie chce. No bo chyba nie chce?

- Miałaś wcześniej na palcu pierścionek - mówię.

- Tak?

- Na lewej ręce - mówię. - Ciągłe przy nim majstrowałaś albo go chowałaś za łokciem.

- A, zdjęłam go.

Zdobywam się na żartobliwy ton. Robię minę zagniewanego prokuratora z komedii.

- Czyżbyś się zaręczyła?

- Nie - mówi Julia. I śmieje się tym swoim pójśmicchem. - Tak tylko sobie go kupiłam.

Aha.

- Muszę się jakoś z tego wydostać - mówi. - Ale to problem logistyczny. Nie wiem, dokąd miałabym iść dalej.

Kusi mnie żeby skoczyć na równe nogi, zacisnąć dłonie w geście zwycięstwa i przypomnieć jej smak moich ust.

„Randy” mówi tak: Graj przed nią adwokata anioła. Spraw, żeby sama się do tego przekonała.

- Jesteś pewna, że tego nie da się ocalić? - pytam.
- W drodze powrotnej poruszyłam z nim Ten Temat.
- Małżeństwo? Julia kiwa głową.

Co za gnojek. Od kilku miesięcy miałem nadzieję, że on zrobi to jakoś oficjalnie, wyskoczy nagle z krzaków z pierścionkiem za trzy stówy i bukietem świeżych chwastów. A ona powie „nie” i tak się zakończy cała sprawa. Ale ta sierota tylko się chyłkiem podkradała w tę stronę, zadając jej to pytanie „nie wprost”, czekając na jej sygnał. Próbując wyciągnąć z niej jakąś deklarację.

- No i co mu powiedziałaś?
- Powiedziałam, że nie jestem gotowa.

No tak, typowo kobieca zasłona dymna. Ta dziewczyna po prostu nie potrafi mówić „nie”. Kobietom wcale nie jest trudno cię odrzucić - nie lubią tylko wymawiać tego słowa. Gdyby powiedziała „nie”, może z miejsca wyrzuciłby ją z mieszkania?

Płacę. Kolejne 72 dolary. Żeby zrealizować mój plan ograniczania wydatków, musiałbym przestać zabierać na miasto przynajmniej jedną z dziewczyn, wokół których się kręcę.

Idziemy na róg Czternastej Ulicy i Dziewiątej Alei w strugach deszczu. Jej kochane nóżki są całkiem przemoczone. Jej urocze sandaleczki. Wypiłem dwie karafki wina na pusty żołądek. W razie gdybym cokolwiek zapomniał, moja głowa przypomni mi o wszystkim jutro rano.

Zatrzymanie taksówki zajmuje nam chwilę. Biorę ją w ramiona i giniemy w przyjemnym, mokrym świetle. Kiedy w końcu udaje nam się złapać jakiś transport, kierując go w stronę West Side, Julia usadawia się w najdalszym kącie tylnego siedzenia.

- Chodź no tutaj - mówię.

I przyciągam ją do siebie, a ona wtula głowę w moją pierś i jest to bardzo miłe. Wcale nie tylko dlatego, że mam w związku z tym precudny widok na jej dekolt.

Myślę przez chwilę o pewnym wersie jednej piosenki, najbardziej nieprawdziwym wersie w historii muzyki pop. Pochodzi on z piosenki *You Won't See Me* Beatlesów, z płyty „Rubber Soul”:

Wolałbym przynajmniej wiedzieć, co tracę.

A ja to wiem, bardzo dobrze wiem. A wolałbym chyba nie wiedzieć

Taksówkarz słucha namiętnie beznadziejnej, popularnej stacji radiowej. Może on też ma kłopoty z kobietami? Może właśnie pocałował swoją dziewczynę na dobranoc? A może ma po prostu kiepski gust. W radiu leci Mariah, Celine, piosenka *Rikki Don't Lose That Number*.

- Uwielbiam tę piosenkę - mówi Julia.

I nieco się odsuwa. Nieznacznie, ale jednak.

Rikki. No tak, teraz rozumiem. Inaczej nie mogłaby się jej przecież podobać taka przestarzała, ni to jazzowa, ni to rockowa popularna piosenka. A ja tyle czasu poświęciłem na to, żeby się przygotować psychicznie do tej randki. Garnitur. Krawat. Staranny wybór restauracji. Czuję się jak nastolatek, który przychodzi na egzamin z pełną garścią znakomicie naostrzonych, świetnej jakości ołówków, ale w głowie ma same nieprawidłowe odpowiedzi.

- Bo ci się z nim kojarzy? - pytam. Julia nic nie mówi.

- Bo masz nadzieję, że on do ciebie zadzwoni? Julia nic nie mówi.

A ja trzymam ją w objęciach przez całą drogę do domu. A kiedy wracam w końcu do swojego mieszkania, kieruję się od razu do łazienki. Chcę sobie zwalić konia, ale nic z tego. Moje dłonie mają chyba migrenę.

Czwartek, 11 października

DENZEL W ZNAKOMITEJ FORMIE - TO, CHŁOPAKI, JEGO „DZIEŃ”

Rollo Thrash stały krytyk filmowy „Brukowca”

„Ten, kto spóźni się jakieś pół godziny na pokaz nowego filmu, *Dzień próby*, może się zdziwić, widząc, jak Ethan Hawke, z niezmiennie zarośniętym podbródkiem i rzucającymi co wrażliwsze panie na kolana niebieskimi oczami, jest bezlitośnie katowany w ciemnym zaułku Los Angeles przez parę rozwścieczonych bandytów. Spóźnialski widz mógłby nawet zacząć podejrzewać, że jest to jakiś dokument, a tych dwóch dżentelmenów, którzy przestawiają Et-hanowi zęby, to krytycy filmowi, mszczący się na nim za to, że musieli przecierpieć widok jego głupawego uśmiechu i sarniego spojrzenia w filmach takich jak *Przed wschodem słońca*. *Orbitowanie bez cukru* czy *Wielkie nadzieje*.

W rzeczywistości jednak film ten jest dramatem policyjnym, którego akcja obejmuje jeden dzień z życia Jake'a (Hawke), młodego, praworządnego obywatela, który ma żonę, dziecko i za sobą dziewiętnaście miesięcy służby w policji. W nadziei na otrzymanie odznaki detektywa zgadza się spróbować swych sił w «agresywnej» jednostce do walki z uliczną przestępczością, której dowódcą jest niejaki Alonzo Harris (Denzel Washington). Jake nie chce wypaść na mięczaka - zasiadając w «biurze» Alonza (czyli szpanerskim

wozie, którego tablica rejestracyjna ozdobiona jest łańcuchem), informuje nas, że grat kiedyś na obronie w szkolnej drużynie rugby, choć jego delikatna buzia sugerowałaby raczej nieco mniej wyczerpującą fizycznie pozycję na boisku - powiedzmy, na przykład, trzeciego klarncisty w orkiestrze dętej. Niedługo palem ma on szansę się nauczyć, jak na przykład można odzyskać fiolki z kokainą ukryte w przewodzie pokarmowym dealera na wózku inwalidzkim - wepchnięcie w gardło długopisu zwykle elegancko załatwia sprawę - oraz jak przeszukać dom, strasząc jego mieszkańców naładowanym pistoletem i wymachując zwiniętą w rulon kartą z chińskiej knajpy w charakterze nakazu rewizji. Wszystko to w ciągu jednego dnia pracy, której celem jest ochrona bezpieczeństwa publicznego i służba obywatelom, z których jedni nazywają go «ministrantem», inni «żóhodzio-bem», a jeszcze inni «zasranym, pogiętym, parszywym gliną».

Do czasu gdy Alonzowi udaje się rozgrzać swojego niewinnego podwładnego takimi porannymi ćwiczeniami, jak obrabianie przestępców i nieuzasadnione użycie sity, nie mówiąc już o picciu piwa w samochodzie i niepodjęwaniu nawet prób, żeby puste puszki trafiły na jakiś śmietnik, Jake powinien się już zorientować, że Alonzo jest niepoprawnym brudasem, a południowe dzielnice Los Angeles nie są najlepszym miejscem dla czyścioszków.

Jake jednak przyswaja sobie jedynie głoszoną przez Alonza zasadę, że «jeśli chcesz złapać wilka, najpierw sam musisz się nim stać», i próbuje przetrwać jakoś w jednostce, cały czas uparcie trzymając się przepisów. Jak się jednak pechowo składa, że cała jego dotychczasowa wiedza zdaje się pochodzić z książki *Praca w policji dla opornych*, w związku z czym niedługo i zanim się obejrzy, już się upali trawką nasączoną PCP i odda swój pistolet dobrze uzbrojonej trójce przestępców, z którymi nie wiezieć czemu zasiada do gry w karty. «Tu się gra w szachy, a nic jakieś p...c warcaby»

- mówi Alonzo do Jake'a, który zdaje się jednak mieć więcej predyspozycji do gry w kółko i krzyżyk.

Alonzo zdaje się czerpać przyjemność z tego mieszania Jake'owi w głowie, szybko się jednak okazuje, że ma on w tym również swój własny interes. Akcja nabiera tempa w momencie, gdy na jaw wychodzi jego plan, żeby wykorzystać nowego pomocnika do wyrównania własnych rachunków. To, co następuje później, mogłoby przypominać telewizyjne seriale policyjne, gdyby nic hip-hopowy podkład muzyczny - policjanci skaczą po balkonach i rzucają się na dachy śmigających dołem samochodów, tylko po to, żeby zdążyć na spotkanie z tajemniczym dżentelmenem, który oczekuje przekazania mu dokładnie miliona dolarów «przed północą i ani minuty później». Po to, żeby w 24-godzinnych ramach czasowych dało się upchnąć jak najwięcej wydarzeń, zmuszeni jesteśmy uwierzyć, że funkcjonariusze, którzy są świadkami zastrzelenia podejrzanego, mogą natychmiast udać się z powrotem do samochodu i dalej krążyć po ulicach. (Ma się chyba wówczas do wypełnienia jakiegoś raporty?). Trzeba jednak przyznać, że reżyser (Antoine Fuqua) oraz scenarzysta (David Ayer) mają dobrze wyczułone oko i ucho, w związku z czym prezentują nam wiele całkowicie realistycznych w swojej grozie sytuacji (pośród których jazda miejskim autobusem po zmroku wcale nie należy do najprzyjemniejszych), jak również kilka momentów naznaczonych znakomitym czarnym humorem. W jednej scenie dwóch obywateli pragnących pozbawić życia swoją ofiarę, jednocześnie minimalizując konieczność późniejszego sprzątnięcia, wrzuca delikwenta do wanny. Egzekucja jednak uparcie się odwleka, jako że zabójca wciąż starannie zaciąga zasłonę do prysznicza, podczas gdy towarzyszący mu kompan, chcąc dokładnie sobie obejrzeć przebieg akcji, jak również aby nie pozostawać beczynnym, wciąż ją dla odmiany odsuwa. Fuqua i Ayer poszli na minimalizm - w filmie nie

ma scen, w których żona Jake'a wpatrywałaby się z nadzieją w telefon, a w dialogach tylko sporadycznie daje się wyczuć wysiłek scenarzysty (na przykład w momencie, gdy Jake podsumowuje pracę w policji słowami: «Najważniejszy jest tu śmiech i łzy - trzeba je oszczędzać, bo tylko one są cokolwiek warte»). Hawke, świetnie obsadzony w roli naiwniaczka, znakomicie wykorzystuje w tej roli swoje sarnie oczy, a Washington, który do tej pory odgrywał Wojownika o Godność i Sprawiedliwość jeszcze bardziej uparcie niż nasz niezmordowany bojownik „Lesse Jackson”, pokazuje nowe możliwości swojego talentu, sypiąc co chwila urzekająco złośliwymi tekstami. «Musisz się trochę utyłać, żeby ci ktokolwiek zaufał» - mówi w pewnym momencie do Jake'a. I właśnie o to tutaj chodzi”.

Siedzę przy swoim biurku, kiedy podchodzi do mnie Ropuch, dzierżąc w ręku wydruk recenzji Rolla. Nie daje po sobie poznać, żeby w ogóle zauważył to, o czym dzisiaj trąbi cała redakcja - że jego perfekcyjny ogródek bonsai przyciągnął do siebie gościa. Ktoś dodał do kompozycji małego srebrnego pieska z gry „Monopol”. Nieco zmodyfikowanego. Odcięło mu bowiem nóżkę, następnie przyczepiono mu ją z powrotem w pozycji uniesionej. W wyniku czego obecnie miniaturowy terierek zdaje się puszczać miniaturowy strumyczek na miniaturowe drzewko. Jeden z lepszych redakcyjnych wyczynów.

- Rollo nagle zaczął pisać z sensem - mówi Ropuch. - Co mnie bardzo dziwi, bo już myślałem, że jest z niego już tylko przebrzmiały dawno opijus, który nawet jednej serwetki nie potrafiłby wypełnić składnymi zdaniami.

- Trochę to wygładziłem. Wyprostowałem co bardziej poplątane kosmyki. I dodałem trochę żelu stylizującego.

- Ty to napisałeś - mówi Ropuch.
- Tylko to, co następuje po pierwszej linijce.
- To dlaczego tekst jest sygnowany nazwiskiem tego zarozumialca?
 - Bo to on jest tu gwiazdą. Od paru miesięcy podrasowuję jego teksty.
 - „Podrasowujesz”? Nawet gwiazdy telewizyjnych programów rozrywkowych mają więcej własnej inwencji niż on! Wiesz chyba, że on w przyszłym tygodniu jedzie do Afganistanu. Kto, twoim zdaniem, miałby pisać za niego recenzje, podczas gdy jego nie ma?
 - Dostałem instrukcje, żeby dalej ciągnąć, tak jak ciągnę.
 - Od kogo?
 - Od Roïła.
 - Jeśli z innych artykułów wynika, że on jest akurat w Kabulu, to nie możemy podawać też jego nazwiska na recenzjach filmów.
 - Ale przecież mógł je obejrzeć przed wyjazdem. Pokazy są czasem przecież z dużym wyprzedzeniem.
 - Zaczekaj chwilkę - mówi Ropuch.
- Patrzę za nim, jak kuśtyka z wydrukiem w stronę oszklonego gabinetu Cronina na drugim końcu sali. Ropuch podaje mu wydruk. Cronin na niego patrzy, a Ropuch coś cały czas nadaje. Pokazuje coś na wydruku i obaj się śmieją. Rozbawił ich mój tekst! Nie jest to głośny wybuch śmiechu, ale jednak. Potem Ropuch wraca do mojego biurka. Kładzie na nim wydruk.
 - Cronin mówi, że jesteś bardzo utalentowany - mówi. - Wyrzuć stąd nazwisko Thrasha i wstaw swoje.
 - Ze zdjęciem? - pytam oszołomiony.
 - Nie, z obrazem olejnym - odpowiada Ropuch. - Zrób sobie zdjęcie portretowe. Spróbuj się ustawić lepszym profilem do obiektywu. Ale czekaj, przecież ty nie masz lepszego profilu. To załóż sobie worek na głowę, zrób sobie operację

plastyczną, wszystko mi jedno. Jesteś naszym nowym krytykiem filmowym. I czyni nade mną znak krzyża.

Jestem poruszony. Nie wiem, co powiedzieć. Z wyjątkiem.

- Dostanę podwyżkę?

- Jezu Chryste - mówi Ropuch, nachylając się i szepcząc mi dalej do ucha: - Ty niewdzięczna kupo gówna, w życiu nie widziałem bardziej upierdliwej marudy. Mówiłem już o tym z Croninem i nic dostaniesz więcej niż...

Po czym wymienia sumę, która dwa razy przewyższa podwyżkę, o którą w ogóle śmiałybym prosić,

Zastanawiam się, czy to oznacza, że będę się musiał lepiej ubierać. I czy znajdą kogoś innego, kto będzie teraz robił porządek w dodatku specjalnym. I czy w ogóle nadają się do tej pracy.

- Aha, jeszcze jedno - mówi Ropuch, kuśtykając z powrotem na swoje stanowisko. - Tom, nie spieprz tego.

Poniedziałek, 15 października

Po wspólnie zjedzonej kolacji idziemy z Uesl Broadwaycm.

- Chcesz w przyszłym tygodniu pojechać pod namiot do Utah? - pyta Liesl.

- Pod namiot? - powtarzam z niedowierzaniem.

Liesl odmalowuje przede mną wizję lego, na czym takie dziwaczne zajęcie miałyby polegać. Piesze wędrówki. Jazda na rowerze. Noclegi pod gwiazdami. Osobiście wolałbym nocować pod jakimś dachem. Czy przypadkiem nie na tym polega zachodnia cywilizacja, że c złowiek nie musi już spać pod gwiazdami?

- Wiesz co - mówię. - Ja to nic przepadam za życiem na łonie natury.

Mówcie, co chcecie, o Nowym Jorku, ale przynajmniej nie zdarza tu się raczej, że kogoś ugryzie grzechotnik,

- Szkoda - mówi Niemka. - Miałam nadzieję, że kiedyś się wybierzemy pod namiot.

- Osobiście nie sądzę, żeby to się miało szansę wydarzyć - mówię ja.

Liesl patrzy na mnie spode łba. Ale właśnie mijamy mój ulubiony sklep spożywczy. Pora zmienić temat rozmowy.

- Hej - mówię. - Może wejdziemy tutaj?

- Chcesz zrobić zakupy? - pyta Liesl. - Nie sądzisz, że to trochę nie wypada, kiedy jesteś ze mną?

- Nie, to nic o to chodzi - mówię.

- To o co?

Liesl stoi w miejscu, jakby przyrosła do chodnika. Będę chyba musiał sprowadzić koparkę, żeby ją teraz stąd ruszyć.

- To niespodzianka - mówię tak przymilnie, jak tylko potrafię. Panny uwielbiają, jak się im mówi o niespodziankach, nawet jeśli niespodzianka okazuje się taka sobie.

Mam szczęście. W środku, nad działem warzyw i owoców, znów nie pali się światło. Czasem człowiek aż zaczyna podejrzewać, że to jakaś zorganizowana akcja sabotażowa. Może jakieś bandy młodych romantyków zakradają się tutaj i rozwalają światło pneumatycznymi pistoletami? Taki nowojorski wariant starej sztuczki ze starannym pilnowaniem poziomu paliwa w baku, żeby mieć pewność, że skończy się ono gdzieś w połowie randki.

Prowadzę Liesl za rękę przez półmrok sklepu. Dwoje japońskich turystów z odlotowymi blond fryzurami kręci się przy jabłkach Fuji. Dwoje starszych po siedemdziesiątce ma się ku sobie przy jabłkach Babuni.

- Wszystko tu takie soczyste, co? - mówię do Liesl.
- O co ci chodzi? Owoce są zwykle soczyste.
- Zamknij oczy - mówię.
- Co? - mówi Liesl. - Po co? Co ty robisz?
- Zaufaj mi - mówię.
- Będziesz coś kupował czy...?
- Nie, tylko...
- Wiesz co, miałam właściwie zamiar wrócić dziś wcześniej do domu - mówi Uesl, patrząc na zegarek. - Zaraz będą *Przyjaciele*.
- Jeszcze tylko minutkę. Poddaj się tej chwili.
- Nie rozumiem - mówi Liesl.
- Proszę - mówię cicho, podając jej truskawkę.
- Łe! - mówi ona. - Czy to było myte?
- Okej, nieważne - mówię i sam ją jem. Nie smakuje tak, jak powinna. Jest już po sezonie.
- A płaciłeś za to? - pyta Liesl.

Piątek, 19 października

Kiedy wchodzę do redakcji, wszyscy o czymś trajkoczą jak najęci i opowiadają w kółko tę samą historię. Jak się okazuje, któraś z koleżanek uległa zatruciu, otwierając kopertę, z której wysypał się biały proszek. Zabrali ją do szpitala i tak dalej. „Zrucili na nas wąglika” - podsumował Hoff. Ten wąglik to niby jakieś śmiercionośne świństwo, ale zdaje się, że ona akurat trafiła na jakąś łagodniejszą wersję. Wąglikowy odpowiednik kawy bczkofeinowej - powoduje jedynie wysypkę. Oczywiście jutro będziemy w związku z tym siać ziarno niepokoju: „ATAK NA «BRUKOWCA»!”.

- Której to się stało? - pytam Hoffa.

- Nie wiem. Taka młodziutka asystentka z seksownym odkrytym brzuszkiem.

Burkey się śmieje,

- Ona posiada imię, Hoff. Zdaje mi się, że nazywa się Hillary. Lekarze mówią, że jej stan jest stabilny. Wszystko będzie w porządku.

- Hillary? Ta, która jest Eliego, hm...?

- Narzeczoną - mówi Hoff.

Oj. Czyli podwyższył loty. Nie wiedziałem o tym.

- A to od kiedy?

- Od kiedy To się stało, w powietrzu unosi się atmosfera miłości - mówi Burkey.

Czyżby? Myślałem, że w naszym powietrzu unoszą się jedynie niebezpieczne związki chemiczne. Przechodzi koło nas dwóch facetów w skafandrach kosmicznych, kierują się

do działu redakcyjnego. Zaczynają zabezpieczać zagrożony teren wielkimi płachtami plastiku i taśmą izolacyjną. Zdaje się to przynosić efekt odwrotny do zamierzonego, wszyscy bowiem na kilka minut zamieramy przerażeni i nie odzywamy się ani słowem. Sensacje nie są już takie ekscytujące, jeśli ogląda się je z perspektywy torby na zwłoki.

- Do kogo to było zaadresowane? - pytam. Burkey nie wie.

- Policja to skonfiskowała. W charakterze dowodu. Kto wie? Ona otwiera całą pocztę.

- Założę się, że to było do mnie - mówi Kila. - Z powodu tego mojego ostrego artykułu o Al-Kaidzie.

- No pewnie - mówi Burkey. - Aleja napisałem w zeszłym tygodniu o tym, że epoka kamienia łupanego w Afganistanie skończy się dopiero, jak go zbombardują nasze wojska.

- Nie, nie, nie - mówi Hoff. - To musiało być do mnie. Ja zawsze dostawałem więcej pogroźek niż wy.

Burkey podnosi rękę.

- No, ale proszę was. To ja miałem zawsze najlepsze pogroźki. - I zaczyna je sobie odliczać na palcach. - Zodiakalny zabójca, Colin Ferguson...

- Czekać, czekać, Zodiakalny to może i tak, ale Ferguson kierowa! swoje pogroźki do nas wszystkich.

Burkey przewraca oczami.

- No jasne. Al-Kaida wzięła sobie na cel najważniejszego gościa w Senacie, prezesa Komitetu Sądowego Senatu oraz gościa, który uraczył wszystkich historią o lym, jak to jedna pani policjant wystąpiła w „Playboyu” w samym pasie służbowym.

- Weź lepiej spadaj, to był dobry artykuł - mówi Hoff. - Sam nawet napisałem tytuł.

- Ej no, daj spokój - mówi Rita. - „POLICJANCI Z BALONAMI”? Jakież dziesięć osób jednocześnie o tym pomyślało.

- Tom Farrell - woła Hyman Katz. - Dzwoni mamusia.

Pozostali puszczają drwiące uwagi o chłopczykach mamusi, kiedy wracam do swojego biurka i macham do Hymana, żeby przełączy! do mnie rozmowę.

- Kochanie - mówi mama. - To straszne z tym wąglikiem!

- Nie ma powodu do paniki - mówię.

Biorę do ręki jedną z masowo produkowanych ulotek, które właśnie porzrucano nam po biurkach („BĄDŹMY SILNI

- NOWY JORK NAS POTRZEBUJE"). Płynące z niej wnioski na temat tego, jak po 11 września utrzymać się w dobrym samopoczuciu - często odpoczywać i pić dużo płynów.

- Słyszałam, że podobno zaatakowali telewizję NBC?

- mówi mama.

To dobry znak. Nie słyszała zatem, że nas też już przydybali. Nie ma co jej mówić. Ta kobieta daje wyraz swoim nerwom, kiedy otwieram zębami paczkę ciasteczek, twierdzi bowiem, że siekacze, które przez tysiące lat biologia doprowadzała do stanu perfekcji, tak aby mogły się wgryzać w ciało mamuta, rozsypią się nagle na kawałeczki, jeśli zostaną użyte do rozerwania celofanowego opakowania.

- Tak - mówię.

- Ale nie jesteś przypadkiem gdzieś w pobliżu? - pyta mama.

- Nie, oni są daleko, po drugiej stronie - mówię, wyglądając przez okno i patrząc na ozdobny neon STUDIO NBC po drugiej stronie ulicy.

- Uważaj na siebie, kochanie - mówi mama.

- Obiecuję zredukować do minimum ilość wdychanego powietrza - mówię.

Kiedy tylko kończę rozmowę, zaraz dzwoni kolejna zatroskana kobieta.

O Boże, nic ci się nie stało?

Nit absolutnie, mam się znakomicie - mówię. - A ty co porabiasz?

- Jestem na stronie czterdziestej dziewiątej *Postępowania w sprawach cywilnych* - mówi Katie. - Jeśli to już czytałeś, to nie zdradzaj mi tylko przypadkiem zakończenia.

- Nauczyłaś się już myśleć jak prawnik? - pytam.

- Chciałaś powiedzieć jak adwokat? Każdy dzień to dla mnie kolejny odcinek niekończącego się horroru. Mogę jednak tylko sama siebie za to winić. Wplątałam się w to *sua sponte*.

- *Sua sponte*, to brzmi smakowicie. W zeszłym tygodniu jadłem to na deser w restauracji Carmine's.

- He - mówi ona. Szkoda, że już nie mówi „he, he”, tak jak kiedyś. No ale może jeśli się ograniczy śmiech do jednej sylaby, można zaoszczędzić trochę czasu?

- Będziesz miała polem parę godzin, które można by podsumować jakimś przyjemnym rachunkiem?

- Nie wiem. Mam dużo nauki. Naprawdę dużo.

- Może ci pomogę?

- A do jakiej konkretnie formy pomocy zobowiązuje się strona?

Męski instynkt, żeby chronić delikatną, śliczną i słodką panienkę, jakoś zdaje się niknąć w momencie, gdy rzeczona panienka zaczyna się odszczekiwać jak jakiś nieugięty adwokat. Z drugiej jednak strony, tyłek Katie wciąż jest fantastyczny. O którym to fakcie, właśnie sobie to uświadamiam, lepiej żebym przy niej nie wspominał, chyba że będę miał nagłą ochotę, żeby mi zmiażdżono jaja potężnym imadłem godnym bezlitosnego sędziego. Za to patrzeć mogę sobie do woli. To właśnie jest fajne, jeśli chodzi o tyłki - kiedy tylko na nie zerkasz, panna i tak jest odwrócona w drugą stronę. Tylko po co w takim razie cycki im umieścili z przodu?

- Obiecuj, że nie będziesz mnie próbował upić - mówi Katie.

- Przyślij swojego notariusza - mówię. - Wszystko podpiszę. Spotykamy się w Café Żabka. Katie wpada zdyszana. Siedzę na ławie przy ścianie i piję już drugie piwo.

- Spóźniłam się jedenaście minut - oznajmia Katie.

- Proszę się zbliżyć - mówię i wyciągam szyję, żeby ją pocałować. Ale jest to staranie jednostronne. Katie bowiem przez cały czas mówi.

- Mogę ci poświęcić siedemdziesiąt pięć minut - mówi. - Będziemy coś jeść czy tylko pijemy? Bo jeśli mamy jeść, to musimy zaraz zamówić i będziemy mieli czas albo na przystawkę, albo na jakieś danie, ale raczej nie na jedno i drugie.

Odpowiadam na to wszystko najdostojniej, jak tylko potrafię, czyli gwałtownie ruszam głową na wszystkie strony, starając się jakoś trafić ustami w jej usta. Kiedy znajdowałam się w podobnych sytuacjach piętnaście lat temu, to głowa dziewczyny krążyła w seriach nieodgadnionych uników, ponieważ panna na przykład była zdenerwowana, bo nie miała dużego doświadczenia w całowaniu, albo nie była pewna, czy nadszedł już ten najważniejszy moment absolutnej wyjątkowości naszego związku, albo na drugim końcu sali balowej stał ktoś, kto jej się bardziej podobał, ale komu towarzyszyła Linda Mazzucchelli, czyli najgorsza dupodajka, która na pewno ma sześć rodzajów chorób wenerycznych, no i dobrze mu tak, a w ogóle, to czy on chociaż patrzy w tę stronę, żeby zobaczyć, co traci? Dziewczyński obłęd, to im chyba nigdy nie przechodzi. Przechodzi tylko dziwne i przerażające mutacje. Dziś się taka fascynuje gadżetami z kucykiem My Little Pony, a jutro będzie wstawać o piątej, żeby spędzić kilka godzin w kolejce, czekając na otwarcie wyprzedaży próbek w Hervé Chapelier, żeby porównać stos superprostych nylonowych torebek z tego sezonu ze stosem torebek z roku poprzedniego.

Podchodzi do nas kelnerka, prawie się przewraca, potykając się o pęknięcie w posadzce.

- Delikt! - woła Katie.

- Co proszę? - mówi kelnerka z silnym francuskim akcentem. Prawdopodobnie pomyślała, że Katie mówi o niej

coś brzydkiego, co zresztą również nie byłoby pozbawione sensu.

- To nie do pani - mówi Katic i łapie za kartę. Niemal już słyszę, jak kelnerka zbiera w ustach flegmę, którą zaraz urozmaici nasze napoje, szybko więc zaczynam jej tłumaczyć, że moja przyjaciółka jest prawniczką i ma wyczułone oko na wszelkie przypadki, w których można by zniszczyć nieszczęsnego drobnego przedsiębiorcę, takiego jak na przykład właściciela tego lokalu.

- Dziś po południu mieliśmy gorącą kawę - mówi kelnerka. - Ona mi się tu wylała na rękę, proszę popatrzeć.

Na skórze jest niemal niedostrzegalne zaróżowienie, mniej więcej dziesięciokrotnie słabsze niż przeciętne „pokrzywki”, jakie sobie robiliśmy w siódmej klasie. W siódmej klasie to właśnie była ulubiona zabawa. W szóstej bowiem dla odmiany bawiliśmy się w „skrobanie marchewek”. Trzeba się było zakraść od tyłu za idącym kolegą i nadepnąć mu na tył buta na tyle mocno, żeby mu pięta wyskoczyła na zewnątrz i przydeptała potem but, lądując z powrotem, tak że koleś musiał się zatrzymać i przeklinając napastnika, zdjąć but i założyć go jeszcze raz. Na jednej wycieczce biedny Bucky osiągnął rekordową liczbę trzydziestu sześciu zrobionych mu „marchewek”. Mam niezbite podstawy, by sądzić, że do tej pory do końca się jeszcze nie wyzwolił z przeżytej wówczas trau-my. Kiedy tak teraz o tym myślę, szkoła podstawowa była jednym wielkim pasmem eskalującej przemocy. Całe szczęście, że odkryliśmy w końcu dziewczyny, bo w przeciwnym razie po paru latach zabawialibyśmy się po szkole wesoło ganiając się po boisku z piłami łańcuchowymi.

- Och, to z pewnością można zaskarżyć - mówi Katie, oglądając dokładnie rękę kelnerki-powódki. - Powinna pani z kimś się w tej sprawie skontaktować. Ja jeszcze nie jestem adwokatem, ale gdybym nim była, to z pewnością zajęłabym się tą sprawą.

W czasie gdy Katie jest w łazience, zamawiam butelkę wina. Kiedy Katie wraca, kelnerka właśnie ją otwiera.

- A to co? - wola Katie, unosząc w powietrze kieliszek, jak gdyby był on dowodem rzeczowym numer jeden.

- Czy może być na świecie coś smutniejszego niż pusty kieliszek? - mówię. - Spożytkujmy trochę wina.

- Będę musiała ci uniemożliwić dalsze postępowanie - mówi Katie.

- Uniemożliwić?

- Przecież się zobowiązałeś, że nie będziesz się starał mnie upić.

Katie zamawia sobie piwo bezalkoholowe, takie, jakiego nie wypiłby nawet alkoholik na odwyku. Komu by przyszło do głowy pić budweisera, gdyby nie zawiera! on alkoholu? Nawet z zawartością alkoholu jest przecież dość koszmarny.

- No to co? - zaczyna Katie. - Co się z tobą ostatnio działo? Czemu nie miałam okazji cię zobaczyć? Co słyszeć w pracy? Jak tam życie emocjonalne?

- Kiedyś stawiałaś tarota - mówię.

- To było dawno, dawno temu - mówi Katie, układając sztucce wokół swojego talerza.

- Trzy miesiące temu. Twoi koledzy ze studiów w ogóle nie chcieli mi wierzyć, że robiłaś takie rzeczy.

Katie podnosi na mnie wzrok. Jej wyraz twarzy jest tępy jak mtotek. Miotki rzadko bywają piękne.

- Komu o tym mówiłeś? - pyta.

- To tylko żart - mówię.

- Więcej niż jednej osobie? Kiedy o tym opowiadałeś? Co mówiłeś dokładnie? W jakim kontekście?

- Nie mówiłem poważnie.

- Jak to nic mówiłeś poważnie? - docieka Katie. - Albo im powiedziałaś, albo nie.

- Żartowałem - mówię.

- Kiedy? Teraz czy wtedy?

- Teraz. I przedtem. Wszystko zmyśliłem. Nic nikomu nie powiedziałem - mówię.

- Aha - mówi ona.

Patrzy na zegarek, który teraz nosi tarczą do wewnątrz. A jego pasek z kolei przytrzymuje jej mankiet. Dziewczyna pewnie robi fortunę, oszczędzając tyle czasu, który inaczej marnowałyaby na obracanie nadgarstka i podciąganie w górę mankietów.

- Ale teraz im powiem! - wolant, mrugając do niej zawadiacko.

- Słuchaj, Tom, bardzo mi zależy na publikacji w periodyku prawnym. Coś takiego mogłoby naprawdę zniweczyć moje szanse.

Niedługo potem Katie zwalnia mnie za kaucją, którą sam płacę.

- Słuchaj, przepraszam cię - mówi, kiedy wychodzimy. - Ale jestem ostatnio zestresowana zbliżającym się testem. Muszę się dziś w nocy jeszcze trochę pouczyć. Normalnie taka nie jestem. Dzisiaj po prostu jestem trochę *non compos mentis*, wiesz?

- No jak - mówię. - To się często zdarza.

- Dobranoc, Tom.

- Dobranoc, Katie.

- Aha, Tom. Wiesz co, mam teraz na imię Kato.

- Kato.

- Właśnie tak.

Rozstajemy się bez pocałunku.

Sobota, 27 października

W czwartek wieczorem Liesl wróciła z Utah, Nie zadzwoniła do mnie. Wczoraj wieczorem rozmawialiśmy przez chwilę. Poinformowała mnie, że wybiera się na imprezę u Nory. Nie wspomniała jednak ani słowem o tym, żebym i ja był zaproszony na tę małą fiestę.

- No więc tak - mówi Liesl.

- No więc tak - mówię ja. - To może spotkamy się jutro?
Milczenie, które po tym następuje, trwa nieco za długo
i zaczyna być nieco krępujące.

- Wiesz co - mówi Liesl - na jutro też mam plany. Koleżanka Nory robi imprezę.

To byłby znakomity moment, żeby mnie zaprosić.

- To może zobaczymy się jutro po południu? - proponuje Liesl.

- Brzmi nieźle - mówię. Po południu?

Tak więc dzisiaj siedzę sobie w domu i czuję się trochę słabo. Może to ta szczepionka przeciw grypie. Wszyscy tak się boją wąglika, że robią sobie szczepionki, żeby czuć się bezpiecznie. Tym sposobem, jeśli na przykład za miesiąc poczujesz, że masz typowe objawy grypy, będziesz przynajmniej spokojny, że to wcale nie grypa, tylko właśnie umierasz z powodu wąglika. Tyle tylko, że mam wrażenie, że sama szczepionka spowodowała u mnie jakiś uboczny wariant grypy. Mój żołądek zdaje się podskakiwać w rytmie rumby. Moja skóra przypomina wnętrze ostrygi.

Ubierając się, myślę: Co należy włożyć na rozstanie? To coś pomiędzy ślubem a pogrzebem. Czerń jest odpowiednia na każdą okazję. Oficjalny kolor Nowego Jorku. Zakładam więc czarne dzinsy. Nakładam piankę na włosy, staram się utworzyć na swojej głowie artystyczny nieład. Niestety włosy mam nie dość wilgotne i w elekcie mam na głowie mało artystyczne siano. Wyglądam jak trzynastolatek. Ale z drugiej strony, co mnie to obchodzi? Może jeśli zagram na współczucie, robiąc z siebie Króla Obwiesiów, to zostanę za to wynagrodzony jakimś litościwym numerkiem?

Zamiast przyjść do mnie, Liesl dzwoni ze stacji metra i mówi, żebyśmy wyszedł się z nią spotkać w pobliskim barze kawowym. Kiedy się spotykamy, nie rwę się do pocałunku. Ona też nie. Mówimy sobie tylko cześć. Liesl ma na sobie grube wełniane spodnie, flanelową koszulę, długachny bezrękawnik, dzierganą czapkę. Jest osobą praktyczną. Praktycznie rzecz biorąc, wygląda jak drwal.

Siedzimy w rogu, mam więc możliwość gapić się na Cafe Żabka za jej plecami i myśleć o tych chwilach, które spędziłem tu z Julią.

Jak na razie wszystko wygląda bardzo kulturalnie. Liesl zdejmuje kurtkę, pod którą ma luźny sweter w kolorze khaki, a na nim jeszcze polarowy bezrękawnik, którego główną funkcją jest chyba pozbawić jej figurę ostatnich śladów kobiecości.

Pijemy gorącą czekoladę. Jest za słodka. Ma taki smak, jakby roztopić tabliczkę czekolady, wlać do szklanki kakao i posypać wiórkami czekoladowymi. Nie mam ochoty jej kończyć. Ale z drugiej strony, sporo kosztowała - owszem, w tym mieście jest całkiem możliwe zapłacić cztery i pół dolara za filiżankę kakao. Zdaje mi się, że obok siedzi moja mama i mówi: „Po co sobie to zamawiałeś, jeśli nie masz na to ochoty?”. Zmuszam się do wypicia tego świństwa, choćby po to, żeby mama się nie czepiała.

Opowiadam Liesl o Ropuchu.

- No i pytam się go, jak myśli, kiedy wszyscy przestaną wreszcie piąć z zachwyty nad naszymi strażakami? A on na to, że pewnie wtedy, kiedy się zorientują, że to oni ukradli te wszystkie drogie zegarki z centrum handlowego pod wieżami WTC.

Liesl krzywi się z niesmakiem.

- Dlaczego mieliby za tym stać strażacy? - pyta.

- To musieli być oni albo jakieś inne służby specjalne

- mówię. - Wszyscy inni ewakuowali się przecież z budynku. No wiesz, tak jakby... uciekali, no nie? W panice, tak? No a potem ochrona odcięła cały teren od świata i nikt tam już nie mógł wejść.

- Nie sądzisz, że mogli to być raczej jacyś zwykli przestępcy?

- Ale dlaczego ktoś miałby zrezygnować z panicznej ucieczki i zajmować się rozbijaniem grubachnych szyb i wyciąganiem zegarków ze sklepu? - pytam.

- Przestępcy nie są chyba zbyt inteligentni - mówi Liesl.

- Ale przestępcy nie mieli czasu, żeby się tam dostać

- mówię ja. - W budynku było pełno zwykłych pracowników biurowych, którzy uciekali, żeby ocalić życie.

- No ale niektórzy z nich to mogli być przestępcy - mówi Liesl, marszcząc brwi.

- Którzy tego dnia akurat zapomnieli przynieść do pracy swoich przestępczych łomów - mówię ja.

Liesl piorunuje mnie wzrokiem. W moim żołądku podryguje kakao.

- No dobrze, dajmy temu spokój - mówię.

Przynoszą nam przystawki. Liesl przez chwilę zajmuje się jedzeniem. Kiedy znów podnosi wzrok, ma już inny wyraz twarzy.

- Coś ci się oczy błyszczą - mówię.

- Tak sobie myślałam, kiedy spałam na pusłyni w Utah

- mówi Liesl - że nie mamy ze sobą zbyt wiele wspólnego. O czym zresztą już rozmawialiśmy.

- Uhm - mówię.

- Co twoim zdaniem mamy ze sobą wspólnego? - pyta ona.

Oprócz seksu, to chyba nic. Ale z drugiej strony, dlaczego człowiek miałby pozbawiać się życia seksualnego tylko dlatego, że jego partnerka jest kompletną nudziarą?

- Chyba niewiele - mówię.

Podręcznik bycia chłopaczkiem ma jedną prostą radę na takie sytuacje - czas się troszkę nadaśać. Jednocześnie jednak nie dać po sobie poznać, że cię to wszystko cokolwiek obchodzi.

- No i naprawdę przeszkadza mi twój cynizm - mówi Liesl.

Czy cynizmu można mieć w ogóle w sobie za dużo? Rozejrzyjcie się tylko dookoła.

- I mam wrażenie, że nie szanujesz mojego stylu życia. Mimo woli aż się wzdrygam na myśl o jej mieszkaniu.

Telewizor, w którego prawym górnym rogu migocze spazmatycznie sygnał CH 03. Prysznic, który z sykiem wypuszcza z siebie ciepłą wodę, która i tak kończy się po minucie. Papier toaletowy przypominający korę drzewną. Mamroczące coś opryszki na przystanku autobusowym pod jej oknem. To nie jej styl życia nie bardzo mi się podoba. To raczej jej dzielnica.

- Proszę o rachunek - mówię.

- Myślisz, że to ma jakąś przyszłość? - pyta Liesl.

- Chyba raczej nie - mówię ja.

- Byłam już w związkach bez przyszłości, które całkiem długo trwały - mówi Liesl. - Nie chcę tego powtarzać.

No i udało jej się. Przydybała mnie. W miejscu publicznym. Wie przecież, że nie zacznę tutaj żarliwie bronić naszego apatycznego związku. Przyuważyła moje odrętwienie i pobudziła mnie swoją inercją.

A dlaczego w ogóle zaczęliśmy o tym mówić? Ona wiosną się przeprowadza do Dusseldorfu. Czy nie moglibyśmy do

tego czasu pozwolić sprawom po prostu toczyć się swoim torem? Muszę przecież mieć kogoś, kto pomoże mi przetrwać ten świąteczny okres.

- W porządku - mówię.

Po czym Liesl robi coś zadziwiającego - pozwala mi zapłacić. Myślę sobie: „Właśnie spędzam z tą osobą ostatnie pięć minut w życiu”. Odprowadzam ją na stację metra Central Park West.

- Miłej podróży - mówię.

Liesl się uśmiecha i całuje mnie. W usta. Pocieram lekko jej łopatki. A ona ostentacyjnie całuje mnie raz jeszcze. Usta-usta. Tak jakby chciała powiedzieć... co właściwie? Kto te panny zrozumie?

- No to cześć - mówi radosnym głosem i znika.

- Cześć - macham do niej i odwracam się, żeby wymazać jej numer ze swojej komórki.

Analizuję w myślach swój seksometr, spowiadając się po cichu sam przed sobą: „Wybacz, Panie, bo za mało grzeszyłem”. Minęło już jedenaście dni od ostatniego numerku.

Zawsze sądziłem, że najmniejszym z najmniejszych ułamków jest procent majątku Billa Gatesa, jaki przeznaczają na fryzjera. Teraz jednak zdaję sobie sprawę, że jeszcze mniejszą wartością należy mierzyć moje szanse na to, że kiedykolwiek uda mi się rozpiąć komuś stanik, nie płacąc za to.

Wrzucam więc automatyczne wybieranie - numer osiem.

- Heeej! - woła Kate. - Jak dobrze cię słyszeć! Myślałam, że jesteś na mnie wściekły. Nie odzywałeś się cały tydzień.

- No wiesz, kurczę blade - mówię, wzdrygając się jednocześnie. „Kurczę blade”? To tak się teraz rozmawia z panią z prowincji? - Miałem dużo pracy.

- Dopuszczam możliwość uniewinnienia - mówi ona. - Co robisz dziś wieczorem?

- Jesteś głodna? - pytam.
- No, powiedzmy, *argumdo*, że tak. Masz ochotę na *sushi*?
- Hmm - mówię.

Co to za nagły poryw naiwności każe nam wierzyć, że surowa ryba nie zaszkodzi, tylko dlatego, że podaje się ją w eleganckich lokalach, przybraną artystyczną grudką *wasabi*! Gdyby to samo podawał w barze przy drodze jakiś ubrany w kombinezon roboczy osiłek, pod nazwą „świeżo ubite morskie stwory, które zresztą podajemy całkiem na surowo”, też by to wszyscy jedli?

- To może o ósmej w Sushi Zen? - proponuje Kate.

- Hm - mówię. - Okej.

- Aha, ale ja nie będę mogła zbyt długo zostać - mówi ona. - Muszę być w domu na dziesiątą, żeby popracować nad deliktami.

- Nie ma problemu - kłamię. Jasna cholera!

Kończymy rozmowę. Automatyczne wybieranie - numer siedem.

- Dzień dobry, tu pan Uszczęśliwiacz.

- Tom! - woła Bran. - W ogóle się ostatnio nie odzywasz.

- Oglądałem ten twój program o bezpieczeństwie na lotniskach.

Znakomity!

Tak naprawdę trafiłem na niego przypadkiem. Akurat przerzucałem któregoś wieczoru kanały i trafiłem na „zapierający dech w piersiach” reportaż o bezpieczeństwie na lotniskach. Przypomniałem sobie jak przez mgłę, że ona też coś takiego robiła, no i ułożyło mi się to w jeden obrazek. Oglądałem to przez jakieś trzydzieści sekund, po czym mnie to znudziło („W rzeczywistości bowiem Federalny Zarząd Lotnictwa był bardzo krytyczny wobec systemów bezpieczeństwa na tym lotnisku w swoim raporcie! Z roku 1999!), przełączyłem więc na jakiś serial przygodowy.

- Naprawdę? - rozplýwa się Bran. - Jestem z niego taka dumna. Nie masz pojęcia, ile to mnie kosztowało pracy.

- Musisz mi o tym opowiedzieć - mówię. - Możemy się umówić na drinka wieczorem? Tak gdzieś koło dziesiątej?

- No dobra - mówi Bran. - Tyle tylko, że ma do mnie ktoś dzwonić z materiałem.

- To może wpadnę do ciebie? Przyniosę ci jakiś deser. Coś słodkiego w piekarni Columbus nie będzie kosztować

więcej niż cztery dolce. Jeden drink w knajpie Dublin House kosztuje 5,50. A poza tym w Dublin House miałbym niewielkie szanse znaleźć się między jej nogami.

Wracam do domu i robię sobie coś do jedzenia, bo przecież idziemy na *sushi*. W lodówce mam hamburgera. Cały tydzień jadłem poza domem, wacham więc go ostrożnie - trochę śmierdzi. To nie jest dobry znak. Ale czy powinienem tak pochopnie wydawać sądy? W końcu to *martwe* zwierzę - czy ja sam będę lepiej pachniał tydzień lub dwa po swojej śmierci? Czego miałbym się spodziewać? Tak czy inaczej, jadałem już gorsze rzeczy, No a zresztą, przecież po to się jedzenie gotuje, żeby pozabijać wszystkie zarazki. Jak nie zjem tego hamburgera, to tak jakbym przyznał, że zrobiłem głupio, nie wkładając go do zamrażalnika od razu w niedzielę, kiedy go kupiłem. A nie mogę pozwolić na to, żeby przed samym sobą przyznać się do własnej głupoty. Decyduję się więc zjeść na pół zepsute mięso. Żeby jednak się upewnić, że przy smazeniu zabiję wszystkie zarazki, podkręcam płomień na maksa. W efekcie czego otrzymuję hamburgera, który jest kompletnie zwęglony po wierzchu, za to zimny i różowy w środku. Odkrywam to jednak dopiero, gdy wbijam w niego zęby. Uch, co za obrzydlistwo!

Wciskam się w nowy sweter, przyglądam włosy jakąś substancją na bazie nafty, zakładam wyjściowe buty i już jestem gotów do wyjścia. Jest ósma. Mam być w restauracji o ósmej. Idzie się tam ode mnie pięć minut. A niech to,

mam trochę czasu. Siadam więc przed telewizorem i oglądam *Gliniarzy*, podczas gdy w moim żołądku hamburger z kakao oraz różne grypowo-wąglkowo-rozstaniowe drobnoustroje zdają się odtwarzać najślynniejsze pościgi samochodowe w historii kina akcji.

Kiedy wchodzę do restauracji, przy każdym stoliku siedzą zadowoleni z życia nowojorczyki z West Side. Kate siedzi przy stoliku na samym początku. Tak się jakoś składa, że przy tym samym stoliku siedzi też Bran. Obie posyłają mi zabójcze uśmiechy. Wszędzie dookoła piętrzą się oślizgłe stosiki surowych ryb. O nie.

Siadam bez słowa. Teraz brakuje tylko, żeby jakiś sędzia uderzył młotkiem w stół.

- Już zamówiliśmy - mówi Kate.

- Wszystko wam wyjaśnię - mówię. Ale mój mózg jest aktualnie wyłączony. Spróbuję może później.

Na szczęście moje dwie towarzyszki nie mają problemu ze znalezieniem odpowiednich słów.

- Jesteś naprawdę *sui generis* - mówi Kate.

- Czyli po łacinie kawał skurczybyka - dodaje Bran.

- Ciebie też bym zaprosił - mamroczę. - Ale mówiłaś, że jesteś zajęta.

- Więc umówiłeś się z nami obiema - mówi Kate. - Ale z ciebie drań.

- Mówiłaś, że musisz być w domu o dziesiątej - mówię. Ten wieczór, myślę sobie, to był całkiem niezły pomysł,

z tym że jakoś to nie działa w praktyce. Zupełnie jak suszarki do rąk w męskiej toalecie.

- Nigdy byś Kate nawet nie poznał, gdyby nie ja! - mówi Bran.

- Wolę być nazywana Katherine - mówi Kate. Bran nie zwraca na nią uwagi.

- I miałaś zamiar tak po prostu się z nią umówić za moimi plecami?

Katie-Kate-Katherine i ja rzucamy na siebie spojrzeniem. Jak dużo Bran wie?

- Co? - krzyczy Bran. - Co ma oznaczać to spojrzenie?

- Ach, czy to może roladka kalifornijska? - zmieniam temat. - Mniem!

Na twarzy Kate maluje się poczucie winy.

- Czyli kiedy ja z tobą, to ty w międzyczasie... - ciągnie dalej Bran.

To, co się dzieje w moim żołądku, można porównać tylko z sytuacją, gdyby Ku-Klux-Klan i Stowarzyszenie Na Rzecz Wspierania Mniejszości Rasowych przypadkiem wynajęły na swój doroczny bal tę samą salę taneczną.

- Chyba nie mówi się „w międzyczasie”, tylko „tymczasem” - wtrącam, próbując stworzyć wokół siebie gramatyczną zasłonę dymną, której jednak nikt chyba nie zauważa.

- A co się działo między wami? - teraz Kate zaczyna dociekać.

- Między nami coś było - mówi Bran.

- Nie nazwałbym tego zaraz „coś” - mówię. - Takie małe nic. Zdarzoncczko.

- Czyli między wami coś było i żadne z was nic mi nie powiedziało? - oburza się Kate. - Czyli jesteście współodpowiedzialni za ten dźwięk!

- Nie mogę mówić - mówię. - Mam pełno w ustach. Wpycham sobie do ust roladkę kalifornijską. Tak jest,

smakuje tak samo jak zawsze: jak mokry, surowy morski szczur.

- Nie zmieniaj tematu - mówi Bran. - Idę teraz do łazienki, a jak wrócę, to będziesz musiał coś nam powiedzieć.

Kiedy Bran znika, patrzymy na siebie z Kate.

- Nie wyglądasz najlepiej - mówi ona.

- Mam chyba grypę - mówię. - Wiesz, to ta choroba, która ma takie symptomy jak węglik.

- Rozczarowałeś mnie, Tom - mówi ona.

Jak wyjaśnić kobietom, jak to jest być facetem? Dla nich wybrać sobie partnera to tak jak wybrać odpowiedni stanik. Ma być seksowny, dobrze dopasowany i dawać poczucie bezpieczeństwa. Jeśli nie znajdą odpowiedniego, będą dalej szukać. Wszystko im jedno, czy to dzisiaj kupią sobie stanik, Mogą przecież spróbować się wybrać do innego sklepu w przyszłym tygodniu.

Ale gdy facet szuka sobie dziewczyny, to tak jakby wygłodniały siadał przy stole w restauracji. Patrzy po kolei na oferowane dania i zastanawia się, jaki mają smak i czy nie będzie go po nim coś bolało. Masz ochotę na stek, ale jeśli akurat go nie ma, to może być też hamburger. Albo nawet i *sushi*. Dlaczego mężczyźni zdradzają, nawet jeśli mają przepiękne partnerki? A kto by chciał co noc dostawać na kolację to samo?

W rzeczywistości jednak nie można się spodziewać, że dziewczyna pojawi się na talerzu tylko dlatego, że masz na nią ochotę. Oferta przypomina raczej moskiewską stołówkę w roku 1965 - lepiej zamówić zarówno stek, jak i hamburgera oraz *suski*, bo istnieje duża szansa, że czegoś mogą nie mieć. A mogą też w ogóle niczego nie mieć. A dla ciebie liczy się jedno - zjesz cokolwiek albo umrzesz z głodu.

Pochłonięte przed chwilą *sushi* oraz to rozbudowane porównanie nagle podskakują mi w żołądku, podczas gdy zmienia on tryb ze zwykłych obrotów na przyspieszone. Jeśli chodzi zaś o moje usta, zaczyna się wirowanie.

- Mam nadzieję, że rozumiesz, że to, co robicie, jest dla mnie bardzo bolesne - mówię do Kale, delikatnie kładąc jej rękę na dłoni i starając się patrzeć jej w oczy. - Nie dzwoniłem do Bran, bo chciałem zjeść z tobą kolację. Tak miło, tylko we dwoje.

- A potem miałeś zamiar dopełnić wszystko deserem? - pyta Kate.

- Katie, to miał być po prostu zwykły deser - mówię. - A nie ekierka owinięta wokół mojego druta.

- Nazywam się teraz Kalherine. Naprawdę sądziłeś, że się nie zorientujemy?

Jakie „my”? Co one, nagle odgrywają jakieś siostry walczące z całym światem?

- Posłuchaj, sądziłem, że między nami jest cicha umowa, że nie będziemy informować Bran o każdym naszym wspólnym wyjściu. - Co w rzeczywistości oznacza: sądziłem, że wiąże nas dżentelmeńska umowa, że będziemy się zachowywać jak chytre, występne liski. - Wiesz, że ona jest czasem trochę dziwna.

- Zaczynam się dopiero orientować, jaki ty potrafisz być dziwny - mówi ona. - To całe zwodzenie.

Wygląda, jakby miała wnieść zaraz wniosek o strzelenie mnie w mordę.

Myślę o wszystkich podstępnych zagraniach, jakich się w życiu dopuściłem. Ale nie, to się tak naprawdę nie liczy.

Na stole leży mój telefon. Nagle zaczyna dzwonić. Ratunek!

- Hej - mówię do telefonu.

- A... Tom? - mówi jakiś znajomy głos.

- Tak, kto mówi? - pytam.

- Liesl. Co ty tam robisz?

- O co ci chodzi? To ty do mnie zadzwoniłaś - zwracam jej uwagę. Tu ją mam!

- Wcale nie - mówi ona.

- Przecież to moja... - O nic!

- Dzwoniłam do Bran - mówi Liesl. - To ty znasz Bran?

A podczas gdy rewolucja w moim żołądku i jelitach zaczyna wydawać głośne jęki i wybuchy, niczym odgłosy z dalekiego pola bitwy, ja wyobrażam sobie konwersację, jaka się niebawem wywiąże między Bran i Liesl. Bran: „Skąd ty znasz Toma?”. Liesl: „No wiesz, właściwie to tak jakby, no,

chodziliśmy ze sobą przez parę miesięcy...". Bran: „Aha, to bardzo ciekawe, bo myśmy się właśnie parę tygodni temu całowali. To znaczy, kiedy Tom nic był zajęty podrywaniem mojej najlepszej przyjaciółki”.

- Jesteśmy, no wiesz, starymi przyjaciółmi - mówię. Czas zmienić temat! Myśl! Szybko! - Jak ci minęła podróż do domu? - Znakomicie.

- Tom - to Bran, która nagle wyrasta obok mnie. - Co ty do cholery robisz z moim telefonem?

Sprawdzam dłońią kieszeń kurtki. Zgadza się. Mój telefon wciąż tam jest.

Podchodzi kelnerka i przygląda się wszystkiemu zza pleców Bran.

- Ee... to... ce... do ciebie - mówię, podając Bran telefon.

- Tak, kto mówi? - pyta Bran. A ja ją obserwuję. Aha, więc tak właśnie wygląda rozwścieczona kobieta. Poprzednio to była tylko próba generalna.

- Wszystko w porządku? - pyta kelnerka.

Patrzę na nią. Kelnerka się uśmiecha, po czym marszczy brwi i patrzy na mnie spode łba. To starsza siostra Maggie, mojej byłej dziewczyny. Stephanie, ta, co została kelnerką, bo nie powiodło jej się w aktorstwie. Jak dużo zdążyła usłyszeć? Po chwili ja też marszczę brwi. Ale stać mnie na więcej niż tylko marszczenie brwi. Potrafię na przykład, jak się okazuje, wypuścić prosto na buty Stephanie strumień wymiotów o sile sikawki strażackiej. Jaki smak mam potem w ustach? Tak obrzydliwy, że aż chce mi się rzygać. Więc rzygam. I rzygam dalej. I jeszcze. Moimi mięśniami brzucha targają potężne konwulsje - lepiej niż na siłowni, myślę resztkami świadomości. Podłogę zalewa całe wiadro nieczystości z mojego żołądka. Wyczuwam, że ludzie naokoło przewracają w panice buteleczki z sosem sojowym, uciekając z zasięgu rozpryskującego się wokół obrzydlistwa. Słyszę

jakieś głosy, które, mam nadzieję (choć wątpię), wyrażają współczucie dla mojego losu.

Kiedy znów podnoszę głowę, Kale z kamienną twarzą podaje mi serwetkę. Ludzie wołają: „Proszę o rachunek”. Bran nadal rozmawia przez telefon.

- Tom właśnie puścił pawia - mówi. - Co za idiota. Przecież to *sushi* było znakomite.

- Przepraszam wszystkich bardzo - mówię, a z ust wylatuje mi drobinka rzygowin, która ląduje na kawałeczku *sushi*. - Nie czuję się najlepiej.

- Zaczekaj chwilę - mówi Bran do telefonu i zwraca się do mnie. - Jesteś mi winien piętnaście dolarów za to *sushi*.

Nic jestem w nastroju do tego, żeby się z nią kłócić, więc płacę. Bran patrzy na mnie wilkiem. Kate patrzy na mnie wilkiem. Stephanie patrzy na mnie wilkiem. Liesl prawdopodobnie też, nawet jeśli mnie nie widzi. Chyba właśnie udało mi się dokonać wielkiego antyudrczenia, jak Królikowi Bugsowi w tej baseballowej kreskówce, kiedy wyrzuca on piłkę tak powolnym ruchem, że podczas tego jednego lotu trzech kolejnych zawodników po trzy razy w nią nie trafia, a ona ląduje sobie spokojnie w rękawicy łapiącego.

Przemykam się samotnie do domu z jedną tylko nadzieją - że zaatakował mnie wąglik. Wtedy dopiero zobaczą!

W domu przerzucam kanały w telewizorze. Zatrzymuję się na jednym z nich, żeby obejrzeć program o Micku Jaggerze. To dopiero koleś, którego możemy wszyscy podziwiać. Ile on ma lat, pięćdziesiąt sześć? I wciąż bzyka wszystko, co się rusza.

Przed przerwą w programie spiker ogłasza głosem mrozącym krew w żyłach:

Po przerwie zapraszamy państwa na reportaż specjalny: „W samym środku korporacji zła"! Pokażemy państwu, co powiedzieli swoim prawnikom mordercy, którzy zaplanowali atak bombowy na World Trade Center w roku 1993,

jak również ich obciążające! zeznania! powiązane są z bandytami! stojącymi za wydarzeniami z jedenastego września. To wszystko po przerwie.

Siedzę więc, chrupię chipsy i oglądam. To program Bran. I firma prawnicza Liesl. A więc to tak się poznały. Moja mata Ewa Braun okazała się Matą Hari. Gdybym wiedział, że jest ona w stanie zaryzykować utratę pracy po to, żeby umożliwić przeciek dokumentów do prasy, wydałaby mi się znacznie ciekawszą osobą.

Środa, 14 listopada

Jeśli nie liczyć spotkań w pracy, to nie widziałem się z Julią od dwóch tygodni. Zawsze ma jakiś powód, żeby ni stąd, ni zowąd odwołać spotkanie. Czekać na nią przed Marrioiem, myślę sobie - czy nie byłoby świetnie móc kogoś pozwać do sądu miłosnego? Przedstawić swoją sprawę bezstronnemu obserwatorowi, który miałby moc prawną nakazać drugiej stronie, żeby zaprzestała irracjonalnych zachowań? Zbrodnie nienawiści są surowo karane. A co ze zbrodniami miłości?

Wczoraj wieczorem zostałem w pracy *zdecydowanie* zbyt długo, przeglądając materiały dowodowe - jej stare e-maile. Można na nich dokładnie prześledzić całą historię związku. Wystarczy parę kliknięć i masz wszystko przed sobą na ekranie, jak pasek wiadomości na CNN.

Liczba c-maili, jakie od niej dostałem w lutym: 9.

W marcu: 78.

W kwietniu: 94.

W maju: 105.

W czerwcu: 97.

W lipcu: 70.

W sierpniu: 22.

Wc wrześniu: 8, wszystkie w odpowiedzi na moje własne. Z tym że ja jej ich wystąpiłem 25. W październiku: 2.

W listopadzie: 0. W listopadzie przestałem do niej pisać. Zbyt dotujące było czekanie na to, żeby w końcu i tak nie odpowiedziała.

Jeśli jednak kiedyś uda mi się ją postawić przed intymnym sędzią... Czyż nie jest prawdą, pani Brouillard, że pewnego zimowego dnia, dokładnie o 17.37 wysłała pani, całkowicie dobrowolnie, następujący c-mail do powoda?

Od: BROUILLARDJ@Brukowiec.com

Do: FARRELLT@Brukowiec.com

Temat: śnieg

Tak słyszałam o tych całych e-mailach, więc pomyślałam sobie, że spróbuję, choć jeśli mam być szczerą, to moim zdaniem to tylko taka przelotna moda. Dobrze się wczoraj bawiłam - mam nadzieję, że nie zarwałeś przeze mnie nocy. Jedyne mankament to to, że obudziłam się z tą straszną piosenką w głowie (tego całego Sir Mix A Lot, czy jak mu tam). Nie dawała mi spokoju jeszcze pod prysznicem. Zawsze się budzę z jakąś okropną piosenką w głowie. No dobrze, to życzę wesołego śniegu, kiedy będziesz dziś wieczorem wracał do domu. Tak w ogóle to na dworze jest dzisiaj ślicznie, a płatki śniegu migoczą i mają taki perfekcyjny kształt. (Przed chwilą spędziłam sporo czasu na zewnątrz, gapiąc się na śnieg lądujący na mojej kurtce. To było najciekawsze wydarzenie dzisiejszego dnia). Okej, to już cię nie zamęczam moją paplaniną. Do zobaczenia. Julia

A przy okazji, pani Brouillard, czy była pani kompletnie szczerą, kiedy wysyłała pani tę pamiętną wiadomość tydzień później, o godzinie 16.28?

Od: BROUILLARDJ@Brukowiec.com

Do: FARRELLT@Brukowiec.com

Temat: kolacja

Cześć. Jak się mają sprawy w świecie redaktorów? Z pewnością ucieszy cię wiadomość, że w naszej części tej budy

wszystko na razie idzie gładko. Zastanawiałam się jednak, czy masz może jakieś plany na jutro wieczór, bo może moglibyśmy się jutro wybrać na tę naszą kolację. Dziś trochę się czuję skołowana i muszę po prostu iść zaraz do domu i trochę się przespać. Ale mam też dobrą wiadomość - w przyszły weekend przeprowadzam się do nowego mieszkania, nie będę więc już musiała urządzać sobie co wieczór tych upierdliwych wycieczek do Connecticut. To nowe miejsce to nie jakiś Paryż, ale jak na moje obecne potrzeby jest w sam raz. Julia

I proszę określić, pani Brouillard, jak pani zdaniem powinna zareagować rozsądna osoba, otrzymując od pani wiadomości takie, jak len lisi z 9 marca, godzina 17.44?

Od: BROU!LLAROJ(o)Brukowiec.com

Do: FARRELLT@Brukowiec.com

Temat: ty

Zajrzysz do mnie, zanim pójdziesz do domu?

Czyż nie jest prawdą, pani Brouillard, że miała pani pełną świadomość efektu, jaki wyrze na niewinnym młodym człowieku pani zaangażowanie w taką oto soczystą wymianę zdań z 23 marca?

Od: BROUILLARDJ@Brukowiec.com

Do: FARRELLT@Brukowiec.com

Temat: ucieczka

IM ie mogę dziś usiedzieć w miejscu. Uciekniesz gdzieś ze mną?

Od: FARRELLT@Bmkowiec.com

Do: BROUILLARDJ@Brukowiec.com

Temat: Re: ucieczka Na kawę czy raczej na Fiji?

Od: BROUILLARDJ@Brukowiec.com

Do: FARRELLT@Brukowiec.com

Temat: Re: Re: ucieczka Raczej na Fiji.

Pani Brouillard, jest pani winna emocjonalnego poturbowania człowieka, który był już towarzyskim inwalidą w momencie, gdy go pani poznała. Skazuję panią na pięć minut życia z powodem. Wie pani, u niego w mieszkaniu jest sporo miejsca.

Dzwoni moja komórka.

- No hej - mówię. - Jesteś gdzieś tutaj?

Z nią nigdy nie wiadomo, czy przyjdzie, czy nie. Zmusza mnie, żebym jej ciągle zadawał te same pytania, jak moja własna matka. Zadawanie w kółko tych samych pytań nie może być seksy. Ale ja nic nie mogę na to poradzić.

- Jestem na rogu Czterdziestej Siódmej Ulicy i Broadwayu. Wszystko mi się po drodze poopóźniało.

- Ja jestem przy Czterdziestej Piątej. Spotkajmy się przy Czterdziestej Szóstej - mówię.

Czyli dzisiaj nie odwołuje spotkania. Bynajmniej nie ze względu na mnie. Ze względu na to, że dziś jest rozdanie nagród literackich National Book Awards. A gospodarzem wieczoru jest Steve Martin.

Przechodzę do następnej przecznicy, A ona już tam jest. W tym swoim rozkosznym żółtym płaszczyku, zapiętym aż pod szyję. A spod niego wystają siateczkowe rajstopy. Postanawiam nie mówić jej o tym, jak cudnie wygląda.

- Cześć - mówię.

- Nie skreślaj mnie jeszcze - mówi ona.

- Nie ma problemu - mówię.

Spóźniła się piętnaście minut, Ale co mnie to obchodzi,

Idziemy do hotelowych wind - wokół błyszczy szkło i mosiądz. Jedziemy na siódme piętro, gdzie już zbierają się zaproszeni goście. Pomagam Julii zdjąć płaszcz i omiatam ją wzrokiem od stóp do głów. Ma na sobie czarną wełnianą sukienkę. Wiem, że ma wiele ładniejszych.

- Nie ubrałam się za specjalnie - mówi Julia. - Zaczęłam panikować, że jestem za gruba.

- A to ciekawe.

- No i przebrałam się w to, bo poprzednia sukienka była zbyt obcisła.

- To by mi się bardziej podobało.

- No tak. Wiem.

Czas się rozejrzeć za barem.

- Kim są ci ludzie? - pyta Julia.

Nie wiem. Ale zaraz za naszymi plecami stoi Steve Martin. Julia milknie.

Bierzemy dwa kieliszki wina. Julia pali papierosa, wygląda jednak, jakby brakowało jej jeszcze jednego otworu, przez który mogłaby wdychać nikotynę. Przecież to niesprawiedliwe - mieć dwa płuca i tylko jedno usta.

- Niezły z ciebie ostatnio przystojniak - mówi nagle,

- Naprawdę?

- Sporo schudłeś od czasu, kiedy cię poznałam.

- No tak, dokładnie dwadzieścia kilogramów - mówię. Dieta wymiotna dobrze mi się przysłużyła, mimo że w końcu się okazało, że nie zaatakował mnie wąglik.

- Wyglądasz naprawdę świetnie - mówi ona.

- A ty absolutnie bosko - wrywa mi się.

- Oj weź - mówi ona. - No więc mało brakowało i bym tu dziś nie dotarła.

Dlaczego?

Weszłam do sklepu po papierosy i zobaczyłam tam faceta nie wyglądał na bezdomnego ani nic, zwykły facet,

trzydzieści parę lat, skórzana kurtka, raczej zadbany - no i zaczął nagle płakać.

Próbuję przybrać jakąś współczującą minę, myśląc jednocześnie: „Facet cierpi. Przykro mi z tego powodu. Ale dlaczego ja też mam cierpieć w związku z tym?”.

- Naprawdę mnie to poruszyło - mówi Julia. - No a oprócz tego parę dni temu zobaczyłam, jak samochód przejechał na ulicy psa. A właściciel potem stał na chodniku i szlochał. To mi się naprawdę wbiło w pamięć. To wszystko jest tak przeraźliwie smutne.

- Gdyby len koleś płakał zamknięty w mieszkaniu, toby ci nie przeszkadzało - mówię.

- No właśnie! - mówi ona. - Właśnie to mi nie pasuje w Nowym Jorku. Wciąż, uczestniczysz w życiu tylu osób. Brakuje mi tu powietrza.

- Ty leż się rozplakałaś? - pytam, próbując ułożyć brwi w łuk współczucia z nadzieją, że nie wyglądam jak jakiś wazeliniarz z telewizyjnego talk-show, który musi udawać, że strasznie wszystko przeżywa celem utrzymania oglądalności programu.

Julia kiwa głową.

- Naprawdę mną to wstrząsnęło - mówi. - Stałam przez chwilę przed sklepem i myślałam sobie, że nie mogę w takiej sytuacji iść na kolację.

- Tak mi przykro - mówię. - Ale bardzo miło, że jednak jesteś tu ze mną.

- Myślisz, że jestem głuptakiem? - pyta Julia. - Mój brat nazwał mnie głuptakiem.

- Wcale tak nie myślę. Już raczej widzę cię w czerni i bieli, zza szyby samochodu, po której spływają krople deszczu. Początek lat sześćdziesiątych, masz na sobie błyszczący płaszcz przeciwdeszczowy do pół łydki i kalosze do kompletu. I patrzysz tęsknie w dal.

Tak, tak, zdarza mi się czasem mówić w tym stylu w towarzystwie pięknych kobiet. Oraz pustych kieliszków po winie.

Julia posyła mi ten swój niewyraźny półuśmiech.

- Myślałam o tobie któregoś popołudnia - mówi. Słyszając te słowa, poczułem się, jakbym wypił jednym

haustem podwójną whisky. To, że ona o mnie myślała, jest czymś tak rzadkim, że aż trzeba mi o tym opowiedzieć. Czy ja myślałem o niej któregoś popołudnia? Czy oddychałem któregoś popołudnia? Odkąd ją poznałem, nie zdarzyło mi się przeżyć dwóch godzin tak, żeby o niej nie myśleć.

- No i? - pytam.

- Szłam sobie ulicą. I myślałam o tym, że ty masz w głowie taki jakiś wizerunek mnie. Jako takiej jakiejś osoby, która ma jakieś tam takie a nie inne cechy charakteru. Zupełnie jak w powieści. I pomyślałam sobie, że jesteś jedną z niewielu osób, które w taki sposób o mnie myślą. Ale głupie, co?

- Wcale nie - mówię. - Dla mnie jesteś chodzącą powieścią.

Julia nic nie mówi. Jej oczy zdradzają onieśmielenie.

- Rick się odzywał? - pytam.

Z Julii jakby opadła cała energia.

- Parę standardowych c-maili, nic nadzwyczajnego - mówi.

- Nic na temat listu, który mu wysłałaś? - pytam.

- Nie. Nawet o nim nie wspomniał. Tyle że go dostał.

- Wciąż go kochasz.

- I chyba tak już zostanie - mówi ona. - Tej jesieni właśnie sobie zdałam z tego sprawę.

Tak jest, drodzy kibice - człowiek się nigdy nie przyzwyczaja do tego, że panna, o której marzy, niezmiennie przejawia objawy całkowitego otumanienia kimś innym. Jest beznadziejnie zadurzona w kimś, kto już na sto sposobów dał jej jasno do zrozumienia, że jej nie chce. Czemu ona nie może po prostu dać za wygraną? Nie widzi tego, jaką sama sobie robi krzywdę? Komu by się chciało tak brnąć? Komu by się chciało... a, no tak. Zostawmy to.

Co ci się w nim tak bardzo podobało? - pytam.

- On zawsze potrafił tak jakby wszystko dostrzec. Tak jak tego faceta w sklepie. Rick na pewno też by się tym przejął. On by to poczuł.

Do zapamiętania: zacznij dostrzegać rzeczy i zdawaj z nich natychmiast relację Julii.

Siedzimy na galeryjce dla prasy, gdzie podają zimne kanapki. Ważne figury siedzą na dole i zajadają fileciki po 1000 dolarów za porcję. Steve daje popisową mowę wstępną, mówi o nagrodach: „Nieco wcześniej mieliśmy tutaj ceremonię rozdania nagród w kategoriach technicznych-najlepiej klejone grzbiety, najlepszy system numerowania stron...”. Tłumy to uwielbiają. Popularni pisarze wcale nie są tacy popularni. To tacy goście jak Steve osiągają szczyty popularności dzięki temu, że pielęgnują najmniej wyrafinowaną sztukę świata. Dzięki niemu cała sala zebranych tu ignorantów może się poczuć światową elitą.

- National Book Award to najbardziej prestiżowa nagroda, jaką może otrzymać książka i jednocześnie pozostać całkiem nieznana - mówi Steve (całkiem błyskotliwie, a niech go cholera),

Zaczynam przejeżdżać paznokciami po ramieniu Julii. Odwraca się nieznacznie w moją stronę i się uśmiecha.

- Konkurencja w tym roku naprawdę nie przebierała w środkach - mówi Steve. - Jeden z nominowanych do nagrody poetów posunął się nawet do tego, że zakradł się do drukarni pracującej nad tomem jednego z rywali i dodał mu do wiersza jeden nadliczbowy jamb.

Za każdym razem, gdy koleś powie coś naprawdę zabawnego, Julia patrzy na mnie rozanielona.

A ja się śmieję, uśmiecham, nienawidzę gościa. To istny geniusz. Nie mam się w ogóle co z nim równać. Popijam jeszcze trochę wina. Do biegu? Gotów? Dół. Raz na jakiś czas przejeżdżam ręką po plecach Julii. Mmm... Nie ma na sobie stanika.

Następuje długa przerwa na kolację. A potem rozdanie nagród. Bijemy brawo, Steve jeszcze na koniec puszcza parę tekstów i idziemy.

Już po wszystkim, zabieramy płaszcze z szatni, zjeżdżamy windą i znów jesteśmy na Czterdziestej Szóstej Ulicy. Wokół pełno pędzących na wszystkie strony i zatruwających powietrze turystów i taksówek. Julia wygląda na przytłoczoną tym wszystkim.

- Może... Zatrzymajmy się... Na chwilkę - mówi i zapala papierosa.

Czekam. Ona pali.

- To może jeszcze jakiś kieliszek przed snem? - mówię. Julia nic nie odpowiada. Ale idzie za mną.

Idziemy do Mysicry. To ta sama knajpa, gdzie umówiliśmy się tamtego chłodnego wieczoru, kiedy ona się tak słodko zgubiła i wszystko zdawało się już w zasięgu ręki.

- No więc porozmawiałam sobie z Dwayne'em - mówi Julia.

- O, no i co?

- Nie było aż tak źle, jak się spodziewałam.

- Przyjął to jak mężczyzna? - pytam.

- Chyba tak. Powiedział, że nie jest zaskoczony. Powiedział: „Jeśli przez cały ten czas byłaś ze mną tylko dlatego, żeby nie mieć poczucia winy, to zupełnie bez sensu. Masz prawo być szczęśliwa”.

- Czyli wszystko załatwione - mówię. - Cieszę się, że ci się udało. Julia wzrusza ramionami.

- I co teraz masz zamiar zrobić?

- On nie wyrzuca mnie tak od razu z mieszkania - mówi Julia. - Powiedział, że mogę tam zostać, ile tylko chcę.

- Jeśli nie masz się gdzie zatrzymać... - zaczynam. Ale nie kończę.

A ona też nie podejmuje tematu.

- Chcę przeczytać tę książkę o depresji - mówi. Książka o depresji zdobyła jedną nagrodę. Gość, który ją napisał, mieszka przy Piątej Alei w luksusowym starym apartamencie o wysokich sufitach i ścianach starannie zabudowanych eleganckimi regatami z książkami. Z jakiego to niby powodu ktoś taki ma mieć depresję? Nawet przecież nie zna Julii.

- Jeśli się jest *bogalym*, też można mieć depresję - mówi Julia.

- A ty masz depresję? Kiwa głową.

- Kiedy to się zaczęło?

- Jak miałam dziewiętnaście lat.

- Pamiętasz to tak dokładnie?

- No. Zaczęłam mieć wtedy ataki paniki.

- A teraz?

- Teraz czuję się jakoś tak ogólnie nieszczęśliwa. Cały czas. Bo mam wrażenie, że wszystko jest tak strasznie nie tak, jak być powinno. Widzi się to codziennie. Tak jak ten facet, co płakał w sklepie. I nic nie można na to poradzić,

- Nie może być aż tak źle - mówię.

- A do tego jeszcze zaczynam widzieć wokół terrorystów. Na przykład dzisiaj. Stałam przed naszym budynkiem i paliłam papierosa, kiedy zobaczyłam jakiegoś zarośniętego gościa wchodzącego do banku obok. Wyglądał, jakby właśnie go zwolnili albo coś. I miał jakąś paczkę pod pachą. Zaczęłam się ukradkiem stamtąd odsuwać. Czuje się taka bezbronna.

- To co zamierzasz zrobić?

- Uciec - mówi ona. Posyłam jej pytające spojrzenie.

- No bo czy z Dwayne'cm nie powinno być wszystko w porządku? - ciągnie ona. - Miałam kogoś, kto mnie bezgranicznie kocha i się o mnie troszczy. Czy to mi nie powinno wystarczyć?

- Ale jest jeszcze to coś - mówię. Myśląc sobie jednocześnie: Bezgranicznie to mogę kochać ja. Dwayne co najwyżej kocha uparcie.

- To coś, czego nic ma - mówi ona.

- Element tajemnicy - mówię ja.

- Być może.

Przez chwilę pijemy w milczeniu. Zastanawiam się, czy to możliwe, żeby ona była całkiem nieświadoma tego, co do niej czuję. Może powinienem to jakoś wyrazić.

Ale Julia jest zbyt szybka. Przecież właśnie dlatego mi się podoba, no nie? Potrafi się domyślić, co jest grane.

- Idziemy? - mówi, wskazując głową na drzwi. Jest dopiero wpół do dwunastej.

- Za chwilę - mówię. - Jak myślisz, co ja w stosunku do ciebie czuję?

Julia sprawia wrażenie, że znalazła na dnie szklanki coś, czemu musi się bacznie przyjrzeć.

- Chyba już mi mówiłeś - odpowiada.

Bob Dylan mówi tak: „Zaoferowałem jej swoją niewinność, w zamian dostałem pogardę”.

Powiedziałem już zbyt wiele. Ale nadal nie powiedziałem tego, co chciałbym powiedzieć. Ponieważ ona nie chce, żebym to powiedział.

Jest parę pytań, które chciałbym jej zadać. Pytań, na które nie chcę znać odpowiedzi. Ponieważ zbliżyłyby mnie one do punktu, w którym bym wiedział, że muszę się poddać.

- Wczoraj zadzwonił do mnie mój brat - mówi Julia. - Rozmawialiśmy przez godzinę. Powiedział mi, że poszedł do biblioteki i powyrywał sobie wszystkie artykuły, jakie napisałam dla „Brukowca”.

Robię w powietrzu gest w stronę kelnerki, jakbym podpisywał czek.

- Czyli to on jest dla ciebie najważniejszy? - pytam.

- Chyba tak. Bo on jest po prostu... mną.

- Nie masz takiego poczucia wobec swoich przyjaciół?
- Zawsze wrażenie, że czegoś brakuje. Tak jakby na jakimś poziomie nie było między nami porozumienia.

- Czego ci więc brakuje w mnie? - pytam.

- Z tobą czuję porozumienie na wszystkich poziomach. No i teraz jestem już kompletnie zdezorientowany. Czy

ona mi właśnie powiedziała, że jestem jedyną oprócz jej brata osobą, którą uważa za prawdziwego przyjaciela?

Jesteśmy znów na Czterdziestej Ósmej Ulicy, idziemy w stronę Ósmej Alei. Przechodzimy obok krytego parkingu, tego, przy którym Julia kiedyś skradała się za moimi plecami tamtego marcowego wieczoru. Tego wieczoru, kiedy odwróciłem się i ją przyłapałem, po czym objąłem ją niedźwiedzim uściskiem, podniosłem do góry i zakręciłem w powietrzu. A ona śmiała się i śmiała.

- Pamiętasz ten parking? - pytam, - Jak się skradałaś za moimi plecami?

- Zdaje mi się, jakby to było wczoraj - mówi ona i widać, że pojawia się w jej głowie jakaś nowa myśl. - To wszystko zdaje mi się taką przygodą.

Przechodzimy za róg ulicy i czekamy na taksówkę.

- Dlaczego spędzasz ze mną tyle czasu? - pytam.

- O co ci chodzi?

- No, jaki widzisz w tym sens?

- Jesteś moim przyjacielem. Stawiasz mi drinki.

I nawet wtedy, kiedy idzie już do swojej taksówki, uciekając od niewygodnych rozmów, wielbię ziemię, po której chodzi ta dziewczyna.

Środa, 21 listopada

Dzień przed Świętem Dziękczynienia - tym razem w wersji reżyserskiej: wydłużony remiks poprzednich świątecznych weekendów, czterodniowe wytchnienie, spotkanie z rodziną po raz pierwszy od wielu miesięcy, znak, że można rozpocząć patriotyczną orgię świątecznych zakupów. Wszyscy w redakcji biegają dziś w takim właśnie podekscytowanym świątecznym nastroju, uśmiechają się do innych na korytarzach, pokazując, jacy są strasznie dzisiaj dla wszystkich życzliwi. Ja jednak przyzwyczaiałem się oczekiwać w czasie świąt totalnej katastrofy. Jeśli się idzie przez życie z nastawieniem, że na pewno wszystko pójdzie źle, to rzadko się bywa rozczarowanym. Dzwonię do Bran na komórkę.

- Po co do mnie dzwonisz? - pyta ona.

- Zły moment? - pytam ja.

- Tom - mówi ona - nie wiesz, że ja pracuję nad Tym? Ataki! Lotniska! Wąglik!

- Przepraszam - mówię. - Myślałem, że może pracujesz tylko przez dwadzieścia trzy godziny i pięćdziesiąt pięć minut dziennie.

Bran sprawia wrażenie, że prowadzi równolegle jeszcze cztery inne rozmowy.

- Co? - mówi nieprzytomnie. - Nieważne. Muszę lecieć.

- Ale, Bran, zaczekaj - mówię.

- Co?

- Pamiętasz te sytuacje z filmów, kiedy facetowi nie udaje się zdobyć kobiety, którą, według ciebie, miał zdobyć? Tej,

której niby pragnie? Ale czasem zamiast tego ląduje w końcu ze swoją najlepszą przyjaciółką? Tą, która przez cały czas wydawała ci się dla niego właściwsza, tyle że oboje tego nic dostrzegali? Wciąż się sprzeczą, przestają ze sobą rozmawiać i dopiero po jakimś czasie orientują się, że są dla siebie stworzeni. Nie wydawało ci się nigdy, że z nami tak właśnie jest? Nie możesz sobie wyobrazić sytuacji, w której rzucamy wszystko i przyznajemy w końcu, że coś do siebie czujemy? Masz tu teraz przykład mojej całkowitej szczerości.

- Tom - mówi ona. - Masz tu teraz przykład mojego całkowitego rzucenia słuchawką.

- Ale pomyśl o tym - mówię.

- Powiedz, to sygnałowi w słuchawce. I wiesz co, Tom?

- Tak?

- Nie dzwoń do mnie nigdy więcej.

- Nigdy? Nigdy to kupa czasu. A co jeśli się okaże, że mam raka?

- No dobrze. Zróbmy wyjątek. Możesz do mnie zadzwonić, jeśli się okaże, że masz raka. Ale tylko wtedy, jeśli będzie on rzeczywiście zagrażał twojemu życiu.

- AJe jak bardzo ma mu zagrażać? A co jeśli zachoruję na coś, co będzie miało mnie zabić w ciągu czterdziestu lat?

- Rozłączam się.

- Ale wciąż tu jesteś.

- Nie ma mnie.

- Mogę zadzwonić w przyszłym tygodniu?

- W przyszłym tygodniu? Nic. W przyszłym tygodniu będę ponad wszelką miarę zajęta.

- Więc mogę do ciebie zadzwonić. Byle nie w przyszłym tygodniu. To może w przyszłym miesiącu?

- W przyszłym tygodniu będzie już przyszły miesiąc.

- To w przyszłym roku. No zgódź się. To moja ostateczna oferta.

- W przyszłym roku?

- W przyszłym roku. Pięć tygodni cierpienia. Usychania z tęsknoty za tobą.

- No dobrze, to powiedz mi jedną rzecz: czemu miałabym pozwolić, żebyś jeszcze w ogóle kiedykolwiek do mnie dzwonił?

- Bo byłaś pierwszą osobą, do której zadzwoniłem jedenastego września.

A to skąd mi się wzięło? Nigdy wcześniej o tym nie pomyślałem, ale w momencie, gdy kończę mówić, nagle zdaję sobie sprawę, że to przecież prawda.

- No, ale teraz naprawdę parszywie wykorzystujesz do swoich celów coś, co jest znacznie donioślejsze niż sprawy między mną a tobą - mówi ona.

- Jasne, że tak - mówię. - Ale rozejrzyj się tylko dookoła. Wszyscy w tym mieście zachowują się ostatnio jak wariaci. Ludzie zakładają gumowe rękawiczki, żeby otworzyć list. Kupują maski gazowe. Zapasy antybiotyków na całe życie. Ludzie, którzy mieszkali tu przez ostatnie dwadzieścia lat, przenoszą się za miasto.

- No i co z tego?

- No i to, że ty stąd nie wyjeżdżasz. Ja też nie. Nie kupujesz maski gazowej. Ja też nie. Trwamy tutaj. A dlaczego? Co mamy ze sobą wspólnego?

- No co?

- Uwielbiamy ten chaos. Chaos nas ekscytuje. A ci, którzy tego nie widzą, zasługują na to, żeby spędzić życie w sąsiedztwie wielkiego centrum handlowego.

Bran zastanawia się przez chwilę.

- Wiesz co, nigdy nie przystałeś mi nawet głupiego bukietu kwiatów.

- Czy to jest twoja cena?

- Przyślij, a zobaczysz - mówi ona.

I w tym momencie rzeczywiście się rozłącza, zanim zdąży ją zapylać, jakie są jej ulubione kwiaty. Zaraz jednak przypominam sobie, że przecież wiem. Konwalie.

Wciąż jeszcze trzymam słuchawkę w rękę z otępiałym wyrazem twarzy, kiedy spośród świateł jarzeniówek dopada mnie nagle czyjś głos.

- Jest tutaj, dokładnie tam, gdzie go zostawiłem. Simba. Lew w królestwie słów, z zakrwawionymi pazurami przechadzający się po swojej klatce. Dajcie mu szerokie legowisko, panie i panowie, uważajcie na kły tego drapieznika, który już się przygotowuje na Dzień Wielkich Obżartuchów, obmyślając, jak by tu elegancko poćwiartować indyka i Ethana Hawke'a.

- Panie Thrash - mówię. - Jak było w Afganistanie?

- To zwierzęta, nie można tam się nawet niczego porządnego napić, wszędzie trzeba chodzić z własnym alkoholem, naloty bombowe, korupcja, dewastacja, detonacja. Zgroza, po prostu zgroza. Zabijaj i uciekaj, składaj namiot i leć dygocząc przez pustynię, nagie zmiany miejsc razem z całym oddziałem, tupot nóg po nocy, dosiadamy koni, chłopcy, i jedziemy, przenosimy się do następnej dziury w ziemi.

- Nic udawaj, że się świetnie nie bawiłeś - mówię. Widziałem już listę jego wydatków, po której jasno widać,

że z wyjątkiem jednej wszystkie noce spędził w apartamencie prezydenckim w hotelu Hilton w Islamabadzie. Codziennie jednak drukowaliśmy jego zdjęcie obok wiadomości z Afganistanu: Rollo w wojskowej kurtce ochronnej, z miną faceta, który nie może się doczekać następnego ataku bombowego.

- Nic mnie tak nie bawi, jak kiedy do mnie strzelają i nie mogą trafić - mówi Rollo. - To słowa Winstona Churchilla, chłopcze.

- Albo raczej kogoś, kto przepisywał jego teksty - mówię ja.

- No tak, dzięki - mówi on. - Mój niewidzialny przyjacielu. Twoje zasługi nie przeszły niezauważenie, jeśli nie liczyć świata na zewnątrz.

- Jakie masz teraz dalsze plany? - pytam ostrożnie.

- Nic mogę już wrócić do pisania recenzji. Pochód wiadomości. Wracam do mojej kolumny. Trzy razy w tygodniu, prawdziwe reporterstwo, walenie o pręty klatki, niczym uderzenie w gong, stary. No a poza tym Cronin mówi, że twoje recenzje są lepsze.

Dzwoni telefon. Odzywa się nieznajomy mi głos.

- Pan Tom Farrell?

- Przy telefonie - mówię.

Rollo się niecierpliwi. Mówię mu, żeby chwilę zaczekał. Odchodzi pozabawiać trochę pozostałych.

- Proszę chwilę poczekać, łączę pana z Williamem Winterbottomem.

Winterbottom. Skądś znam to nazwisko. Jakiś naczelny, gdzieś w jakiejś gazecie.

- Pan Farrell?

- Tak, słucham.

- Mówi William Winterbottom, redaktor naczelny działu rozrywkowego dziennika „Daily News”. Jak się pan dzisiaj miewa?

- W porządku - mówię.

Człowiek z gazety. Jeden z nas. Może to być coś ciekawego, zaczyna się jednak jak Najnudniejsza Rozmowa Tclemar-ketingowa w Ameryce.

- To znakomicie. Pana starania, aby zdobyć sobie reputację w świecie krytyki, nie przeszły bez echa.

Wyobrażam sobie redakcję, w której on siedzi, zdaje mi się ona większa i ładniej urządzona od naszej, ale co to za dziwny dźwięk w tle? Trudno mi go zidentyfikować. Ach, no tak - to cisza. Nie ma hałasu telefonów, kłótni, włączonego bez przerwy CNN. Facet równie dobrze mógłby do mnie dzwonić z ekskluzywnego Domu Seniora.

Serdecznie panu dziękuję za tak łaskawe wyrazy uznania mówię. Gdzie ja się nauczyłem tak mówić?

- Czy jest pan w stanie wyobrazić sobie sytuację, w której doskonaliby pan swoje zdolności, pisząc dla trzeciej pod względem popularności gazety w Stanach Zjednoczonych?

- Proponuje mi pan, żebym przeszedł na drugą stronę ulicy? - pytam.

Nigdy dotąd nikt nie próbował mnie podkupić.

- Jesteśmy przekonani, że możemy panu zaoferować atrakcyjną rekompensatę finansową, znakomite świadczenia oraz prestiż, z jakim wiąże się codzienne pisanie dla ponad miliona czytelników kupujących naszą gazetę.

- Codzienne? - nie dajmy się ponosić emocjom. - Ale ja jestem krytykiem filmowym.

- Tak, nie, no ma pan rację. Wyobrażam sobie, że pana recenzje mogłyby się ukazywać w piątki, a do tego bardziej dogłębne analizy trendów w przemyśle filmowym może na przykład w niedziele? Jak pan wie, dajemy naszym dziennikarzom do dyspozycji aż dwa tysiące słów, żeby mieli możliwość rozwinąć skrzydła w kwestiach, które ich zajmują.

Dwa tysiące stów. Prawdziwej analizy. Nigdy więcej króciutkich tekścików na sześćset stów. Prawdziwa krytyka filmowa, Przekaz myśli, a nie tylko żarcików językowych.

- Coraz bardziej mi się podoba ta rozmowa - mówię.

- Oczywiście - mówi on, głosem mruczącym spokojnie jak silnik mercedesa - nie jesteśmy „Brukowcem”. W „Daily News” obowiązują dobre maniere. Musiałby pan nieco dostroić swój styl do naszych wymogów. Jak pan być może wie, sam zaczynałem karierę w „New Yorkerze”.

- No ale „Daily News” to przecież też brukowiec - przypominam mu.

- „Brukowiec” to brukowiec. My, w „Daily News”, uważamy się raczej za gazetę, która po prostu ma format przyjazny czytelnikom. We wszelkich innych aspektach mamy tyle wspólnego z „Brukowcem”, ile „Hustler” ma wspólnego z „Przełęczą Architektoniczną”.

Nigdy wcześniej nie rozmawiałem z kimś wysoko postawionym w „Daily News”, ale to by tłumaczyło, dlaczego ich artykuły są tak mgliste i niesprecyzowane, bo choć poruszają mniej więcej te same tematy co my, to używają do tego długich i nudnych słów, wystrzegają się zaś krzyjących nagłówków i zawadiackiej gry słów. Zawsze mi się wydawało, że oni starają się do nas upodobnić, ale im nie wychodzi - dlatego też zawsze ich nazywaliśmy „Daj mi Nóż”. A tu się okazuje, że oni naprawdę sądzą, że robią wszystko lepiej.

- O jakiego rodzaju rekompensacie możemy tutaj mówić? - pytam.

- Zastanawialiśmy się nad wynagrodzeniem w wysokości...

I tutaj pan William Wintcrbotlom nonszalanckim tonem człowieka wychowanego na górach pieniędzy odczytuje mi sumę, którą do tej pory utożsamiałem z zupełnie innymi profesjami. Takimi jak na przykład międzynarodowy złodziej biżuterii. Mój głos brzmi tak, jakbym nawdychał się helu.

- Myślę, że to by było do zaakceptowania - mówię.

- Być może mógłby pan zajrzeć do nas dzisiaj? - proponuje on. - Mam oczywiście parę drobnych zastrzeżeń, zwłaszcza jeśli chodzi o pana recenzję *Dnia próby*, która wydaje mi się parę razy przekraczać granicę między krytyką a czystą złośliwością w stosunku do Ethana Hawke'a. Jego agentka jest od wielu lat zaprzyjaźniona z naszą gazetą. Niedawno wpadłem na nią na pewnym przyjęciu i zaczęliśmy dyskutować o tym, że jej zdaniem konieczna byłaby pewna modyfikacja używanego przez pana tonu. Nie mogłem się z nią nie zgodzić. W końcu przecież nie zależy nam na bezinteresownym okrucieństwie, prawda?

A ja, mówiąc z czterdziestego drugiego piętra budynku zbudowanego na bezinteresownym okrucieństwie, odpowiadam:

- Ależ oczywiście, że nie.

Kiedy po pewnej chwili Ropuch człapie koto mojego biurka, zatrzymuję go.

- W życiu nie zgadniesz, co się stało - mówię.

- „W życiu nic zgadniesz”? Mam się z tobą bawić w zgadywanki? Ile ty masz lat, cztery?

- No dobra, starczy tego dobrego. Właśnie mi zaproponowano pracę w „Daily News”.

- Rany boskie, nie podobałoby ci się tam, mówię ci. Rozmawiałem parę dni temu z Maksem, jest zrozpaczony. Jak go zatrudniali, mówili mu, że go uwielbiają i że chcą, żeby nadal robił to samo, co do tej pory, ale teraz ścinają wszystkie jego pomysły. Nie jest już nawet naczelnym działu miejskiego, jest teraz jakimś redaktorem asystującym pełniącym obowiązki kierownika działu informacji czy coś takiego. Nawet nie wiadomości, tylko informacji. To zupełnie jak praca w ONZ.

- Mogę ci tylko powiedzieć, ile mi proponują?

- Ile?

Podaję mu sumę. Ropuch nie wierzy własnym uszom.

- No to załatwione - mówi. - Idź. Zwolnij biurko i idź.

- Nie proponujesz mi nawet nic, co by mnie mogło zatrzymać?
- pytam.

- Słuchaj, my tu prowadzimy mały rodzinny interes, a oni tam mają wielki dom towarowy, nie mamy co się z nimi równać. Ja sam tyle nie zarabiam. Nic siedzimy w tym interesie dla pieniędzy.

- To po co w nim siedzimy? - pytam. - Dla sztuki? Przez wzgląd na wdzięczność narodu amerykańskiego? Z powodu dobrego widoku na chińską knajpę?

- Siedzimy w tym, ponieważ stanowimy pewien klub. Jesteśmy klubem ludzi, którzy nienawidzą ludzi wstępujących do klubów - mówi Ropuch i odchodzi.

Rozważam w myśli jego słowa, kiedy dzwoni telefon.

- Cześć - mówi Julia.

- Cześć - mówię.
- Co robisz w ten długi weekend?
- Jadę do dziadków do Marylandu - mówię. - Będzie tam też moja mama. Ale zanim tam dojadę, czeka mnie kilka godzin piekła w autobusie.

- No tak, to mało przyjemne - mówi Julia współczującym głosem.
- Ja z kolei muszę zaraz lecieć na dworzec.

- O której jedziesz?
- Mam pociąg o 16.14.

Patrzę na zegarek - jest 15.32. Nie zostawiła sobie zbyt dużo czasu na rozmowę ze mną.

- Chciałam tylko, żebyś wiedział - mówi - że rzuciłam pracę.
- Coś ty - mówię.

Zastanawiam się, czy mam przed sobą najgorsze sześćdziesiąt sekund w swoim życiu.

- Czyli się przeprowadzasz - mówię.
- W sobotę - mówi ona. - Jadę do Madison.
- Mam pomysł - mówię. - Nie jedź.
- Ha, ha.

Milczymy przez chwilę.

- Czuję po prostu, że muszę tam z nim być - mówi Julia.

Mimo wszystko nie chcę, żeby ta straszna rozmowa dobiegła końca. Nie wiem jednak, co jeszcze można by powiedzieć.

- No to do zobaczenia - mówi ona.
- Mhm - mówię ja.

A ona odkłada słuchawkę.

Mam już dzwonić do Winterbottoma, kiedy znów przyczłapuje do mnie Ropuch.

- Słuchaj - mówi. - Nie idź do nich. Udało nam się znaleźć dla ciebie dodatkowe dziesięć tysięcy rocznie. Ale musisz je sobie wrzucić w koszty. Bo koszty możemy sobie odliczyć od podatku, rozumiesz? Więc po prostu musisz załatwić

sobie co tydzień kilka rachunków ze sklepów czy restauracji, ściągasz od nas dwie stówy tygodniowo, my ci to płacimy gotówką, bez podatku, nikt o nic nie pyta, wszyscy są szczęśliwi.

- Irv - mówię. - To za mato.

- Co?

- Słuchaj, ja się właśnie pakuję.

- Co mam ci jeszcze zaoferować? Prawo do opieki nad moimi kotami? Mówię ci szczerze: nie mam już nic więcej do zaoferowania.

- Owszem, masz - mówię. - To - i ruchem głowy wskazuję na drzwi za jego plecami.

Ropuch się odwraca.

- I to ci wystarczy? - pyta. - Załatwione.

I tak oto po raz pierwszy w życiu mam własny gabinet. Prawdziwy gabinet redaktora, a w nim kanapę i telewizor z magnetowidem. Gabinet, który do tej pory trzymali pusty, bo czekali na jakąś ważną figurę. Irv mówi, że w poniedziałek mogę się tam zainstalować.

O piątej w redakcji nie ma już nikogo. Siedzę jeszcze do wpół do siódmej, czytam gazety, zabijam czas. W ramach znęcania się nad sobą postanawiam nie jechać metrem. Zamiast tego wychodzę na ulice rojące się od pędzących we wszystkie strony ludzi, betonowy karnawał. Miasto jednocześnie się wyludnia i zapełnia przybyszami. My wszyscy, którzy tu mieszkamy i pracujemy, jedziemy spotkać się z krewnymi poza miastem. Za to znudzone rodziny spoza miasta, te, których dzieci nie przeprowadziły się tutaj, myślą sobie: „Pojeźdźmy do miasta, zobaczmy tę wielgachną choinkę, którą postawili w Kock Center”.

Idę na piechotę w kierunku dworca autobusowego. Jest zimno i ciemno. Całkiem sporo już osiągnąłem, wciąż nie osiągnąłem jednak rogu Czterdziestej Ósmej Ulicy i Ósmej Alei. Przechodzę tamtędy, trzęsąc się z zimna i zatrzymuję

się na chwilę. Nic mogę wejść na parking, jest zamknięty. Dookoła porozstawiane są pomalowane na niebiesko rusztowania. Wisi też tablica z napisem informującym, że parking przeznaczony jest do rozbiórki - na jego miejscu stanie budynek mieszkalny.

Szalik mam w kieszeni, pozwalam mu tam zostać. Rękawiczki zostawiłem w domu. Dokładnie na wysokości miejsca, w którym czekałem na nią wtedy, wisi plakat filmowy z błyskotliwym cytatem wyjętym z mojej recenzji sprzed paru tygodni. Napisałem te słowa, żeby jej zaimponować.

Jest tyle rzeczy, których nie mogę jej powiedzieć. Jak na przykład to, że bardziej niż te wszystkie momenty, w których się wzajemnie rozbieraliśmy, bardziej niż chwile spędzone na wspólnym pojadaniu, popijaniu, posiadaniu, bardziej niż ta chwila w parku, kiedy powiedziałem jej, co czuję, a ona się rozplakała, bardziej niż ten jeden jedyny raz, kiedy spędziłem noc trzymając ją w ramionach, bardziej niż to wszystko wbił mi się w pamięć róg Czterdziestej Ósmej Ulicy i Ósmej Alei. W multipleksie mojego umysłu ten jeden film wciąż nie schodzi z ekranu i powtarza się w nieskończoność. W nieprzyzwoicie zimny marcowy wieczór Julia, w żółtym płaszczyku zdecydowanie za cienkim na tę pogodę, skrada się na paluszkach za moimi plecami,

Ponieważ chce być ze mną.